

# ANDY McNAB

# AGRESOR

CZEŚĆ

PIERWSZA

*Wszystkie występujące w książce postaci są fikcyjne, ich podobieństwo do jakichkolwiek osób, żyjących lub zmarłych, jest czysto przypadkowe.*

1

Poniedziałek, 5 kwietnia 1993 roku

Było nas trzech, przywartych do dachu pancernego wozu bojowego bradley, który trzęsąc się i podskakując, przemierzał wyboisty teren. Dusiliśmy się od buchających od tyłu spalin, ale były przynajmniej ciepłe. W dzień może tutaj panować i upał, lecz noce są cholernie zimne.

Prawa moja ręka obejmowała lodowaty uchwyt przy wieżyczce. Lewą przytrzymałem pas plecaka. Przelecieliśmy prawie pięć tysięcy kilometrów, aby użyć sprzęt, który się w nim znajdował i gdyby uległ zniszczeniu, niczym nie dałoby się go zastąpić. Musielibyśmy wycofać się z całej akcji, a ja miałbym z tego powodu porządne kłopoty.

Szperacze zamontowane na czterech wozach pancernych atakowały front budynków obiektu. Trzy z tych pojazdów były jedynie dla zmyłki, tylko

nasz dowodził na miejsce trzyosobową ekipę SAS-u. Oczywiście pod warunkiem, że zdołamy na tym czymś w ogóle się utrzymać.

Kiedy nasz kierowca, zmierzając na tyły obiektu, wykonał ostry skręt w lewo, szperacz przeciął nocne niebo - wypisz wymaluj jak scenka z bombardowania Londynu.

Naszą grupą dowodził Charlie, o czym świadczył zestaw radiokomunikacyjny na jego głowie. Miał połączenie z centralką, znajdującą się poza wozem bojowym, co pozwalało mu komuni-

## 7

kować się z jego załogą. Ruszał ustami, lecz nie miałem pojęcia, co mówił. Zagłuszał go ryk silnika i łomot gąsienic. Skończył mówić, zdjął i odłożył na bok słuchawki. Klepnąwszy mnie i Pół-dupka, krzyknął, że mamy się przygotować.

Chwilę później wóz zwolnił i zatrzymał się: pora zesekaliwać. Zsunęliśmy się na ziemię, uważając, aby nasze pakunki o nic nie uderzyły.

Rozbryzgując błoto, wóz zawrócił w miejscu i ruszył z powrotem.

Dołączyłem do Charliego i Półdupka schowanych za jakimiś samochodami. Były one może zbyt oczywistą kryjówką ale mieliśmy się tu przyczaić jedynie na parę sekund, a jeśli reflektory miały zrobić swoje, ktokolwiek, kto obserwowałby teren z budynku, i tak byłby nimi oślepiiony.

Przywarliśmy do ziemi, obserwując, nasłuchując i wczuwając się w sytuację.

Nasz i pozostałe wozy pancerne zataczały teraz koło po drugiej stronie budynku, przeszukując reflektorami jego przód. Gdy pojazdy były już w bezpiecznej odległości od naszych bębenków słuchowych, z

zamontowanych na nich głośników zaczęły wydobywać się okropne dźwięki, podobne do krzyków zarzynanych młodych królików. Tak było już od dobrych kilku dni. Nie wiem, jak to oddziaływało na ludzi wewnątrz obiektu, ale mnie osobiście doprowadzało do szaleństwa.

Znajdowaliśmy się około pięćdziesięciu metrów od tyłów obiektu. Spojrzałem na Baby-G: do świtu pozostało jakieś sześć godzin. Sprawdziłem, czy lassotaśma nadal przytrzymuje mi w uchu słuchawkę i czy dwa sensory laryngofonu na krtani również są na swoim miejscu.

Charlie doprowadzał do porządku swój zestaw radiokomunikacyjny. Skończywszy oklejanie taśmą słuchawki dousznej, nacisnął kciukiem przycisk na końcu kabla przytwierdzonego do klapy swojej czarnej sztruksowej kurtki i zaczął mówić cicho i powoli.

- Tu grupa Alfa. Czy możemy już zaczynać? Odbiór.

## 8

Już sami Anglicy ledwo rozumieli jego twardy akcent z Yorkshire, cholera wie, co z tego mogli więc rozumieć Amerykanie na drugim końcu drutu.

Charlie komunikował się z samolotem P3 Orion, krążącym gdzieś 25 tysięcy stóp nad naszymi głowami. Oprócz kamer termowizyjnych, dzięki którym mógł nas uprzedzić o ewentualnym niebezpieczeństwie grożącym nam podczas pracy, P3 posiadał także niesłychanie silny reflektor na podczerwień. Zbadałem więc, czy na moich plecach nadal tkwi niewielki kwadrat taśmy fluorescencyjnej. Strumienia światła podczerwonego, wysyłanego z samolotu, nie da się zobaczyć gołym okiem, ale nasze oznaczenia będą dlań doskonale widoczne. Gdyby nas odkryto i z budynku wypadliby ludzie, aby nas dorwać, Orion byłoby przynajmniej w

stanie skierować we właściwe miejsce siły szybkiego reagowania.

Odpowiedź z P3 dotarła również i do mojej słuchawki.

- Tak, Alfa, droga wolna.

Charliemu nie chciało się nawet marnować głosu na odpowiedź, kliknął jedynie dwukrotnie przełącznikiem. Następnie zbliżył się do mnie i przyłożył mi usta do ucha.

- Zrobiłbyś coś dla mnie, jeśli bym tu przepadł?

Spojrzałem na niego, przytaknąłem i złożyłem usta w niemym „co?”. Czułem ciepło jego oddechu na twarzy.

- Przekaż Hazel te trzy funciaki, które mi jesteś winien. To część mojej ruchomości.

Uraczył mnie uśmiechem, który z pewnością zdobyłby mu kiedyś miejsce w sławnym show Georga Mitchella. Już wiele lat temu uznał, że jestem mu winien za tę kanapkę z bekonem, ale po sposobie, w jakim domagał się zwrotu pieniędzy, pomyśleć by można, że pospłacał za mnie wszystkie kredyty bankowe.

Odtoczył się na bok i zaczął się czołgać. Ja miałem być drugi, na końcu Półdupka. Półdupka również zaopatrzone w radiotelefon, ale on swoją słuchawkę douszną wcisnął po prostu do kieszeni kurtki. Na jego zadanie jeszcze było za wcześnie: zajmie

9

się obserwacją i nasłuchiowaniem, gdy ja z Charliem weźmiemy się do pracy.

Czołgaliśmy się po mokrym bloku, już po chwili więc przemoczyłem dzinsy i polar. Zaczynałem żałować, że nie wziąłem rękawiczek i cieplejszego ubrania.

Wszyscy trzej skupialiśmy wzrok na tych częściach budynku, których aparatura Oriona nie była w stanie przeniknąć - na oknach. Króliczy wrzask oraz reflektory powinny były skoncentrować uwagę mieszkańców na tym, co dzieje się przed frontem budynku, dopóki nie wykonamy swojego zadania, ale nieruchomieliśmy przy każdym najmniejszym dostrzeżonym wewnątrz ruchu, mając szczerą nadzieję, że nikt nas nie zobaczył ani nie usłyszał.

- Alfa, macie trzydzieści do celu - w P3 starali się być uczynni.

W oknie na parterze, za zasłoną, błysnęło światło latarki. Latarka skierowana była do środka, nie w nas.

Niegroźne. Posuwaliśmy się więc dalej i po sześciu minutach powolnego czołgania się, dotarliśmy do celu.

## 2

Niszczająca, pomalowana na biało złączająca już ze starości farbą warstwa zewnętrzna była jedynie pierwszą z trzech. Z planów budynku wynikało, że będą jeszcze dwie. Warstwa izolująca z papy, a za nią powinna znajdować się jakaś okładzina tynkowa, pokryta farbą lub tapetą, albo i tym, i tym. Żadna z warstw nie stawi oporu naszym zaawansowanym przyrządom.

Zgodnie z planem, podczołgaliśmy się do miejsca między dwoma oknami parteru. Pod ścianą stała skrzynia wielkości pojemnika na węgiel, była idealnym miejscem na zostawienie tam naszych rzeczy. Przysłaniając palcami światło swojej miniaturowej latarki Mag-lite, Charlie kluczem nasadowym otworzył skrzynię i szybko do niej zajrzał.

Półdupek trzymając pistolet w pogotowiu, nie spuszczał oczu z okien,

uszy jego zaś były wszędzie. Dawno temu podczas pewnej operacji odstrzelono mu pół tyłka i zastanawiałem się teraz, czy to nie oznaczało, że w porównaniu ze mną, było mu weń o połowę mniej zimno. Jego żona chciała, aby sprawił sobie protezę, tak aby kąpiąc się w basenie, nie straszył dzieciaków, ale publiczna służba zdrowia nie świadczyła tego rodzaju usług, a on odmówił załatwienia tego prywatnie. „Za duży mam dupościsk” - zwykł żartować - „a raczej dupościsk połowiczny”. Nikt się z tego nie śmiał. Bo to nie było wcale śmieszne, on zresztą też nie był zbyt dowcipnym facetem.

Wiedzieliśmy, że w różnorodnych komórkach operacyjno-tak-tycznych, dzięki kamerom termicznym i na podczerwień, skierowanym na nas z P3 Oriona, wszyscy będą śledzić każdy nasz ruch. Chcieliśmy wykonać robotę porządnie; „nie zaczynać z asem” miało być naszym przesłaniem - chociaż teraz dobra robota była akurat ostatnią rzeczą, która leżała nam na sercu. Osobiście chciałem tylko zarobić szmal i ująć cało z życiem. To miała być moja ostatnia robota przed opuszczeniem Pułku. Ironią byłoby teraz paść trupem albo zostać rannym.

Ściągnąłem z pleców pakunek. Ktoś w głębi budynku krzyknął, ale to zignorowaliśmy. Zareagowalibyśmy jedynie, gdyby krzyczał, bo nas zobaczył, w innym przypadku mieliśmy, robiąc co pięć minut przerwy, posuwać się do przodu. Nad takimi duperelami należy po prostu przechodzić do porządku dziennego, dopóki nie zdarzy się prawdziwy dramat. Zresztą od dramatów był Półdupek.

Charlie już wykoncypował, gdzie chciałby umocować urządzenie. Zaznaczył paznokciem kciuka miejsce w drewnie, tuż przy samej ziemi, i dał mi znak skinieniem głowy. Wyciągnąłem z moich maneli wysoką na 15

centymetrów, metalową piramidkę. Zamiast szczytu miała otwór, na każdym rogu jej podstawy znajdowały się uchwyty ze śrubami.

Przy świetle latarki Charliego umieściłem ją w taki sposób, że otwór znalazł się dokładnie nad zaznaczeniem i przytrzymałem ją, dopóki Charlie nie przyłożył elektrycznego śrubokrętu do pierwszego uchwytu. Powolutku, z rozmysłem, wprowadził śrubokręt w ruch. Przykręcenie pierwszej śruby zabrało prawie dwie minuty. Przy trzeciej - ręce zdrętwiały mi już niemal kompletnie.

Z wewnątrz doszedł nas teraz inny okrzyk. Rozległ się bliżej, ale i ten nie miał z nami nic wspólnego. Ktoś narzekał na królicze hałasy, i wcale mu się nie dziwiłem.

Pot na plecach stawał się zimny, czułem, jak wiatr wkrada mi się za kołnierz. Nareszcie Charlie był gotów z ostatnim umocowaniem, a ja poruszałem konstrukcją aby sprawdzić, czy jest

12

stabilna. To Charlie był tu mechanikiem, ja zaś byłem tylko od przecierania szmatą. Reszta należała już do niego.

Wyciągnął ze swojego pakunku prawie półmetrowe wiertło o średnicy siedmiu milimetrów i w skupieniu włożył je delikatnie w otwór piramidki.

Chuchnął w dłonie dla rozgrzewki i wetknął wiertło głębiej, aż dotknęło drewna ściany. Cały ten mechanizm nie mógł być obsługiwany przez kogoś o zużytych knykciach, co mnie dyskwalifikowało - wymagał delikatności i pewnej ręki. Charlie był najlepszym z najlepszych; zawsze mawiał, że gdyby nie wszedł na tę drogę, na którą wszedł, zostałby neurochirurgiem. Pewnie nawet nie żartował, widziałem raz, jak wygrał zakład o to, że rozwarstwi żyłką banknot pięćofuntowy. W Herefordzie

nazywano go CEO od metod wtargnięcia. Nie było takiego systemu bezpieczeństwa, którego by nie potrafił rozpracować. A jeśli taki by się znalazł, Charlie wcale by się nie przejął, tylko zamiast stosowania sztuczek, wywaliłby wszystko w powietrze.

Przyszła kolej na kabel połączony z baterią, który Charlie wyciągnął ze swojego pakunku i wetknął w piramidkę. Po chwili zwłoki wiertła wewnątrz piramidki zaskoczyło i poczęło się z wolna poruszać. Jedynym dźwiękiem, jaki się rozległ, był niski, ledwo słyszalny szum. Teraz nie pozostało nic innego jak tylko czekać, aż wiertło cicho, powolutku, acz metodycznie przebije się przez kilkucentymetrową warstwę drewna, przez papę i przez jakieś pół centymetra płyty gipsowej.

Przysunąłem się bliżej do ściany, aby nie być widocznym dla kogoś, kto spojrzy ewentualnie przez okno. Prawą rękę, unosząc nieco polar, położyłem na pistolecie wetkniętym za pasek przy dżinsach. Lewą nasunąłem kołnierz zapiętego pod szyję polara na nos, aby go choć trochę ogrzać.

Całe urządzenie działało na zasadzie podobnej do tej, jaką stosuje się w chirurgii mózgu; wierząc w czaszce, dobrze jest to robić z zabezpieczeniem, które ostrzeże cię, że wiertło zacznie zaraz przebijać oponę mózgową. Nasze zachowało się podobnie,

13

gdy dotarło do ostatniej warstwy, którą była tapeta albo farba. Ponadto automatycznie zbierało podczas pracy gruz i pył, nie zostawiając w ten sposób po sobie śladu.

Charlie odłączył prąd i wyciągnął odrobinę wiertła, po czym wyjął ze swoich rzeczy pręt światłowodowy z iluminatorem na końcu. Wsunął go

aż do podstawy piramidy, uważając, aby nie przebić ściany do końca. Wszystko wyglądało dobrze, wyjął przyrząd, założył ponownie wiertło i włączył. Znow rozległ się łagodny szum.

Wiertło, gdy dotarło do warstwy papy, ruszyło szybciej, po czym ponownie zwolniło w pokładzie gipsu. Charlie zatrzymał je i powtórzył operację z prętem.

Spojrzałem na Półdupka. Leżał na plecach, z nogami przy ścianie, pistolet spoczywał mu na piersi i skierowany był w stronę okien na pierwszym piętrze. Tyłek - a raczej to, co z niego pozostało - musiał mu już porządnie zmarznąć. Pomyślałem sobie, że Amerykanie obserwujący naszą operację, piją sobie teraz kawkę i palą cygara. Większość z nich zastanawia się pewnie, dlaczego do cholery jeszcze się nie ruszyliśmy.

Minęła prawie godzina, zanim wiertło ruszyło w obroty po raz trzeci i ostatni. Charlie powtórzył numer z iluminatorem i dał nam kciukiem znak, że wszystko jest w porządku. Wyciągnął wiertło, przyłożył śrubokręt do pierwszej śruby i zaczął ją odkręcać.

Zdjąwszy piramidkę, wygrzebał z plecaka mikrofon, który także zaopatrzone był w kabel światłowodowy, tak aby możliwe było jego właściwe umiejscowienie.

Załadowałem powoli cały sprzęt z powrotem do plecaka; śpieszyć się i narobić przy tym hałasu nie miało sensu.

Charlie sprawnie podłączył mikrofon do baterii i rozłożył na ziemi metrowy przewód antenowy.

Jak tylko doprowadzony został prąd, usłyszałem w słuchawce trzask - sygnał powędrował do komórki operacyjno-taktycznej, odbił się i wrócił do nas. Nie było naszym zamiarem wchodzić w eter tylko po to, aby

sprawdzić, że wszystko gra.

14

Słyszałem, jak Charlie delikatnie wprowadza mikrofon do świeżo wywierconej dziury. Przerywał od czasu do czasu pracę, wysuwał go minimalnie, po czym wsuwał nieco głębiej niż poprzednio. Gdy mikrofon zbliżył się już do swojej opony mózgowej, usłyszałem kobietę szepczącą coś do swoich dzieci i jęki mężczyzny w agonii. To musiał być ten, który podczas pierwszego ataku załapał serię w brzuch.

Można było zacząć się powoli zbierać. Charlie zamknął porządnie skrzynię, a ja wkopałem antenę w ziemię i wyrównałem powierzchnię. Charlie przeleciał szybko latarką wokół - musieliśmy jeszcze zatrzeć parę odcisków butów, i już czołgaliśmy się z powrotem na przejażdżkę bradley'em.

W słuchawce miałem echa głosów - ktoś mamrotał wersety z Biblii, jakieś dziecko zakwiliło, prosząc o wodę.

Nasza robota była gotowa.

Przyszedł czas na przekazanie naszych zabawek Amerykanom.

**3**

Dwa tygodnie później

Młode króliki piszczały całą noc. Spać było prawie niemożliwością- a od miejsca akcji dzieliło nas przecież aż 600 metrów. Cholera wie, jak te nieznośne kwiki musiały brzmieć w uszach setki mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy byli ich odbiorcami, nadawane w kółko i tysiącokrotnie wzmacnione

przez megafony wozów bojowych.

Nadal było ciemno. Rozsunąłem śpiwór tylko na tyle, aby móc wysunąć rękę na chłód. Przysunąłem przegub do samej twarzy i podświetliłem mojąBaby-G. Była 5:38 rano.

- Pięćdziesiąty pierwszy dzień oblężenia Mount Carmel - kopnąłem w śpiwór obok - witamy w kolejnym dniu w raju.

Anthony wgapił się we mnie.

- Ciągle nadają tę samą pieprzoną płytę? - Dziwnie brzmiało jego przeklinanie w bezbłędnym oksfordzkim angielskim.
- A co, bracie, masz może jakieś specjalne życzenia?
- Tak - wysunął głowę ze śpiwora - zabierz mnie stąd, do kurwy jebanej.
  
- Tego chyba nie znałem. Nie wzbudziło to śmiechu.
- Która godzina?
- Pół do szóstej, bracie. Pić?

16

Zmieniając pozycję, jęknął. Nie był przyzwyczajony do spania na twardym. Jego miejsce było w laboratorium, gdzie ubrany w czyściutki biały kitel manipulowałby sobie probówkami nad palnikiem, a nie zadawał się z takimi typami jak my, których zęby niemyte były od tak dawna, że zarosły sierścią, skarpetki zaś były jak z tektury.

- Gazety nazwały to wczoraj oblężeniem Góry Apokalipsy - powiedział - pozostając przy biblijnej poetyce, to powinno być raczej: owieczki na rzeź.

Wcale nie był szczęśliwy z powodu tego, co tu się działo. Jak tylko

załatwiliśmy podsłuch, nikt już nie był zainteresowany Angolami, przysłanymi tu w celu „obserwacji i doradztwa”. Byliśmy raczej zbędnym już dodatkiem. Po trzech dniach konsultacji z Herefordem, który z kolei konsultował się z Wydziałem Kontroli Przebiegu Operacji, a ten dla odmiany rozmawiał z ambasadą w Waszyngtonie, a ona rozmawiała z kimś tam jeszcze, Charlie i Półdupek wrócili do Wielkiej Brytanii. Mnie kazano zostać i pilnować Toniego. Amerykanie być może jeszcze będą chcieli skorzystać z zasobów jego magicznej skrzynki, którą miał ze sobą.

Przetoczyłem się na bok, zapaliłem małą gazową kuchenkę połową i sięgnąłem po czajnik. Jeśli chodzi o wygody domowe, to byłoby na tyle. O szczoteczce do zębów nie było mowy, co pewnie było powodem, dlaczego Jankesi trzymali się od nas z daleka.

Wyjrzałem przez dziurę po kuli w ścianie naszego wozu do przewozu bydła, który był nam domem przez ostatnie pięć dni. Czarne niebo tekszańskich prerii przecinały światła szperaczy. Wozy bojowe, oświetlane przez skaczące światła reflektorów, krążyły wokół zabudowań obiektu jak Indianie wokół taboru Białych. Chłopcy od wojny psychologicznej nadal robili wszystko, aby życie zamkniętych w budynku uczynić istnym piekłem na ziemi. Media miały rację. Utknęliśmy w scenerii „Czasu apokalipsy”.

Kompleks, jak FBI nazywało ranczo grupy zwolenników Bractwa Dawidowego, był nieskładnym skupiskiem drewnianych

17

budynków, dwóch trzypiętrowych bloków oraz kwadratowej wieży ciśnień. W każdym innym języku nazwane byłoby siedzibą społeczności religijnej, ale takie określenie chłopcom z FBI nie podchodziło. Chcieli

trzymać się jak najdalej od posądzenia o prześladowania religijne.

W oblężeniu zwykle obowiązuje formuła 10 dni. Jak w tym czasie nie rozwiążesz problemu, wszyscy mają po prostu równo przechłapano. A myśmy przesrali sprawę już pięciokrotnie. Wkrótce coś się musiało wreszcie zdarzyć. Władze nie miały chyba zbyt wiele pomysłów i sytuacja pieprzyła się z każdym dniem coraz bardziej.

Świdrujące uszy i nicujące trzewia krzyki nagle ucichły. Cisza aż ogłuszyła. Spojrzałem przez otwór. Trzy, a może cztery wozy bojowe skupiły się przy parkingu. Według informacji od byłych członków sekty, wyglądało na to, że skoro magazyny w budynkach były celem pierwszego ataku, wielu z członków sekty schowało swoje rzeczy w bagażnikach samochodów.

Pierwszy wóz bojowy ruszył nagle do przodu, staranował bramę i parł dalej.

- O, kurwa, popatrz na to - dałem głową znać Toniemu, a ten uniósł się do siadu.
- Niszczą wszystkie samochody i mikrobusy.
- Co oni robią, do cholery?
  - To pewnie ich sposób perswazji oraz nawiązywania przyjaznych stosunków.

Czekając na zagotowanie się wody, patrzyliśmy na szalony pokaz demolki.

**4**

Po spłaszczeniu wszystkich pojazdów wozy bojowe ponownie się

rozdzieliły. Zaczęły krążyć, wbijając w ziemię świeże pranie dawidian. Z megafonów buchnął ponownie zwierzęcy pisk.

Na zewnątrz naszego wozu panował ruch, ludzie szli do i z pryszniców, toalet i baraków zjedzeniem, które wyrosły razem z miastem namiotów na 77-akrowym terenie rancza. Wojsko może i maszerować sobie o pustym żołądku, ale amerykańscy egzekutorzy prawa mają do dyspozycji limuzyny i płaci im się za nadgodziny.

Ludzi do nakarmienia było tutaj pod dostatkiem. Ekipy SWAT, ekipy do negocjacji z porywaczami, szeryfi federalni i lokalni - aż się od nich roiło. W kompleks budynków skierowane były przynajmniej cztery stanowiska ogniowe; główne z nich znajdowało się zaraz przy naszych drzwiach, pozostałe trzy miały swoją własną ekipę dowodzącą, i, o ile mogłem się zorientować, swoje sprawy. Na tej prerii ekipy owe ewidentnie robiły bardziej za wodzów niż zwykłych Indian, choć głównego dowództwa tu chyba nie było. A żeby było jeszcze śmieszniej, każdy z nich chciałby być głównodowodzącym, i każdego z tych facetów nieźle świerzbiła ręka, aby wreszcie wprowadzić w ruch te swoje największe i najokropniejsze zabawki bojowe, do jakich tylko udało im się dorwać.

19

Cała operacja miała wszelkie znamiona wielkiej krwawej rozprawy gangsterów, a zgromadzona publiczność osiągała już liczbę jak na festiwalu rockowym. Hordy airstreamów - wypolerowanych na błysk aluminiowych domów na kółkach, wydłużonych wozów kempingowych marki Winnebago oraz zwykłych pick-upów ustawiły się na obrzeżach kordonu. Gapie, którzy pokonali dziesiątki kilometrów, aby sobie porządnie popatrzeć, siedzieli teraz na dachach samochodów, przecierając

szkła lornetek, zadowoleni, że się coś wreszcie dzieje. Pojawiła się nawet jarmarczna buda z grami jak w wesołym miasteczku, a na stojących rzędem straganach można było kupić wszystko - od hot dogów i turystycznych kuchni gazowych po koszulki z napisem „Dawid-danie: 4, ATF: 0” (gdzie ATF to rządowa agencja zajmująca się ściganiem nielegalnych handlarzy alkoholu, tytoniu, broni palnej i materiałów wybuchowych).

Tu był rzeczywiście kraj kowbojów, i to na wiele sposobów. Waco leżało około 160 kilometrów na południe od Dallas i tu mieściło się muzeum Tekszańskich Rangersów. Gdzie nie spojrziałem, wszyscy na tym jarmarku chodzili w kowbojskich kapeluszach. Wszyscy, z wyjątkiem oczywiście Ku-Klux-Klanu. Ci pojawili się tu już trzy dni temu i zaproponowali FBI, że im pomogą, wtargną tam i pozabijają wszystkich tych narkomanów, sekciarzy i pedofilów.

Usiedliśmy z Tonym wygodnie. Skończyliśmy kawkę, a ja nastawiłem wodę na nową. Najprzyjemniejszy moment dnia.

Z zewnątrz dobiegały nas przytłumione rozmowy i śmiechy. Poczulem zapach papierosowego dymu. Zabezpieczanie broni i zdejmowanie z siebie kamizelek kuloodpornych było oznaką, że następuje zmiana warty. Według moich obliczeń musiało tu być przynajmniej trzystu policjantów, wszyscy ze swoimi samochodami. Większość z nich nosiła wojskowe mundury polowe i uzbrojona była po zęby, tak że dałaby sobie spokojnie radę z małą inwazją.

## 20

Wiedziałem również, że gdzieś na miejscu była też ekipa komandosów Grupy Przeznaczenia Bojowego - Delta Force. Działanie i strukturę Delty

uksztaltowano według modelu SAS-u w latach 70. Ekipa robiła zapewne to samo, co my - siedziała gdzieś, kompletnie nie poinformowana o tym, co tu się dzieje i spała na twardych deskach w jakiejś przyczepie. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Ogólnie wiadomo, że działania wojskowe przeciwko obywatelom USA są bezprawne. Akt prawa federalnego Posse Comitatus zabraniał wojsku egzekwowania prawa krajowego, a „krajowe” rozciągało się też na pięciokilometrową strefę przybrzeżną. Od tego prawa był jeden jedyny wyjątek: prezydent Clinton podpisał poprawkę zezwalającą stróżom porządku ścigającym przestępstwa narkotykowe na korzystanie ze sprzętu i pojazdów wojskowych. Innymi słowy, ATF i FBI miały tu wolną rękę, a sądząc po czołgu Abram zaparkowanym naprzeciwko, wyglądało na to, że przy pierwszej nadarzającej się okazji ręki tej użyją.

Odpierając prawie dwa miesiące wcześniej pierwszy atak ATF, David Koresh i jego pobożni zwolennicy nie mieli chyba pojęcia, w co się wpakowali.

## 5

Woda się już zagotowała. Nasypałem neski do kubków i zalałem. Można byłoby wprawdzie skorzystać z tutejszego caterin-gu, ale wcale nie miałem ochoty ustawiać się w kolejce - teraz, zanim nocna zmiana sobie nie pójdzie. Poza tym oznaczałoby to wylezienie na zimno, a ja wolałem ruszyć się dopiero po wschodzie słońca.

Potrzymałem kubek Toniego, dopóki ten nie wychynął ze śpiwora. Przetarł oczy i w świetle kuchenki rozglądał się za swoimi okularami.

Wszystko chyba było z nim w porządku. Miał pewnie ponad trzydzieści lat, po nosie sądząc, jego przodkowie mogli pochodzić z Wysp Wielkanocnych. Miał ciemne włosy i wyglądał jak jakiś szalony profesor. Albo nie był świadom swego wyglądu, albo - co bardziej prawdopodobne - nie dbał o to, skoro profesorem po prostu był, a jego głowę do tego stopnia wypełniały chemiczne formuły, że nie wiedział, jaki dziś mieliśmy dzień tygodnia.

DERA (brytyjska Badawczo-Rozwojowa Agencja Obrony) zatrudniała około dziewięciu tysięcy podobnych mu jajogłowych. Takich facetów nie pytało się, w której z około osiemdziesięciu placówek rozrzuconych po całym Zjednoczonym Królestwie dokładnie pracują, ale sądząc po tym, w jakim celu się tu znalazł, byłem niemal pewien, że laboratorium środków walki biologicznej w Porton Down w Wiltshire nie byłoby Toniemu obce.

## 22

Nieraz już służyłem za obstawę takim specjalistom jak on, trzymałem ich za rączkę w warunkach dla nich mało bezpiecznych, albo wprowadzałem w miejsca, w których żaden z nas nie powinien się znajdować, zawsze wtedy wołałem po prostu dać im robić swoje. Im mniej wiedziałem, tym większą miałem szansę uniknięcia wylądowania w gównie na wypadek, gdyby porobiły się jakieś jaja. Przy takiego typu robocie zawsze można było potem dostać za to w dupę. Jedna rzecz mnie zawsze w tym wszystkim intrygowała: Tony i jemu podobni mieli mózgi wielkości balona, całe życie spędzali na zgłębianiu tajemnic wszechświata - to dlaczego nie potrafili nawet zaparzyć porządnie kawy?

RAF dostarczył z nami do Fort Hood wielki kontener, do którego Tony dostał klucze. Tony wyglądał raczej na pacyfistę, więc kontener mógł wprawdzie zawierać jedynie środki odurzające, po których wszyscy w

tańcu opuściliby budynek, ale nie bardzo w to wierzyłem. FBI bardzo chciała się dorwać do zabawek Charliego, które inwigilowały obłączonych, jeszcze bardziej była jednak zainteresowana tym, co kryło się w głowie Toniego. Zajmował się skomplikowanymi związkami gazowymi, wyglądało na to, że był na ty z każdą molekułą na tej planecie. Co więcej, wiedział, jak je połączyć, tak aby zabijały, paraliżowały albo tylko doprowadzały cię do stanu, w którym jeszcze ciągle mogłeś się czołgać.

Z namiotu głównodowodzącego dobiegł nas ciąg wykrzykiwanych rozkazów. Agent do Zadań Specjalnych Jim D. „Mów mi Biesiu” Bastendorf szykował się do porannej sesji opierdalania nowej zmiany oficerów, bo tak brzmiało wszystko, co wychodziło z jego ust.

Bastendorf tak naprawdę nie lubił, aby każdy nazywał go Biesiu, a nam nie zabrało dużo czasu, aby go przemianować na Głuchego Skurwiela, a potem, żeby było krócej, po prostu na Skurwiela.

Skurwiel był z Teksasu, a to oznaczało między innymi, że wszystko - ramiona, barki, dłonie - było większe niż musiało. Wcale by mu nie zaszkodziło, gdyby po świętach Bożego Narodzenia dał sobie na chwilę spokój z pożeraniem dwufuntowych

## **23**

kotletów. Włosy miał krótko przycięte i nosił porządnie wypomadowany wąsik a la cesarz Wilhelm. Podkręcał jego końce, tak jakby pozwolić im opaść było równoznaczne z okazaniem słabości. O tak, Jim D. Bastendorf wiedział dobrze, co miał robić, aby panował spokój i porządek: przypierdalać wszystkim równo.

Dla tego człowieka wszystko było bitwą; każda minuta dnia była walką którą musiał wygrać. Jego szczęki nieustannie pracowały, przeżuając

tytoń. Co kwadrans wypluwał do plastikowego kubka gęstą czarną pokrytą śliną masę, wyciągał następny kawałek z metalowego pudełeczka trzymanego w tylnej kieszeni spodni i ponawiał cały proces.

Jego problem z nami zaczął się od akcentu Toniego. Kiedykolwiek Tony zapytał o coś albo próbował coś wytłumaczyć, udawał, jakby nie słyszał i zaczynał mówić o Tonym jako o „cio-towatym Angolu z przyczepy”, który „nie odróżnia gówna od moczu”. Drugą beznadzieją z Wysp Brytyjskich, która zadawała głupie pytania, byłem ja. A pytania były typu: „A co będzie z tym? A z tamtym? Czy naprawdę myślisz, że pozbawianie tych ludzi snu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu zmusi ich do wyjścia?”.

Jak przyszło co do czego, okazało się, że nie miał najmniejszego pojęcia, co my dwaj tu robiliśmy. Nasze odprawy były krótkie i treściwe. Gdy tylko nie włączaliśmy mu w drogę, a na szyjach dyndały nam zawsze małe niebieskie przepustki oraz podzielaliśmy jego opinię, że dopóki on tu się nie zjawiał, niczym szarża Piątej Kawalerii, byliśmy bandą nieporadnych idiotów, mogliśmy tu sobie być nawet zawsze, jemu nie zależało. I dobrze, bo mnie też nie. To nie był mój problem, że Skurwiel nie chciał słuchać. Dawidianom odcięto wodę, wkrótce więc będą spragnieni albo głodni, albo im się znudzi. Kiedyś w końcu stamtąd wyjdą tak więc do czasu pojawienia się białych flag, nadal zamierzałem zajmować się gotowaniem wody na kawę dla siebie i Toniego.

Skurwiel zarżał ze śmiechu. Do stanowiska dowodzenia przekazywano sobie z ust do ust komendy. Coś się zaczynało dziać.

## 24

- Zamknąć się wszyscy! - ryknął Skurwiel. - Zobaczcie, zaczyna się!

Rozsunąłem śpiwór i wstałem. Przez wrzask królików i zgrzyt gąsienic czołgu słyhać było teraz inny jeszcze dźwięk. Skurwiel wziął na głośnik rozmowę telefoniczną między mediatorami a oszołomami, tak aby wszyscy mogli słyszeć.

Na linii było niespełna pięcioletnie dziecko. W tle mogłem usłyszeć stłumione łkanie.

„Czy mnie zabijecie?” - zapytał głosik.

6

Negocjator znajdował się w bazie Sił Powietrznych USA o mile stąd - kolejny przykład złej taktyki. Mówił łagodnie, a w namiocie głównego dowodzenia kumple Skurwiela kręcili się i wiercili.

„Nie, skarbie, nikt tu cię nie będzie zabijał”.

„Na pewno? Na zewnątrz ciągle są czołgi...”

„Skarbie, czołgi ci nic nie zrobią”.

W słuchawce rozległ się teraz inny, męski głos.

„Dlaczego pozwalacie na to, aby wasi ludzie wypinali gołe tyłki przed naszymi kobietami?” - w głosie była wyraźna złość

- „Tu są przyzwoite kobiety, tak się nie robi. I dlaczego mielibyśmy wam wierzyć?”

- Najwyższy czas, aby te dziwki zobaczyły porządną dupę!

- zaryczał Skurwiel.

Sądząc po reakcji, jego chłopcy absolutnie się z nim zgadzali. Założę się, że wypinali się do głośnika.

Wymieniliśmy z Tonym, który do tej pory wgapiał się w swoją kawę,

spojrzenia. Słuchaliśmy, jak negocjator próbował przywrócić w rozmowie jakiś rozsądek. „Wiecie, ci tam w helikopterach i czołgach - oni mają inne od nas nastawienie. Spróbuję coś z tym zrobić, dobrze?!”.

Skurwiel zaśmiał się głośno.

26

- Pierdolić to, i pierdol się pan, panie Milusiński. Gadaj sobie dalej; my, dorośli chłopcy, i tak damy im wycisk.

Rozległ się kolejny wybuch aplauzu. Miałem przed oczami jak żywy obraz tych dorosłych chłopców, ściągających ponownie spodnie z tyłków i kręcących gołymi pupami w stronę głośnika.

Łyknąłem trochę kawy. Bez względu na to, co wskórałby negocjator, dla Koresha i jego załogi sytuacja nie wyglądała dobrze. ATF zignorowała jego propozycję, aby weszła sobie na teren zabudowań i sprawdziła, czy nie ma tam nielegalnej broni i czegokolwiek innego, co myślano, że dawidianie tam ukrywają; w zamian zmontowano operację wojskową na wielką skalę.

Może to przypadek, ale właśnie teraz ATF zaczęła tracić wiarygodność w Waszyngtonie, a był to też okres ustalania budżetu. Najwyraźniej chciała się popisać i pokazać - zaprosiła media, oferując im miejsca w pierwszym rzędzie. W ruch poszły nawet jej własne kamery, na wypadek, gdyby media nie zdołały zdokumentować całej akcji.

Bractwo Dawidowe musiało sobie zdać z tego sprawę, widząc ustawiające sprzęt ekipy filmowe. A ich podejrzenia potwierdziłby widok krążących nisko na tyłach rancza śmigłowców, których rolą było po części odwrócenie ich uwagi od przyczep do przewozu bydła pełnych uzbrojonych agentów ATF, będących w drodze ku głównemu wejściu, po

części umożliwienie widzom w Stanach zobaczenia na własne oczy w telewizorach, na co wydaje się ich pieniądze z podatków.

Dawidianie odpowiedzieli ogniem, do czego zresztą mieli prawo, zgodnie z przepisami amerykańskimi. Zadzwonili nawet na policję, aby zgłosić, że zostali zaatakowani i prosili o pomoc.

Wymiana ognia trwała godzinę, najdłużej w całej historii amerykańskich instytucji wspierania prawa. Gdy się skończyła, okazało się, że życiem przyplęcili to czterej funkcjonariusze ATF, szesnastu innych było rannych. Gdy młodszy brat dostaje w dupę, starszy wkracza do akcji i kłopot załatwia. Sprawę więc przejęła

## **27**

FBI. Od tego momentu losy Bractwa Dawidowego były przesądzone. Ten film nie miał skończyć się szczęśliwie.

Tony pociągnął łyk kawy, spojrzał na mnie smutno, i oddał się słuchaniu dalszej rozmowy.

Dawidianie prosili o wodę...

Negocjator powiedział, że chętnie by w tym pomogli, ale niestety, ręce mieli związane.

Ludzie zaczynają tu umierać z pragnienia...

Jeśli kilku dawidian, na znak dobrej woli, wyszłoby i poddało się, FBI mogłaby jakoś temu zaradzić. I co oni na to?

Tony czuł się totalnie zagubiony. Nie podobał mu się odgłos jadących czołgów, nie lubił tych wszystkich krzyków, które były nieodłączną częścią przywracania porządku przez stróżów prawa. A już szczególnie nie lubił być za blisko tego rodzaju zbrojnej rozpierduchy. Oddałby teraz wszystko za znalezienie się ponownie w zaciszu swojego laboratorium i

podawanie gazu rozweselającego szczurowi Rolandowi czy robienie cholera wie czego innego, co tam się robiło. Posłał mi dzielny uśmiech.

- Robotą jest robotą, co?
- Łatwiej powiedzieć niż zrobić, mój drogi - starałem się zabrzmieć wesoło - lepiej nie martwić się rzeczami, których nie możemy zmienić. Tylko głowa od tego boli.

Tony odwrócił wzrok i patrzył niewidzącymi wzrokiem na zewnątrz, gdzie publiczność Bastendorfa nadal dobrze się bawiła.

## 7

Niespecjalnie obchodziło mnie, jak potoczą się tutaj sprawy. Chciałem tylko wrócić do Hereford i do mojej jednostki. Z Pułku odejdę za kilka miesięcy i musiałem jeszcze pozłatwiać kilka spraw, choć tak wiele znowu ich nie było. Większość - konto bankowe i powrót do normalnego życia - załatwi za mnie Firma (Secret Intelligence Service, MI6).

Od czasu przejścia władzy przez wojsko w 1992 roku fundamentaliści islamscy oddawali się w Algierii szaleństwu zabijania. Rozpętali gwałtowną i szeroko zakrojoną kampanię przeciwko cywilom, w tym przywódcom opozycji, dziennikarzom, twórcom, naukowcom i obcokrajowcom - w szczególności przemysłowcom.

Pojawiła się robota polegająca na pilnowaniu platform wiertniczych i ludzi z biznesu naftowego; płaca była trzykrotnie większa od tego, co dostawałem teraz, nie było się więc co zastanawiać. Dlaczego mam czekać jeszcze pięć lat w Pułku, żeby i tak zająć się podobnymi rzeczami, skoro mogłem je robić już teraz? I tak dłużej niż następne pięć lat w SAS-ie

zostać nie mogłem, nawet gdybym bardzo chciał. Armia podcierała za mnie dupę od czasu, gdy do niej wstąpiłem w wieku 16 lat. Za każdym razem używano do tego jedynie trzech kawałków papieru - raz w dół, raz w górę i trzecie przetarcie, aby błyszczała - a ja ciągle zastanawiałem

29

się, co by było, gdybym w końcu musiał stanąć na własne nogi. Teraz już nie musiałem tego robić.

Wypowiedziałem kontrakt i tydzień później zgłosiła się do mnie Firma. Nadal do końca nie wiedziałem dlaczego, ale się nie przejmowałem. Oznaczało to w końcu, że nadal nie muszę wypełniać zeznania podatkowego ani płacić czynszu. W końcu i tak niedługo dowiem się, czego ode mnie chcą.

Właśnie chciałem zaproponować spacer do kantyny, by sprawdzić, czy kolejka się już nie zmniejszyła, gdy od strony budynków usłyszeliśmy serię głośnych huków.

„Co robicie? Atakujecie dzieci, co będzie z dziećmi?”.

Negocjator uderzył natychmiast w jedną nutę. Skurwiel i jego kumple przestali sobie żartować i nastawili uszy.

„Nie strzelać. To nie jest atak. Nie będziemy wkraczać do budynku. Powtarzam, *nie* strzelać, nie atakujemy”.

Połączenie zostało przerwane. Niemal jednocześnie megafony na wozach pancernych odezwały się podobnie monotonnym co negocjator głosem:

„Nic się nie dzieje, to nie jest atak. Powtarzam: to nie atak, nie otwierać ognia”.

Odstawiliśmy z Tonym kubki i podbiegliśmy na tył naszego bydłęcego

wozu, aby mieć lepszy widok. Wokół kompleksu poruszały się trzy olbrzymie czołgi wojsk inżynieryjnych z potężnym lemieszem z przodu. Jeden z nich przebił ścianę jak palec przebija mokry papier.

Światła szperaczy i reflektorów Nightsun tańczyły wokół obiektu. Drugi czołg władował się w róg budynku po drugiej stronie i stanął.

- O, mój Boże, o Boże... - Tony z trudem wydobywał z siebie słowa. W świetle płasających jak derwisze reflektorów połowa trzeciego czołgu zniknęła w ścianie.

„To nie atak” - szczerknęły megafony - „nie otwierać ognia”.

Tony nie mógł uwierzyć własnym oczom.

### **30**

- Jeśli to nie jest atak, to co to do cholery jest? Patrz. Nick, patrz...

Patrzyłem, tak jak patrzyło na to blisko dwustu funkcjonariuszy prawa stojących na dachach swoich samochodów, aby mieć lepszy widok. Niektórzy z nich robili nawet zdjęcia, aby potem mieć co pokazać w domu.

Tony szarpał się z drzwiami przyczepy niezdarnie, jak dziecko. W końcu zeskoczył na ziemię i zaczął biec w stronę namiotu dowodzenia komórki operacyjno-taktycznej Alfa.

Ruszyłem za nim. Cała konstrukcja namiotu utrzymywała się we właściwej pozycji dzięki nadmuchiwanym rękawom w jej obramowaniu. Obok pracował zasilacz. Ponieważ było to amerykańskie centrum dowodzenia, posiadało także klimatyzację. Gorące powietrze uderzyło nas w twarz. Poczuliśmy intensywny zapach kawy. Panował tu zakaz palenia, o czym przypominały stosowne tabliczki. Zawsze przyjemnie jest popatrzeć, jak w strefie działań wojskowych dba się o zdrowie i

bezpieczeństwo.

Każdy stół uginał się od komputerów i monitorów telewizyjnych. Podłogę pokrywało kłębowisko kabli. Radiooperatorzy wychylali się w milczeniu ze swoich krzeseł. Oczy wszystkich wlepione były w monitory.

Widać na nich było wszystkie poziomy obiekty, oprócz części z tyłu. Monitory, na których powinna ona być widoczna, były czarne i mrugające. Dwa monitory pokazywały obraz z góry transmitowany z kamer P3, które nadal pracowały na wysokości 25 tysięcy stóp. Obrazy w podczerwieni i z kamer termowizyjnych wyglądały jak czarno-białe negatywy. Jasne świetlne błyski informowały o źródle ciepła na przodzie czołgu znajdującym się na tyłach budynku, potem, przeistaczając się w białe płomienie, o tym, że kierowca zmienił biegi przed staranowaniem budynku.

Skurwiel stał naprzeciwko monitorów i najwyraźniej podobało mu się to, co widział.

31

- Dawaj! - wrzasnął w ich stronę, wymamrotał coś do stojących obok podwładnych i wypluł przeżutą porcję tytoniu do kubka. Załoga wokół niego przyłączyła się do aplauzów.

- O, taak, kochanie!

Trzy sekundy później czołg wycofał się.

- Te, Koresh, jak ci się podoba twój nowy odświeżacz powietrza?

- Bo widzisz, dupa tego czołgu śmierdzi bardziej niż nasze!

Spojrzałem na Toniego.

-Gaz?

- Wkłuwają się jak komary.

Cierpliwość FBI skończyła się. Wpuszczą im gaz, po czym zgarną ich, jak ci zaczną wyłazić, kaszłac i plując, ciekło im będzie z każdego otworu ciała. Następnie, zanim się ich wszystkich nie zaaresztuje, każdy wyląduje w furgonetce albo karetce, która zawiezie go na pogotowie.

- Dobre wieści - uśmiechnąłem się do Toniego - to znaczy, że jutro będziemy już w samolocie unoszącym nas do domu.

Ale Toniemu nie było do śmiechu. Podszedł do Skurwiela.

- Jaki gaz stosujecie?

Skurwiel, który wgapiał się nadal w monitory, wzruszył ramionami.

- Nie wiem, robaczku, po prostu gaz.

Tony rozejrzał się dookoła, szukając zapewne jakiegoś wsparcia. Nie znalazł.

Na twarzach kilku ludzi Bastendorfa wykwitły głupkowate uśmiechy, znowu spodziewali się czegoś zabawnego. Tony, wskazując na monitory, na których widać było, jak kolejny czołg wbija się w budynek, zapytał:

- Czy oni mają tam maski z tlenem? A co będzie z dziećmi?

Pozabijacie ich w tych zamkniętych pomieszczeniach! Dlaczego jeszcze nie zaczęli wychodzić?

Skurwiel zignorował go. Na zewnątrz powróciły dźwięki symfonii zarzynanych zwierząt i następny czołg wpasował się w bu-

## **32**

dynek. Pozostał tam przez jakieś 20 sekund, po czym wycofał się. Kolejne wkłucie się komara.

Skurwiel patrzył na to zauroczony.

Tony złapał go za ramię i obrócił ku sobie, tak że ich twarze znalazły się w odległości kilku centymetrów od siebie.

- Czy ty nie rozumiesz, że to ich zabije? -jego głos zdławiony był emocjami oni wszyscy umrą!
- Nie twoja sprawa, dziecko. Zejdź mi z oczu, jestem zajęty - usłyszał opryskliwą odpowiedź.

Nikt inny się nie odezwał.

Stałem w drzwiach. Na zewnątrz pojawił się pierwszy zwiastun dnia, poprawiała się widoczność.

Od strony gapiów za kordonem dobiegł okrzyk radości.

Rozejrzałem się po okolicy i zrozumiałem.

Gdzież były te wszystkie ambulanse do pomocy poszkodowanym? Gdzie był komitet powitalny, który zająłby się więźniami? Gdzie furgonetki do ich wywozu? Dlaczego ci wszyscy faceci tylko się gapili, zamiast brać udział w ataku?

## 8

Odrzuciłem się. Skurwiel osiągnął granicę.

- Spierdalaj mi stąd, pedale! Co wy tu, kurwa, Angole w ogóle robicie?

Podniósł swoją wielką jak bochen prawą dłoń i pchnął Toniego w twarz. Tony nie był stworzony do spania na twardym, tym bardziej więc do dostawania po twarzy. Poleciał do tyłu i wpadł na jednego z radiooperatorów, który podniósł się z miejsca, ale do służenia pomocą Toniemu skory nie był. To były sprawy jego szefa.

Zrobiłem szybkie trzy kroki i znalazłem się między nimi. Wszyscy w namiocie zamilkli, ciszę wypełnił króliczy wrzask i łomot gaśnic.

Skurwiel nie musiał nic mówić, wszystkie zamiary wymalowane miał na twarzy. Tony, rozciągnięty na stole radiooperatora, obsuwał się teraz powoli na ziemię.

- Zaraz go stąd zabiorę. Przepraszam, on nie jest przyzwyczajony do takich widoków. Już go zabieram - uniosłem rękę w pojednawczym geście.

Ale Skurwiel był zbyt napalony, aby dać spokój. Stuknął mnie w pierś.

- A ty kto, kurwa, w końcu jesteś? Jeszcze jeden angielski pedzio?

### 34

Moim zadaniem było dbać o geniusza, więc nie dałem się sprowokować. Plecy Toniego otarły mi się o nogi, gdy próbował się podnieść.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem kurtki Skurwiela. Poczulem twardość, jebaniec miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Zerknąłem na boki, aby wyczuć, ilu z pozostałych jest po jego stronie. Zdaje się, że wielu.

Za cholerę bym tu nie wygrał. Skurwiel był chłopiskiem, a jakby coś się zaczęło dziać, jego kumple skoczyliby mu hurmem na pomoc. Ani dla mnie, ani dla Toniego nie był to dziś dzień zapłaty.

- Teraz sobie pójdziemy - patrzyłem mu twardo w oczy - To nie jego broszka.

Jeden z facetów podszedł do Skurwiela i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie warto, Biesiu. Tych koleś przysłano tu do pomocy. No wiesz, układy specjalne...

Skurwiel także patrzył mi w oczy, wysunął do przodu szczękę, i rozważał swoje opcje. Ani na chwilę nie odwrócił wzroku. I nagle, bez słowa, obrócił się na pięcie.

Wyprowadziłem Toniego z namiotu, ale ten szedł niechętnie, nadal

żadny odpowiedzi.

Światło dnia było już teraz na tyle silne, że można było zobaczyć amerykańską flagę, powiewającą na antenie jednego z czołgów demolujących, krążących wokół kompleksu. Nie był to jedyny powiewający tutaj gwiazdzisty sztandar. Nie wiem, czy ktoś zauważył, że jeszcze od niego większy łomotał na maszcie dawidianów.

Czołgi przeryły grunt wokół kompleksu tak dokumentnie, że wyglądał jak po bitwie nad Sommą. Wiatr roznosił po okolicy śmieci z rozwalonych pojemników na odpady.

Obejmując Toniego ramieniem, prowadziłem go z powrotem do przyczepy. Iść jednak nie chciał.

- Muszę coś sprawdzić.

35

— A co my tu możemy zrobić? Tu jest...

Tony wyszarpnął mi się i zaczął biec. Stalowy kontener, dostarczony tu przez RAF, stał o jakieś sto metrów dalej.

Poleciałem za nim, co mi szkodziło. Przynajmniej będzie 200 metrów dalej od namiotu wodza.

Gdy zbliżaliśmy się do kontenera, zauważyłem, że osiadł on pod swoim ciężarem parę centymetrów w ziemi. Będąc już całkiem niedaleko, spostrzegłem, że podwójne drzwi na jego tyłach musiały być otwierane, bo wyłobiły w miękkiej ziemi półkolisty ślad. Kłódka była przecięta.

Tony aż dyszał z wściekłości.

- Nie mieli prawa, Nick. Była przecież umowa. Mogli z tego skorzystać tylko po skonsultowaniu się. W imię Boga Jedyne go, co oni wyrabiają?

Zajrzałem do środka. Brakowało kilku pojemników o wielkości połowy baryłki ropy. Tony powiedział mi, że znajdujący się w nich gaz był pod takim ciśnieniem, że posiadał stałą konsystencję. Po rozpieczętowaniu baryłek rozpadał się na małe cząstki i pod ciśnieniem mógł być przepompowany do budynku.

Oparł się o ścianę kontenera, jakby dostał cios w brzuch. Dopiero teraz zorientowałem się, że ustał zwierzęcy wrzask płynący z megafonów. Słyszeć było tylko gąsienice czołgów i Nancy Sinatra, śpiewającą „Te buty stworzone są do chodzenia”.

Gdy zatrzaskiwałem drzwi kontenera, od strony prerii powiał wiatr.

Gapie ponownie wydali z siebie głos zadowolenia. Oczy To-niego śledziły intensywny ruch wzdłuż kilku wozów terenowych na drodze do zewnętrznego kordonu. Podnosząc do oczu lornetki i zagryzając świeże poranne ciastka, poszukiwacze emocji wiercili się podekscytowani. Za godzinę czy dwie jarmark będzie ponownie czynny, a na straganach wyłoży się kolejne stosy podkoszulków z wynikiem meczu „Dawidianie: 4, ATF: 0”. Choć wtedy wynik meczu może być już zupełnie inny.

36

Podparłem kontener u boku Toniego. Policja w kamizelkach kuloodpornych, z karabinami automatycznymi M16 na ramieniu, a wokół tłum ludzi z poranną kawą i bułeczkami w dłoniach, przepychający się, aby lepiej wszystko zobaczyć.

Tony z niedowierzaniem potrząsnął głową. W oczach miał łzy.

- Oni tam wszyscy poumierają, Nick. Nie wyjdą stamtąd. Niektóre z dzieci już pewnie nie żyją. Musimy to powstrzymać. Do kogo mamy pójść? Do kogo zadzwonić? To przecież szaleństwo!

- Niczego tu nie zastopujemy, bracie - odwróciłem głowę. - Popatrz tylko. - Poubierane w mundury polowe postaci robiły kolejne zdjęcia i radowały się z każdego słowa Nancy Sinatry.

- Okładasz batem zdechłego konia, chłopie. Łzy zaczęły spływać mu po policzkach.

- Co? Co ty mówisz?

- A co ty, do kurwy nędzy myślisz, że się teraz stanie? Popatrz na te wozy - wskazałem na czołgi demolujące i szalejące wokół kompleksu - i chuj wie, co się odbywa na zapleczu. I jak myślisz, dlaczego przerwano im połączenie? To wszystko było planowane, chłopie. Chcą widzieć tych popierdoleńców martwych.

Szczęka mu opadła. Tony nie podzielał filozofii Rambo tych ludzi siedzących w śmigłowcach i czołgach. Wymyślił im zabawki, ale widać było, że nie był przyzwyczajony do brania udziału w samej grze.

- Słuchaj, ci ludzie tu na miejscu nie podejmują żadnych decyzji. Nie są w tej kategorii płacowej. Mają tylko radochę z tego, co robią. Góra dała im na to zielone światło. I możesz się założyć o ostatni grosz, że nie ruszyliby tego twojego gazu, gdyby Wielka Brytania nie dała im na to pozwolenia. Po prostu teraz, gdy dostali już te twoje zabawki, mają cię głęboko w dupie.

- Ale tam są kobiety i dzieci. Oni je mordują! Ktoś musi coś z tym zrobić!

Położyłem mu rękę na ramieniu, próbując powstrzymać w ten sposób jego podskoki. Chciałem też być pewien, że nie polecą

gdzieś znowu, próbując coś zdziałać, a ja nie będę w stanie temu zapobiec.

- Słuchaj, od samego początku odmalowano Koresha i jego ludzi jako uczniów samego diabła. Pomyśl o tym w kategoriach myślenia Skurwiela. To czarno-biały świat, a oni tam w środku są ci źli.

Tony złapał się za głowę, ramiona mu dygotały.

- Pójdę i nastawię wodę na picie - klepnąłem go w plecy - kawę?

Cóż innego pozostawało tu powiedzieć?

9

Koło jedenastej zaczęło się już na moim punkcie obserwacyjnym na dachu wozu bydłęcego robić porządnie gorąco. Zdążyłem już przynieść Toniemu kilka kubków kawy, ale żadnej z nich nie ruszył. Nadal siedział w błocie pod kontenerem, oparty o jego ścianę.

Zdjąłem kurtkę i podwinąłem rękawy bluzy. Wiatr wzmógł się i w drgającym od gorąca powietrzu przeganiał teraz między nami a obiektem kłęby zeschniętej trawy. Patrząc na to, co tu się działo, wcale bym się nie zdziwił, gdyby na plan wjechał teraz Clint Eastwood.

Z budynku nadal nikt nie wyszedł. Albo wszystkich zabił już gaz, albo wszyscy popełnili samobójstwo, woląc to, niż się poddać, albo Koresh trzymał ich tam siłą. Zastanawiałem się, co działo się na tyłach. Nic nie widziałem, ale co jak co, dźwięk broni automatycznej w użyciu potrafiłem rozpoznać. Nasi, oni, obie strony? Kto to wie? Tak jak sytuacja przedstawiała się teraz, mogli spokojnie chcieć się nawzajem

powystrzelać. Chciałem tylko, aby to wszystko się już skończyło, a my moglibyśmy spakować manatki i pojechać do domu. Może nawet zafundowałbym sobie na odchodnym koszulkę z napisem.

Spojrzałem w stronę kontenera, aby sprawdzić, co z Tonym. Siedział sobie tam nadal, pogrążony w swym świecie. Na kom-

39

pleks ponownie zwrócił moją uwagę nagły ryk silników jednego z czołgów, który torował sobie ponownie drogę w głąb budynku. W megafonach Nancy Sinatrę zastąpił znowu monotony głos: „To nie jest atak. Nie strzelać”. Chyba myśleli, że jak powtórzą to wystarczającą ilość razy, wszyscy w to uwierzemy.

Nowa zmiana policji i federalnych szeryfów już dawno zgłosiła się do roboty, ale ci z nocnej zmiany sterczeli tu nadal, aby doczekać finału, i wyraźnie się już nudzili. Jeśli Tony się nie mylił, większość dawidianów była już martwa. Dlaczego więc FBI nie montowała ekipy, która by poszła sprawdzić, czy ktoś przeżył? Wobec dorosłych nie żywiłem specjalnej sympatii, ale dzieci wcale nie prosiły, aby się tam znaleźć.

Od strony namiotu dowództwa usłyszałem pełen złości okrzyk. Skoczyłem na równe nogi, aby lepiej widzieć.

Tony i Skurwiel wrzeszczeli na siebie. Tony doskakiwał niemal do twarzy Skurwiela, popychał go rękami, podczas gdy ludzie z FBI próbowali się do nich dopchać. Powstało zbiegowisko. Wiedziałem jednak, że nikt nie będzie interweniował. Z postawy i ruchów ciała Skurwiela wynikało, że tą sprawą zajmie się sam.

10

Zeskoczyłem z wozu i pobiegłem w ich stronę. Dzisiaj Tony wyraźnie kazał mi zarabiać uczciwie na życie. Przepchałem się przez tłum.

- Tony, uspokój się. Chłopie, wszystko jest w porządku.

Nie odwrócił głowy; oczy, czerwone i spuchnięte, wbite miał nadal w Skurwiela.

- Nie jest w porządku - wskazał palcem na budynki - czy ty wiesz, co tam się dzieje? Czy ty sobie zdajesz sprawę?

Już chciałem odpowiedzieć, gdy zorientowałem się, że nie mówi tego do mnie.

- Będą umierali straszliwą śmiercią. To gaz, którego używa się w komorach gazowych, wiedziałeś o tym?

Skurwieli nie zamierzał odpowiadać, ale Tony nie zamierzał mu nawet dać na to szansy.

- Czy wiesz, dlaczego zanim naciśnie się guzik, unieruchamia się pasami ludzi?

Skurwielowi nie drgnęła powieka, ale wszyscy inni spojrzeli na Toniego w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Ponieważ skurcze mięśni są tak gwałtowne, że łamią wszystkie kości w ciele ofiary. I to właśnie dzieje się teraz z kobietami i dziećmi tam w środku!

Skurwieli spojrzał prosto w oczy Toniego.

41

- Ty, my tu wszyscy jesteśmy po to, aby załatwić sprawę, o co ci, kurwa, chodzi?

Tony zrobił krok w jego stronę.

- To ja ci powiem, o co mi chodzi. Tam jest za mało przestrze

ni. Mordujecie ich!

Skurwiel nawet nie próbował powstrzymać uśmiechu, który rozlewał mu się po całej twarzy. Po prostu odwrócił się do mnie, a kiedy zaczął mówić, był tak spokojny, że aż przerażało.

- Powiedz swojemu pedziowi, że mamy tu do czynienia z bardzo złymi ludźmi. To fanatycy religijni, którzy zgromadzili...
- Fanatycy? Ta dziewczynka, którą słyszeliśmy, nie miała pewnie i pięciu lat! - z ust Toniego poleciały strzępy śliny. - Co wy robicie? Co wy robicie?! To szaleństwo! To jest mord!

Skurwiel, ocierając ślinę z twarzy, spojrzał na Toniego z góry.

- Mord? Dobra, to popatrz na to inaczej, cioto. To jest twój pieprzony gaz, a więc wychodzi na to, że jesteś współodpowiedzialny.

Tony cofnął się, zatkało go. Skurwiel radował się tym widokiem.

- Prawda, że to jakby drapie w gardle? - Rozejrzał się dookoła, chcąc podzielić ten moment triumfu z gawiedzią. - Hej, ten twój gaz całkiem mi się podoba.

To już było dla Toniego za dużo. Zwinął dłoń w pięść, cofnął ją do tyłu, aby się zamachnąć, ale Skurwiel był od niego szybszy. Jego pięść trafiła Toniego w tors. Gdy Skurwiel odsuwał się, aby nabrać rozpędu do drugiego ciosu, zaszedłem go od tyłu, złapałem za ramię i pociągnąłem tak, że odwrócił się o 180 stopni.

Skurwiel rwał się do rozprawy i ze mną aleja się nie ruszyłem i nie pozwoliłem sobie na wykonanie tych kilku ciosów, które położyłyby go na ziemię. Uważałem, że robię dobrze, w końcu on mnie nie zaatakował.

Stracił twarz i musiał ją jakoś odzyskać; w porządku, to rozumiałem, ale nie mogłem przystać na podobne mordobicie. Był potężnym chłopiskiem, i jeśli któryś z jego ciosów trafiłby we mnie, z pewnością potrzebowalbym kogoś

## 42

z nieobecnych tu ambulansów. Na martwienie się o to było teraz jednak za późno.

Skurwiel ruszył ku mnie, ale w tym momencie z któregoś z samochodów dobiegł nas okrzyk - na wpół zdziwiony, na wpół uradowany: „Pali się! Pali się!”

Skurwiel odwrócił głowę. Złapałem Toniego: - Zbieraj swoje graty, spadamy stąd!

Podczas gdy biegliśmy, cztery albo pięć słupów dymu wydobyło się znad kompleksu. Nawet jakby na miejscu była straż pożarna, kombinacja upału, wiatru i gazu - który teraz przeistoczyłby się w drobny proszek - uczyniłaby wysiłek strażaków nadaremny.

Jeden z policjantów, jakby tylko na to czekał, zeskoczył ze swojej terenówki, podbiegł parę metrów w stronę kompleksu, po czym zawrócił i stanął twarzą do tłumu. Rozwinął sztandar ATF, tak aby wszyscy go widzieli.

- Jeden wielki kocioł! - ni to krzyknął, ni to się zaśmiał. - Dawać, niech się jebani usmażą!

Zamachał flagą, a ludzie odpowiedzieli wrzaskiem i rykiem. W tle usłyszałem katarynkę. Rozkręcało się wesołe miasteczko.

CZEŚĆ

Noosa, Queensland Czwartek, 21 kwietnia 2005

Słońce paliło mi stopy na węgiel, ale upłynęła chwila, zanim to poczułem. Piasek, na który się gapiłem, był aż zbyt oślepiająco biały, a morze aż za modre.

Wciągnąłem stopy z powrotem pod stół i pochyliłem się, aby wyssać przez rurkę do końca mój koktajl mleczny. Zawsze gulgotałem jego resztką na dnie. Nikt chyba tu, w Klubie Surfingowym, tym się nie przejął. Wszyscy byli zbyt zajęci pokonywaniem swoich mamucich porcji lunchu, my z Silky właśnie skończyliśmy swoje i odstawiliśmy na bok talerze.

Czekając, aż wróci z lodami, pociągnąłem ostatnią kroplę napoju i oparłem się wygodnie, aby popodziwiać widok. Słońce, morze, plaża i tysiące kilometrów buszu za plecami; przyjazd tutaj był definitywnie słusznym posunięciem.

Przyszła z dwoma rożkami, których zawartość już spływała jej po palcach. Dostałem czekoladowe.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że chciałeś jechać dookoła Stanów. - Silky zlizwała tutti frutti z wolnej ręki i usiadła. - Właśnie widziałam Georga Busha w telewizji. Mówi, że następnymi na liście są Iran i Syria. Nie rozumiem tego człowieka. Co mu jest?

Silky była z Berlina. Znałem ją trzy miesiące, jej akcent nadal przypominał mi czarno-białe filmy wojenne, które oglądałem, będąc dzieckiem.

- To znaczy, dlaczego on po prostu z nimi nie porozmawia?

- założyła swoje długie do ramion blond włosy za ucho, tak aby nie wchodziły jej w drogę, gdy pochylił się nad swoimi lodami.

- Byłam w Syrii, tam są bardzo mili ludzie.

- Trzeba było nie oglądać telewizji - usiadłem prosto - ja nawet już nie czytam teraz gazet. To wszystko chłam. A jak się jeszcze ma przed sobą taki widok - wskazałem głową w stronę nadchodzących fal - czego jeszcze potrzeba do szczęścia?

Jej głowa podskoczyła ostro, przeszła mnie swoimi niebieskimi oczami, wyglądającymi sponad oprawek okularów przeciwsłonecznych.

- I ty, po tym co się stało wczoraj, zadajesz jeszcze takie pytania?

- Ocean będzie tu i jutro - skrzywiłem się - ale czy Silky też? Z wami hipisami nigdy nic nie wiadomo.

Uniosła brwi.

- Nick, tylko dlatego, że George Bush dodaje do swojej listy kolejne kraje, nie oznacza wcale, że masz ciągle odcinać się od...

- Taki jestem. Tylko bagaż podręczny.

Silky pokiwała w zamyśleniu głową, odłożyła na talerz resztki wafla i wytarła rękę.

- Bush może wprowadzać w życie swoje marzenia - spojrzałem ponownie na wodę, surferzy rzędem jechali na doskonałej fali - a ja mam swoje.

I miałem. Włóczyć się po Australii wozem, w którym można też się przespać, z oprzyrządowaniem do skoków spadochronowych ze swobodnym spadaniem oraz z plecakowiczem do towarzystwa. Jedynym

codziennym stresem było co najwyżej zdecydowanie się, czy brać się za deskę surfingową i wyglądać na niej jak kutas, czy zrobić może coś, w czym byłem naprawdę dobry

- poskakać sobie z samolotu. Przez ostatnie kilka miesięcy doro-  
biłem się jedynie obowiązującego stroju - podkoszulka, szortów  
i sandałów - oraz kolekcji bransoletek na przegubie, otrzemy-

## 48

wanych dla przypiecztowania przyjaźni na trasie. Pieniądze nie stanowiły  
problemu. Gdy się skończyły - zawijałem do miejsca najbliższego zlotu  
spadochroniarzy i pakowałem sprzęt. Ani przez chwilę nie żałowałem  
porzucenia pierwotnego planu, jakim było kupno roweru i przejechanie  
nim Stanów. Wystarczyło spojrzeć w CNN na prognozę pogody na listopad  
dla Waszyngtonu. Silky sprawdziła godzinę.

- Trzeba się zbierać, jeśli chcemy dotrzeć przed wieczorem.

-Nadal chcesz jechać?

- Oczywiście. Chcę poznać twoich przyjaciół. - Zatrzymała  
się, aby poprawić swoje obcięte levisy. - Poza tym my, hipisi,  
nigdy nie powiemy nie na darmowy nocleg.

Przyjemnie było patrzeć, jak wszyscy mężczyźni oglądali się za nią, gdy  
przetrząsając dłonią swoje długie włosy, szła ze mną na parking. Wzięła  
sobie do serca mój wykład o dyscyplinie, jeśli chodzi o piasek. Jego miejsce  
było na plaży, a nie w samochodach i namiotach.

Słońce paliło mi okrutnie kark i ramiona, i wiedziałem, co nastąpi za  
chwilę. W pomalowanym na sraczkowaty kolor volks-wagenie busiku z lat  
80. gorąco było jak w piecu. Koleś, który sprzedał mi go w Sydney,  
dorzucił mi do wszystkiego folię zaciemniającą na przednią szybę, ale

nigdy nie pamiętałem, żeby ją zamontować.

Silky po raz ostatni sprawdziła, czy nie wnosi na sobie piasku do wnętrza, i rzuciła swój ręcznik plażowy na gorące jak diabli plastikowe fotele.

- Będzie chłodniej, jak tylko ruszymy - powiedziałem.
- Komu? - prychnęła - nam czy samochodowi?

Chłodzony powietrzem busik ruszył wolno z parkingu na zatłoczoną ulicę tego tu małego letniska. Wyglądał, jakby zdążył okrążyć już kilkakrotnie całą Ziemię, a co dopiero ten kontynent. Miałem nadzieję, że się nie rozkraczy, zanim dotrę z powrotem do Sydney, zdrapię grubą warstwę martwych insektów z szyby i sprzedam go następnemu frajerowi.

49

Na autostradę wjechaliśmy na południe od Brisbane i wkrótce jechałem jak na autopilocie, z łokciami na kierownicy, gapiąc się na długą prostą linię asfaltu przez drgającą mgiełkę upału. Silky wynalazła jakąś kasetę w leżącym między fotelami pudle po butach. Już niewiele spośród nich było całych, któregoś dnia zostawiła pudełko na fotelu, i większość kaset po prostu się rozpuściła, przypominały teraz przedmioty z obrazów Salvadora Dali.

Z głośników w drzwiach zacharczeli wkrótce The Libertines, zaraz też walczyliśmy z wpadającym przez otwarte okna wiatrem.

Silky rozsiadła się wygodnie, opierając o tablicę rozdzielczą stopy w sandałach. Po paru piosenkach zwróciła się do mnie:

- Pasujemy do siebie, prawda?

Nie wiedziałem, skąd się to u niej wzięło, ale miała rację. Przyjazd tutaj i poznanie jej było jedną z najlepszych rzeczy, jaką kiedykolwiek w życiu

zrobiłem.

Nie było mi trudno odmówić Georgowi. Nigdy nie dowiedziałem się, w jakim wydziale CIA albo Pentagonu pracował, i w sumie mało mnie to już obchodziło.

Wstałem po prostu pewnego ranka z łóżka, spakowałem wszystko, co miałem w dwie tanie torby podróżne i jeden wór, i poszedłem do firmy. Powiedziałem mu prawdę. Miałem dość; w głowie miałem kompletnie popieprzone. Siedząc naprzeciw biurka, czekałem na jego zwyczajową upierdalającą gadkę. „Jesteś mi potrzebny, dopóki nie dasz się zabić albo nie znajdę kogoś lepszego. Na razie jeszcze żyjesz". Ale nic takiego się nie zdarzyło. Usłyszałem w zamian: „Zbierz do jutra swoje rzeczy, synu". Widać wojna mogła sobie trwać i beze mnie.

Kiedy po raz ostatni opuszczałem budynek, w drodze po rzeczy do mieszkania, do którego miałem już nigdy nie wrócić, czułem jedynie ulgę, nic więcej. Potem pomyślałem sobie: a, niech to... George mógłby odrobinę się postarać, aby mnie zatrzymać.

Rozległ się dźwięk, jakby na dachu samochodu stepował nawalony zając, zwolniłem; wiedziałem dokładnie, co to było. Sil-

## 50

ky wyskoczyła na próg samochodu. Jej deska do surfowania ponownie się obluzowała; zaczął ją porywać wiatr. Obojętnie ile kupiłem jej już dodatkowych linek, ona upierała się, że dwie wystarczą. Jej rozumowania nie podważał nawet fakt, że musieliśmy przystawać ze trzy albo cztery razy dziennie, aby deskę ponownie umocować.

Silky wskoczyła znów do środka, zatrzasnęła drzwi, uśmiechnęła się do mnie; pojechaliśmy dalej, a ona zaczęła ponownie wystukiwać na udach

rytm muzyki. To całe hipisowanie było jednym wielkim wygłupem. Spotkaliśmy się na zlocie pod Sydney. Zbliżała się do trzydziestki i podróżowała tak autostopem już sześć czy siedem lat, pracując po barach i zbierając owoce na plantacjach. Zaczęło się od urlopu dziekańskiego, potem zapomniała wrócić. „Plaże są tu lepsze niż w Berlinie” - śmiała się - „założę się, że tobie też się to zaraz przydarzy”.

Zabrała się ze mną w drodze na północ. W końcu, dlaczego nie? To jedynie dodatkowych parę tysięcy kilometrów pełnej magii niewiadomej, którą nazywała życiem. Teraz nawet ja nabrałem odrobinę ochoty na podobną przygodę.

Silky zaprzestała wybijać rytm muzyki, wstała i zaczęła szperać na tylnym siedzeniu w poszukiwaniu wody. Powróciwszy na swoje miejsce, wyrównała ręcznik i podała mi butelkę.

- To kim w końcu jest ten Charlie? - przy The Libertines i wie trze wpadającym do wewnątrz musiała niemal krzyknąć.

- Tindall? Znam go od lat, pracowaliśmy razem.

Pociągnęła łyk, przytrzymując wolną ręką włosy.

- Co robiąc? Myślałam, że pracowałeś w warsztacie samochodowym, nie na fermie.
- Teraz ma fermę. Masę rzeczy robiliśmy razem - trochę swobodnego spadania, i takie tam.
- Nadal skacze? Czy to właśnie będziemy robić? - pokazała kciukiem na pakunek z czteroogniowym spadochronem Raider w tyle samochodu.

51

- Nie mam pojęcia, chcę skorzystać z okazji, że tu jestem i się z nim spotkać. Wiesz, jak to jest, przez jakiś czas bardzo się z kimś kumplujesz,

a potem nie widzisz go ani z nim się nie słyszysz latami. To wcale nie oznacza, że nie jesteś już jego kumplem. - Rzuciłem jej leżącą między nami mapę. — Jednak musimy go najpierw zlokalizować.

Cztery godziny po prostej drodze i jedno tankowanie później zbliżaliśmy się do małego miasteczka o nazwie nie do wymówienia. Zgodnie ze wskazówkami, które Charlie przysłał mi e-ma-ilem, minęliśmy sklep z blaszanym dachem, stały pod nim trzy przywiązane osiodłane konie. Zaraz potem, przy stojącej na skraju drogi niebieskiej skrzynce na listy, zrobionej z bańki na mleko przybitej w poprzek do słupka, skręciliśmy w lewo.

Po dwóch zakrętach w drgającym od gorąca i zamglonym powietrzu wyłoniło się przed nami chaotyczne zgrupowanie dachów z czerwonej blachy oraz wieża ciśnień. Dotarliśmy do gospodarstwa Charliego. W istocie należało do jego zięcia, ale do budowy dołożyła się cała rodzina, która sprzedała swoje domy i z całym inwentarzem przeniosła się do Australii. Jak tylko Charlie osiągnął magiczny wiek pięćdziesięciu pięciu lat, ziemia australijska przyjęła go z otwartymi ramionami, pod warunkiem, że załatwi sobie prywatne ubezpieczenie i nie będzie oczekiwał, że załapie się na tutejszą emeryturę. Jego własna zaczęła mu cykać z chwilą opuszczenia armii, jakkolwiek na kawior i szampana nie wystarczała. Charliemu zaproponowano patent oficerski, który przyjął. Jako oficer mógłby zostać w armii jeszcze kolejne piętnaście lat, zamiast być zwolnionym w wieku lat czterdziestu.

Przejechaliśmy jeszcze jakieś osiemset metrów po drodze, przy której po jednej stronie biegło ogrodzenie ze słupów i siatki. Jakieś sto metrów od domu minęła nas kobieta na koniu, wymachująca jak szalona rękami. Pod daszkiem bejsbolówki nie zobaczyłem wiele poza szerokim uśmiechem.

Zwolniłem, ale pomachała, abyśmy jechali dalej. Zatrzymała się przy jakimś przejściu, a my jechaliśmy dalej.

## 52

- Kto to był? - w głosie Silky nie było zazdrości, bo nie mógł jej mieć taki wieczny włóczykij jak ona.
- Prawdopodobnie Julie, córka. Po raz ostatni widziałem ją jak miała około siedemnastu lat i twarz całą w wypryskach. To musiało być już dobre piętnaście lat temu.

Zaparkowaliśmy pod domem, obok zardzewiałego landa crui-sera i pick-upa, którego okres świetności także już raczej minął.

Charlie stał na werandzie, aby nas powitać, potężny mężczyzna w zielonym podkoszulku. Z kręconymi ciemnorudymi włosami, przypominał mi zmieniające się właśnie światła na skrzyżowaniu. Zauważyłem, jak Silky próbuje nie gapić się zbyt ostentacyjnie na zielone skarpetki, które uparcie nosił, zakładając sandały.

- Nie przejmuj się - powiedziałem - to taka brytyjska specjalność.

Wyszła Hazel i przesunęła ręką po ramieniu męża. Zeszli ze schodów, aby się z nami przywitać.

Charlie zbliżał się już do sześćdziesiątki, ale nadal ciało miał nabite, ani grama tłuszczu, w jakiś sposób zdrowego wyglądu dodawały mu też rude włosy. Ale słońce go nie oszczędziło, skórę miał raczej spaloną niż opaloną. Wyciągnął do nas rękę, jakby za małą w stosunku do reszty ciała. Na pewno nie skurczył się z wiekiem, nadal był o jakieś dziesięć centymetrów wyższy ode mnie, ale jego uścisk nie był już taki mocny jak dawniej.

- Wszystko dobrze, chłopcze? Cieszę się, że przyjechałeś - pa  
trzył mi w oczy, abym się o tym upewnił.

Skończyliśmy się witać i przyszła kolej na Hazel. Objąłem Silky za ramię  
i przedstawiłem ją obydwójgu.

- Moje imię wymawia się Silk-a - poprawiła mnie - ale Nick  
nazywa mnie Silky. Będzie lepiej, jak zrobicie podobnie, inaczej  
wszystko mu się pomiesza.

Hazel nadal nosiła te swoje długie, ciemnobrązowe włosy, nadal miała  
jasną, nieopaloną twarz. Gdy była młodsza, od śmiechu robiły się jej  
zmarszczki wokół oczu, pamiętam ją zawsze promienną, za kontuarem  
posterunku w Dixons, zawsze chętną do

## 53

odstąpienia swojej ulgi dla pracowników każdemu chłopakowi z Pułku,  
który by się tam nie pojawił. Teraz oczy jej były starsze i mądrzejsze. I  
może trochę smutniejsze. Hazel zaczęła zaganiać nas do środka.

- Możecie zostać dłużej niż jedną noc, prawda?
- Nie, musimy jechać dalej. Dziewiątego w Melbourne mamy spotkanie  
spadochroniarzy.

Silky skorzystała z ramienia, które podał jej Charlie, gdy wchodzili po  
schodach.

- Czy pan nadal skacze ze spadochronem? Nick powiedział, że kiedyś pan  
to robił.
- Nie. - Spojrzał na mnie pytająco. - Już nie.

- Teraz, gdy poszła się odświeżyć, co ona wie o robocie oprócz skakania ze spadochronem?

Charlie musiał zadać takie pytanie. Nie chciał się w nic pakować.

- Nic, myśli, że wyklepuję blachę.

- I masz szefa, który ci pozwolił na roczny urlop? A może powiedziałeś jej, że jesteś na emeryturze? Od razu widać, że ma słabość do starszych.

Odwzajemniłem uśmiech, Hazel wróciła do bawialni, niosąc na tacy sok pomarańczowy i szklanki.

- Nick, mam nadzieję, że on ci nie próbuje sprzedać konia.

Z góry dobiegły nas strzępy jakiejś piosenki, którą Silky śpiewała sobie po niemiecku pod prysznicem.

- Nie, narzekał, że nie poszedłem w jego ślady.
- Przecież jesteś za młody na emeryturę...
- Mam na myśli to, że nie załapałem się na równie wspaniałą kobietę, na jaką on się załapał.

Hazel uśmiechnęła się i postawiła tacę na stoliku.

- Powiedział ci, jakie słodkie życie teraz sobie wiedziemy?

- Jeszcze nie, ale jestem przekonany, że zaraz to zrobi!

Hazel krzątała się wokół stolika jak kwoka, porządnie na nim wszystko rozstawiając. Napełniła w końcu trzy szklanki i stuknęliśmy się nimi w milczącym toaście.

55

- Czy to Julię widzieliśmy na koniu? - zapytałem wskazując na okno.

Hazel rozpromieniła się.

- Zaraz tu będzie. Dzwoniła, żeby powiedzieć, że was widziała.

- Oni są ze sobą - o, tak - Charlie chciał zademonstrować, jak blisko są ze sobą, krzyżując duży palec ze wskazującym, ale nie całkiem mu się to udało. Wyglądało na to, że wskazujący palec żyje swoim własnym życiem. Wystawił więc w zamian kciuk i mały palec, co symbolizowało rozmowę telefoniczną.
- A nawet jak nie są razem, to ciągle wiszą na telefonie. A Hazel zawsze po szkole e-mailuje do dzieciaków.
- Trzeba podtrzymywać więzi, mój drogi - Hazel spojrzała mi w oczy - jak zadbasz o dach, to przy następnej burzy nie musisz. .. Czyż nie tak, Nick?

Spojrzałem na wystawkę zdjęć rodzinnych na komodzie; typowa bezładna zbieranina - niektóre czarno-białe, inne kolorowe, różnorakie srebrne i drewniane ramki. Na fotografiach ślubnych fryzury z lat siedemdziesiątych, potem dwójka ich dzieci Julie i Steven w różnych stopniach rozwoju: tu wielkie uszy, tam jeszcze bez zębów, tu z trądzikiem... Potem zdjęcie ze ślubu Julie, jej własne dzieci, wyglądało na to, że miała ich czwórkę. Najwyraźniej tutejsze powietrze sprzyjało nie tylko hodowli koni.

Wzrok mój padł na wizerunek młodego człowieka w berecie Piechoty Lekkiej oraz mundurze galowym, patrzącego dumnie w obiektyw aparatu, w tle widoczna była angielska flaga. Ta parada na zakończenie szkoły musiała mieć miejsce około 1990 roku, ponieważ obaj z Charliem służyliśmy jeszcze w Pułku; przypomniałem sobie, że aż pękał z dumy, gdy mi o tym powiedział. Niewiele jednak o jego synu wiedziałem, oprócz tego, że miał wtedy siedemnaście lat i wyglądał jak wykapany tatuś.

- Jak się ma twój chłopak? Nadal w wojsku?

Hazel spuściła wzrok.

Zastanawiałem się, co takiego niestosownego powiedziałem, i szybko się zorientowałem: innych jego zdjęć już nie było.

56

Charlie wychylił się i wziął dłonie Hazel w swoje.

- Zginął w Kosowie - powiedział łagodnie - w dziewięćdziesiątym czwartym. Właśnie miał dostać awans na kaprała.

Objął żonę ramieniem. Odchyliłem się w fotelu, niepewny, co powiedzieć, aby jeszcze bardziej nie pogorszyć sytuacji.

- Nie przejmuj się, chłopcze, nie mogłeś wiedzieć. Zachowaliśmy to w zasadzie dla siebie. Nie chcieliśmy tu ekipy telewizyjnej, wywiadów i publicznego wertowania albumów rodzinnych.

Hazel podniosła wzrok i uśmiechnęła się dzielnie. Prawdopodobnie po pierwszych dziesięciu latach najgorsze dla niej już minęło, niemniej musiał to być koszmar.

Scenę przerwało wejście pachnącej mydłem i szamponem Sil-ky. Założyła na siebie parę bladoniebieskich bawełnianych spodni i białą bluzkę bez rękawów, jej mokre włosy zaczesane były do tyłu.

Zapanowała okropna cisza. Hazel zajęła się nalewaniem soku do szklanki.

• Pewnie się lepiej teraz czujesz?

• Z powodu pryszniczki czy śpiewania? - Silky uśmiechnęła się i usiadła obok mnie. Chciała coś powiedzieć, ale przerwał jej dźwięk klaksonu. Hazel jakby odetchnęła.

-Julie.

Sekundy później przed domem rozległ się tupot nóg i dziecięce głosy;

krzyki i śmiechy odbiły się echem od drewnianych podłóg. Drzwi otwały się z hukiem i do pokoju wpadło czterech chłopców o krótkich, sterczących włosach i o nieopalonych twarzach. Dwóch starszych, około siedmiu i ośmiu lat, podeszło do mnie i podało mi rękę na przywitanie.

- Jesteś Nick, prawda? - akcent mieli silny. Dwóch młodszych pobiegło dalej na zewnątrz.

Pochyliłem się i uścisnąłem im dłonie - a to jest Silky.

- Śmieszne imię.

- W istocie wymawia się Silk-a. Nick nazywa mnie Silky, bo nie radzi sobie specjalnie z trudnymi słowami.

57

Silky kochała dzieciaki. Jej starsza siostra wysyłała jej ciągle na skrytkę pocztową w Sydney fotografie swoich siedmioletnich synów bliźniaków. Kiedykolwiek zatrzymywaliśmy się gdzieś na dłużej niż kilka dni, kazała sobie przesyłać listy, a ja musiałem wtedy siedzieć grzecznie i wysłuchiwać sprawozdań z ostatnich przygód Karla i Rudolfa.

- Skąd jesteś, Silky? Tak śmiesznie mówisz!

- Śmieszniej niż Nick? Jestem z Niemiec. To bardzo daleko stąd.

Weszli Julie i jej mąż Alan, za nimi wszedł Charlie, którego nóg czepiało się dwoje młodszych dzieci. Podaliśmy sobie dłonie, pomrukując słowa przywitania. Ręce miał wielkie i twarde. Był buszmenem z krwi i kości, gości specjalnie nie lubił.

Charlie wziął sprawy w swoje ręce.

- Dobra, lepiej zajmę się przygotowaniem barbecue. Pomoże ci mi?

Było to wyraźnie hasło jak do broni. Wszystkie dzieciaki podskoczyły z

radości i wybiegły na zewnątrz.

### 3

Dwie godziny później wszyscy napchani byliśmy kurczakiem, kotletami, krewetkami i piwem marki Toohey. Silky siedziała z Hazel i Julie na kanapie, rozmowa szła im tak gładko, jakby znały się całe życie. Alen wybrał jakiś film na DVD dla dzieciaków, które ułożyły się na poduszkach na podłodze. Wrzucił kasetę, i jakby wyczuwając, że chcemy sobie z Charliem pogadać, przyłączył się do oglądania.

- Czemu już więcej nie skaczesz?

Staliśmy z Charliem przy komodzie, na której stał dzbanek z kawą. Jeszcze nie byliśmy gotowi, jeszcze coś nam przeszkadzało.

- To nie byłoby w porządku wobec Hazel. I tak nerwy miała już w strzępach.

Silky podeszła do nas z trzema pustymi filiżankami.

- Byłeś w wojsku, Charlie? - zapytała, wskazując głową na wystawkę fotografii.

-Tak.

- No popatrz tylko, wcale się nie zmieniłeś!

Charlie uśmiechnął się, patrząc na zdjęcie syna.

- Od tego czasu dorobiłem się paru zmarszczek **i zgubiłem** parę włosów.

Spojrzałem szybko na Hazel. Uśmiechała się do Charliego, za to, że był

tak taktowny. Silky naląła kawę i powróciła do towarzyszek, nieświadoma niczego.

Charlie podniósł puszkę piwa do toastu.

- Za dobre stare czasy - stuknęliśmy się, pociągnął łyk. — A co z Silky, masz jakieś plany?
- Nee, po prostu pozwalam jej spać ze mną, dopóki nie znajdę kogoś lepszego.

Nie spodobał mu się ten głupi żart.

- Szczeniak jesteś. Wygląda na dobrą dziewczynę. Korzystaj, chłopcze, póki możesz.

Spojrzał w stronę kanapy, potem na mnie. - To co, chcesz iść zobaczyć zachód słońca, czy jak?

Już wyraźniej nie mógł dać mi do zrozumienia, że chciał pogadać. Wziął dwie następne puszki, a ja poszedłem za nim na werandę.

Oparł się o balustradę. Paręset metrów dalej, na padoku kurz wzniecało stado koni.

Charlie usiadł na ławce i pchnął mnie w stronę bujanego krzesła naprzeciwko. Nie czuł się jeszcze gotowy na to, co chciał mi powiedzieć. Mój wzrok powędrował więc za jego wzrokiem w stronę konia, pasącego się oddzielnie w rogu ogrodzenia.

- Wiesz co, Charlie, byłeś tym, którego sobie wybrałem. Nigdy ci o tym nie powiedziałem, nie?

Major prowadzący zawsze dawał tylko jedną radę swoim świeżo upieczonym żołnierzom: „Jak już znajdziesz się w swoim szwadronie, zamknij się, patrz i słuchaj. Następnie wybierz sobie jednego człowieka, o którym sądzisz, że jest idealnym żołnierzem SAS-u. Nie daj mu tego po

sobie poznać, obserwuj go i wyciągaj wnioski. Przyjdą chwile, gdy podczas akcji nie będziesz wiedział, co robić i jak reagować, pomyśl wtedy, co on zrobiłby w takiej sytuacji".

Początkowo Charlie był właśnie takim moim wytypowanym, ale szybko stał się dla mnie kimś jeszcze o wiele ważniejszym.

60

W duchu nadałem mu wszystkie możliwe odznaczenia żołnierskie. Z ręką na sercu mógłbym powiedzieć, że poszedłbym za nim w ogień. Charlie pociągnął kolejny łyk i odstawił puszkę na balustradę.

- Tak, wiedziałem, że mnie obserwowałaś. Dużo się chłopcze nauczyłeś?
- Sądzę, że tak. Tak naprawdę, myślałem o tobie dużo ostatniego dnia roboty w Waco. Załatwić tego faceta, czy nie? Wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję.
- Nie jestem pewien, czy wszyscy w Waco podejmowali właściwą decyzję. - Charlie odwrócił głowę w moją stronę, aby na mnie spojrzeć.
- Pamiętasz tego młodego z DERA, tego od gazu? Rok później popełnił samobójstwo.
- Słyszałem. To było już po opuszczeniu Pułku przeze mnie. Nazywał się Anthony. Porządny facet.

Usiadł ponownie.

- Porządni faceci, wyjebani przez system. Nic nowego. - Trzęsącą się ręką podniósł do ust piwo, tak jakby dopadły go emocje.  
- Widzisz, przejmowałem się tym, jak byłem młody. Naprawdę wierzyłem w to całe pieprzenie o Królowej i Ojczyźnie. My bylibyśmy dobrzy, oni byli bandytami. Trzydzieści siedem lat tej całej zabawy w wojsko zajęło mi zdanie sobie sprawy, jaki to był stek

bzdur. A może ty prędzej do tego doszedłeś? Dlatego się wycofałeś?

Charlie nie mógł wiedzieć, co robiłem po opuszczeniu jednostki, i pewnie nigdy by o to też mnie nie pytał. Wiedział, że jakbym chciał o tym mówić, to bym to zrobił.

- Coś w tym rodzaju.

Ponownie spojrział na samotnego konia w rogu wybiegu.

- Wiedziałeś, że byłem w jednostce, gdy mój syn patrolował w Londonderry?

Przytaknąłem. Kilku naszych też miało synów w zwykłym wojsku, i ci synowie też tam wtedy byli.

61

Zaśmiał się gorzko.

- Często oszukiwałem się, że z każdym kolejnym rozwalonym przez nas członkiem IRA ubywa jednego z tych, którzy potencjalnie mogliby dziabnąć mojego chłopaka. Tak jak gdybym dbał w ten sposób o niego. A przecież nie była to robota na całego, no nie? Wysyłaliśmy jedynie grupy ASU (Active Service Unit -jednostki operacyjne), bo Thatcher i Major wierzyli, że służą one podtrzymywaniu procesu pokojowego.

Oczy mu się zwęziły.

- W rzeczywistości osłanialiśmy Adamsa i MacGuinnessa, aby mogli w spokoju prowadzić tajne rozmowy z naszymi kochanymi rządami, które „z terrorystami nie szły na żadne układy”. Wyszło na to, że byli dobrzy bandyci i źli bandyci, tylko że ja o tym wcześniej nie pomyślałem.

Wzdrygnąłem się. Nikt się do tego oficjalnie nie przyznawał, ale wszyscy wiedzieliśmy, co było grane. Wyzeliminować wszystkich, którzy przeciwni byli jakiegokolwiek formie postępu w rozmowach, mając nadzieję, że pozostali pójdą za naszymi ludźmi, Adamsem i MacGuinnessem.

- Może to jednak podziałało. Mieliśmy jakąś formę pokoju.
- Wszystko jedno. Najważniejsze, że będąc tak załatany, nie miałem chwili czasu, aby usiąść i zacząć martwić się o Stevena.

Patrząc na konia, zniknął na chwilę w swoim świecie.

- A potem... po tym jak zginął... już mi nie zależało, w jaki sposób sprawy były prowadzone, chciałem tylko mieć zajęcie.

Podniosłem do ust puszkę z piwem.

- To musiało być okropne - zawahałem się - coś o tym wiem...

- zarzuciłem wątek, bo nie bardzo wiedziałem, co mógłbym teraz powiedzieć. W każdym razie Charlie rzucił mi nieco wyzywające spojrzenie, takie, które spotyka się u ludzi dotkniętych tragedią, gdy inni mówią „wiem dobrze, co przeżywasz”, nie mając oczywiście o tym bladego pojęcia. Wzdrygnąłem się ponownie. - Była dla mnie jak córka, choć nią, cholera jasna, nie była. Już bardziej boleć to wszystko nie mogło, bo bym tego nie wytrzymał.

62

Charlie odwrócił głowę.

- Kim więc była, pasierbicą?
- Córka Kevina Browna, tego z Ósmego Szwadronu, pamiętasz?

Charlie próbował sobie przypomnieć, ale bez skutku.

- Razem z Marshą uczynili mnie w testamencie jej prawnym

opiekunem.

-Atak, słyszałem o tym, co się stało. Cholera, nie miałem pojęcia, że to ty właśnie się nią zająłeś. To co się z nią stało? - zapytał już ciszej.

- Zginęła dwa lata temu w Londynie. - Wgapiłem się w puszkę. - Miała piętnaście lat. Zabrałem jej ciało z powrotem do Stanów i pochowałem, a potem, no cóż, pochowałem siebie samego, podobnie trochę jak ty.

Charlie pokiwał wolno głową.

- I pewnego dnia budzisz się, i zastanawiasz, o co tu, kurwa, w tym wszystkim chodzi...
- Coś w tym stylu. Zawsze udawałem przed sobą, że mnie to wszystko mało obchodzi, ale wiesz, kochałem ją. Jej utrata po-pierdoliła mnie porządnie. I nagle znalazłem się po prostu za kierownicą minibusa, z długimi włosami i nadgarstkiem pełnym takich rzeczy - potrząsnąłem bransoletkami.

Charlie uśmiechnął się.

- Każdy chyba radzi sobie z takimi sprawami, jak tylko potrafi najlepiej. Wiesz, co Julie kupiła mi na Gwiazdkę? Kapatki. Pieprzone kapatki! Od czasu śmierci Stevena tak obie z matką chcą, żeby to wyglądało. Chcą żyć jak pod kloszem. Wszystko ma być miłe i puszyste, a Steven na fotografii ma się uśmiechać. Po to tu jesteśmy. To zamknięty, samowystarczalny ekosystem Hazel, jak ten pieprzony Projekt Eden na szczęśliwsze czasy.

Łyknął piwa i spojrzał mi prosto w oczy.

- Przyjazd tutaj był najgorszą rzeczą, jaką zrobiłem w życiu, chłopcze. Mam za dużo czasu. Ludzie, widząc mnie, myślą, że

żyję jak w raju, ale ten raj doprowadza mnie do szaleństwa. Jak-

63

byś był w ruchu, robił coś, nie miałbyś czasu na myślenie. A ja teraz pół dnia spędzam na myśleniu o nim. I to samo uczucie, które miałem w Irlandii Północnej, że powinienem był być na miejscu, powinienem był go pilnować. Wiem, że nie mogłem nic zrobić, ale ta wiedza nie pomaga ci przecież przestać myśleć w ten sposób.

Uśmiechnął się ponuro i wskazał głową na padok.

- Widzisz tego gniadego konia w rogu? Był kiedyś ogierem rozplodowym. W okresie swojej świetności potrafił pokryć ze trzy albo cztery klacze dziennie, resztę dnia spędzał na rozwalaniu kopytami drzwi stajni. Teraz już w ogóle nie używa swojego przyrządu. Jest zbyt wykończony. Jediną różnicą między mną a nim jest to, że zamiast całymi dniami wpięprzać tylko trawę i srać, ja jeszcze przycinam te pieprzone drzewka gumowe i oglądam sobie zachody słońca. Wiesz, jaką najlepszą przysługę powinienem mu zrobić? - szczęki mu się zacisnęły - przyłożyć mu pieprzoną dubeltówkę do łba i skrócić mu cierpienia.

Odważyłem się na uśmiech.

- Albo, chłopie, kupić mu kapcie.
- No, albo kupić mu kapcie. Ale niektórzy robią to przecież własnoręcznie. Tacy jak Anthony. Kiedyś myślałem, że to ucieczka, tchórzostwo, ale teraz nie jestem już całkiem tego pewien. Może to, co robią, nie jest głupie.

Nie bardzo wiedziałem, dokąd teraz zmierzał, ale nie miałem już okazji się dowiedzieć. Julie otworzyła pchnięciem drzwi i wybiegła na zewnątrz,

trzymając za ręce dwójkę dzieci. Na twarzy malowało jej się przerażenie, które nie pasowało do wesołego tonu jej głosu.

- To był głupi film, chodźmy. Czas do łóżka.

Coś niedobrego stało się wewnątrz, próbowała to teraz jakoś zbagatelizować. Podczas gdy zganiała dzieci ze schodów, w drzwiach stanęła jej matka. Wyglądała jak szalona.

Charlie wstał i zrobił dwa kroki w jej stronę, po czym wskazał gestem, abym poszedł sprawdzić, co się stało.

64

Otworzyłem drzwi z siatki i wszedłem do środka. Silky i Alen stali naprzeciw telewizora. To nie był film dla dzieci na DVD; na ekranie skakały szybko obrazy. Usłyszałem krzyki i serie z broni maszynowej.

Silky zwróciła się w moją stronę.

-To gdzieś w pobliżu Rosji. Oblężenie. Zabijają dzieci.

Pokazano żołnierza, który próbował dostać się do wielkiego kwadratowego biurowca. Z komentarza wynikało, że terroryści wzięli około trzystu zakładników. Miasto Kazbegi położone było w północnej Gruzji, przy granicy z Rosją. Sądzone, że wśród zakładników było wiele kobiet i dzieci.

Patrzyłem, jak grupka żołnierzy oddała bezładne strzały ze swoich karabinów maszynowych w kierunku okien budynku, podczas gdy inni próbowali włamać się do wnętrza za pomocą młotów.

Teraz kamera pokazała wóz pancerny szturmujący jakieś drzwi.

W głośnikach telewizora rozległy się krzyki.

Kobiety i dzieci wybiegły w bezładzie z budynku, po to tylko, aby wpaść w krzyżowy ogień karabinów. Z rozbitych okien buchnął czarny dym. W

innych oknach widać było przerażone twarze, przyklejone do szyb.

Żołnierze gwałtownym gestami sygnalizowali, żeby zeszły z drogi, ale one stały tam jak wryte.

Teraz pokazano reporterkę przykucniętą za jakimś wozem bojowym, w miarę jak zdawała sobie sprawę z tego, co widzi, jej ładne ciemne oczy robiły się wielkie jak talerze. Wydawało się, że strzelając z broni krótkiej i karabinów, pojawiło się tu pół całej armii. Krwawa rozprawa po gruzińsku.

Nad głową reporterki załomotały dwa śmigłowce bojowe, krzyczała teraz do mikrofonu - akcent miała wschodnioeuropejski, z lekkim nalotem amerykańskiego - że budynek ten jest siedzibą władz lokalnych; właśnie odbywał się tam spis powszechny, stąd tyle ludzi w środku. O atak podejrzewano bojówkę muzułmańską,

65

przeciwną budowie rurociągu kaspijskiego. Cholera wie, w jaki sposób CNN tak szybko miała już swojego człowieka na miejscu, ale miała. Na pasku wiadomości z ostatniej chwili podawano, że liczba ofiar wynosiła 30. Silky złapała się za twarz.

- O mój Boże, te biedne dzieci...

Na ekranie widać było przebiegającego żołnierza. Na rękach niósł bezwładne dziecięce ciało w poszarpanym ubranku.

Wewnątrz budynku nastąpił wybuch. Kamera zadrżała w momencie, gdy krótki błysk rozświetlił okna na pierwszym piętrze. Wyleciały szyby, z otworów buchnął dym. Byłem w stanie wyłapać uchem jakieś rozkazy, ale chaos się nie zmniejszył. Stara historia - więcej wodzów niż Indian.

Dwóch żołnierzy, którym udało się uprzednio wtargnąć do budynku, wyskoczyło z okna na parterze, mundur jednego z nich stawał w

płomieniach.

Kamera pokazała teraz w zbliżeniu nadjeżdżającą ulicą kolumnę ambulansów, niektóre z nich były cywilne, inne wojskowe. Nad wszystkim nadal łopotały dwa śmigłowce.

Z budynku wybiegły dwie skrwawione kobiety, próbując po drodze zebrać ile tylko się dało dezorientowanych i równie pokrwawionych dzieci.

Nastąpiła kolejna długa bezładna strzelanina, a kamera najechała na dwójkę dzieci, skaczących z okna pierwszego piętra w ucieczce przed ogniem.

Hazel nacisnęła na guzik pilota i telewizor zgasł.

- Dość. Nie w moim domu.

#### 4

Wschodziło słońce, siedziałem z Silky na werandzie i słuchając niekończących się analiz i komentarzy radiowych na temat tego, co stało się wczoraj, obierałem pomarańczę za pomarańczę, które Silky miała potem włożyć do sokowirówki. Jako wyraz wdzięczności za gościnę, mogliśmy przynajmniej przygotować zdrowe śniadanie dla wszystkich, miałem też nadzieję, że trochę ono wszystkich rozrusza. Po tym jak Hazel wyłączyła telewizor, zapanowała raczej przygnębiająca atmosfera. Pomogliśmy pozbierać ze stołów, prawie w milczeniu, i poszliśmy spać. Hazel nie była szczęśliwa ze sposobu, w jakim świat zewnętrzny wkroczył nieproszony do jej domu, Charlie też był spięty, zasępiony.

- Słyszysz? - zaszepotała Silky - Oceniają straty na sześćdziesięciu

zabitych i stu sześćdziesięciu rannych. - Przeląła sok z kilku kolejnych pomarańczy do dzbana. - To ponad połowa wszystkich, którzy byli w budynku. Potworne.

- Wcale nie, nie wiesz, jak mogą się kończyć takie oblężenia. - W rogu wybiegu stary ogier fundował sobie poranną kąpiel w pyle. - W takich sytuacjach powinno się od razu zakładać, że mogą zginąć wszyscy.

Wtedy nawet jeden jedyny uratowany będzie już wygraną.

Przestała wyciskać sok i wyprostowała się.

67

- Nie mogę przestać myśleć o tym biednym dzieciaku, tym z oparzeniami. Widziałeś, jak ten żołnierz go trzymał?

Porozdzielałem na części kolejne owoce i przepuściłem przez maszynkę. Tyle owoców, a tak mało soku.

- Budynek musiał być cały zaminowany, widzieliśmy tylko, jak wybuchł jeden ładunek. Dziwię się, że ofiar nie jest więcej.

-Ale ci wszyscy żołnierze nie mieli chyba żadnej kontroli. Nie mieli pojęcia, co robią.

- Wiesz, gdy straty wynoszą tylko dwadzieścia procent, uważa się to za sukces. Ci żołnierze reagowali jedynie na sytuację, obojętnie czy to, co robili było słuszne czy nie.
- Straty? Co to znaczy? Zabici? Zdaje się, że jak na blacharza, strasznie dużo o takich rzeczach wiesz...
- Czy wy, ćwoki, nie czytacie „Timesa”?

Silky wykrzywiła się do mnie i powróciła do swojego zajęcia.

- Ty wyraźnie nie. Czytasz tylko takie pisma, które na okładce mają spadochrony.

Nadal się śmiałem, gdy w drzwiach pojawiła się w szlafroku Hazel. Włosy miała w nieładzie, oczy czerwone i błyszczące. Silky zerwała się na równe nogi.

- Coś się stało, Hazel?

Po policzku Hazel spłynęła łza. -Znikł.

•Znikł? - zapytałem - o czym ty mówisz?

•Nie ma go.

W tym momencie tysiące myśli przeleciało mi przez głowę, wszystkie z prędkością światła. Po obejrzeniu w telewizji wiadomości, Charlie zamknął się w sobie. „Te sprawy bardzo Hazel zaburzają” - powiedziałem. „Taka jest od śmierci Stevena” - odpowiedział. „Nie chce dopuścić do siebie świata takiego, jakim jest, chce ochronić nas tu od powtórnego bólu. Po to jest ten dom”.

Przypomniałem sobie, że cały wieczór był w posępnym nastroju, ale zwałem to na piwo, coraz bardziej wyglądało na to, że może mieć problemy z alkoholem. I ta cała gadka z dobijaniem

68

koni... kurwa, chyba nie przyszło mu do głowy pojechać sobie gdzieś w środku nocy i się zabić? Przecież nie byłby pierwszy. Silky otarła ręce o dżinsy i objęła Hazel.

- Charlie dokądś sobie poszedł? Napijesz się kawy, a może herbaty?

Spojrzałem w kierunku miejsca, gdzie po tej stronie domu parkowano samochody. Brakowało land cruisera.

- Może pojechał po croissanty? - uśmiechnąłem się do niej szeroko. - Jakies tysiąc mil stąd widziałem po drodze małą pie

karnię.

Silky, przytulając Hazel, spojrzała na mnie z wyrzutem.

- To wcale nie jest śmieszne, Nick. Racja. Nie teraz, i nie tutaj.
- Przepraszam. Jesteś pewna, że nie zostawił jakiejś kartki? Potrząsnęła przecząco głową.

- Tobie nic nie powiedział? Tak długo rozmawialiście tu na zewnątrz.

Silky próbowała nakłonić Hazel, aby usiadła, a jej głowa odkręcała się raz w moją, raz w Hazel stronę.

- Czy ktoś mi może powiedzieć, o co tu chodzi?
- Później. Dotknąłem jej ręki.

Udało się. Hazel w końcu usiadła, a Silky zniknęła wewnątrz domu, aby przygotować obiecaną herbatę.

- Boję się, że coś się stało, Nick. Gdy kładliśmy się, był jakby nieswój. Jesteś pewien, że nic ci nie powiedział?

Silky pojawiła się ponownie w drzwiach.

- Hazel, telefon dzwoni. Chcesz, abym...?

Hazel już była w drodze. Silky spojrzała na mnie pytająco. Ale ja wolałem słuchać, nie mówić.

Ruszyłem do drzwi, ale Hazel już była w drodze powrotnej.

- To była Julie. Land cruiser stoi na stacji kolejowej. Nick, co się dzieje? Wszystko rozpada się znowu w gruzy, ja to wiem...

Wtuliła twarz w koszulę na mojej piersi, wczepiła się we mnie jak tonąca. W końcu uniosła głowę.

- Nick, proszę cię, pomóż mi go znaleźć. Błagam...

Nawet przy zamkniętych drzwiach rej wach, jaki robiły dzieci Julii przenikał do gabinetu jej ojca. Przez wrzaski i stukot małych stóp po drewnianej podłodze przebijały się głosy z kreskówek w telewizorze.

Spojrzałem znad biurka na Hazel.

- On nie zrobił nic głupiego, to nie w jego stylu, wiesz o tym.

Przytaknęła skwapliwie, tak jakby chciała w ten sposób w to bardziej, niż była w stanie uwierzyć.

- Modlę się, żebyś miał rację, Nick. Chcę, aby wrócił.

Zdażyła mi już powiedzieć, że od kilku tygodni Charlie cierpiał na depresję, i że jej napady zdarzały się ostatnio coraz częściej i były coraz poważniejsze. Tak bardzo chciała wierzyć, że Charlie nie siedzi teraz gdzieś w buszu i w sposób ostateczny nie rozprawia się z mrokami swojej duszy.

- Przynajmniej mi, że go odnajdziesz - w jej głosie było zagnębienie i bezradność. Przebrała się już, ale włosy jej nadal były w nieładzie i w ciągu ostatniej godziny stoczyła zbyt wiele przegranych potyczek z napadami płaczu. Nigdy jeszcze nie widziałem jej tak rozbitej; zrobiłbym wszystko, aby na jej twarz wrócił uśmiech.

Pochyliła się, aby włączyć przechodzony komputer. Słuchałem dźwięku łączącego się z siecią modemu. Oczywiście nie zamie-

nieświadomie powiedziałem coś, co było kroplą, która przebrała miarę.

- Hazel, wracaj do Julie; zawołam cię, jak coś znajdě.

Gdy wychodziła z pokoju, w komputerze rozległa się sygnaturka Windows, po czym włączył się MSN.

Gabinet był wybitnie skromnie urządony - biurko, krzesło obrotowe, na którym siedziałem, szafka na dokumenty, i to by było na tyle. Żaluzje w oknach wpuszczały do środka pasy światła. Intensywnie pachniało drewnem.

Monitor przede mną oklejony był dziecięcymi nalepkami, na podkładce pod mysz królował Shrek. Szklanka ze szlaczkiem wypełniona zaostrzonymi ołówkami i długopisami służyła jednocześnie za przycisk do papieru.

Do ścian przyklejone były zdjęcia rodzinne. Nie zdziwiło mnie, że nie było wśród nich ani jednego z okresu służby Charliego w SAS-ie. W Pułku służyły jedynie dwa rodzaje facetów: ci, którzy nie ujawniali ze swojej przeszłości absolutnie nic - żadnych dyplomów, świadectw awansów, żadnych bagnetów albo starych AK 47 dyndających na ścianach. Robota robotą, a dom domem. I byli również tacy, którzy chcieli, żeby te wszystkie świadectwa podziwiał cały świat.

Wziąłem do ręki kufel z przykrywką, każdy otrzymywał taki przed opuszczeniem jednostki. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie podziałem mój. Starszy sierżant szwadronu, gdy dostał ode mnie potrzebne papiery, wręczył mi go, jakby po namyśle. „Poczekaj” - powiedział - „o ten, myślę, że ten jest dla ciebie” - pogrzebał chwilę pod biurkiem i wręczył mi pudełko. I już. „Do widzenia”.

Facet był w porządku. To ja podjąłem decyzję o odejściu. Jak tak robisz,

to cię nie ma i już. Nie istnieją żadne kluby weteranów albo roczne zloty czy podobne pierdółki.

Przeczytałem inskrypcję i musiałem się zaśmiać. Dla Charliego. Powodzenia. Szwadron B. Jak na standardy Herefordu, była niebywale uczuciowa.

71

Przejrzałem papiery, które leżały pod kuflem; rachunki za paszę i za ogrodzenie do zapłacenia, ze dwa za wywóz śmieci, już grubo po terminie zapłaty.

Zacząłem grzebać w komputerze. Jedyne dokumenty na pulpicie dotyczyły gorących okładów na końskie kopyta i kursu wymiany dolara australijskiego na turecką lirę. Wiedziałem, że w podróży poślubnej byli na Cyprze. Może Charlie planował niespodziankę w postaci powtórnej tam wizyty? Może po prostu pojechał do miasta odebrać bilety.

W skrzynce z e-mailami również nie było za dużo. Większość z listów stanowiła codzienna wymiana listów Hazel z Julie i chłopakami, mimo że mieszkali od siebie o rzut beretem. Ciekawe, jak to jest być częścią tak silnej komórki rodzinnej. Może czasami robi się ciasno. Może Charlie potrzebował chwili wytchnienia. Starczy, zaczynałem brzmieć jak Silky.

Następną godzinę poświęciłem na przeszukiwaniu folderów, ale niczego nie znalazłem. Wszedłem na sieć. Historia połączeń wyszukiwarki była wymazana. Co to mogło oznaczać - że Charlie coś ukrywał, czy że po prostu był porządny? W każdym razie, jeśli planował coś, o czym Hazel miała nie wiedzieć, nie zostawiałby w komputerze żadnych wyraźnych tego śladów.

Szafka miała cztery szuflady. Wysunąłem dolną, P-Z, i wyciągnąłem

teczkę oznaczoną T. Charlie mógłby być z siebie dumny. Rachunki telefoniczne z ostatnich dwóch lat nie tylko były w porządku chronologicznym, ale podzielone również tematycznie. Wysunąłem parę ostatnich i przebiegłem po nich wzrokiem.

Szybko znalazłem tam pewną regularność.

Przez ostatnie dwa miesiące, z nasilającą się częstotliwością, wykonane zostały rozmowy zagraniczne na kierunkowy 01432 w Wielkiej Brytanii.

Spojrzałem na zegarek. Było zaraz po dziewiątej, tam będzie nadal wieczór.

Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer.

CZEŚĆ

TRZECIA

1

- Hereford - ktoś postukał mnie palcem w plecy - chciał pan wiedzieć, kiedy będziemy w Hereford.

Z trudem otwierałem oczy. Nie zdałem sobie nawet sprawy, że pociąg stanął. Szczęście, że poprosiłem wcześniej tę starszą panią siedzącą naprzeciw, aby mi przypomniała, inaczej obudziłbym się w Worcester.

Podziękowałem i czując się jak zombi, ruszyłem ku drzwiom. Po ponaddwugodzinnej podróży z Paddington, przesiadłem się w Newport na lokalną kolejkę dojazdową do „H”, jak to się mówiło w Pułku. Jeszcze

zanim opuściliśmy Londyn, powieki mi opadały, a broda nieustannie ciążyła ku klatce piersiowej. Za dużo pokonanych stref czasowych i tysięcy kilometrów, przebytych w niemal bydlęcych wagonach.

Dodatkowo ciążyło mi i sumienie, że nakłamałem Silky. „Pójść na stację zobaczyć, czy czegoś nie zostawił w przedziale” to niedokładnie to samo, co „rozmawiałem z jego agentem, i wyglądało na to, że przyjął jakąś propozycję pracy, lecę więc na drugą półkulę, aby dowiedzieć się czegoś więcej. A co do tej starej śpiewki, że wieczorem będę z powrotem, w rzeczywistości o tej porze znajdować się będę na wysokości 30 tysięcy stóp nad Singapurem; poza tym wszystko, co powiedziałem, jest szczerą prawdą, jak babcię kocham”. Co innego mogłem zrobić? Jedy-

## 75

nym sposobem, żeby dowiedzieć się, gdzie podział się Charlie, było zrobienie tego osobiście. Agent niewiele mógł mi pomóc. Był od przydzielania właściwym ludziom właściwej roboty, a nie od mówienia im, aby poszli sobie do domu. Jedynym sposobem ściągnięcia Charliego z powrotem na łono rodziny było dorwanie tego starego głupiego dziada osobiście wybadanie się, w czym dokładnie leżał jego problem, a potem zorientowanie się, czy mógłbym mu jakoś pomóc.

Może przez to, że po raz pierwszy od trzech miesięcy nie było przy mnie Silky, dopadło mnie okropne uczucie tęsknoty za nią. Ten jej głupi akcent, ta irytująca umiejętność lepszego ode mnie - w większości przypadków - rozumienia ludzi, jednak przywykłem do niej, wcale nie było mi z nią źle. Łatwo przełknąć tego całego kłamstwa oczywiście nie mogła, ale Hazel pewnie jej już wyjaśniła, a ja zrekompensuję jej wszystko, jak wrócę. Jak kiedykolwiek wrócę. Jak ona jeszcze tam będzie.

Zszedłem na peron, z torbą w rękę, ścierając z przodu mojej kurtki lotniczej resztki śliny. Starsza pani musiała pomyśleć, że byłem nawalony.

Poszedłem w stronę postoju taksówek. Niewiele chyba się tu wokół zmieniło. Naprzeciw dworca wybudowano nowy supermarket, ale to chyba było wszystko.

Wsiadłem do taksówki i poprosiłem o zawiezenie mnie do Bobblestock. Kierowca, grubo po pięćdziesiątce, ze znanstwem przyjrzał mi się w lusterku swojego peugeota 405.

- Z daleka, co?

Miejscowi bardzo byli szczęśliwi, że w miasteczku była baza Pułku, i to nie tylko z powodu ilości wydawanych tu przez chłopaków pieniędzy. Ten gość wyciągał całkiem błędne wnioski na temat opalonego faceta, który wyglądał, jakby się przespał w stogu siana.

- Mm - próbowałem rozruszać mięśnie twarzy. - Nie pamiętam nazwy ulicy, ale pokażę panu, jak już będziemy w pobliżu.

76

Zauważyłem nowy pub i kilka sklepów, których tu wcześniej nie było, ale poza tym Hereford wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Opuściłem Pułk w 1993 roku i od tego czasu tu nie byłem. Pozostało mi jedynie konto w Halifaxie. Ciekawe, jakie przez ten czas urosły procenty z 1,52 funta.

Bobblestock było jednym z pierwszych osiedli, jakie wyrosły na obrzeżach miasta za czasów Thatcher. Wszystkie domy były z cegły i wyglądały jakby przytulone do siebie, aby było im cieplej. Cała okolica, gdzie na dom przypadało 2,4 dziecka, mon-deo na podjeździe, niewielki ogród z tyłu, a z przodu trawnik tak mały, że można go było przycinać

nożyczkami, miała tyle uroku, co pokój w Holiday Inn. Deweloperzy musieli zarobić fortunę, za którą kupili sobie pewnie przyjemne stare posiadłości w okolicznych wioskach.

Stuknięty Dave mieszkał na wzgórzu, które - z czego był dumny - było trzecią fazą budowy. To był jedyny, ale chyba wystarczający znak rozpoznawczy, o jakim wiedziałem.

-To tutaj.

Zatrzymaliśmy się przed prostokątem z cegły, którego przedłużenie stanowił garaż, wyglądający jak gdyby zrobiony z pudełek. Dom na prawo nosił nazwę Byeways, dom na lewo nazywał się The Nook. A dom Stukniętego Dave'a miał po prostu numer. Typowe. Stuknięty Dave był w oddziale morskim szwadronu A. Znałem go bardziej z kawiarni w mieście niż z roboty. Obaj mieliśmy zwyczaj spędzać tam niedzielne przedpołudnia. Pijąc kawę, jedząc grzanki i przeglądając dodatki do gazet. On robił to, aby uniknąć żony, ja, bo żony nie miałem.

Stuknięty Dave dorobił się takiego przezwiska właśnie dlatego, że stuknięty nie był; był całkowicie zwyczajny i normalny. Równy chłop, który najpierw długo myślał nad usłyszanym dowcipem, zanim w końcu powiedział „Aha, rozumiem. Śmieszne”. Przez cały czas naszej znajomości nigdy nie zrozumiał, co było śmiesznego w tym, że ktoś posrał się komuś w śmigłowcu. Ale mimo jego wszystkich wad, właśnie dlatego, że był prosty jak

**77**

drut, świetnie nadawał się do swojego nowego zadania. Kluczem była dyskrecja. Gdy zapytałem go przez telefon o Charliego, przyznał, że słyszał o nim, ale nie chciał mi ujawnić, gdzie i kiedy. Ale jak chcę,

możemy pogadać przy piwie, kiedy bądź. No to jestem.

Przed domem nie widać było samochodu, ale przez okna bawialni zobaczyłem jakiś ruch wewnątrz. Zapłaciłem taksówkarzowi i poszedłem betonową rampą, która była tu zamiast schodów.

Zadzwoiłem do drzwi, które otworzyły się niemal natychmiast, bo z domu wychodziło właśnie dwóch facetów. Wyglądali młodo i zdrowo, wyraźnie właśnie opuścili Pułk albo mieli to niedługo zrobić. Obaj odziani byli, podobnie jak ja, w buty firmy Timberland, skórzane kurtki oraz dżinsy.

Wyszli, zamknąłem za sobą drzwi. W głębi na wprost miałem schody, wyposażone w podnośnik dla wózków inwalidzkich.

Z parteru, gdzieś z lewej strony, dobiegł mnie głos Dave'a:

- Prosto, chłopie, z tyłu na dworze.

Wszedłem do skromnie urządzonej bawialni - linoleum na podłodze, sofa i dwa fotele, wielki telewizor, i to wszystko. Dużo pustej przestrzeni. Otwarte do ogrodu przeszklone drzwi.

- Jestem w garażu.

Zszedłem po kolejnej rampie i przeciąłem niewielki trawnik, kierując się ku podwójnym drzwiom w ścianie garażu, niedawno wstawionym, sądząc po rozmazanej zaprawie wokół wystających cegieł.

Garaż przerobiony został na biuro. W miejscu dawnych podnoszonych drzwi stała ściana, okien nie było. Stuknięty Dave siedział za biurkiem. Nie wstał na przywitanie. Nie mógł.

Podszedłem i uścisnąłem mu rękę.

- Coś sobie, do cholery, zrobił?

Stuknięty Dave wyjechał z za biurka swoim nowoczesnym aluminiowym wózkiem inwalidzkim.

- Nie to, co myślisz. Na M4 najechał na mojego suzuki estoński kierowca ciężarówki i wykonałem efektowną trasę. Rąbnąłem w barierkę rozdzielającą pasy, a potem zwiedziłem niezły kawałek przeciwnego pasa. Pół roku w szpitalu Stoke Mandeville. Nogi mam spieprzone. Nadal jeszcze ląduję regularnie w szpitalu, jak jakieś krwawiące jo-jo. Wymiana płytek; chyba nie mają bladego pojęcia, co robią. - Zlustrował mnie wzrokiem - A niech mnie, i ty wcale dobrze nie wyglądasz. Masz ochotę na herbatę?

Nie czekając na odpowiedź, przetoczył wózek obok zlewu w stronę czajnika w kącie.

- Musiałem więc skończyć z Pułkiem, byłem za dużym kaleką, abym nadawał się nawet na głupiego oficera. Dostałem rentę inwalidzką, ale z trudem wystarcza. A potem na moim talerzu wylądowało to. Głupotą byłoby nie skorzystać.

W okolicach Hereford zawsze plątał się jakiś agent pośrednik. Musiał być byłym członkiem SAS-u, aby znać ludzi - kto tam wstępował, kto opuszczał jednostkę, a jeśli by nie był, musiał znać kogoś, kto w jednostce był.

79

Usłyszałem, jak stuka kubkami.

- Musiałem oczywiście przebudować ten garaż na fortecę.

Drzwi mają opuszczaną kratę, są kuloodporne, ze względu na

cały sprzęt tutaj. - Machnął głową w kierunku biurka.

Wszystko, co na nim było to telefon, notatnik i dwa pudełka prostych fiszek zrobionych z czystych kartek pocztowych, ale dla kogoś, kto chciałby wiedzieć, która firma czym się zajmowała, były więcej warte niż ciężarówka pełna AK 47.

- I jak ta praca wygląda, Dave? Nigdy nie byłem u agenta.

- Przychodzą albo dzwonią kołesie i mówią, że szukają roboty.

Zapisuję dane o nich na fiszce i wkładam do pudełka z napisem

„Do wzięcia”. Widzisz to drugie pudełko? Ono jest na „Bagnety”.

To ci, co są właśnie na zadaniu.

Miałem nadzieję, że woda się wkrótce zagotuje. Sprawy administracji mogły Dave'a fascynować, ale ja wiedziałem już wszystko, czego chciałem.

Nie ma lekko. Oczy mu się zaświeciły. Może jednak był stuknięty? Był jak obsesyjny miłośnik pociągów, którego poproszono o oprowadzenie po Orient Ekspresie.

- System jest prosty. Firma dzwoni i prosi na przykład o czterech medyków i jednego specjalistę od demolki. Zaglądam do pudełka „Do wzięcia” i przeglądam fiszki od początku, aż znajdę to, co potrzebne. Dzwonię do ludzi. Jeśli są chętni na robotę, przenoszę ich fiszki do pudełka „Bagnety”, jak nie, kartki wracają na swoje miejsce. Jak skończą robotę, i jeśli nadal chcą u mnie figurować, ich fiszki wędrują na koniec pudełka oczekujących na robotę.

Co miałem na to powiedzieć? Spojrzałem na niego z wyrazem twarzy, który, mam nadzieję, weźmie za bezbrzeżny zachwyty.

Nareszcie w sukurs przyszedł mi czajnik. Gdy siadałem na krześle

naprzeciwko biurka, Szalony Dave już wyciskał szybko torebki z herbatą. Podjechał do mnie, trzymając oba kubki w jednej ręce. Do wyboru miałem kubek z jajkiem wielkanocnym Smarties albo z Thunderbirdem 4. Wybrałem Smarties, był mniej poobijany i zaplamiony.

80

- Co więc chcesz wiedzieć o Charliem?
  - To dinozaur, Dave; jest na to wszystko po prostu za stary. Hazel chce, aby wrócił do domu.

Wymanewrował wózkem i wrócił z powrotem za biurko.

- Więc ona nadal wytrzymuje z popaprańcem? Przytaknąłem.
- A propos, twoje dzieciaki są OK? Usiadł wygodnie i pociągnął łyk herbaty.

- Opuściły już dom, dawno po ślubie, stary. Chłopak jest w Londynie i pieprzy się z jakąś polską modelką, a córka wyszła za jakiegoś wsiocha. Mają ładną chałupę w mieście.

Dave mieszkał tu już ponad trzydzieści lat, ale nadal nazywał wszystkich wsiochami, jak gdyby właśnie się tu zjawił z wielkiego miasta.

Pociągnąłem łyk mojej herbaty i niemal wpadłem w szok. Trzy czwarte stanowił cukier. Dave uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nawet eks-żonka wyszła za wsiowego, miejscowego gliniarza. A co u ciebie, Nick? Ożeniłeś się? Rozwiedziony? Dzieci?

Całe to nieszczęście, podejrzewam...

Potrząsnąłem głową z uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nadal mam tam w Australii niemiecką na rzeczoną, bo zostawiłem ją dość nagle, przez ciebie. Z pewnością jest pod wrażeniem.

Uśmiechnął się ponownie.

- Ci durni Niemcy zawsze się ze wszystkim obcyndalają.

Mogłem pokusić się i pójść dalej w wyznaniach. Mogłem powiedzieć mu o Kelly - znał jej ojca, Kevina. Ale gadka o takich sprawach była już skończona, byłem tu po to, aby znaleźć Char-liego.

- Dałbyś mi jakąś wskazówkę, gdzie ten skurczybyk się podziewa? Przyrzekłem Hazel, że przemówię mu do rozumu. Wiesz, jak to jest.

Dave uraczył mnie uśmiechem, który mówił, że owszem, wie, i że podobne pytania zadawano mu już setki razy.

81

Wiesz dobrze, stary, że nie mogę ci nic zdradzić. Taką mam umowę z firmami: nie chcą, aby ktokolwiek wiedział, co aktualnie mają na tapecie. A jeśli każdy zacząłby spadać do domu, jak tylko żonka zawoła, nie byłoby komu robić.

Odstawił kubek i chwycił za oparcia wózka. Podniósł się kilka centymetrów nad fotelem i trwał tak dobrą chwilę, może miało to coś wspólnego z krążeniem albo z zapobieganiem robieniu się odleżyn na tyłku.

- A co z tobą, Nick? Nie słyhać o tobie w kręgach. Co porabiasz?
- No wiesz, takie tam... - wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. - Słuchaj, Dave. Nie muszę wcale wiedzieć, co dokładnie robi Charlie. Potrzebuję tylko zatelefonować do Hazel i powiedzieć jej, że z nim rozmawiałem.

Odstawił herbatę i podjechał do mnie tyłem.

- Przykro mi, stary, ale w tej kwestii masz przejebane. Abstrahu

jąc od wymogów bezpieczeństwa, co będzie, jak namówisz go na powrót w domowe pielesze? Musiałbym znaleźć zastępstwo. Poza tym, on aż jęczał o robotę. Ja go tu przecież wcale nie ściągałem.

Obrócił wózek i skierował się do drzwi.

- Słuchaj, teraz muszę zwalić kupę. Próbowałem zainstalować tu toaletę, ale mi sukinsyny nie pozwolili. Wyjechał na zewnątrz i zjechał z rampy.

- Hej, Nick, popatrz!

Podszedłem do drzwi w chwili, gdy poderwał do góry przednie koła i obrócił się o 360 stopni.

- Muszę zamknąć, stary. Chcesz poczekać i skończyć herbatę w pokoju? Może napijemy się później piwka?

Wyszedłem za nim i patrzyłem, jak zamyka garaż jednym z pół tuzina innych kluczy na pęku.

Przenieśliśmy się do bawialni, a on podjechał dalej do podstawy schodów. Usiadłem, podczas gdy Dave ustawił się na podeście windy. Wybrał teraz inny klucz z pęczka, włożył do przełącznika w ścianie i obrócił. Wózek wolno powędrował w górę.

## 82

- Dave, potrzebujesz pomocy?

- Nie, wszystko na górze jest urządzone jak u małpy w klatce. W chwili, gdy usłyszałem, jak zamykają się drzwi łazienki, zerwałem się na nogi i już byłem w drodze do kuchni. Ani śladu skrzynki na korki. Zajrzałem do szafki pod schodami. W porządnej plastikowej skrzynce znalazłem tam dwa rzędy przełączników, ale żaden z nich nie był opisany. A co tam, wyłączyłem główny bezpiecznik.

Złapałem pęk kluczy wiszący przy przełączniku dźwigu i pognałem do garażu.

Fiszka Charliego była na samym przodzie w pudełku z „Bagnetami”. Nie było na niej nic o tym gdzie, dla kogo i co za zadanie wykonywał, jedynie informacja, że Dave zamówił mu hotel w Stambule.

Zamknąłem garaż i wróciłem do bawialni.

- Nick, nie ma tu prądu, jesteś tam?
- Idę, co się stało?

Włożyłem klucz na miejsce w momencie, gdy Dave przesiadał się z innego wózka na szczycie schodów i docierał do dźwigu. Jak ślepiec poszukiwał ręką przycisku.

- Widzisz, nawet nie mogę się wysrać w spokoju. Zapal jakieś światło, sprawdź, czy nie wysiadł prąd.

Przekręciłem wyłącznik światła w holu.

- Gdzie są bezpieczniki?

Dave powiedział mi gdzie, i poszedłem w ich stronę. Parę sekund później piecyk mikrofalowy w kuchni wydał dźwięk ostrzegający o przerwie w dopływie prądu, a Dave zaczął zjeżdżać na dół.

- Dave, przykro mi, ale nie mogę zostać na piwo. Jak Charlie się odezwie, powiedz mu, żeby zatelefonował do domu - Hazel coś tam zgubiła, i on jeden wie, gdzie to coś się znajduje.

### **3**

Stambuł Czwartek, 28 kwietnia

Pierwsze, co zawsze zauważam w nowym kraju, to zapach. W hali przylotów na międzynarodowym lotnisku Ataturk silnie pachniało płynem

po goleniu, w taksówce -jeszcze mocniej papierosami. Od opuszczenia przez nas lotniska taksówkarz już zdążył zapalić drugiego.

W ruchu panował chaos, a na dodatek wszystkiego taksówkarz między jednym zaciągnięciem się a drugim wtórował głośnej muzyce arabskiej, płynącej z radia. Ciągłe odwracał do mnie głowę w poszukiwaniu aplauzu, jakbym był Simonem Cowellem i już byłem gotów podpisać z nim miliardowy kontrakt. Podczas zmieniania pasów szklany talizman „dobre oko” zawieszony na lusterku kołysał się gwałtownie. Miałem nadzieję, że w równym stopniu, co przed złymi duchami, chronił przed materialnymi ciężarówkami, oczy kierowcy bowiem rzadko skierowane były na drogę przed nami.

Każdy etap tej podróży był koszmarem, z Australii do Hereford, z Hereford do Stansted, stamtąd do Turcji. Już sam Stansted zasługuje na jakieś wyróżnienie. Miałem wrażenie, że spędziłem tam więcej czasu niż w samolocie z Brisbane.

Do Stansted pojechałem bezpośrednio od Dave'a, nie sprawdzwszy godzin odlotów. Miałem nadzieję, że bez trudu załapię się na któryś z tych wielkich transportowców. Oczywiście przy e-

## **84**

chałem w godzinę po odlocie ostatniego i musiałem spędzić noc w poczekalni, wyciągnięty na krzesłach, które miały leżenie na nich uniemożliwiać. I ponieważ byłem tam tak późno, nie załapałem się też na ostatnią bagietkę w jedynej otwartej kawiarni. Zadowolilem się czterema paczkami chipsów i dwiema dużymi kawami, które miały utrzymać mnie w stanie czuwania przez całą noc.

Mimo że było zimno, szaro i wietrznie, trzymałem okno taksówki

otwarte, po części ze względu na przewiew, po części w nadziei, że pomoże mi to w przypadku kraksy. W końcu cali i zdrowi dojechaliśmy do hotelu Barcelo Eresin Topkapi. Cała podróż trwała jedynie przez trzy papierosy.

Nie miałem czasu sprawdzić w internecie, co to był za hotel, ale wyglądał teraz całkiem okazale. Czteropiętrowy budynek z półkolistym podjazdem spokojnie mógłby stać między grand hotelami wzdłuż Croisette w Cannes.

Wielki transparent nad wejściem witał architektów z Niemiec na ich ważnej konferencji. O ile dobrze zrozumiałem, oczywiście. Wszystko, czego będąc żołnierzem piechoty nauczyłem się po niemiecku, siedząc dwa lata w Sennelager, było jak zamówić piwo i pół kurczaka z frytkami, zwykle dostawałem dwie porcje, bo zapytany czy chcę jakieś dodatki, zamawiałem danie jeszcze raz.

Zapłaciłem i przez wielkie, automatycznie otwierane szklane drzwi wszedłem do lobby. Sznurowa barierka nakierowała mnie na wykrywacz metalu, być może mieli tu nadal kaca po atakach bombowych w 2003 roku. Tak czy inaczej, ochroniarz, którego koszula była przynajmniej trzy numery za duża jak na jego szyję, machnął ręką, abym szedł dalej, i zabrał się za dwóch miejscowych, wchodzących za mną.

Na prawo od recepcji trzy albo cztery blondynki tłoczyły się w przenośnym stoisku wystawowym. Za nimi wywieszane były zdjęcia szklanych, nowoczesnych budynków, a one biedne ledwie mogły się ruszyć, by sięgnąć po torebki z materiałami reklamowymi, stojące po obu stronach stoiska. Najwyraźniej architektom zafundowano powitanie najgorętsze z możliwych.

Całe lobby było urządzone wyłącznie z ciemnego drewna i jasnego marmuru. Szedłem dalej, szukając wzrokiem tabliczki, która kierowała do baru, kawiarni, nawet do toalety - wszystko jedno, bylebym wyglądał na kogoś, kto wie, dokąd idzie.

Skierowałem się ku wielkiemu skórzanemu fotelowi na końcu skrzydła, w pobliżu marmurowych stopni, gdzie ludzie pili herbatę. Zamówiwszy podwójne espresso, walczyłem z nagłą potrzebą oparcia głowy o fotel - nie trzeba było wiele, abym zapadł w sen.

Na kawę czekałem wieczność, ale trudno. Czekałem i obserwowałem. Właśnie prosto do powitalnego stoiska kierowano jakąś grupę, która wytoczyła się z eleganckiego autokaru o pluszowych fotelach.

Wziąłem do ręki broszurę reklamującą hotel i poczytałem o jego zaletach: „Dystansuje się do i z następujących interesujących miejsc: jedynie trzy kilometry od Wielkiego Bazaru, Błękitnego Meczetu i Meczetu Sulejmana oraz pałacu Tokapi”. Wszystkie pokoje mają „luksusowe łazienki”, a ponadto „własna prywatna zmuszarka do włosów są wszystkie indywidualnie dla ciebie”. Doprawdy, ten Charlie to ma szczęście...

Nigdy dotąd nie byłem w Stambule. Wiedziałem tylko, że na dworcu kolejowym dokonywano wymiany złapanych szpiegów, i że tutaj, przed swoją dalszą podróżą przez Bosfor, zatrzymywał się Orient Express. Co się tyczy samych Turków, ciągle dzwoniło mi w uszach to, co powiedział mój ojczym. „Zatrzymasz się na chwilę, a już podwędzą ci sznurowadła” - tak miał zwyczaj mówić o wszystkich na wschód od Calais. Podejrzewam, że tak kiedyś nawet mogło być, ale teraz żadnego gwarnego bazaru, pełnego

oszustów i złodziei jakoś za oknem nie widziałem. Widziałem szczupłe kobiety w zachodnich strojach i nowoczesne tramwaje sunące po szerokich, usianych eleganckimi sklepami bulwarach. Można było pomyśleć, że jest się w Mediolanie. Na nowszych samochodach widać było na tablicach rejestracyjnych niebieskie pola, Turcy optymistycznie przygotowywali się do członkostwa w Unii Europejskiej.

86

Rozejrzałem się za moją kawą. Może spróbować jednak zadzwonić do Charliego.

Gdy wreszcie ją dostałem, pociągnąłem łyk z filiżanki wielkości naparstka i zlustrowałem wzrokiem kabiny telefoniczne między recepcją a windami. Zadzwoniłbym do Charliego i powiedział, że jestem na dole. Gdyby nikt nie odebrał, poczekałbym na ulicy, mając hotel na oku, dopóki nie wróci, co miałem nadzieję, nastąpiłoby szybko, ponieważ za chwilę i tak chcąc nie chcąc zasnę.

Powinienem zadzwonić do Silky i Hazel? Nie rozmawiałem z nimi ani nie e-mailowałem od czasu opuszczenia Brisbane. Lepiej poczekać, aż będę miał jakieś konkretne wiadomości, wmawiałem sobie, bo tak naprawdę chciałem jak tylko się dało najdłużej uniknąć wyjaśniania Hazel, gdzie się znajdowałem.

Włożyłem parę banknotów pod spodeczek i poszedłem w stronę telefonów. Gdy brałem do ręki słuchawkę, usłyszałem sygnał windy. Obok mnie przeszedł tłumek Turków i Niemców, wymachując reklamówkami z materiałami konferencyjnymi.

- Halo, konferencja architektów? - uśmiechnąłem się szeroko, co na pewno zobaczą po drugiej stronie linii - Jestem angielskojęzycznym

organizatorem, stoję tu przy recepcji i pan Charles Tindall poszedł na górę bez swojej torby z materiałami... czy mógłbym być z nim połączony? - Przerzuciłem wyimaginowany notes -jest w... zaraz zobaczymy... pokoju 106, a może to jest 206? Nie mogę odczytać jego pisma.

- Pan Tindall jest pod numerem 317. On jest z konferencją?
- Mam dla niego pakiet powitalny. O, właśnie idzie... Bardzo dziękuję za pomoc... Panie Tindall, pańskie...

Odłożyłem słuchawkę i w parę sekund potem naciskałem już guzik windy.

#### 4

Szerokim, wysłanym dywanem korytarzem skierowałem się ku pokojom 301-321. Pokój 317 znajdował się prawie na końcu, po lewej stronie, jego okna musiały więc wychodzić na bulwar. Na klamce wisiała wywieszka „Nie przeszkadzać”. Zapukałem i cofnąłem się o krok, tak aby mógł mi się dobrze przyjrzeć w wizjerze.

- To ja, Nick - uśmiechnąłem się szeroko. Drzwi otworzyły się.
- Przyszedłem oddać te trzy funty, które jestem ci winien. Charlie miał na sobie džinsy i sweter, który niechybnie kupił w sklepie dla daltonistów. I uśmiech miał również dziwny, podobnie musiał chyba uśmiechać się facet, który mu go sprzedawał. Podczas gdy zaganiał mnie szybko do środka, nie byłem w stanie ustalić, czy uśmiech ten wyrażał zdziwienie czy złość.

Wszedłem do dużego, ładnie urządzonego pokoju, w którym dominowało mahoniowe łóżko oraz okno szerokie na całą ścianę. Właśnie słychać było przejeżdżający na zewnątrz tramwaj.

Charlie nie zdążył nawet rozpakować bagażu, który leżał teraz otwarty na łóżku, ujawniając swoją zawartość w postaci przyborów do mycia i golenia oraz kilku par skarpetek. Na stoliku obok telewizora stał za to włączony czarny laptop.

Charlie trzymał się mnie blisko.

## 88

- Te, nie mów mi, że jesteś przejazdem.
- Musiałem cię znaleźć. Rozmawiałaś już z Hazel?
- Chyba żartujesz! Urwałaby mi łeb przez telefon, i przeciągnęła go przez kabel telefoniczny do siebie. Zamailem, poinformowałem, że wszystko jest w porządku i że zadzwonię później.

Usiadłem na łóżku. Gdyby miał zamiar mnie stąd wykurzyć, przyjdzie mu to trudniej, gdy się w ten sposób rozgoszczę.

- Zrób nam wszystkim przysługę, dobrze? Wsiądźmy razem w samolot do domu, to będę mógł wrócić do mojej Niemki, a twoja żona nie będzie musiała mnie mordować.

Otworzył minibarek pod telewizorem i wyjął dwie puszkę carlsberga. Wręczył mi piwo, odciągnęliśmy kólecze jednocześnie.

- Przykro mi - oparł się o biurko przy telewizorze i pociągnął zdrowy łyk - potrafi być okropna, jak się wkurzy. Zadzwonię dziś wieczorem i wytłumaczę, teraz już wiem, jak długo mnie nie będzie.

Uśmiechnął się szybko i łyknął ponownie piwo.

- Jak mnie znalazłeś?

Powiedziałem mu o przerwie w dopływie prądu u Stukniętego Dave'a. Śmiał się tak głośno, że było go chyba słychać w przejeżdżającym tramwaju.

Byłem zryty tak, że nie miałem sił ani na śmiechy, ani na piwo; wyciągnąłem się na łóżku i postawiłem sobie puszkę na klatce piersiowej.

- Nie chcę wcale wiedzieć, co to za robota, chłopie. To twoja sprawa. Ale jak poważnie myślisz o powrocie do pracy, to stać cię na więcej. Co powiesz na Bagdad albo Kabul? I szmal jest większy. Czteryście pięćdziesiąt do pięciuset za dzień dla szefa grupy, nawet takiego w wieku geriatrycznym.
- O szefowaniu nie mówmy. A poza tym, kto powiedział, że Stambuł? - wziął zdrowy łyk piwa, przyglądając się bacznie mojej twarzy. - Trzy dni roboty i mam już wszystko załatwione.

Pora, aby odwzajemnić uśmiech.

89

- Już załatwione? W co ty się, kurwa, pakujesz? Ty masz przecież już wszystko załatwione. Masz wymarzone życie.
- Wymarzone przez Hazel... - westchnął. - Słuchaj, chętnie na nie przystałem. Od czasu śmierci Stevena jedyne, co ją trzymało przy zdrowych zmysłach, to zgromadzenie i trzymanie całej rodziny blisko siebie. Ale rancza nie da się utrzymać z końskiego nawozu. Moja emerytura starcza jedynie na spłaty odsetek, do cholery. Nie wychodzimy na czysto. Ta robota pozwoli mi spokojnie, za jednym zamachem, spłacić wszystkie długi.

Ten radosny optymizm brzmiał niepokojąco. Zwykle oznaczało to robotę,

którą wszyscy normalni obchodzili z daleka.

- Za ile?

Ponownie się uśmiechnął, tym razem tym wkurzającym uśmiechem kogoś, kto coś wie, a ty nie.

- To jednorazówka. Specjalna taryfa dla emerytów. Dwieście tysięcy amerykańskich.
- O kurwa. Masz załatwić Putina czy co?
- Ee tam, tę propozycję odrzuciłem.

Podniosłem do ust puszkę, lecz zdałem sobie sprawę, że piwo było ostatnią rzeczą, o której marzyłem.

- Wszystko jedno. Za stary jesteś na to całe gównno. Wracaj do domu; pójdz Hazel na rękę. A mnie pozwól wrócić do mojej Niemki.

Charlie patrzył nadal na mnie z uśmiechem, tak jakby posiadał tajemnicę samego wszechświata.

- Chłopcze, tu nie chodzi jedynie o pieniądze.
- Wiedziałem! Całe to pieprzenie o tym twoim koniu... I to, co pokazali w telewizji... Chcesz po prostu wyrwać się i porobić sobie znowu, co?
- Żeby tylko. - Odwrócił się i zerknął przez okno, a gdy zwrócił się ponownie w moją stronę, na jego twarzy nie było już śladu uśmiechu. Stał i patrzył na mnie długo, podobnie trochę jak policjant, który wpatruje się w drzwi domu, do którego przyszedł ze złą wieścią i próbuje dobrać w myślach właściwe słowa. Spojrzał na swoją drżącą rękę, potem ponownie na mnie.

W końcu załapałem.

- Jesteś chory, tak?

Popatrzył w bok.

- Nie wolno ci o tym nikomu powiedzieć, a szczególnie Hazel, dobra?

Skinąłem głową. Jak mógłbym mu odmówić. Znowu patrzył na mnie, zdawało mi się, że całą wieczność. Po czym wzruszył po prostu ramionami:

- Jestem umierający.

Zmęczenie spowodowało, że nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

- Co? Co ci jest, do cholery?

Spojrzał ponownie przez okno.

- ALS, chłopie, stwardnienie zanikowe boczne. W każdym razie, jakaś tego odmiana. Paru Jankesów, którzy byli w Zatoce, też to ma. Próbują doszukać się między tymi faktami powiązania, ale to chyba do niczego nie doprowadzi. A jak je nawet w końcu znajdą, będzie już dawno za późno.

-Żartujesz sobie... Potrząsnął przecząco głową.

- Chciałbym.

Teraz z kolei ja miałem puste spojrzenie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wiedziałem tylko, że słyszałem o jednej jedynej osobie, która ma ALS -jest to Stephen Hawking. Czy to miało oznaczać, że Charlie skończy, szurając sobie na elektrycznym wózku inwalidzkim i będzie brzmiał jak Dalek z „Doktora Kto”?

- Jakie są rokowania? - odstawiłem puszkę na bok i przekręciłem się, aby spuścić nogi na dywan. - To znaczy, czy nie da się uniknąć najgorszego?

- To już się dzieje. - Pociągnąwszy łyk z puszki, wyciągnął ją w moją stronę. - Czasami muszę się nieźle skoncentrować, aby na przykład z takiego czegoś zdjąć kóleczo. Niekiedy trudno mi jest przekręcić gałkę u drzwi. Tak jest od pół roku. Poszedłem po cichu do lekarza - trzymając nadal puszkę w ręku, podniósł

91

do góry palec wskazujący - i ma to tak zostać, przynajmniej do chwili, gdy wszystkie pieniądze znajdą się w banku. Potrzebuję czegoś, co złagodzi Hazel szok, gdy jej powiem.

Wysiorbał resztkę piwa, a ja tym razem postanowiłem też się wreszcie napić.

- Czy to naprawdę musi się pogarszać? Może skończy się na tych paru drzeniach.

Potrząsnął powoli głową.

— Jak amen w pacierzu. - Zabrzmiał jak fachowiec. - Następny etap to utrata pamięci, potem przyjdą zaburzenia mowy. Następnie nie będę w stanie chodzić ani połykać... średnio pięć lat, a potem po mnie.

- Stephen Hawking ciągnie długo.

— To przypadek jeden na milion. Pięć lat, niektórzy o wiele szybciej. Nic bym nie miał przeciwko. Jak już przyjdzie czas, że Hazel będzie mnie musiała łyżką karmić papką z banana, to zrobię wszystko, aby mnie ukatrupiła - zaczął się śmiać, może odrobinę zbyt głośno - a może wtedy przyjdzie czas, żeby okazało się, jakiego w tobie mam przyjaciela.

5

W milczeniu piliśmy kolejne piwo. Ja siedziałem nadal na brzegu łóżka, Charlie przy telewizorze, gapiąc się w okno. Nie miałem ochoty na picie, ale piwo było przynajmniej zimne i przyjemnie splukiwało z ust smak głównianego samolotowego jedzenia, które spożywałem przez ostatnie trzy dni. Chciałbym, aby piwo równie łatwo mogło zmyć także złą nowinę Charliego. Żał mi było jego i jego rodziny, i było to dziwne uczucie. Normalnie bowiem odhaczyłbym sprawę - takie życie, nie ma sprawy, dobiję cię, jak przyjdzie czas na karmienie łyżką.

- Teraz wszystko rozumiem - musiałem jakoś przerwać tę ciszę. - Ale co będzie, jak zaczną ci rączki tańcować w trakcie roboty?
- Muszę zaryzykować.
- Stuknięty Dave wie?  
- To dobry człowiek, ale nie bawi się w dobroczynność. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Powiedziałem mu po prostu, ile potrzebuję gotówki i że jak będzie jakaś robota za tyle, to ją biorę. To już ostatnia. Ten szmal będzie Hazel potrzebny. A co do konia, to miałeś rację... - wypił ostatni łyk i odstawił puszkę na biurko. Pochylił się i na wpół zniknął w lodówce, grzebiąc między drinkami i batonikami. Głos dochodził przytłumiony - nie chcę spędzić ostatnich chwil w rogu jakiegoś pieprzonego wybiegu.

93

Charlie nie widział, w jakim stanie była Hazel po jego zniknięciu.

- Czemu nie pojedziesz do domu, nie wyjaśnisz jej wszystkie go, a potem sobie tu wrócisz?

A co będzie, jak coś się spieprzy i do domu już nie dojedziesz? Dla Hazel będzie to podwójna strata i wszystkim, co ci zapamięta, będzie to, żeś

uciekł.

Charlie wyprostował się, z dwiema puszkami w dłoniach, wody dla odmiany, i podał mi jedną. Postawił swoją na biurku, po czym zabrał się za jej otwieranie. Tym razem jego palec środkowy musiał się nieźle napracować, aby odchylić kółeczko.

- Tak, chłopie - z puszki wreszcie zasyczało - Hazel straci mnie tak czy siak. A w ten sposób dostanie się jej przynajmniej jakaś rekompensata. Zostaję. - Oczy mu zabłyśły, a w głosie brzmiała pewność. Nagle znowu był takim Charliem, którego znałem.

- Lepšie to niż marny koniec. Robotę, którą zobowiązałem się wykonać, wykonam. Potem pojedę do domu i dostanę za swoje. Hazel uspokoi się z czasem. Ona naprawdę mnie kocha.

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Chcesz porobić za strzelca? - Podniósł puszkę do ust i odchylił głowę, aby się napić. Przekręcił oczy, tak aby nadal mieć ze mną kontakt wzrokowy. - Szmału za to nie będzie - pamiętaj, że wszystko idzie dla Hazel. Ale pokrywam koszty i odstawię cię z powrotem do tej twojej Niemki, dostaniesz bilet w pierwszej klasie.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu, który niemal nie przeistoczył się w śmiech, cała ta sytuacja była nieźle idiotyczna. Nigdy w życiu nie pracowałem za friko. Nawet za pójście na róg po papierosy dla matki żądałem od niej dwudziestu pensów.

- Nie powiedziałaś nawet, co to za robota.

Charlie wyczuł krzytykę zainteresowania. Z kieszeni dzinsów wyłowił czytnik kart pamięci i wetknął go do komputera. W okienku dialogowym

pojawiło się pytanie, czy chce kontynuować oglądanie filmu od miejsca, w którym zostało ono przerwane, czy zacząć

94

od początku. Przycisnął klawisz i otrzymaliśmy skaczący obraz wysokiego na ponad trzy metry ceglanego muru z zatopionymi na szczycie w betonie odłamkami szkła. Wzdłuż niego, po pełnej dziur drodze, poruszał się sznur ład. Po drugiej stronie muru mogłem widzieć jedynie dwa ostatnie piętra podniszczonego budynku z cegieł, ale każde okno było od zewnątrz chronione potężną, wystającą kratą, tak aby można je było otworzyć od środka. Kamera przejechała teraz po pokrytej graffiti bramie. Wejście do budynku zagradały dwa metalowe i wysokie jak sam mur skrzydła drzwi. Wyglądały, jakby miały tyle lat co sam budynek, rdzewiejące i poobijane. Złączone były za pomocą rygla. Obraz zamazał się, a Charlie stuknął w monitor.

- Pieprzone kryjówki amatorów. - Kamera umieszczona była w jakiejś torbie, w której wycięto mały otwór na obiektyw. Jeśli obiektyw przylegał równo do jego kantów, obraz był cały, ale jeśli nie, robił się nieostry na brzegach.
- Na co patrzymy?
  - To jest, mój drogi, dom ministra, a to piękne otoczenie znajduje się w Gruzji, byłej rosyjskiej republice. Facet nazywa się Zurab Bazgadze, ale ja nazwałem go sobie po prostu Bazem.
- Świetnie. Co dalej?
- Zamierzam tam wpaść na małą robótkę.
  - Za takie pieniądze to nie może być mała robótką. Ktoś cię ubezpiecza?

Uśmiechnął się.

- Dlatego właśnie uważam, że powinieneś być tam też i mi pomóc. To nie była jedyna rzecz, jaką kupiłem bez cła - powiedział, pociągając za sweter. Wstał, podszedł do torby podręcznej i wyjął z niej małą cyfrową kamerę wideo. Palilo się w niej czerwone światełko.
- Myślałem, że to znowu on idzie... - wyłączył urządzenie. - Zbieram sobie wszystkie możliwe zabezpieczenia. Jak mnie namierzą, to i jego też.
- To na kogo w końcu się w ten sposób zamierzasz?

95

- Na największego amerykańskiego tłuściocha świata, jedno go z tych, co noszą zajebicie podgolone głowy. Charlie dołączył do mnie przy komputerze. Wyciągnął czytnik i pomachał mi nim przed nosem, zanim nie schował go od kieszeni. - Zostawił mi to, i komputer - i o więcej nie pytaj.

Miał rację, nie musiałem wiedzieć, kim był ten człowiek. Jeśli pojechałbym z Charliem i Podgolony by się o tym dowiedział, Charlie mógł zawsze twierdzić, że nic o niczym nie wiedziałem. I tak nie pokazałby mi teraz nagrania. Z tą robotą nie miałem nic wspólnego.

- Nie chcę nic wiedzieć. Bardziej niepokoi mnie to, że możesz wpaść. Te twoje stare, trzęsące się ręce mogą jeszcze zobaczyć koniec swych dni w imadle. Tam w Gruzji nikt się nie obcyndala, chłopie.
- Dostać się tam to małe piwo. Jak sądzisz, kto załatwił te wszystkie banki w Bośni?
- Nawet pomyślałem o tobie, gdy o tym czytałem.

Pod koniec wojny w Bośni Firma potrzebowała dorwać się do danych o finansach pewnych urzędników państwowych oraz wysokiej rangi oficerów wojska, którzy brali łapówki od różnych szyszek w gangach specjalizujących się w narkotykach i prostytutce. Chłopcy od metod wtargnięcia w Pułku włamali się wtedy do niemałej liczby banków. Chodziło o to, że chcieliśmy mieć pewność, że tylko porządni, a nie ci ubabrani, będą wchodzić w rachubę podczas tworzenia się nowego państwa. Oczywiście, to nie pomogło, takie działania nigdy nie są skuteczne.

- Taak, powinienem był zagarnąć nieco miedziaków dla siebie, jak już byłem w środku, co? Nie byłoby mnie tutaj teraz...

- No to na czym polega ta twoja mała robótka?

Ekran zrobił się pusty, a Charlie spojrzał na mnie.

- Jeszcze ci tego nie mogę teraz powiedzieć. Ale dołącz się jako obstawa, a o wszystkim powiem ci, jak znajdziemy się w kraju. Muszę to zrobić w tę sobotę, stąd wyjeżdżam dziś w nocy.

96

- Czemu akurat w sobotę?
- Teraz Baza nie ma, ale będzie z powrotem w niedzielę. Tak więc nie mam czasu więcej gadać, musisz podjąć decyzję - uniósł brwi, czekając na odpowiedź - Nick, słyszysz co do ciebie mówię? Decyzja! - patrzył mi prosto w oczy. - A to oznacza, że musisz zajrzeć w głąb siebie i zadać sobie wielkie pytanie.
- Jak wielkie?
- Nie ma większych, chłopcze. Wziął głęboki oddech i przyjął skupiony

wyraz twarzy, jak to się robi, mając do czynienia z tajemnicą wszechświata. - Popatrz, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Powiedz mi, jaki smutas chodzi dziś jeszcze z wygolonym po bokach łbem?

Zaśmiał się jak chory.

Śmiał się tak mocno, że aż musiał chwycić się za boki.

- Wiesz co, Charlie - powiedziałem zmęczonym głosem - ty zadzwonisz do Hazel i powiesz jej, że z tobą wszystko w porządku i że tu jestem, a ja pomyślę.

CZEŚĆ

CZWARTE

1

Tbilisi, Gruzja Sobota, 30 kwietnia

Sen przerwał mi komunikat pilota, z którego nie rozumiałem ani słowa; samolot zaczął schodzić do ładownia. Spojrzałem przez okno w nadziei, że zobaczę trochę miasta, ale było zasłonięte chmurami, poza tym było jeszcze ciemno. Zegarek Baby-G informował, że zbliżała się 5:30.

Uwielbiam nocne loty - cudnie się po nich przez cały dzień funkcjonuje.

Poszukałem w kieszeni w oparciu fotela wydruków, które zrobiłem w kafejce internetowej w Stambule. Gdy Charlie opuścił miasto, miałem jeszcze cały jeden dzień wolny, a zawsze starałem się dowiedzieć jak najwięcej o nieznanym mi miejscach, do których miałem się udać. Poza wszystkim, w wypadku nagłej ewakuacji, każda wiedza może być przydatna.

Po dane i liczby sięgałem zwykle do raportów CIA, po aktualne wiadomości wchodziłem na fora dyskusyjne plecakowiczów - zawsze opłaca się poznać punkt widzenia po obu końcach łańcucha żywnościowego. Jak potrzebowałem czegoś więcej, wchodziłem na Google.

Od północy rozciągnęła się groźnie Federacja Rosyjska, o której w miejscowej prasie pisano jako o „agresywnym sąsiedzie”, te dwa kraje nie były ostatnio w najlepszych stosunkach. Gruzja, kraj od wieków w większości chrześcijański, po upadku komunizmu stała się państwem niepodległym, bardzo prozachodnim,

101

i teraz trzymającym z Bushem. Jakby nie patrzeć, trzymać z Bushem oznaczało być przeciwko Putinowi, a to musiało nieźle doskwierać owemu Panu na Kremlu.

Jeszcze bardziej wkurzał go fakt, że Ameryka i Wielka Brytania przysłały armii gruzińskiej broń i sprzęt wartości milionów dolarów. To była ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył na swoim zapleczu - i dlatego wycofał z Gruzji swoje wojska, sprzęt wojskowy oraz zlikwidował stanowiska artyleryjskie, które oficjalnie trzymał tam w ramach „obrony pokoju”.

Na wschodzie leży Azerbejdżan, jedno z tych państw, które szczęśliwie posiada dostęp do bogatego w ropę Morza Kaspijskiego. Mimo że jest to kraj muzułmański, ma silne wsparcie USA, nietrudno zgadnąć, dlaczego. Rurociąg BTC, budowany przez konsorcjum kierowane przez BP, który miał być właśnie otwarty, ciągnął się przez ponad tysiąc siedemset kilometrów od Baku przez południowe roгатki Tbilisi i przecinał Gruzję,

kierując się ku wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Na południowym wschodzie znajduje się Armenia, kraj, w którym zawsze wydawało mi się, że chyba nie było mężczyzn w wieku od dwudziestu do czterdziestu lat. Ci bowiem musieli znajdować się gdzieś indziej, skoro w każdym mieście Zachodu przejęli kontrolę nad narkotykami i prostytutką, a także odebrali mafii inne jej domeny, takie jak wymuszanie haraczy.

Na południowym zachodzie zaś leży ważna mi sobie Turcja, ostatnio całkiem zadowolona z faktu, że na jej terytorium znajduje się Ceyhan, w którym naftociąg się kończy i gdzie wkrótce całe floty supertankowców czekać będą na ładunek czarnego złota, który zapewni, że przez określoną przyszłość po drogach Wielkiej Brytanii oraz wschodniego wybrzeża Stanów nadal będą jeździć sobie wszystkie 4x4'. Turcja musi również czuć się całkiem bezpiecznie, ponieważ zaraz obok, w Incirlik, umieszczona jest olbrzymia lotnicza baza wojskowa USA.

<sup>1</sup> Samochód z napędem na cztery koła (*przyp. tłum.*)

102

Wkrótce, w 2005 roku, przez ponadmetrowej grubości rurociąg zaczną przepływać milion baryłek ropy dziennie. Przebycie tych tysiąca siedmiuset kilometrów zajmie pół roku - ale Turcji wszystko jedno. Wie, że obecnie stała się tak żywotną częścią całego procesu, że jeśli chodzi o Anglię i USA, w pełni popierają one członkostwo Turcji w UE, nawet jeśli Francuzi i Holendrzy nie są tak zdecydowani. Te unijne numery rejestracyjne nie były jedynie wyrazem radosnego optymizmu.

Basen Morza Kaspijskiego zawsze znajdował się w centrum międzynarodowej uwagi. W XIX wieku, gdy carska Rosja trochę się

kołowała z Imperium Brytyjskim, Kipling nazwał walkę o ropę Wielką Grą. Dwieście lat później gra toczy się nadal, ale bierze w niej udział o wiele więcej graczy.

Grać chciałby każdy. Rosja wybudowała rurociąg do Morza Czarnego. Do gry wciągnęły się także Chiny. Jedna z największych rezerw energii na całej planecie, której wielkość ocenia się na 200 miliardów baryłek - leży pod dnem Morza Kaspijskiego, i od czasu upadku imperium sowieckiego, praktycznie biorąc, może się za nią brać każdy.

USA ma w Gruzji swoich doradców wojskowych szkolących armię. Angole służą sprzętem, środkami transportu oraz logistyką, a całe to przedsięwzięcie jest częścią programu Partnerstwo dla Pokoju - w teorii ma pomóc w postkomunistycznej odbudowie gruzińskiej armii, ale w praktyce przysposobić ją do obrony owego „korytarza energetycznego”. Nie ustaje zagrożenie sabotażem ze strony muzułmańskich bojowników i nacjonalistycznych separatystów. Gdy tylko chłopcy robią sobie wolne od zbierania swojego maku, korytarz ten staje się pokusą nie do odparcia.

Najśmieszniejsze, co wyczytałem, to fakt, że nieopodal baz amerykańskich Rosjanie wybudowali własne, i teraz obie strony mogły siedzieć sobie i mierzyć się nawzajem wzrokiem. W całej tej grze nie chodziło więc raczej o pokój i harmonię, należy przy tym pamiętać, że gruziński rząd zaszeregowano w pierwszej dziesiątce najbardziej skorumpowanych instytucji na świecie.

103

Wszystko to czyniło prawdopodobnym, że staremu Charliemu robota może się spokojnie spieprzyć, i to na skalę światową. I to był w zasadzie powód mojego tu pobytu.

Samolot wylądował i wydobyłem moją torbę ze schowka nad fotelem. Większość pozostałych pasażerów stanowili mężczyźni - albo potężni Turcy w płaszczach przeciwdeszczowych, szykujący paczki marlboro, aby móc zapalić natychmiast po wejściu do środka, albo ubrani od stóp do głów na czarno miejscowi. Jedyna widoczna para dżinsów należała do mnie, kupiłem ją tanio na targu, razem z bluzą o ślicznym nylonowym połysku, która straszyla chyba bardziej niż bluza Charliego.

Postawiłem kołnierz w mojej kurtce lotniczej i poszedłem za pozostałymi graczami po wysmaganym przez deszcz asfalcie do czegoś, co było wielce artystyczną, socrealistyczną koncepcją terminalu, czyli kolejnym mauzoleum z betonu i szkła. W starych dobrych czasach byłby ozdobiony przynajmniej kilkoma portretami urodzonej w Gruzji sławy, niejakiego Josifa Wissarionowicza Dżugaszwili. Czyli, jak wolał, aby go nazywano, Dobrego Wujka Stalina.

## 2

Wnętrze terminalu musiało zostać odpicowane jakieś dziesięć lat temu, ale w moich oczach wyglądało tak, jakby zajęła się tym ta sama ekipa, która w Anglii odnawiała koleje po prywatyzacji, czyli zamalowała stare pokłady farby i wyłożyła parę darmowych czasopism do poczytania, mając tym samym nadzieję, że nie zauważymy, że wagony nadal są w fatalnym stanie, toalety nie działają, a pociągi wiecznie się spóźniają.

W hali przylotów znajdowały się cztery budki kontroli paszportowej, w każdej, za szklaną szybą, siedziała młoda uśmiechnięta dziewczyna. Moim podejrzeniem było, że po godzinach albo grały wszystkie w jednej

damskiej kapeli, albo trenowały razem z Marią Szarapową. Ustawiłem się w kolejce po wizę. Jak na razie, kraj ten pachniał mokrymi brudnymi włosami.

Przed sobą miałem kolumnę Turków w płaszczach przeciwdeszczowych, wpatrujących się z nienawiścią w napisy informujące o zakazie palenia. Tego się wyraźnie nie spodziewali. Za plecami, o jakieś sześć czy siedem osób dalej, usłyszałem jakieś głosy mówiące z liverpoolskim akcentem. Udając naturalność, odwróciłem się dyskretnie, aby na nich zerknąć.

Było ich trzech albo czterech, dwóch z nich brodatych, a wszyscy w kurtkach z goreteksu, wygodnych spodniach oraz dużych, praktycznych butach. Gdyby nie zielone logo BP na plakietkach

105

zwisających z ich walizeczek na laptopy, pomyślałbym, że przyjechali tu otwierać ośrodek sportów na świeżym powietrzu albo odbyć przeznaczone dla kadry menedżerskiej szkolenie w efektywnej komunikacji.

Odwróciłem się i spojrzałem na początek kolejki: dwóch urzędników było zbyt zajętych paleniem i rozmową, aby przejrzeć ludziom papiery i pozwolić im dopaść swoje bagaże.

Turcy zaczęli się już wkurzać. Nie miałem pewności, czy to z powodu zwłoki, czy dlatego, że strażnicy kopcili swoje marlboro, a im nie było wolno. W końcu przerwa na papierosa dobiegła końca i mundurowi, nadal coś do siebie gadając, zabrali się za paszporty i lustrowanie wzrokiem ich właścicieli. Charlie nie musiał przez to wszystko wczoraj przechodzić, czekał na załatwienie wizy w Stambule. Wolał nie ryzykować niespodzianek; w odróżnieniu ode mnie, nie podobał mu się pomysł zdania się na łaskę tych dwóch braci wąsaczy oraz Spice Girls przede

mną.

W końcu przyszła moja kolej. Urzędnicy siedzieli za szybą, przy biurku pokrytym fornirem, które znajdowało się na poziomie mojej talii. Młodszy, nawet na mnie nie spojrzawszy, chwycił mój niebieski amerykański paszport i kartę przekroczenia granicy. Przekartkował paszport, w końcu podniósł głowę. Twarz jego była bez wyrazu.

- Wizy nie ma?

To po co w takim razie stawałbym w kolejce po wizę, do cholery?  
Uśmiechnąłem się: - Powiedziano mi, że dostanę ją u pana.

Gdybym miał czas na stanie w kolejce przez cały dzień po wizę w konsulacie w Stambule, kosztowałyby mnie to czterdzieści dolarów amerykańskich. Teraz, skoro byłem już na miejscu, cena podskoczyła do osiemdziesięciu. Teoretycznie. Nie mogłem się doczekać, aby zobaczyć, jak daleko posunie się tych dwóch poszukiwaczy szczęścia.

Uśmiechu w odpowiedzi nie otrzymałem.

- Sto dwadzieścia dolarów.

106

- Jeden dwadzieścia? -już bawiłem się myślą, by go obsmaro-wać na internecie, co od razu poprawiło mi nastrój.
- Sto dwadzieścia dolarów.

Wyciągnąłem gotówkę z portfela i wręczyłem mu pieniądze. Nie żałowałem tych kilku dolarów, bardziej chodziło mi o zasady. Patrzył na mnie przez kilka sekund, ze swojego poziomu, z dołu.

- Halo?... dlaczego przyjechał?
- Odnaleźć przyjaciela. - Najlepsza wymówka to taka, w której jest część

prawdy. - Zostawił żonę i gdzieś tu podróżuje. Przyjechałem go zabrać do domu.

Wychylił się do kolegi, który nadal mu o czymś działył, a ten przytaknął mu z uśmiechem; prawdopodobnie cieszył się z faktu, że po pracy będzie miał teraz na jakąś dziwkę.

Mój urzędas przeliczył twardą walutę, wkleił wizę do paszportu i nawet dał pokwitowanie. Opiewało jedynie na osiemdziesiąt dolarów, ale za to wiza była wielka na całą stronę. Posłałem mu uśmiech, który miał oznaczać, że transakcja mnie zadowoliła.

Odebrałem bagaż i poszedłem do kontroli paszportowej. Spice Girls były ubrane w lśniące brunatne mundury. Na każdym przedramieniu miały przypięte plakietki z nowymi barwami narodowymi w kształcie krzyża św. Jerzego, gdzie na każdym białym polu widniał mniejszy krzyż. Czymś podobnym ozdobiłby sobie pewnie tarczę Ryszard Lwie Serce, szykując się do zdobycia Jerozolimy.

### **3**

Wyszedłem na zewnątrz. Nad nami rozpościerał się wielki betonowy dach, wybudowany najprawdopodobniej w latach pięćdziesiątych dla uczczenia rekordowego w Sowietach zbioru pszenicy. Pod nim, lawirując wózkami bagażowymi sprzed epoki Stalina, ludzie tłoczyli się w kierunku postoju taksówek. Taksówkarze, popijając kawę, czekali na nich po drugiej stronie ulicy, pod jasno oświetlonym drewnianym dachem.

Stojąc i rozglądając się, zobaczyłem, jak szykująca się do pogłębienia między sobą więzi ekipa menedżerów wsiadła do błyszczącego białego

landa cruisera, który, jak sobie wyobrażałem, zawiezie ich zaraz na gorącą filiżankę herbaty oraz prawdziwe angielskie śniadanie.

Poszedłem ustawić się w rosnącą kolejkę do taksówek. Beładna procesja pudłowatych ład podjechała w naszym kierunku, ich oznaczenia na dachu były przymocowane niebezpiecznie kilkoma sznurkami, chwyt podobny do stosowanego przez Silky wobec desek surfingowych.

Kobiety gruzińskie stojące przede mną były albo chude jak patyki, albo okrągłe jak kule kręgielne. Zdaje się, że granicą przejścia z jednego stanu w drugi było skończenie 30 lat, chociaż rozpoznać, kiedy została przekroczona, nie było wcale takie znowu łatwe, ponieważ wszystkie, nawet te, które powinny już posiwieć,

108

miały włosy ufarbowane na kruczoczarno albo na ciemną, śliwkową czerwień.

Przyszła kolej na moją ładę, w przyjemnym musztardowo-rdzawym kolorze. Usadawiłem się na tylnym siedzeniu. Szyby były zaparowane, a radio nastawione na cały regulator, pewnie z zamiarem zagłuszenia pisku wycieraczek, orających pękniętą przednią szybę.

- Marriott, człowieku, hotel Marriott.

Papieros przyklejony do górnej wargi taksówkarza podskoczył, gdy ten skinął głową. Taksówka nie ruszyła jednak z miejsca.

- Marriott, MA-RRI-OTT?
- Marriott! Marriott!

Załapał wreszcie i łada ruszyła, nie osiągając jakiejś zawrotnej ilości węzłów, pewnie z powodu przedniej szyby, która wyglądała jakby ktoś oddał w nią serię z półautomatycznej broni i teraz taksówkarz próbował

coś zobaczyć przez pajęczynę pęknięć.

Zatłuszczony i pokryty papierosowym popiołem licznik nigdy chyba nie był włączany. Pochyliłem się do przodu. Kierowca miał około sześćdziesiątki, krzaczasty siwy wąs i siwe zaczesane do tyłu włosy, które skręcone opadały na kołnierz czarnego polo. Potarłem kciuk o palec wskazujący.

-Ile?

Zabełkotał coś, nic oczywiście z tego nie zrozumiałem. W większości brzmiało to jak swahili, usiane tu i ówdzie dziwnymi klaskaniami i gardłowymi ozdóbkami.

Gdy mówił, przypomniał sobie, że musi zapalić reflektory, i w ich świetle zobaczyliśmy zaparkowany na poboczu land ro-ver 110. Brytyjski wóz wojskowy, bez dwóch zdań - w wojskowym zielonym kolorze i z tablicami rejestracyjnymi ministerstwa obrony.

Szofer stał oparty o karoserię. Ubrany w niebieską kurtkę wodoodporną, z wygoloną głową, w fabrycznie spranych džinsach oraz w eleganckich, nadal czyściutkich nike'ach po prostu musiał

109

być Amerykaninem. Być może dowoził albo odbierał stąd „doradców” w ramach Partnerstwa dla Pokoju.

Jechaliśmy teraz szeroką dwupasmową drogą w kierunku centrum miasta, które znajdowało się ponad szesnaście kilometrów stąd - tyle zdążyłem dowiedzieć się, patrząc przez pajęczynę pęknięć na szybie, nadal nie byłem mądrzejszy co do taksy. Żadnych drogowskazów, jedynie billboardy na rusztowaniach, na których kiedyś umieszczano plakaty na cześć cudów komunizmu. Teraz w podobny sposób wydawały się wychwalać cuda

Coca-Coli i Sony.

Gdy osiągnęliśmy przedmieścia, po obu stronach drogi wyrosły jednakowe betonowe bloki mieszkalne. Podmalowano je ostatnio, ale w kolorach, których nikt na trzeźwo by nie wybrał. Niektóre z tych gigantycznych klocków były zielone, inne purpurowe. Jeden miał kolor żółty.

Tego się nie spodziewałem: przyzwoite drogi i świeża farba. A na domiar wszystkiego, mimo że było jeszcze ciemno, jakieś kobiety zamiatały skrzętnie ulice, a miotły miały podobne do tych, na jakich Harry Potter grał z kolegami w Quidditch.

Gdy dojeżdżaliśmy do miasta, minął nas jadący z naprzeciwka konwój wozów wojskowych w oliwkowym kolorze z działkami artyleryjskimi na platformach. Wiedziałem, że Tbilisi leży u stóp trzech masywnych schodkowatych wzgórz. Z północy na południe przez miasto przepływa rzeka Mtkvar. Wjeżdżaliśmy od wschodu, od bardziej płaskiej strony.

W miarę jak zabudowa stawała się ciaśniej sza, rosła ilość psów na ulicach. Były wszędzie, jeśli nie wałęsały się luzem, obsikując każdy napotkany samochód, to na smyczach, raczone wczesno-porannym spacerem.

Drogę blokował nam teraz niebiesko-biały wóz policyjny. Dwóch facetów w tym nowiutkim volkswagenie passacie, zwiesiwszy głowy, ucinając sobie drzemkę, musieli widocznie nieco się zmęczyć rozciąganiem taśmy policyjnej między bocznym lusterkiem a ścianą naprzeciwko. Mój siwowłosy przyjaciel przyj-

rzał się sytuacji przez swoje potrzaskane okno, zaklął i skręcił w prawo.

Natychmiast gładka powierzchnia jezdni zamieniła się w istne pole minowe, pełne wypełnionych wodą dziur, które spokojnie pomieściłyby w sobie i autobus. Mój taksówkarz przyłączył się do swoich kolegów kierowców, którzy slalomem starali się je omijać. Nie miałem pojęcia, jakim cudem udawało się to tym, którzy nie włączyli świateł.

To już bardziej pasowało do moich wyobrażeń o Gruzji. Może ministerstwo turystyki nie chciało odbierać przyjemności zagranicznym amatorom przeżycia prawdziwego gułagu i policja była tam po to, abyśmy tej szansy nie przepuścili? Teraz przynajmniej pojawiły się jakieś drogowskazy, cyrylicą oraz alfabetem, rozumiałem, że gruzińskim, choć słowa wyglądały raczej jak rzędy powykręcanych spinaczy.

Taksówkarz żegnał się za każdym razem, gdy mijaliśmy kościół. Nie byłem w stanie zgadnąć, czy z szacunku, czy może robił to przy okazji kolejnej modlitwy dziękczynnej za wyjście cało z opresji, jaką była szaleńcza jazda jego i jego współobywateli po drodze pełnej dziur wielkich jak odciski łap dinozaurów.

Przejechaliśmy przez Mtkvari, najszybszą- i najbrunatniejszą - rzekę, jaką w życiu widziałem, na zachodni brzeg miasta i do centrum. Marriott położony był przy głównej arterii, również pokrytej gładkim, świeżym asfaltem, która ciągnęła się równolegle do rzeki. Hotel był równie wielki i wyglądał równie bezosobowo jak wszystkie inne, w których się zatrzymywałem, choć zanim jeszcze wysiadłem z taksówki, zauważyłem, że należał do tych nowszych i ciekawiej zaprojektowanych.

W każdym większym pomieszczeniu hotelowym, wysokim na dwa i pół metra, z sufitu zwisały żyrandole wielkie jak balony. Wszyscy w środku, ubrani jak prosto z żurnala, wyglądali jakby właśnie szli na ważne poranne

zebranie, i wszyscy, goście oraz pracownicy recepcji, ubrani byli w różne odcienie czerni.

111

Z tablicy ogłoszeń wynikało, że Marriott czuł się zaszczycony, mogąc gościć w swoich progach delegatów konferencji BP w Gruzji, i gotował przywitania o godzinie 14 w Sali św. Dawida. Na tym zadupiu nie tylko witano kapitalizm z radością, to był istny niedźwiedzi uścisk, który po otrzymaniu wszystkich możliwych namiarów przekaże się bezprzewodowo do każdego komputera kieszonkowego BlackBerry, jaki się tylko znajdzie w pobliżu.

**4**

- Pokój 258, bardzo proszę - recepcjonista wręczył mi klucz-kartę. Podziękowałem i odwróciłem się, ale on jeszcze nie skończył.

- Chwileczkę - szukał czegoś pod kontuarem. - To dla pana. Wziąłem do ręki wypchaną kopertę. Na odwrocie napisane było „C.T”.

Pochyliłem się, aby podnieść bagaż, ale młody pikolo był szybszy. Poprowadził mnie te cztery kroki do windy. Doprawdy nie potrzebowałem pomocy, ale nie chciałem naruszać hotelowego protokołu, niepotrzebnie zwracając w ten sposób na siebie uwagę. Poza tym nie było siły, aby ten mały puścił torbę i przepuścił w ten sposób napiwek. Przywołał windę.

- Czy był pan już przedtem w Tbilisi?

Akcent załapał chyba przy oglądaniu seriali amerykańskich. I stamtąd też raczej zapożyczył sposób dbania o siebie: włosy miał tak czyste i ułożone, że spokojnie mógłby starać się o rolę w „Życiu na fali”, a na twarzy nie było ani krosty, ani śladu niechlujnego golenia.

Uśmiechnąłem się i zanim nie pojechaliśmy na trzecie piętro, wydałem z siebie wszystkie właściwe odgłosy, przepuszczając wychodzącego z windy obciążonego teczką amerykańskiego majora w mundurze polowym.

113

- Nie, ale bardzo mi się tu podoba.

Pokiwał zgodnie głową, ale rzucił mi też jedno z tych spojrzeń oznaczających, że wątpił, sądząc po moim odzieniu, abym miał prawo tu coś sądzić.

Gdy weszliśmy do pokoju, pokazał mi, jak włączyć klimatyzację i telewizor, a nawet zadał sobie trud wyjaśnienia mi, że stojące obok telewizora dwulitrowe butle gruzińskiej wody mineralnej nie były wliczone w usługę. Wiedziałem to, ale mu nie przerywałem. Chciałem robić za szarego człowieczka, na ile oczywiście było to możliwe - w bluzie w pomarańczowo-zielono-brązowo-niebieskie wzorki.

Skończył swój wykład i ukłonił się z uśmiechem. Szybko wetknąłem mu w dłoń pięciodolarowy banknot, nie dając mu tym szansy na zaczęcie wykładu od nowa. Nie miałem pojęcia, ile to wynosiło w lokalnej walucie, ale chłopak opuścił pokój wesóły jak skowronek. W Gruzji, podobnie jak prawie wszędzie, dolar był wszystkim.

Przyjrzałem się bliżej wystrojowi wnętrza - pluszowym zasłonom, meblom i urządzeniom. Przyjemnie było dla odmiany wylądować gdzieś indziej niż w jakiejś zasranej norze, na którą normalnie, gdy byłem w

robocie, byłem skazywany. Potem otworzyłem kopertę od Charliego.

Komórka na kartę marki Motorola była nowiutka. Musiał ją kupić natychmiast po przyjeździe. Włączyłem, miała zakodowany tylko jeden numer, wybrałem go więc, jednocześnie uruchomiłem pilotem telewizor. Zawsze byłem ciekaw, czy w innych krajach też ludzie muszą się męczyć, oglądając równie gówniane programy, co ja w moim.

Charlie zgłosił się natychmiast, wydłużając niemożliwie samogłoski w swoim akcencie z Yorkshire, jak ci w reklamach herbaty Tetley.

- He, hm, jaak się masz, chłopcze? - brzmiał, jakby połknął garść pigułek szczęścia.
- Nie wygłupiaj się, nygusie. Jestem w 258, a ty?

114

- Jeden, zero, sześć.
- Oporządę się najpierw, widzimy się za pół?
- W porządku - wyłączył się.

Kanałem ustawionym na stałe był kanał RTV1. Przyjemnie było zobaczyć, jak współczesna rosyjska gospodyni domowa ma równie co jej siostry z Midland łagodny i odprężony wyraz twarzy, gdy przygląda się swoim synkom przewalającym się w błocie na boisku, skoro proszek do prania Tide likwiduje nie tylko plamy, ale także wszystkie jej problemy.

Wsadziłem do gniazdka ładowarkę i zerknąłem na kreski na wyświetlaczu. Charlie pewnie już zadbał o naładowanie telefonu, ale nie zaszkodziło doładować do końca, szczególnie tu, w tej światowej stolicy przerw w dostawie prądu.

Zmieniłem kanał. Rosyjski show „Najsłabsze Ogniwo” wyglądał

identycznie jak amerykański (a ten z kolei wyglądał dokładnie jak wersja brytyjska), z tym wyjątkiem, że kobieta zadająca pytania była szatynką i nie miała tików twarzy.

Otworzyłem sejf, chociaż i tak nie miałem co tam włożyć. Wszystkie dolary amerykańskie wyjęte z bankomatu w Stambule, około tysiąca pięciuset w piątkach i dziesiątkach, będę trzymał przy sobie, podobnie jak paszport. Do sejfu zajrzałem z przyzwyczajenia, może mój poprzednik zostawił coś cennego dla mnie? Zdaje się, że robiłem już takie rzeczy, jak byłem szczeniakiem, sprawdzając pojemnik na zwrot monet w budkach telefonicznych albo w automatach z papierosami. Nigdy zresztą nic tam nie znalazłem, ale też nigdy nic nie wiadomo.

Przejrzałem również minibarek. Wszystkie zwyczajowe miniaturki, ale wódki mniej niż się spodziewałem. Cola, fanta. Miejscowe piwo z napisem spinaczami i po rosyjsku. Parę małych butelek z wodą mineralną tej samej marki, Borjomi, co litrowe przy telewizorze, ale już bez milutkiej karteczki, informującej o tym, że woda ta jest dumą Gruzji i bez mapki ze strzałką gdzieś na zachód od miasta. Pozostałe butelki zawierały napoje owocowe.

Zdecydowałem się na sok jabłkowy.

115

Siedząc na łóżku i czując się kompletnie wykończony, przeleciałem przez pozostałe dwadzieścia dwa kanały. Większość z nich stanowiły kanały rosyjskie, ale wyglądało na to, że kilka z nich nadawało wiadomości miejscowe, no i były oczywiście CNN oraz BBC. Zostawiłem telewizor włączony na kanale spina-czowym, i zanim poszedłem pod prysznic, wyjrzałem za okno.

Pogoda nadal była marna. Przestało wprawdzie padać, ale poranek był pochmurny i szary. Ulica po oknem już była załadowana mieszanią zagranicznych samochodów i półciężarówek oraz starych pudłowatych ład uginających się pod ciężarem zbyt wielu worków z ziemniakami, przytroczonych do bagażników na dachu.

Dalej widniało skupisko potężnych około dwustuletnich budynków, z mojej mapy wynikało, że mieści się w nich siedziba rządu. Jeszcze dalej kilka muzeów, katedr i iglic wież kościelnych wystawało ponad przytulone do siebie kwartały domów z cegły, ustawionych wzdłuż wąskich, stromych ulic.

Komunistyczni architekci pozostawili tę świetność centrum w spokoju i większość ohydnych domów wybudowali w wystarczającej odległości od ratusza, tak że nie musieli sami na nią patrzeć. Zdaje się, że gdy uznali swoją robotę za skończoną, ruszyli popracować do Hereford.

Ponad dachami wystawały zielone wzgórza otaczające miasto, wydawało się, że były blisko, na wyciągnięcie ręki.

Założyłem na ręce moje świecące nylonowe skarpetki i wskoczyłem pod prysznic, ich użycie w ten sposób pozwoliło im się uprać, a mnie ułatwiło mycie. Rzut oka na foyer uświadomił mi, że powinienem był jednak przed przyjazdem wejść na internet na jakąś stronę o lokalnej modzie; ubranko z bazaru zupełnie tu nie pasowało. Ale co tam, robota Charliego miała być dziś wieczór, tak więc jutro mnie już tu nie będzie...

Oczywiście, jak ją wykonam.

Najpierw chciałbym jednak wiedzieć, na czym dokładnie polega.

A jedynym sposobem, aby się tego dowiedzieć, był przyjazd tutaj.

Nie oszukujmy się. Wiedziałem dobrze, że muszę tego starego pryka Charliego obronić przed nim samym, nie mogłem przecież postąpić inaczej.

Ale tego jeszcze nie zamierzałem skurczysukowi mówić. Musi sobie na to zapracować.

Niepokoilo mnie parę rzeczy. Za dużo pośpiechu, jak na mnie. Wolałbym najpierw mieć czas na rozpatrzenie się w sytuacji, ale trudno się mówi. W końcu to z tego powodu Charlie dostawał tak duży szmal.

Charlie będzie musiał wykazać dobry refleks, a jak mu się noga powinie, to będę w pobliżu, aby go podtrzymać.

Pięć minut później już byłem wytarty i oglądałem coś, co każda armia świata musiała chyba uważać za najlepszą reklamę. Dopiero po chwili załapałem, że nie chodziło o Colgate. Każdy widoczny w reklamie żołnierz przepięknie uśmiechał się, ukazując równiutkie zęby, za które przeciętny Gruzin oddałby wszystko; kilku z nich, paradując przed publicznością, omal nie wpadło w ekstazę. Już myślałem, że zaraz zobaczę tam mojego pikolo.

Przy dźwiękach łagodnej muzyczki pokazywano, jak dwóch młodszych braci żołnierzy aż rwie się do wojaczki, i czyjąś starszą siostrę, wpatrzoną w kolegów swojego brata. A flaga Ryszar-

da Lwie Serce, łopocząca obok gwiazdzistego sztandaru, splatała się z nim jakby od niechcienia.

Bardzo to było wzruszające. Już byłem gotów sam zaciągnąć się do wojska. A jak zwykł mawiać Charlie, wojsko to jest wszystko, co człowiekowi potrzebne do życia...

Porzuciłem siły obrony ojczyzny salutując sztandarowi i poszedłem na dół - z pieniędzmi, paszportem, telefonem i mokrymi włosami.

Należało rozeznaczyć się w sytuacji. Ważne też było, aby jak najmniej widziano nas razem. Rekonesans każdy miał robić oddzielnie - spotkać mieliśmy się tylko w momencie wykonywania roboty, na czymkolwiek będzie ona polegała - także oddzielnie mieliśmy się udać na lotnisko następnego dnia.

Lot do Stambułu mieliśmy o dziesiątej rano, ale nic się nie stanie, jeśli na niego nie zdążymy. W ciągu następnych kilku godzin odlatywały jeszcze samoloty do Moskwy i Wiednia, co było gwarancją, że opuścimy Gruzję. Potem da się już jakoś znaleźć samolot do Australii.

Dowiedziałbym się, czy Silky nadal chce ze mną rozmawiać, a Charlie mógłby zająć się swoim umieraniem.

Na kłamce pokoju 106 wisiała wywieszka „Nie przeszkadzać”, w języku rosyjskim, angielskim i spinaczami. Zastukałem i cofnąłem się, aby ten cholernik mógł mnie zobaczyć w wizjerze.

Charlie otworzył i z uśmiechem wpuścił mnie do środka. Postawił na ubiór nafcjarza, który dopełniały amerykańskie buty wojskowe do użytku na pustyni. Brakowało mu tylko zielonej plakietki z logotypem.

Przyjrzał mi się od stóp do głów.

- Co, chcesz się zrobić niewidoczny w tłumie? Wyglądasz jak te rzędy bloków, które było widać po drodze z lotniska.

Okna były zasłonięte, paliły się wszystkie światła. Laptop stał włączony

na stoliku przy oknie, a na łóżku rozłożony był plan miasta, bez żadnych na nim zaznaczeń. Obok leżała kolekcja zaimprovizowanych wytrychów i śrubokrętów. Usiadłem na skraju

118

materaca i wziąłem do ręki jeden o długości drucianego wieszaka. Trzonek miał jakieś 5 centymetrów długości, następnie zginał się na prawo i kończył pętlą.

- Już zrobiłeś w ramach swojej działki rekonesansik wszystkich zamków do drzwi?
- Wszystkiego na tym wideo nie było widać - podszedł do komputera i podłączył czytnik pamięci - No, popatrz.

Zatrzymał film na kadrze z metalową bramą.

- To przecież gówno. Zajmie mi on dziesięć sekund.

Miał rację. To był zwykły zamek zapadkowy, będzie łatwy do pokonania, nawet bez żadnego zwiadu. Przynajmniej znajdziemy się na dziedzińcu i znikniemy z oczu kamer. - Jak już będziesz w środku, to co dalej? Jeszcze mi tego nie powiedziałaś.

Opuścił monitor komputera i spojrzał na mnie.

- To tajny zwiad bezpośredni. Muszę - mam nadzieję, że razem z tobą - otworzyć sejf i zabrać stamtąd wszystkie dokumenty, zamknąć sejf, i zostawić papiery w skrzynce kontaktowej. Bazulo nigdy się nie dowie, znikniemy stamtąd, nie pozostawiwszy na wet śladu po pierdnięciu.

Zrobił przerwę.

- Jakbyśmy znowu byli w Irlandii, co?

To prawda, że takich zwiadów w domach IRA, szukając broni,

materiałów wybuchowych albo zakładając podsłuch robiliśmy takie multum, że materiału starczyłoby na gruby tom wspomnień włamywacza. Ale to było coś innego.

- Coś to za dobrze płatne jak na zwykły włam do sejfu. Wiesz, gdzie się znajduje i jaki to typ?

Charlie nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Nie, ale to nie ma znaczenia. Nawet taki głupol jak ty wie, że zamki są po to, aby je otwierać. Poza tym, czemu uważasz, że mi za dużo płacą?

Wstałem.

- Wiesz w końcu, co masz podprowadzić?
- Nie, po prostu wszystko, co w nim będzie, **drukowane i pisane** ręcznie.

119

- Wiesz, dlaczego masz to zrobić, nie pozostawiając po sobie śladu?

Czemuż nie zawołać jakiegoś miejscowego kolesia, aby sejf po prostu rozwalił?

- Nie wiem, i nie obchodzi mnie to. Powodów mogą być tysiące.
- Sam mieszka?
- Tak, samiuteńki, biedaczek w takim wielkim starym domu. Aż szkoda.
- Wiesz, co ten Baz zmajstrował, albo co szykuje?

Charlie wiedział dobrze, że jeśli mi nie zacznie odpowiadać, będę go tak bombardował pytaniami godzinami.

- Spokojnie, chłopcze, wszystko pod kontrolą. Dowiem się czego potrzeba, gdy o dziewiątej przyjdzie tu ten Podgolony. Będzie musiał mi powiedzieć; godzina czarów jest już zbyt blisko, aby mnie teraz wydymał,

a ja roboty nie wykonam, jeśli nie powie mi, o co w niej chodzi.

- Po co tu przychodzi?
- Dałem mu w Stambule listę zakupów.

Na liście znalazło się wszystko, czego potrzebował: urządzenia optoelektroniczne, szeroki wachlarz wytrychów, tak aby nadały się do każdego rodzaju sejfu i mnóstwo innych drobnych rzeczy, o których myśli każdy ekspert.

Charlie uśmiechał się jak idiota. Uwielbiał mówić o robocie, czuł się tak, jakby go w końcu wypuścili z padoku.

- No i co się tak smucisz, mały? Wiem, że to od cholery sprzętu, ale musimy być dobrze zabezpieczeni, nie mówiąc już o za dbaniu także o własny tyłek.

Rozumiałem to, ale sprzęt nie był w tej chwili dla mnie najważniejszy.

- No właśnie o twój tyłek się martwię, o swój zresztą też. Ty, kurcze, wszystko wiesz. A możesz, chłopie, wylądować w największym gównie. Wykonasz robotę i mogą cię potem wywalić na śmietnik.

**6**

- Jestem świadom ryzyka. Dlatego chciałem, abyś też tam był. Jak się zacznie wszystko sypać, myślę, że będziesz w stanie poskła dać to do kupy. Ale ja naprawdę wiem więcej o nocnej robocie...

Nie odpowiedziałem; chciałem, aby pracował, chciałem też wiedzieć więcej o Bazie i Podgolonym, i dlatego musiał podwędzać dokumenty z sejfu.

- Popatrz, już zadbałem trochę o siebie i wysłałem kurierem do Hazel pierwszą taśmę z tym tłuszczochem, nakazując, aby jej nie otwierała, tylko trzymała na wszelki wypadek. Wszystko tu jest popieprzone, ale na początek zrobiłem przynajmniej to - wstał i podszedł do czajnika stojącego na minibarku. - Nick, naprawdę wszystko jest w porządku. Zwał się tam - wskazał na łóżko - a ja zrobię nam dobrą herbatkę.

Brzmiał jak czyjś dziadek. Ale w końcu nim naprawdę był.

Odsunąłem mapę i ponownie usiadłem. Na twarzy czułem gorąco. Czym się tak niepokoilem - robotą czy jego bezpieczeństwem? Nie mogłem tego ustalić.

W małym plastikowym czajniku zaczęła bulgotać woda. Char-lie stał odwrócony do mnie plecami.

- To co, chłopcze, jesteś ze mną?

Rozerwał opakowania i włożył dwie torebki z herbatą do małych filiżanek. Dużo picia z tego nie będzie.

121

- Jak za dobrych starych czasów, co?
- Nie, Charlie, nie jak za dawnych czasów. Używamy teraz własnych paszportów. Kompletnie nie wiemy, w co się pakujemy. Nie mamy kontroli nad robotą. - Patrzyłem mu w plecy - Nie biorę się za nią, dopóki nie będziemy wiedzieć czegoś więcej... - przerwałem zirytowany - i dlaczego jaw ogóle mówię „my”, do kurwy nędzy? To się Charliemu spodobało. Jego plecy trzęsły się ze śmiechu tak mocno, jakby się dławiał całym ciałem.

Uspokoił się dopiero po z górą minucie i jął przebijać uchwytem

łyżeczki kartoniki z mlekiem do kawy.

- Myślisz, że ja tego wszystkiego nie wiem? Chłopcze, powiedziałem ci już, że właśnie dlatego jesteś mi potrzebny. Abyś trzymał sprawy broni palnej. - Odwrócił się i wręczył mi picie.

- Co na to powiesz? - oczy miał trochę mokre i nie byłem pewien czy tylko od śmiechu. - To małe piwo, jeśli obaj...

Przełknąłem łyk herbaty, chyba najsłabszej, jaką w życiu piłem.

- Jak on się, mówisz, nazywa?

- Zurab-syn-Baza, czy jakoś tak.

- O kurwa, ty nawet nie znasz jego nazwiska! Naćpany jesteś, czy co?

- Poczekaj, przypomnę sobie... Bazgadze. Ale to przecież

wszystko jedno, jak się nazywa. Wiem, gdzie mieszka, a poza tym i tak nie zamierzamy się z nim spotykać. Zwiad robimy dzisiaj, wieczorem sprawę załatwiamy. Potem nas tu nie ma. Jeszcze zdążę kupić jakąś buteleczkę w tax-free dla Hazel. Czy wiesz, że to w tym właśnie kraju wynaleziono wino?

Odsunąłem na bok plan miasta i odstawiwszy filiżankę na nocny stolik, wyciągnąłem się na łóżku.

- Jak brzmiała?

- Trochę kwaśna, ale wie, że tu ze mnajesteś. - Znowu był cały radosny. - Silky była z Julie na przejażdżce konnej.

Zdałem sobie sprawę, że również się uśmiechnąłem. Minęło dopiero kilka dni, a tęskniłem za nią. Przywykłem do jej towa-

jebańcem.

Charlie trafił w delikatny punkt, i wiedział o tym.

- Jak chcesz, możesz nawet powrócić do łask Hazel, mówiąc jej, że ściągasz mnie do domu, żadnej tam roboty nie będzie. No, więc? - wybrał numer w komórce - dawaj, zadzwoń do niej. - Rzucił telefon na łóżko. - I tak jej powiedziałem, że będziesz się starał mnie odwieść od roboty.

Pozwoliłem komórce leżeć tam, gdzie wylądowała. -A jak się nam nie uda zdobyć dziś wieczorem tych papierów? Masz jakiś zapasowy plan?

- Nie. Teraz albo nigdy. No, zadzwoń do niej.

I on dał sobie spokój z piciem rzeczy nie do picia.

- Zostaję. Nie mam wyboru. Przy okazji, Hazel myśli, że nadal jesteśmy w Turcji. Powiedz jej, że do domu przywieziesz mnie jutro. - Uśmiech zniknął z jego twarzy, to było na poważnie. - Proszę cię.

Wziąłem komórkę i nacisnąłem przycisk „połącz”. Połączenie trwało wieczność, ale potem telefon został odebrany zaraz po pierwszym sygnale.

- Nie, - powiedziałem - to Nick.

- Kiedy jest samolot? Chcesz, abyśmy przyjechali na lotnisko?

- Jutro. Wreszcie poszedł po rozum do głowy.

- Nick, jak bardzo ci dziękuję. - Nigdy chyba jeszcze nie słyszałem tyle ulgi w czyimś głosie. - Dzięki ci, stokrotne dzięki. Kiedy się zabieracie?

- To będzie zależało od tego, czy ze Stambułu będzie bezpośrednie połączenie, z tym jest koszmar. Masz tam gdzieś Silky po ręką?

Usłyszałem przytłumiony głos Hazel, a potem odezwała się Silky.

- Tęsknię za tobą, Nicku Stein. Wrócisz jutro?

123

- Kwiatku, słuchaj, rozmawiamy przez komórkę, to kosztuje majątek. Zadzwoń, jak już będę wiedział coś o samolocie, do brze?

-OK.

• Silky? -Co?

• Też za tobą tęsknię, tępaku.

Wyłączyłem się i rzuciłem telefon z powrotem na łóżko.

- Bogu, kurwa, dziękować, że to nie telefon z wideo.

• Nie chciałbyś, aby zobaczyła cię w tak opłakanym stanie, co?

• Nie, nie chcę, aby zobaczyła mnie w tej bluzie. - Wziąłem plan do ręki.

- Dobra, w takim razie jak to, kurwa, mamy rozgryźć?

7

Szare, ciężkie chmury przewalały się przez szczyty wzgórz. Samochody z pluskiem przebijały się przez kałuże wielkości kortu tenisowego. Chodnik wokół przystanku autobusowego, na którym czekałem na pojawienie się Podgolonego, błyszczał po deszczu. To będzie cholernie zamulony dzień.

Znajdowałem się naprzeciwko hotelu, mając oko na jego wejście. Umówiliśmy się, że dam Charliemu znak, gdy uznam, że to jest ewentualnie ten facet, i że już idzie. W pokoju została zamontowana kamera, która miała zarejestrować moment przekazania sprzętu i

odpowiedzi na pytania Charliego. Jeśli się wszystko spieprzy, taśma ta będzie naszym głównym ubezpieczeniem. Przechowamy ją w tajnym miejscu - razem ze wszystkim innym, do czego się dorwiemy - i upewnimy się, że Stuknięty Dave będzie wiedział, że mamy haczyk na każdego - Podgolonego albo jeszcze kogoś - kto by chciał nas wykiwać.

Siedziałem zaraz obok wystawy sklepu z bronią. Kolesie czekający na autobus mogli sobie pooglądać bogatą kolekcję dubeltówek, strzelb i chromowanych pistoletów - dla każdego coś miłego. Już zdążyłem zauważyć paru przechodzących facetów z kaburami przypiętymi na bluzach, a dezodorantów w nich z pewnością nie trzymali. Bluzy były oczywiście czarne. W Gruzji wszystko było czarne. Na te czarne bluzy mężczyźni zakła-

125

dali przeważnie czarne skórzane kurtki. Każdy po trzydziestce wyglądał tak, jakby właśnie spędził noc na bramce pod tbiliskim odpowiednikiem Spearmint Rhino.

Wszystkie odchodzące od głównej ulice wyglądały jakby ostatni raz widziały kawałek asfaltu w Roku Wielkiego Urodzaju. Więcej tam było dziur niż ład, które mogłyby w nie wpaść, a chodniki były tak krzywe, że praktycznie nie miały już krawężników.

Sfory zaświerzbionych psów zabierały się do gonienia za każdym kawałkiem śmiecia, który rozniesie wiatr. Na ziemi leżało tyle śmieci, a na gałęziach drzew powiewało takie mnóstwo starych plastikowych torebek, że starczyłoby na usypanie czwartego wzgórza, tak że miasto zostałoby całkowicie otoczone.

Minęło kolejnych dziesięć minut. Wyglądało na to, że poza sklepem z

bronią, dziwnym sklepem z telefonami komórkowymi oraz kawiarnią, resztę sklepów na głównej ulicy stanowiły księgarnie. Obserwując stare rosyjskie ciężarówki o kształcie bunkra, próbujące znaleźć sobie drogę pomiędzy strumieniem nowiutkich volvo i mercedesów, zdałem sobie sprawę, że na skrzyżowaniach nigdzie nie było świateł, i że w drodze z lotniska też żadnych nie mijaliśmy. Albo kierowcy byli tutaj bardzo uprzejmi, albo nikt by się nimi i tak nie przejął.

Na krótko przed dziewiątą przed hotelem zatrzymał się dwutonowy mitsubishi pajero z napędem na cztery koła, o srebrnym spodzie i granatowej górze. W środku siedziały trzy osoby. Nawet z daleka można było zobaczyć, że pasażer na tylnym siedzeniu miał wymiary małego czołgu. Wytoczył się na chodnik, otworzył drzwi z tyłu i wyjął ze środka dużą, jasną torbę, następnie zniknął za szklanymi drzwiami hotelu. Kierowca nie ruszył z miejsca. Pod hotel podjeżdżało całkiem sporo limuzyn i terenówek, i wsiadali i wysiadali z nich ludzie, ale ten akurat wyglądał mi na Podgolonego.

Złapałem za komórkę. W tej robocie rutyną było trzymanie w telefonie numeru Charliego jako ostatnio wybranego, a robiłem tak tylko dlatego, że mógłbym zapomnieć jego numer.

126

- Mam tu ewentualnego z towarem.

Postanowiłem poigrać ze śmiercią i w oczekiwaniu na ponowne pojawienie się Podgolonego przejść na drugą stronę ulicy, aby przyjrzeć się dwóm pozostałym w wozie kolesiom. Gdy zygzakiem pokonałem ostatni odcinek drogi, samochód miałem ustawiony do mnie bokiem, dokładnie naprzeciwko. Kolesie wyglądali, jakby właśnie przyszli tu prosto

z głównego naboru na misiów bramkarzy. Po trzydziestce, ubrani w czarne skóry, byli świeżo po goleniu, głowy ogolone na łyso, spoczywające na kierownicy dłonie kierowcy były świetnie utrzymane, a on sam miał na nosie czarno oprawione okulary przeciwsłoneczne.

Tablica rejestracyjna, wytłoczona w blasze, miała białe tło i czarne litery przed numerem 960: numery więc miejscowe, ani wojskowe, ani dyplomatyczne. Motor nadal chodził, co wskazywało, że pasażer nie zamierzał zabawić w środku długo.

Poczułem wibrowanie telefonu w kieszeni kurtki. Usunąłem się z pola widzenia kołesiów i nacisnąłem zielony guzik.

- Jest w drodze na dół, widzimy się za dziesięć.

**8**

Charlie wyjął kasetę z kamery. Już włożył rękawiczki.

Na łóżku, obok wielkiej granatowej płóciennej torby z klapą, leżał zestaw, który potrzebny będzie na miejscu. Okazało się, że niepotrzebnie majstrował swoje własne wytrychy - zdaje się, że Podgolony dostarczył mu po egzemplarzu wszystkiego, co kiedykolwiek wyprodukowano.

- Podgolony przywłókł ze sobą dwóch miejscowych goryli. Mafia albo nafta. Ciekawe, nie?
- Owszem, jakby chciało mi się tym martwić. Ale nie będę, mój drogi, głowa mnie od tego tylko zaboli.
- W porządku.

Wziąłem parę gumowych rękawiczek leżących na łóżku i zacząłem je zakładać. Jeśli Podgolony i jego obstawa zostawili na sprzęcie swoje DNA

albo odciski palców, to ich sprawa, ale ja i Charlie woleliśmy zadbać w tej kwestii o sterylność.

- No a teraz powiedz, staruszkule, jak poszło?
- Oświadczyłem mu, że roboty nie wykonam, dopóki nie powie mi, co jest grane. Powiedział mi, podczas gdy ja w rękawiczkach wyciągałem z torby każdy przedmiot.

W zestawie było wszystko, o czym tylko zamarzyłyby sobie włamywacz, od wytrychów, narzędzi rozpustowych i cążek, po malutkie latarki oraz kliny do drzwi, ale brakowało jednego.

128

- A gdzie jest broń, chłopie? Każdy tutaj ma broń.
- Niepotrzebna. Jak powiedziałem: wchodzimy i wychodzimy, ślad po pierdnięciu nie zostanie.

Zabrał się za sprzęt optoelektroniczny i zwinął kabel tak, że jego koniec zakręcony był jak wąż.

- Wygląda na to, że nasz Baz wtyka swoje tłuste paluszki w każdy tort, który znajdzie się w jego zasięgu. Trzyma z bojownikami na północy i bierze łapówki od Rosjan. Obie strony chcą zasabotować rurociąg, co nie tylko spieprzy sprawę dostawy ropy, ale również spowoduje niebezpieczeństwo na brytyjskich i jankeskich budowniczych. Podgolony chce to wszystko ukrócić, ale najpierw musi wiedzieć, co Baz trzyma w sejfie - no wiesz, dane o tym, kto od kogo bierze pieniądze, kto trzyma ukryty pod łóżkiem semtex, i tak dalej. Jak już to wszystko będzie miał w swojej małej rączce, będzie on mógł - a teraz rozumiem, że tym samym rząd amerykański i wszystkie przedsiębiorstwa naf

towe - udać się do gruzińskiego człowieka numer jeden i tym go ucieszyć. Do akcji będą mogły wkroczyć odpowiednie władze, i proszę, wszystko będzie cacy.

Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy, tym razem bez uśmiechu.

- Zadowolony? Jak chcesz, możesz sobie obejrzeć nagranie. Potrząsnąłem przecząco głową. Nie trzeba.

- Wierzysz mu więc?

- To się trzyma kupy. Zresztą, co to za różnica? Powiedziałem ci już, że robotę wykonam. Jeśli ci zarośnięci bojownicy zabiorą się za rurociąg, zaczną ginąć ludzie. Ci, co go budują, są świadomi ryzyka, i dostają za to duże pieniądze. Ale inni nie - ci, którzy tego całego gówna będą pilnować...

Przypomniałem sobie twarze młodzików w reklamie dla przyszłych rekrutów. I wtedy załapałem.

- Są chyba w wieku Stevena...

- Nie mylisz się, stary. Przyzwoici zawsze dostają w dupę, i tak jest wszędzie. Może mogę oszczędzić paru innym rodzicom

129

koszmaru, przez który przeszliśmy razem z Hazel. Nie jest to wprawdzie powód, dla którego wziąłem tę robotę, ale z pewnością stanowić to będzie niezły bonus.

Na moment, w którym pomyślał o swoim synu, twarz jego stała się jakby bez wyrazu, ale szybko się z tego otrząsnął. Znam ten chwyt, zawsze życzyłem sobie, aby za każdym kolejnym razem przychodził mi z większą wprawą.

Na twarz Charliego powrócił grymas.

- Szczerze mówiąc, pieprzyć pieniądze, powinienem za to dostać medal od Gruzinów! Też chcesz?

- Zobaczymy. Jaki masz plan?

- Dwie możliwości. Podgolony mówi, że Baza nie będzie w domu do niedzieli rana. Jedzie do jakiegoś parku narodowego obcałowywać dzieci, czy coś takiego. Co na tym zadupiu można robić w celu zdobycia głosów? Musimy więc przedostać się do jego domu jak najszybciej, dziś wieczór, znaleźć sejf i go rozpracować. Zabieramy, co tylko w nim będzie, zamykamy wszystko porządnie, no i rano łapiemy samolot.

- A co ze zdaniem materiału? Gdzie mamy to zrobić?

Ewidentnie zapomniał o skrzynce kontaktowej.

- Nie powiedziałem ci? Na cmentarzu, jakieś dziesięć minut od jego domu. Ładujemy wszystko do plastikowej torebki i wkładamy pod kamienną ławkę stojącą przy grobie niejakiego Tengiza. Nie będzie z tym problemu, facet leży pochowany zaraz przy głównym wejściu - głupi grymas zastąpił teraz miłym uśmiechem. - Rozpogódź się! To, że nie jestem tak nabzdyczony jak ty, nie oznacza, że nie pracuję.

Rozłożył plan miasta.

- Coś jeszcze, o czym zapomniałeś mi, skurczysuku, powie dzieć? A plan zapasowy? Powiedziałeś, że są dwie możliwości.

Wybałuszył oczy.

- Chłopcze, nie ma planu zapasowego. Wydawało mi się, że będzie to lepiej wyglądało, jeśli udamy, że mamy w zanadrzu też inne opcje. - Spodobało mu się to, co powiedział. Uśmiech miał

tak szeroki jak sama rzeka Mtkvari, ale widać było, że próbuje pozbierać się z tego, co popieprzył.

- Wiesz co, Charlie, pójdę sobie teraz na spacer, a ty w tym czasie coś z tym całym gównem zrobisz - w ten sposób dałem mu łagodnie do zrozumienia, że musi w spokoju przejrzeć, czy cały rozłożony na łóżku sprzęt jest w porządku. - Spotkamy się na cmentarzu i znajdziemy skrzynkę. Potem każdy oddzielnie wróci tu na odprawę.
- A jakie masz plany wobec tego? - wskazałem głową na taśmę leżącą obok telewizora. - Wiesz co, jaja wezmę - schowałem taśmę do wewnętrznej kieszeni kurtki - i tak masz wystarczająco dużo do targania.

Zapiąłem kurtkę.

- Na pewno chcesz to wszystko zrobić?

Uśmiech zniknął z jego twarzy, już chciał mi przywalić. Uniosłem rękę.

- Wiem, wiem, to ostatni raz, obiecuję. Po prostu chcę być pewien, że do twojego pieprzonego zdemenciałego łba dotarło wszystko, co może stanowić dla nas ryzyko.
- To musi być wykonane - bawił się zestawem wytrychów, próbując wydobyć jeden, ale miał z tym kłopoty. Opuścił więc zestaw szybko na łóżko, myśląc, że tego nie zauważę.

Odwróciłem się do wyjścia, ale Charlie mnie powstrzymał.

- Oj, jaki ze mnie dureń, zobaczmy, czy coś mi we łbie zostało po latach bolesnej edukacji. Po pierwsze: Podgolony nie umiał się dowiedzieć, kiedy urodził się Baz - a ty byś potrafił? I po drugie: na wieczór potrzebujemy z sześć ręczników i dwie gaśnice...

Skinąłem głową i ponownie zwróciłem się ku drzwiom.

- I podprowadź je na ostatnim piętrze, jak będzie pożar, to niech te pieprzone wyższe sfery się po prostu sfajczą...

CZEŚĆ

PIĄTA

1

Po wyjściu z hotelu skręciłem w prawo i poszedłem główną ulicą, orientując się według uzyskanego w recepcji planu miasta. Ulicę wypełniali albo odziani na czarno miejscowi, albo goście z Zachodu obowiązkowo w kurtkach z goreteksu, koszulach polo i markowych spodniach turystycznych. Taki był też najwyraźniej ubiór dnia w Marriocie, co szczególnie widać było wokół recepcji, gdzie goście zbierali się teraz tłumnie na śniadanie, w kawiarni zaś wprost czarno było od zwolenników samodoskonalenia się na świeżym powietrzu.

Szedłem główną ulicą, równoległe do niej, gdzieś na prawo, powinna płynąć rzeka. Była 11:26 i w miarę jak mijałem gmach opery, teatru, muzea oraz parlament, robiło się coraz ruchliwiej. Budynki były przepiękne. Pochodziły sprzed czasów, kiedy to wujaszek Stalin pojawił się tu z ładunkiem kilku milionów ton domów wielkiej płyty. Nie mogłem tego zrozumieć: z tego, co wyczytałem, stało tu jeszcze kilka jego pomników, a całkiem pokaźna liczba starszych ludzi uważała go za największego wodza w historii - cokolwiek to straszne, biorąc pod uwagę

to, że wymordował około miliona swoich gorących zwolenników.

Wysoko, zaraz pod zasłaniającymi niebo chmurami, stał maszt telekomunikacyjny wysokości wieży Eiffla, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem razy w tygodniu, wysyłał

135

w świat obrazy amerykańskiej flagi i uśmiechniętych rosyjskich gospodyń domowych.

O tej porze dnia na ulicach było całkiem sporo miejscowych, a ja definitywnie nie mogłem robić za szarego człowieka. Moja skóra nie ciemniała w parę sekund pod wpływem słońca, tak jak u miejscowych, czarnowłosa nie byłem i miałem niebieskie oczy. Wtapiałem się w tłum jak Święty Mikołaj w Kongo. Ludzie patrzyli na mnie, jakbym był szpiegiem albo przyjechał tu ich porządnie skrzywdzić.

Minął mnie wolno niebiesko-biały policyjny passat. Dwóch facetów w środku miało na tylnym siedzeniu karabiny. Zlustrowali mnie wzrokiem, po czym kierowca rzucił koledze jakiś komentarz pod adresem dziwaka. A, pieprzyć to, i tak mnie tu zaraz nie będzie. Poza tym pewnie zazdrościli mi tego swetra.

Coraz bardziej niepokoiłem się o robotę, a raczej o Charliego. Co oznaczało, że niepokoiła mnie moja własna głupota, że się do niego podłączyłem. Nadal nie mogłem zrozumieć, jak potrafił zadbać o sprzęt, a zapomnieć o skrzynce kontaktowej...

A potem pomyślałem: pieprzyć to, stało się. Jakoś to załatwię. Byłem potrzebny Charliemu. On był tu najważniejszy. Może i miał nieużyteczne dłonie, może miał trudności z zapamiętaniem, co ma robić, ale przynajmniej był przy życiu. Każdy jeden z moich przyjaciół, obojętnie

czy byliśmy na początku przyjaźni czy już w stadium dzielenia się ciuchami, już nie żył.

Ja robiłem to dla Charliego. Charlie robił to dla Hazel. Nie mogłem go zawieść. Teraz był w hotelu, denerwując się trochę, czy zauważyłem, że momentami nie był nawet w stanie trafić palcem do dziurki w nosie. A może zdenerwował się porządnie, nie wiedząc, czy będzie w stanie utrzymać ręce w szachu aż do ukończenia całej roboty. Najbardziej potrzebował jednak świadomości, że na mnie może polegać, a to polepszyło mi humor.

Może ja też przyczynię się do uratowania paru żołnierzyków pilnujących rurociągu. Widziałem już, co się dzieje w rodzinie, gdy polegnie ukochany syn, i zdałem sobie sprawę, że wcale mi się to nie podoba.

136

Miałem nikłe podejrzenie, że koncentrowanie się tak bardzo na Hazel i Stevenie pozwala mi nie myśleć o sobie i o Kelly, ale nie miałem odwagi przyznać się do tego przed sobą samym. Pomyślałem więc o Silky i od razu zrobiło mi się lżej na duszy. Pewne było jedno: wolałbym leżeć sobie teraz z nią na plaży, niż rozrabiać w ogródku gruzińskich dygnitarzy.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, obok księgarni angielskiej połączonej z kawiarnią internetową i barem. Przez otwarte drzwi wydobył się wysoki głos jakiejś Amerykanki „O mój Boże... ale to fajowe”. Postanowiłem sobie, że tam kiedyś wpadnę.

Chyba się uśmiechałem - tak, bezsprzecznie brakowało mi Silky. Miesiące spędzone na kozetce u psychiatry nie poukładały mi w głowie tyle, ile spędzenie paru miesięcy w towarzystwie tego chodzącego jak kot swoimi drogami i myślącego po swojemu tę-paka.

Może wrócić po prostu do niej i przez następny rok przemierzać busem wszerz i wzdłuż cały kontynent?

Mijałem nowy znak rozpoznawczy miasta, bez dwóch zdań, świeżutki McDonald był najjaśniejszym i najbardziej błyszczącym budynkiem na głównej ulicy. Tego przedpołudnia deszcz dodał brązowym marmurowym ścianom jeszcze większego blasku. Nowo nawróceni stali ze swoimi dziećmi w kolejce po gruziński McBrunch.

Ład przed barem nie stało za dużo. Świeżo otwarty, przyciągnął raczej ludzi z mercedesami o przydymionych szybach i nawet jedno porche z napędem na cztery koła. W tej części świata nikogo pracującego uczciwie nie stać na merca. Kierowcy i ochroniarze w jednej osobie zebrali się pod pobliskim drzewem i palili łąpczywie marlboro, co jakiś czas przerywając czynność, aby strzepnąć popiół z rękawów obowiązkowo czarnych skórzanych kurtek.

Jakiś starszy człowiek w jeszcze starszej od niego czarnej marynarce krótkim drewnianym kijkiem pokazywał, gdzie parkować i kolejne błyszczące auta pełne dzieci bogatych rodziców podjeź-

137

dzały, aby te mogły napchać się amerykańskimi imperialistycznymi kaloriami. Zacząłem myśleć, czy by też nie zafundować sobie super-sajza.

Już za chwilę powinienem skrócić z głównej ulicy - McDonald zaznaczony był na planie bardzo wyraźnie, i bardzo dobrze, bo nie umiałem przeczytać nazw ulic ani po rosyjsku, ani pisanych spinaczami [sloganowe określenie pisma gruzińskiego -*przyp. red.*].

Plan był prosty. Jeśli się da, będę krążył dookoła domu tak długo, aż zobaczę wszystko, co będzie do zobaczenia. Głównie chodziło mi o

ochronę i drogi ucieczki. Krążyć sobie będę pod warunkiem, że nie zwiną mnie stamtąd gliniarze w swoich niebiesko-białych volkswagenach. Pełno ich było bowiem na mieście, albo krążących jak muchy, albo sterczących w jednym miejscu, ukrytych między innymi zaparkowanymi samochodami, a siedzący w środku obserwowali okolicę i palili papierosy.

Na drugim skrzyżowaniu skręciłem w lewo i poszedłem pod górę w stronę gmatwaniny uliczek i pokrzywionych domów, które nie doczekały się jeszcze odnowienia. Nagle znalazłem się w prawdziwym Tbilisi, biednej i zaniedbanej jego części, i poczułem się jak w domu, z dala od odpicowanych domów i błyszczącego świeżością asfaltu.

W małych piekarniach sprzedawano chleb i ciastka przez okienko w ścianie. Samochody lawirowały pomiędzy kałużami, a piesi schodzili na jezdnię, próbując ominąć dziury w chodniku. Przy krawężnikach stały porzucone pojazdy oraz przepełnione śmietniki. Być może był to właśnie dzień wywózki śmieci. A może to pozostałości po erze komunizmu: razem z sierpem i młotem pojawiła się wiara, że odpowiadasz tylko za to, co mieści się w twoich czterech ścianach, a o wszystko inne zadba państwo.

Numery domów znaleźć było łatwo; umieszczone były na plastikowych tablicach o powierzchni ponad pół metra kwadratowego, przybitych do ścian, i na których umieszczono także nazwę ulicy po rosyjsku i spinaczami. Ponownie zapachniało mi to deprymującą uniformizacją ze starych czasów, choć przynajmniej

138

listonosz nie porobi bałaganu z kartkami świątecznymi - chyba, że mieszka się w lepszej dzielnicy. Tam bowiem raczej nikt nie potrzebuje afiszować się akurat numerem domu.

Nad głową miałem plątaninę kabli elektrycznych, które wychodziły z czegoś, co wyglądało na puszki elektryczne domowej roboty, przytwierdzone do drzew. Być może nawet takowymi były, przy tak niepewnych dostawach energii, ludzie zawsze znajdą sposoby, aby jakoś się zabezpieczyć. Z wychodzących prosto na ulicę kanałów burzowych kapłała woda deszczowa. Pnąc się pod górę, poczułem nieprzyjemny chłód potu na plecach.

Byłem już na wzgórzu, pot ściekał ze mnie teraz porządnie. Miałem nadzieję, że po przelawiirowaniu przez trzy skrzyżowania dotarłem do ulicy Barnowa. Mój obiekt znajdował się gdzieś po lewej stronie.

Stare budynki ze śladami świetności stały ramię w ramię obok nowoczesnych dziwolągów ze stali i szkła. Wszystkie bez wyjątku otoczone były wysokimi murami, czasami otynkowanymi i pomalowanymi, czasami po prostu z gołych betonowych bloków.

Minąłem ambasadę Francji i Chin. Przed każdą z nich stała mała budka, w której siedział znudzony wartownik, czytając gazetę. Wbrew pozorom i dziurom w jezdni, musiała to być jednak lepsza dzielnica miasta.

Wyglądało też na to, że w tej okolicy łady nie stały ma pierwszym miejscu, jeśli chodziło o wybór pojazdu. Przez ostatnie minuty widziałem jedynie mercedesy i volkswageny, blokujące wąskie chodniki, ale o dziwo, niewielu szoferów nosiło się na czarno. Minął mnie saab z jakimś zarośniętym Hawajczykiem w środku, palącym cygaro i krzyczącym coś do swojej komórki, nie przeszkadzało mu to przeglądać się jeszcze w lusterku. Nie był raczej w drodze na jakieś przyjęcie w ambasadzie.

To musiał być teren mafii. Może i dobrze dla niej, ale wcale nie tak dobrze dla mnie ani dla Charliego. Będziemy mieli tu do czynienia z

niezdrową ilością środków ochrony.

139

**2**

Numeru domu nie znałem, ale mogłem go rozpoznać po tym, co zobaczyłem na robionym z ukrycia filmie wideo.

Szczyt trzymetrowego muru po mojej lewej stronie był wyłożony potłuczonym szkłem. Nie stanowiło to problemu przy ewentualnym pokonywaniu muru, najwyżej mogło zabrać trochę więcej czasu. I miałem rację - tutaj bogate domy nie miały widocznej numeracji.

Minąłem pordzewiałą metalową bramę; na razie z tego rekonesansu nie wynikało nic więcej niż z filmu, chyba że do wiedzy tej należałoby zaliczyć świeże graffiti po rosyjsku i w spinaczach na-bazgrane na drzwiach. Sądząc po otworze na klucz, zamek w nich był zapadkowy, trzystopniowy, który Charlie załatwi w trzy migi.

Przez szparę między skrzydłami bramy zauważyłem niebieski pojazd. Między bramą a podłożem był prawie dziesięciocentymetrowy prześwit, a bolce blokujące skrzydła tkwiły w ziemi. Baz musiał więc być w domu, chyba że było tu jeszcze inne wyjście.

Mur ciągnął się od bramy jeszcze przez trzy albo cztery metry, po czym skręcał na rogu ulicy, w lewo przy skrzyżowaniu. Poszedłem wzdłuż niego i szybko uznałem, że niczego nowego o obiekcie się tutaj nie dowiem.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się klub nocny i restauracja pod nazwą Primorski. Neon nie działał, ale zdjęcia na wielkich

czarnych drzwiach klubu przedstawiały tancerki prosto z Las Vegas, przyodziane w zasadzie jedynie w pióra na głowie.

Po kilku metrach otynkowany mur się skończył, przechodząc w zwykły mur z betonowych bloków, który skręcał ponownie przy następnej przecznicy. Dalej w lewo już nie poszedłem. Stał tam zaparkowany samochód niebiesko-białych. Ruszyłem więc prosto, w stronę cmentarza. Charlie i tak miał iść od strony tej przecznicy i zobaczyćby dokładnie to samo, co jak widziałem z miejsca, gdzie się znajdowałem - że domy stały tu tarasowo tak ciasno obok siebie, że do naszego obiektu mógł równie dobrze przylegać inny dom z szeregu obok.

Jeśli robotę spieprzymy i trzeba będzie salwować się ucieczką, najlepszą drogą będzie wspiąć się w górę, w stronę masztu telekomunikacyjnego. Tam na górze nikt nie mieszkał. Być może dałoby się nawet dojść górą pod osłoną ciemności aż do wysokości Marriotta, zejść na dół i złapać taksówkę na lotnisko.

Teraz musiałem sprawdzić skrytkę na cmentarzu, który znajdował się dalej na górze. Może stamtąd widoczna nawet będzie posesja obiektu. Minąłem całą paradę sklepów, w których sprzedawano chyba wyłącznie buty. Zaesemesowałem do Charliego: „Weź lornetkę”.

Otrzymawszy od niego wiadomość „OK”, zlikwidowałem oba wpisy i poszedłem dalej. Ostatni ze sklepów był sklepem spożywczym. Wstąpiłem, aby kupić butelkę wody. Tej samej marki, co woda w Marriocie w minibarze i na telewizorze - duma Gruzji.

Jedną przynajmniej rzecz Charlie zapamiętał właściwie. Cmentarz znajdował się o niecałe dziesięć minut drogi dalej i był łatwy do

odnalezienia. Wystarczyło iść za staruszkami, kuśtykającymi tam o swoich laskach i pod prąd procesji żałobników, wracających z pogrzebu.

Po przeciwnej stronie ulicy, na dużym, otwartym placu z ubitej gliny stały samochody, wyglądające raczej na porzucone niż zaparkowane. Być może czekały w kolejce na zatankowanie w nowiutkiej stacji paliw po prawej stronie, tak nowej, że be-

141

tonowy podjazd do niej nadal miał śnieżnobiały kolor. Przez zdezelowaną żelazną bramę wiszącą na resztkach starego muru wszedłem na cmentarz i przedarłem się przez tuzin starych kobiet sprzedających kwiaty oraz cienkie długie świeczki.

Na cmentarzu panował ruch jak w centrum handlowym, zupełnie inaczej niż na Zachodzie. Zamiast schludnych rzędów nagrobków, miejsce to było labiryntem dużych grobowców rodzinnych, ogrodzonych balustradami z kutego żelaza albo niskimi murkami z cegieł.

W pobliżu grobowców, przy stołach przytwierdzonych na stałe do ziemi, siedzieli mężczyźni i kobiety, gawędząc ze sobą i popijając z butelek herbatę lub kawę. Jakiś starszy facet był najwyraźniej pijany, choć było jeszcze wczesnie, i wymyślał w stronę jednego z nagrobków. Pewnie rewanżował się teraz za całe swoje życie, spędzone na wysłuchiwaniu narzekań.

Wzdłuż głównej alei, co jakieś dwadzieścia metrów, ustawione były krany z wodą, ludzie albo myli pod nimi swoje kubki, albo nabierali wodę do wazonów.

Kobieta siedząca za małym stolikiem i sprzedająca świeczki, zobaczywszy, że mam puste ręce, próbowała sprzedać mi parę lampek, ale

poszedłem dalej, trzymając się głównej alei. Zauważyłem, że wzdłuż tej alei skupiły się najbardziej eleganckie groby. W tym kraju wyraźnie płaciło się ekstra za utrzymanie w czystości butów. Poza aleją ludzie musieli przeciskać się między grobowcami, aby dostać się do grobów swoich bliskich. Na jednym z nich, za szybką, widniał olejny obraz przedstawiający tańczącego clowna. Między grobami wysypana była drobna, czarna granulowana substancja, która wyraźnie robiła swoje - nigdzie nie było nawet śladu chwastów.

Próbowałem sprawiać wrażenie, jakbym robił dokładnie to samo co inni, czyli podążał powoli w stronę mojego grobu rodzinnego. Szukałem ostatniego miejsca spoczynku Tengiza. Charliemu powiedziano jedynie, że pochowany był przy głównej alei. Nie miałem nawet pojęcia, czy szukam grobu mężczyzny

142

czy kobiety - swoją drogą, nie miało to przecież znaczenia. Ale jak napis będzie spinaczami, mamy przechlapane.

Nadal mieliśmy farta. Doszedłem do dużego grobowca z czarnego marmuru na działce wysypanej drobnym tłuczonym białym kamieniem i otoczonej niedawno odświeżonym, ponadpółmetro-wym ogrodzeniem z kutego żelaza. Teraz zrozumiałem, dlaczego Podgolony wybrał akurat ten grobowiec. Z wygrawerowanych portretów patrzyło na mnie buńczucznie czterech mężczyzn, a pod całą masą bukw i spinaczy wykute było jedno jedyne słowo w alfabecie łacińskim: Tenzig.

Po jednej stronie grobowca stała dwumiejscowa ława z czarnego marmuru, o podstawie wyglądającej na jednolity blok kamienny oraz zardzewiały metalowy pojemnik na śmieci, pełen zwiędłych kwiatów. Jeśli

był tam na stałe, znaczył dobrze miejsce.

Przy następnym grobie siedziały rzędem kobiety i żując nasiona słonecznika, robiły na drutach. Gdy je mijalem, jedna za drugą zaczęły głośno wzdychać i wznosić oczy ku niebu. Ciekawe, czy to zachowanie miało coś wspólnego z moją bluzą.

Sprawdziłem, dochodząc do końca alei, czy nie ma przypadkiem do wyboru pięciu innych miejsc pochówku Tengizów, ale nie było. Teraz przyszedł czas na zbadanie, czy z tego miejsca da się zobaczyć obiekt. Jeśli nie, będziemy musieli iść na czuja.

Wypatrzyłem miejsce, na samym brzegu cmentarza, gdzie zwrócona w stronę naszej dzielnicy stała samotna drewniana ławeczka. Poniżej tego miejsca, jakieś siedem metrów stromo w dół, biegła droga, przy której gdzieś po lewej stronie musiała znajdować się główna brama. Aby się tam dostać, trzeba będzie minąć rzędy całkiem niedawno wzniesionych nagrobków, na których widniały podobizny młodych mężczyzn i kobiet - wszyscy zdaje się zmarli w 1956 roku. Wyglądało na to, że teraz, po upadku komunizmu, ludzie nareszcie mieli możliwość upamiętnienia przynajmniej niektórych spośród około miliona ofiar Stalina.

Dotarłem do ławki i usiadłem. Teraz pozostało mi tylko ustalenie, który dom należał do Baza.

143

Zadzwoiłem do Charliego, który nadal był w trakcie zakupu lornetki.

- Znalazłem ewentualną skrytkę w alei. Musimy tylko sprawdzić, czy kamienna podstawa ławki nie jest jedną bryłą, bo inaczej to nie jest nasze miejsce. Jak pójdziesz w lewo od głównej alei, to znajdziesz mnie na szczycie wzniesienia.

Charlie przysiadł się do mnie po jakiś dwudziestu minutach. Do tego czasu zlokalizowałem nasz obiekt, od tej strony widoczny był kawałek niebieskiego samochodu na podwórzu oraz prawie cały front domu. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się okna, na piętrze też były dwa, bezpośrednio nad tymi na parterze. Aby zobaczyć coś więcej z tej odległości, potrzebowaliśmy lornetki.

Charlie miał ze sobą torbę.

- Cholera, a ja myślałem, że cmentarze to miejsce anielskiego spokoju. Istny jarmark tutaj.
- Może byś poszedł sprawdzić skrytkę, dziadku.
- Tych czterech wybałuszonych na pana Boga przy śmietniku na kwiaty? To musi być tam. Kwadrat podstawy ławki składa się z czterech części, musi być pusta w środku. W końcu już niedługo się przekonam, no nie? Wziąłem dla ciebie komiks z hotelu, abyś się nie nudził, gdy będę zajęty robotą.

Wyciągnął z torby gazetę oraz małą zieloną lornetkę, jeszcze w opakowaniu. Gazetą był „Georgian Times”, angielskojęzyczny tygodnik, wychodzący co poniedziałek. Podczas gdy Charlie rozpakowywał lornetkę, przejrzałem pierwszą stronę.

10 maja, w drodze powrotnej z obchodów Dnia Zwycięstwa w Moskwie, w Tbilisi miał złożyć wizytę George Bush. „Tbilisi

w oczekiwaniu na wielką wizytę" - krzyczał nagłówek, a obok „Tbilisi wygląda jak papuga”.

Zdaje się, że miejscowym rzygać się chciało na widok różowych i żółtych kolorów, jakimi ochlapano domy, aby przykryć brud.

- Teraz wszystko rozumiem. Buszuś przyjeżdża, kładzie się nowy asfalt. Założę się, że on, podobnie jak nasza królowa, myśli, że cały świat pachnie świeżą farbą i pastą do podłogi.

Charlie prychnął ze śmiechu.

- Wiedziałem, że ci się spodoba. Być może nasza robota ma jakiś związek z tą wizytą. Zrobić porządek w sprawach przed pojawieniem się ważnego człowieka, kapujesz.

Przyłożył lornetkę do oczu i zajął się ustawianiem ostrości.

Przejrzałem resztę gazety. Wiadomości ze świata było niewiele. Większość artykułów poświęcona była grupkom uśmiechniętych ludzi ściskających sobie nawzajem dłonie przed jakimiś siedzibami miejscowych firm, a śródtytuły sławiły współpracę w biznesie oraz wagę propagowania gruzińskiej przedsiębiorczości na świecie. Jedna mała notatka traktowała o kolejnym żądaniu rządu wycofania się sił rosyjskich z Gruzji. Jak zwykle, odpowiedź Rosjan brzmiała mniej więcej „dobra, dobra, poczekajmy do 2008 roku”.

Przebiegłem wzrokiem resztę strony.

- Najświeższe wiadomości o rurociągu - powiedziałem - ma być otworzony na czas. Ropa popłynie nim pod koniec maja.
- Chłopcze, co mnie to obchodzi? - Lornetka skierowana była na obiekt.
  - Popatrz na trzeciej stronie - jakie piękne szczyty.
- Rzeczywiście, na trzeciej stronie widniało zdjęcie wzgórz Parku

Narodowego w Borjomi.

- To stamtąd pochodzi woda mineralna.

Wczytałem się w artykuł.

- O kurcze, ktoś tu zapieprzył sprawę. Rurociąg przechodzi prosto przez Park, cholernie blisko źródeł wody. Byle obsów ziemi przy rurociągu i największy produkt eksportowy Gruzji sta-

146

nie się już przeszłością. Afera w rządzie. „Grupy nacisku żądają wszczęcia dochodzenia” - piszą. Światowy Fundusz Na Rzecz Przyrody wścieka się. Nieźle się tu dzieje... Znalazłeś stronę z horoskopami? Charlie nadal studiował obiekt.

- Cholera - lornetka drżała mu w rękach - Nick, wygląda na to, że tam jest oświetlenie na czujnik ruchu oraz kilka kamer, mających w zasięgu całe podwórko. Popatrz sam. Co o tym myślisz?

Wziąłem od niego lornetkę, podając mu w zamian gazetę. Za naszymi plecami przeszło kilka kobiet, każda z nich w jednej ręce miała zapaloną świeczkę, w drugiej bukiet kwiatów. Wszystkie odziane były w chustki i czarne ubrania.

Przyjrzałem się domowi.

-To jego audi?

- Tak, to niebieskie, w strasznym stanie. W razie czego mam nawet numery rejestracyjne. Jeśli jest tak, jak mówi Podgolony i facet bierze łapówki, powinno go być stać na lepsze kółka.

Charlie miał rację co do oświetlenia. Na najbliższym od naszej strony narożniku domu umieszczono kamerę przemysłową, na obu narożnikach ściany frontowej dwa reflektory na łukowatym wsporniku, pod którymi

widniały plastikowe cylindry zawierające prawdopodobnie detektory ruchu. Nie widzieliśmy ich uprzednio, przechodząc obok domu, ponieważ znajdowały się na poziomie parteru, przysłoniętym przez mur.

Kamera na prawym rogu była skierowana w stronę ulicy, druga zasięgiem swoim obejmowała ścianę boczną i tył domu, podobnie jak kamera na lewym rogu. Na zapleczu domu musiała być jeszcze jedna, to jasne. Przyjrzałem się bramie.

-Nadal uważam, że rygle są ręczne - odjąłem od oczu lornetkę - przyjrzałeś się im, przechodząc?

- Nie. Co sądzisz o tych dwóch domach obok?

Przyłożyłem ponownie lornetkę do oczu. Światło mogło docierać do środka jedynie przez dwa okna przy drzwiach wejściowych na podwórze. Odległość między murem a ścianami domów

147

na tyłach oraz po bokach wynosiła bowiem niespełna dwa metry. Kiedyś musiał to być budynek wolnostojący, z ogrodzeniem i bez tak bliskich sąsiadów.

Frontem do domu, po drugiej stronie wybetonowanego podwórza, w odległości mniej więcej dziesięciu metrów, stały dwa małe budynki z cegły. Jeżeli wejdziemy przez bramę, będziemy je mieli po prawej ręce, audi pośrodku, a po lewej wejście do domu.

- Dobre miejsce na kryjówkę, zanim wykoncypujemy co dalej, co? Jak facet będzie w domu, przynajmniej będzie gdzie usiąść i pomyśleć co dalej.

Ściana frontowa domu nie miała żadnych wypustek. Na schowany w nią ganek wiodły trzy schodki. Drzwi były drewniane, w naturalnym kolorze,

z dwoma zasuwami po prawej stronie, jeden umieszczony był na wysokości jednej trzeciej od góry, drugi w tej samej odległości od dołu, klamka pośrodku. Z tej odległości nie mogłem zobaczyć, czy przy klamce też był jakiś zamek. Pod drzwiami leżała czerwona wykładzina i wycieraczka z jakiejś plecionki.

Na twarzy poczułem kilka kropli deszczu. Od przeciwległej strony miasta nadciągała mgła. Obok nas przeszło trzech młodych chłopaków. Z zarzuconymi na głowy kapturami swoich pstrokatych nylonowych kurtek bez rękawów, bardzo starali się - bez powodzenia zresztą - nie wyglądać zbyt podejrzanie.

Charlie uśmiechnął się.

- Zdaje się, że szukają dobrego miejsca, aby popalić sobie domowej trawki. - Starł z karku wilgoć. - Ten dom to małe piwo, czy jak?
- Tego jeszcze nie wiem. Jak wrócimy do hotelu, muszę trochę nad tym pomyśleć. A ty?
- Dla mnie to pestka. Jest szansa, że te detektory ruchu sąjedy-nie po to, aby włączać oświetlenie, kamery być może też nie działają. A może podłączyć je do alarmu? Będzie się włączać przy każdym przelocie nietoperza. Biedny Baz nie będzie mógł spać całą noc.

148

Charlie wziął ode mnie lornetkę.

Wiesz co, chłopcze, uważam, że powinniśmy po prostu zabrać się za robotę. Oświetlenie uliczne jest gówniane. Przez bramę przeczołgać się starym zwyczajem dla uniknięcia czujników i do drzwi wejściowych. Otworzę je, załatwię sprawę, a potem zabieramy stąd dupy i na cmentarz, do skrytki. W hotelu będziemy akurat na śniadanie. Wczesne, pamiętaj

bowiem, że mam ważne spotkanie z Air Georgia. - Opuścił lornetkę i uśmiechnął się do mnie szeroko. - Plan wygląda dobrze, co?

- Wygląda koszmarnie.

Rozpiął kurtkę i wsadził lornetkę za pazuchę.

- Daj mi jeszcze chwilkę. Przejdę się wokół klubu nocnego i zobaczę, jakie mogą być w jego okolicy drogi odwrotu.

- Dobrze, ruszę za tobą za piętnaście minut - zabrałem się ponownie za gazetę.

Charlie wstał i położył mi rękę na ramieniu.

- Słuchaj, chłopcze, chciałbym ci podziękować... - przerwał, tak jakby miał trudności z przełykaniem - przez chwilę myślałem, że nie pójdziesz ze mną, co mnie zaniepokoiło. Naprawdę potrzebuję twojej pomocy, więc dzięki.

Nie wiedziałem, co zrobić. W głowie zrobiło się pusto. Kurwa, i co jeszcze? Będzie mnie teraz całował, czy co?

- Mam nadzieję, że wiesz, jak trafić z powrotem, głupi stary dziadu...

Charlie uśmiechnął się; wiedział, że to dla mnie było trochę za dużo. Co do wyrażania uczuć między mężczyznami moja strefa komfortu psychicznego nie rozciągała się dalej niż to, co dawał pożegnalny napis na pucharze Charliego.

- Wiem, albo i nie wiem. Jak się zgubię, zapytam o drogę policjanta. Coś ich tutaj dużo, nie uważasz?

Odszedł, a ja natychmiast pożałowałem, że nie powiedziałem mu, co czuję. Był moim przyjacielem i nigdy bym go, rzecz jasna, nie zostawił. Ale to był kolejny mój problem - wiedziałem, co powiedzieć, ale zawsze po

fakcie.

149

Przeglądałem gazetę przez kolejne dziesięć minut, w głowie kłębiło mi się od pytań i wyobrażeń, co się może stać. Co będzie, gdy Baz będzie w domu? A co by się stało, gdyby spotkał nas w drodze na piętro? A jak nie będzie tam żadnego sejfów?

W moim rozumieniu zawsze opłacało się spędzić trzy godziny na planowaniu trzyminutowej akcji. Ale może Charlie miał rację. Co ja się tak martwię? W hotelu przerobimy cały plan działania i wszystkie „co będzie, jeśli”.

Znowu złapałem się na tym, że myślę o Silky, i starałem się myśleć jedynie o pozytywnych rzeczach. Po kolejnych pięciu minutach zorientowałem się, że to nie pomaga. Jak mocno bym się nie starał, nie mogłem sobie dać spokoju z moim największym zmartwieniem - że jak już będziemy na miejscu, Charlie może zapomnieć, jaki był plan.

Wstałem i poszedłem w dół zboczem, mijając rzędy uśmiechniętych młodych twarzy zmarłych w 1956 roku. Wszyscy byli chyba w wielu Stevena, gdy ten również dał się zabić.

**4**

Przestało padać i spomiędzy chmur wyrzało nawet parę gwiazd.

Minąłem gmach opery, idąc tą samą drogą, co wcześniej. Moim zadaniem było sprawdzić drogę od strony hotelu, Charliego - od strony klubu nocnego Primorski.

Na jezdni i chodnikach panował ciągle ruch, mimo że za pół godziny wybije północ. Większość sklepów była nadal rozświetlona, McDonald pękał w szwach. Miałem nadzieję, że Tbilisi nie będzie prowadziło tak nocnego życia, co nam dla odmiany życia by nie ułatwiło, ale niestety.

Hotel opuściłem o jakiejś 20:30, poradziwszy się uprzednio w recepcji, do jakiej restauracji mógłbym pójść coś zjeść. Było to zupełnie naturalne, ponieważ sam hotel był zapchany gore-teksową wersją ONZ-u.

Konferencja gruzińskiego oddziału BP dobiegła końca i restauracja oraz bar mogły się teraz pochwalić większą ilością mówionych tam języków europejskich niż liczbą koszulek polo.

A ja też nie wyglądałem najgorzej. Obarczyłem Charliego zakupem dla nas podobnego stroju, aby mieć w co się przebrać przed wyjazdem na lotnisko. Uświnimy się i zmokniemy przy pokonywaniu obiektu, więc będziemy potrzebowali jakoś się oporządzić. Miałem na sobie wpadający w oko niebieski sweter,

151

spodnie marki Rohan do koloru tudzież lekko watowaną kurtkę khaki. Jutro w takim stroju będę prawie niewidoczny.

Sprawdziłem, czy owa głośna Amerykanka opuściła już Prospera Books - księgarnię anglojęzyczną, kawiarnię i kafejkę internetową w jednym - i usiadłem posurfować przy gorącej czekoladzie i ciastku. Musiało to być stałe miejsce spotkań Angoli i Amerykańców, którzy pracowali przy rurociągu albo w swoich ambasadach. Mogło to równie dobrze być jedyne w okolicy miejsce z własnym zasilaniem prądu, co umożliwiałoby bycie podłączonym do sieci, nawet gdy wokół nie było elektryczności.

Zacząłem od zapytania Google o datę urodzenia Baza. Gdzieś powinna

znajdować się lista gruzińskich polityków, z ich danymi personalnymi, a jeśli nie, będę surfował dalej. Pierwszym krokiem do złamania szyfru w sejfie jest rozgryzienie psychiki jego właściciela.

Zadziwiająco często pozostawia się fabryczną kombinację sejfów- są to najczęściej liczby 100, 50, 100. Nie miałem wprawdzie pojęcia, jak to wyglądało u producentów w bloku wschodnim, ale Charlie na pewno będzie wiedział.

Porzucając zaprogramowany fabrycznie kod i wybierając nową kombinację, ryzykuje się stres, jeśli się ją zapomni, podobnie jak to jest z numerami PIN-u. Toteż ludzie zwykle wybierają liczby, które dobrze znają takie jak data urodzenia, numer rejestracyjny samochodu albo telefonu. Jeśli wybiorą przypadkowe numery, jest niemal pewne, że gdzieś je sobie zapiszą najpewniej w notesie z adresami i telefonami.

Przyszło łatwiej, niż się spodziewałem. Rząd gruziński miał swoją stronę internetową ze szczegółami dotyczącymi personaliów jego członków. Baz miał jedynie czterdzieści cztery lata, urodzony był 22 października 1959 roku. Życie musiało go jednak nie oszczędzać, bo zdjęcie przedstawiało łysiejącego mężczyznę ze śladami siwizny i chudego jak patyk. Nie zaszkodziłoby mu parę takich ciastek, jakie właśnie w siebie wpychałem.

152

Mały napis nad monitorem przypominał użytkownikom, że nie wolno zmywać historii połączeń. Być może kafejka musiała wręczać codziennie wydruki policji, może sprawdzano tylko połączenia po każdym użyciu. Starając się dobrze zatrzeć po sobie ślady, wymazałem historię połączeń, po czym wszedłem na stronę CNN i szybko przebiegłem się po

świeżych raportach o walce z okropnościami tego świata.

Dwie przecznice za barem McDonald skręciłem w lewo i ruszyłem w górę, w stronę ulicy Barnowa. Za sobą miałem rzekę, lekko z boku po lewej błyskał czerwonym światłem ostrzegawczym maszt telekomunikacyjny. Światła głównej arterii powoli bladły w miarę, jak zagłębiałem się w dzielnicę mieszkaniową, niewiele je zastępowało poza światłem przebijającym przez firanki w oknach czy paroma reflektorami samochodów. Tu na wzgórzu oświetlenie uliczne nie było zwyczajnie kiepskie, tak jak w okolicy obiektu, po prostu go nie było.

Komórka zawibrowała w kieszeni dżinsów w momencie, gdy mijał mnie niebiesko-biały samochód. Wyciągnąłem ją i przycisnąłem zielony guzik.

- Tu wszystko w porządku, w wiadomym całym sporo ludzi. Charlie przeszedł ulicę równoległą do ulicy, na której znajdował się obiekt, a która prowadziła do wiadomego, czyli do klubu Pro-morski, sprawdzając, czy nie wydarzyło się tam jakieś morderstwo albo coś innego, co mogłoby spowodować natłok niebiesko-białych samochodów. Powiedział, że chciał tam być piętnaście minut przede mną, wiadomo - manieri szefa grupy. Nie było tu dla mnie miejsca na dyskusje, to on był mechanikiem, ja tylko zaoliwioną szmatą.

Cały sprzęt Charlie niósł w torbie przewieszanej przez ramię. Aby dopełnić wyglądu podstarzałego studenta, brakowało mu jedynie skręta w rękę i wełnianego kapelusika. Ja dla odmiany, aby lepiej wmieszać się w tłum, kupiłem sobie keps tbiliskiej drużyny koszykówki Dynamo.

Przykrywała ona czarną kominiarkę, zrolowaną na szczycie głowy, miałem ją na wypadek, jeśli coś

spieprzymy i zaktywizujemy jakąś kamerę - o której nam było wiadomo albo której wcześniej nie zauważyliśmy. Czapkę kupił dla mnie Charlie, zanim jeszcze przyjechałem do Tbilisi - tak pewien był tego, że z nim zostanę.

Kończąc ostatni przegląd, znowu poczułem, jak po plecach zaczyna mi spływać pot. Przejrzałem kieszenie džinsów, sprawdzając, czy nie ma tam jakiś drobnych, które zostały mi po wizycie w kafejce i upewniłem się, że mam przy sobie gumowe rękawiczki. Nie to, że mogły sobie gdzieś samodzielnie odpłynąć, ale chciałem sprawdzić, czy tego jednak nie zrobiły. Ta robota polegała właśnie na nieustannym kontrolowaniu i sprawdzaniu.

Rękawiczki miałem, drobnych nie, te pozostawiłem w puszcze na biednych przy księgarni. Wszystko inne pozostawiłem zabezpieczone w pokoju hotelowym, kartę-klucz do drzwi ukryłem za toaletą przy hotelowej restauracji. Zawsze czułem się trochę nieswojo, wychodząc tak ogołoconym na robotę. Nieposiadanie przy sobie paszportu oznaczało brak możliwości ucieczki. Ale jeśli nas złapią i tak zabiorą nam paszporty, w dodatku będą wiedzieć, kim jesteśmy. A w ten sposób, jeśli wpadniemy i uda nam się uciec, nadal mamy szansę na opuszczenie kraju. W kieszeni džinsów miałem również 400 dolarów. Niespecjalnie wiedziałem po co, ale lepiej się z tym czułem.

Upewniłem się, że moja mała latarka znajdowała się w lewej kieszeni kurtki. Jeśli jeszcze raz sprawdzę, czy działa, wykończę baterię. W prawej kieszeni tkwił ciężki stalowy pojemnik z dwutlenkiem węgla, wymontowany z jednej z gaśnic. Ten niespełna dwudziestocentymetrowy kanister był równie efektywny jak pałka policyjna, i o to mi chodziło.

Drugi pojemnik, który wydobyłem z gaśnicy pożyczonej z ostatniego piętra Marriotta, miał Charlie. Oba miały pełnić rolę niezbędnika włamywaczy. Jeśli zostaniemy nakryci, zrobimy akcję podobną do tych, jakie robiliśmy w Irlandii Północnej: uciekając, ukraść coś, a nawet znokautować tego, który nas nakrył.

154

Na koniec sprawdziłem, czy do podeszew butów nie przyczepiły się jakieś kamyczki, podskoczyłem szybko, żeby upewnić się, że pojemnik nie wypadnie mi z kieszeni, i już byłem gotów. Teraz życzyłem sobie jedynie, aby było już po wszystkim i mogłem zacząć słuchać tego, co mi mają do powiedzenia stewardesy z australijskim akcentem.

**5**

Ambasady Francji i Chin były rozświetlone jak choinki, a z budek wartowników wydobywały się przeciągłe, niemal arabskie dźwięki muzyki. Ulicę przecinały światła reflektorów samochodowych, ale Barnowa spowita była w niemal całkowitej ciemności.

Nasz obiekt będzie już niedługo po lewej stronie. Na piętrze było ciemno. Z okien sąsiadów nie wydobywało się żadne światło, które mogło oświetlić bramę i podwórze. Na razie więc wszystko w porządku.

Zadzwoiłem do Charliego.

- Gotowe.
- Tu też. Widzimy się za dwie.

Telefon umilkł. Tym razem zapamiętałem jednak jego numer, po czym

przed wyłączeniem komórki z sieci, wykasowałem go z pamięci. Teraz komórka była pusta, chociaż w razie wpadki niewiele to pomoże. I tak można wysledzić wychodzące i przychodzące rozmowy.

Obserwowałem mojego podstarzałego studenta, jak szedł w dół od strony klubu. Ulica za nim wyglądała na pustą. Nie wiedziałem, co działo się za moimi plecami, ale nie miało to znaczenia. Gdyby Charlie zobaczył, że coś jest nie tak, i tak minąłby bramę i szedłby dalej. Podobnie postąpiłbym i ja. Zatoczylibyśmy koło i spróbowali jeszcze raz.

156

Charlie dotarł do bramy pierwszy, zdjął z ramion torbę i postawił ją ostrożnie na ziemi. Od czasu, gdy tu byliśmy ostatnio, na bramie pojawiła się nowa warstwa graffiti spinaczami. Przynajmniej pokrywała rdzę. Charlie rozejrzał się po raz ostatni i uklęknął. Oparłem się o lewe skrzydło bramy i rozglądając się dookoła, włożyłem rękawiczki.

Charlie zerkał przez pięciocentymetrową szparę pod bramą. Po drugiej stronie wszystko musiało być w porządku. Audi najwidoczniej tam nie było, ponieważ wyciągnął z torby swoje wytrychy domowej roboty i zabrał się za zamek. Może czuł się pewniej, używając swoich narzędzi zamiast zestawu jak z supermarketu, który dostarczył Podgolony. A zresztą, wszystko jedno - byleby tylko szybko dało się wejść na podwórze.

Dało się słyszeć delikatne tarcie metalu o metal - Charlie zabrał się za zamek, doprawdy, czułem się jak za dawnych czasów. Miałem nawet przez moment deja vu: byliśmy w Irlandii i robiliśmy zwiad bezpośredni w pewnym domu w posiadłości Shantello w Londonderry.

Szukaliśmy mechanizmu zegarowego, który IRA zamierzała podłączyć do czterech funtów semteksu i podłożyć w domu kultury po drugiej stronie

rzeki. Trzy kilometry dalej, w Bogside, inna ekipa obserwowała właściwego gościa i jego żonę, którzy poszli sobie popić. W ciągu godziny, zanim nie zamkną pubu, musieliśmy dostać się do ich domu, znaleźć urządzenie i przerobić je tak, aby nie zadziało.

Dostaliśmy się do środka przez okno na tyłach domu; w pierwszym rzędzie musieliśmy sprawdzić wszystkie pokoje i upewnić się, czy w którymś nie śpi dzieciak albo czy ktoś nie siedzi sobie w bawialni ze słuchawkami na uszach.

W końcu dotarliśmy na samą górę. Wspiąłem się na barki Charliego, podniosłem klapę na strych i wciągnąłem się na górę. On miał mi podać latarkę, abym się dobrze rozejrzał, zanim nie zacznę przeszukiwać poddasza.

157

Wysunąłem rękę, gotów do odebrania latarki, ale jej nie dostałem. Wysunąłem się bardziej, żeby mógł dosięgnąć, jeszcze trochę, aż mało co nie wypadłem. Spojrzałem w dół, aby zobaczyć, co się stało, i zorientowałem się, że Charlie opuszcza latarkę niżej i niżej, tak dla zabawy.

Musiał zatkać sobie obiema rękami usta, żeby nie ryknąć głośno śmiechem. Przynajmniej on uważał, że to było śmieszne. Na koniec, tak jak na większości takich akcji, znaleźliśmy, co trzeba. Pub już zamknięto, mieliśmy dziesięć minut na zmycie się i zostawienie wszystkiego w stanie nienaruszonym.

Charlie ślimaczył się. Otworzyć zamek zapadkowy jest rzeczą prostą, nawet przy użyciu prymitywnych wytrychów, nie powinno to zająć więcej niż trzydzieści sekund. Przestałem na chwilę obserwować ulicę i poczęstowałem go delikatnym kopniakiem.

- Do kurwy nędzy, kończ to, ty zdemenciały popieprzeńcu.

Barki zadygotały mu od zduszonego śmiechu; dokładnie w tej chwili, po naszej lewej stronie, od strony wzgórza, rozbłysły światła samochodu.

Oderwałem się od bramy i zacząłem iść w stronę Primorskiego.

Wiedziałem, że Charlie wstanie, tak jak ja schowa ręce do kieszeni, aby ukryć rękawiczki i pójdzie w drugą stronę, obaj zatoczmy koło.

Samochód, wielki mercedes, skręcił w prawo do Primorskiego, dokładnie w momencie, gdy i ja skręcałem w tę samą stronę. Zatrzymał się na brzegu chodnika, wysiadły z niego trzy dziewczyny w wieku około dwudziestu kilku lat, a z nimi jakiś facet po pięćdziesiątce. Dziewczyny były w migoczącym rynsztunku w neonowym różowo-niebieskim kolorze. Może to one były powodem, że wujaszek miał nadal na nosie przeciwsłoneczne okulary. Gdy ich mijałem, owiała mnie chmura mocnych perfum oraz dymu z cygara. Bramkarze już czekali przy uchylonych, czarnych drzwiach klubu, z wewnątrz dobiegł mnie przytłumiony dźwięk rozmów, muzyki i śmiechów.

Skręciłem w lewo, aby zatoczyć koło. Charlie mnie niepokoił. Tak dużo czasu zabrało mu otwieranie bramy. Włączyłem komórkę, Charlie powinien był zrobić podobnie, jeśli nie zapomniał.

158

- Słuchaj, dostaniemy się do środka, czy jak? Weź się w garść i zrób, co masz zrobić.

Choć jego odpowiedź zagłuszył przejeżdżający właśnie obok niego samochód, przysięgłbym, że się śmiał.

- Dajmy wiedzy i doświadczeniu jeszcze jedną szansę, a potem durna młodość dostanie swoją.

Charlie wyłączył się, ale nie schowałem telefonu. Minęło mnie, lawirując między kałużami, jeszcze kilka samochodów, w końcu dotarłem z powrotem do ulicy Barnowa.

Zadzwoiłem do Charliego.

- Jestem już na ulicy.

Charlie robił swoje kółko, idąc po drugiej stronie ulicy, tak abyśmy nie mijali się zbyt blisko siebie, wkrótce zobaczę go przed sobą, przechodzącego przez jezdnię, tak aby znalazł się po stronie obiektu. Zza pleców wyjechała mi łada, minęła klub i pojechała w stronę wzgórza.

Gdy ponownie znaleźliśmy się pod bramą, Charlie nie marnował czasu. Klęcząc, trzymał tym razem torbę na ramieniu. Gdy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że stacza jednocześnie dwie walki - z zamkiem i ze swoimi dłońmi. Trąciłem go w nogę.

- Do diabła, chodź pilnować, ja to zrobię.

Popatrzył w górę i wzruszył ramionami. Zamieniliśmy się miejscami. Mamrocząc przekleństwa, zabrałem się za robotę.

- Ten zamek ma prawie tyle lat co ty.

Wkładka nadal była na swoim miejscu, u góry zamka wyczułem na niej opór zastawek, teraz się obróciła, i brama była już otwarta. Wyciągnąłem wytrych i oddałem go Charliemu. Zdjąłem keps, nasunąłem na twarz kominiarkę, i ponownie nasadziłem keps na głowę. Charlie zrobił podobnie. Już się o nic nie martwiłem. Od tego był Charlie. Jeśli zdarzyłoby się coś nieprzewidzianego, zająłby się tym.

Pchnąłem delikatnie lewe skrzydło bramy, tylko na tyle, żeby móc się przez nią przecisnąć. Nie wiadomo, jak czułe były senso-

ry ruchu oraz jaki miały zasięg. Centymetr za centymetrem przesunąłem się wzdłuż prawego skrzydła bramy, kierując się w stronę muru. W dziewięciu na dziesięć przypadków można uniknąć rozpoznania, trzymając się w odpowiedniej odległości od czujników i mając za sobą jednolite tło.

Przywarłem do muru i poczekałem na Charliego, który gdy znalazł się po drugiej stronie bramy, głową i plecami przymknął ją delikatnie, nie zamykając jej ani nie ryglując. Brama była jedyną jak na razie drogą ucieczki, chcieliśmy, aby pozostała niedomknięta.

Z ulicy uderzył nas głośny męski monolog po gruzińsku, nie uchwyciłem uchem odpowiedzi, facet musiał być albo wariatem, albo był pijany, a może rozmawiał przez komórkę. Spojrzałem w prawo. Znajdowaliśmy się o trzy lub cztery metry od budynków zewnętrznych, które dadzą nam osłonę podczas ostatecznego namierzania obiektu i końcowych przygotowań do wejścia. Przyciśnięty twarzą do ściany, zacząłem iść - wolno, bardzo wolno.

Orkiestra w Primorskim uparła się na „Brown Girl in the Ring” Boney M; grzeczne oklaski publiczności przeszły po paru sekundach w jubel - na scenę wyszły widocznie dziewczynki z Las Vegas.

Po paru minutach, kiedy znaleźliśmy się bezpiecznie za budynkami, Charlie zaszeptał mi do ucha:

- Podoba mi się, to moja i Hazel ulubiona piosenka - wstrząsnął lekko ramionami - ach, te wspomnienia.
- Bardzo mnie to cieszy - zdusiłem śmiech - ale nie zużywaj teraz tych swoich rączek do odtwarzania wszystkich ruchów Boney M, dobrze? Charlie musiał śmiać się jak idiota pod tą swoją kominiarką, ale

wiedziałem, że stan rąk martwił go równie mocno co mnie.

Odwrócił do mnie głowę i powiedział cicho przez warstwę materiału: - Jeszcze trochę posłuchamy, a potem pójdziemy przyjrzeć się zamkowi w drzwiach, co?

160

Charlie zawsze próbował bagatelizować takie operacje jak ta, ale tym razem przesadzał z tą nonszalancją.

Wyciągnął lornetkę z torby, wyrzwał zza węgła, po czym mi ją przekazał. Nie był to wprawdzie noktowizor, ale nieco pomogła przy moim kiepskim widzeniu w ciemności. Najpierw przyjrzałem się kamerom przemysłowym, potem drzwiom. Wszystko było po staremu.

Orkiestra zmieniła repertuar z Boney M na Sinatrę. Bramę minęła grupa podekscytowanych mężczyzn. Może cieszyli się na myśl, że skubną parę piórek z pióropuszy dziewczynek, a może po prostu uważali, że zaraz będzie jak w Nowym Jorku.

Ponownie sprawdziliśmy, czy wyłączyliśmy telefony i czy nic nie wypadnie nam z torby, po czym Charlie ponownie zbliżył usta do mojego ucha.

- No to co, chyba pójdziemy?

CZEŚĆ

SZÓSTA

1

Jak na razie wyglądało na to, że mieliśmy rację co do czujników ruchu podłączonych do kamer i świateł -jeśli to były takie czujniki - miały w swoim zasięgu front domu oraz przestrzeń między nim a bramą. Kamery na obydwu narożnikach mogły uchwycić to, co działo się w wąskich przejściach między bocznymi ścianami domu a okalającym posesję murem. Mieliśmy nadzieję, że nie będziemy zmuszeni sprawdzać zestawu kamer na tyłach domu.

Jeden tylko aspekt tej ochrony domu był bez sensu. Patrząc od strony bramy, mur na drugim końcu podwórza wydawał się być w ogóle niezabezpieczony. Szybko więc uznaliśmy, że tamtędy wiedzie najlepsza droga do drzwi wejściowych.

Przywierając plecami do obłupanego muru, zaczęliśmy przesuwać się wzdłuż niego, Charlie szedł pierwszy. Nadal było wilgotno, pod kominiarką szybko zrobiło mi się lepko od potu i skondensowanej pary wodnej z oddechu.

Jak dotąd, słychać było jedynie odgłosy z klubu i z rzadka jakiegoś świrniętego przechodnia, ale teraz od strony frontowego muru doleciał nas nagły tupot na przeciwległym chodniku. Musiały to być przynajmniej dwie osoby, jedna z nich kaszląc i kichając szła w naszym kierunku.

Zatrzymała się pod bramą, żeby sobie splunąć, w pięciocenty-metrowej szparze u dołu bramy byłem w stanie zauważyć kształt

164

butów. Miałem nadzieję, że facetowi nie przyjdzie do głowy wstąpić do środka i się odlać. Odsunąłem się dalej w cień. Jego towarzysz zagadał coś wrzaskliwie po francusku, języka tego nie znam za dobrze, ale wystarczająco, aby dowiedzieć się, że nasz odchrząkujący przyjaciel

ozdobił sobie smarkiem przód koszuli.

Poszli dalej, my również, zataczając koło w kierunku narożnika domu. Kamera celowała w bramę nad nami, czujnik ruchu znajdował się zaraz pod nią. Zakładaliśmy, że skierowany był na ganek, tak że światło zapalało się w momencie, gdy Baz wchodził albo wychodził z domu. Musieliśmy zrobić tak, aby uznała nas raczej za część podłoża niż ściany.

Gdy opuszczaliśmy się na ziemię, orkiestra w Primorskim zaczęła wygrywać melodie Johnny Casha, co musiało niezłe ucieszyć facetów w czerni. Podczas gdy oni spacerowali sobie z Cashem po prostej, my zaczęliśmy czołgać się jak koty przez owe z górą cztery metry, które dzieliło nas od ściany. Leżąc plackiem, unosiliśmy się możliwie jak najwolniej i opierając się na łokciach oraz palcach stóp przesuwaliliśmy się za jednym razem o kilka centymetrów, wzdłuż popękanej betonowej ścieżki. Aby zobaczyć, co znajduje się przed nami, nie poruszaliśmy głowami, a jedynie oczami; moje już mnie od tego bolały.

Charlie musiał, zanim wykonał ruch, pchnąć przed sobą torbę. W końcu zrównał się głową z trzema stopniami prowadzącymi na ganek i znieruchomiał, sprawdzając, czy nie ma detektorów ruchu także na ganku. Przez lornetkę nie zauważyliśmy wprawdzie żadnego, ale należało założyć, że mogły tam być.

Charlie leżał nieruchomo z piętnaście sekund, następnie począł ponownie przesuwać torbę. Powolutku i z niezwykłą ostrożnością wsunął się na ganek i zniknął mi z pola widzenia. Słyszałem jedynie jego ciężki oddech, przetykany od czasu do czasu zgrzytem jego podeszew, i sporadyczne śmiechy ludzi idących do klubu. Czy ktoś w ogóle śpi w tym mieście?

Nabrałem w płuca powietrza, uniosłem się na łokciach i czubkach butów,

i przesunąłem się do przodu o następne dziesięć cen-

165

tymetrów. Wydech zrobiłem, gdy moje mokre dżinsy i reszta ob-  
lepiającego mnie ubrania po raz kolejny przywarły do betonu.

Od strony Primorskiego doszły mnie oklaski - orkiestra zagrała ostatnie  
takty gruzińskiej wersji „Jumping Jack Flash” Rolling Stonesów; w ciszy,  
która po tym zaległa, o wiele bliżej nas, raczej wyczułem niż usłyszałem  
inny dźwięk - tak jakby coś było wleczone.

Wydawało się, że dźwięk doszedł z okna nad moją głową, ale nie  
odważyłem się jej podnieść, aby to sprawdzić. Wstrzymałem oddech, usta  
miałem otwarte, aby z głębi ciała nie wydobył się żaden dźwięk;  
nasłuchiwałem.

Podniosłem oczy, jak się tylko dało, w stronę ganku. Ani śladu po  
Charliem. Powinien postąpić podobnie jak ja, zatrzymać się i nasłuchiwać.

Dźwięk, cokolwiek by to nie było, już się nie powtórzył. Teraz słychać  
było jedynie dalekie śmiechy i kolejną melodię nocy.

Zrobiłem parę oddechów z otwartymi ustami, napiąłem się, aby móc  
wyczuć nawet najdrobniejszą wibrację. Nadal nic. Niemożliwością było  
stwierdzić, czy dźwięk rzeczywiście dobiegł z okna.

Poczekalem jeszcze następnych trzydzieści sekund. Jeśli ktoś na górze  
nas zauważył, na pewno przedsięwziął już jakieś kroki.

Zacząłem sunąć naprzód. Nie było wyjścia - trzeba było traktować to  
jako wstęp do spotkania z przeciwnikiem. Jakby się człowiek zatrzymywał  
po każdym usłyszonym wystrzale, nigdy nie dotarłby w pobliże wroga.  
Niedługo i tak okaże się, czy w domu ktoś jest albo czy zostaliśmy  
zauważeni.

W końcu zrównałem się głową z dolnym stopniem schodów. Powstrzymałem ochotę na szybkie przebycie ostatniego metra. Okazja do wpadki jeszcze się nadarzy.

Charlie znajdował się po mojej prawej ręce, po stronie, po której otwierały się drzwi. Podsunął kominiarkę na tyle, aby móc przyłożyć ucho do drewna drzwi.

Dotarłem ostatecznie na ganek i usiadłem, opierając się plecami o zmurszałe cegły ściany. Nie wiem, co było gorsze: pot na plecach czy resztki przesiąkniętego deszczem betonu na brzuchu i dżinsach. Charlie opierał się lewym kolaniem o wycieraczkę. Powinien był sprawdzić, czy pod nią nie było przypadkiem klucza - szczęście może trafić się każdemu - i czy nie kryła maty reagującej na ucisk. Zdjął kolano z wycieraczki i wskazał na nią, nasłuchując.

Podniosłem ją do góry i zobaczyłem, że wokół jednej z kwadratowych płytek nie było betonu. Podniosłem płytkę, i zdaje się że Bazowi udało się wydłubać spod niej wystarczającą ilość betonu, aby elegancko ukryć tam klucze. Kluczy rzecz jasna nie było. Może od tego czasu Baz wpadł na lepszy pomysł chowania kluczy. Dlaczego ludzie uważają, że innym nie wpadnie do głowy szukać kluczy w pobliżu drzwi?

Wysunąłem pojemnik z dwutlenkiem węgla z kieszeni kurtki i włożyłem go sobie do lewego rękawa. Elastyczny ściągacz powinien nie pozwolić na

to, aby się wysunął. Trzymanie go w prawym rękawie, gotowego do złapania w dłoń, gdy zajdzie potrzeba, było tylko durnym trikiem filmowym. Rzadko się zdarza, aby można było uchwycić takie coś właściwie, nawet jak wsunie się prosto między palce.

Dwie dziurki od klucza znajdowały się na jednej trzeciej wysokości drzwi, trzecia wyżej. Pod klamką na środku nie było żadnej dziurki.

Nie było potrzeby dyskusowania, co należy teraz zrobić; przerabialiśmy to już wystarczającą ilość razy - od Irlandii Północnej po Waco. Charlie poświecił swoją latareczką w dolny zamek i wiedział już, jak się za niego zabrać. Miałem nadzieję, że jego ręce nieco się uspokoiły. Wolałem nie być zmuszonym przejąć znowu robotę.

Naciągnąłem mu kominiarkę z powrotem na ucho, pochyliłem się ponad nim i oparłem się wolno, ale statecznie o drzwi, sprawdzając, jak trzymają. Nie drgnęły, istniało więc ryzyko, że były zaryglowane, co było koszmarem, bo nie będziemy wtedy mogli wejść do domu po cichu. Co gorsza, mogło to oznaczać, że Baz nadal znajdował się wewnątrz, albo użył innego wyjścia, i będziemy musieli przebyć ścieżkę zdrowia między czujnikami, aby wejście to znaleźć.

Poszło. Problemu nie będzie.

Charlie skupił się teraz na górnym zamku, a ja ponownie pchnąłem drzwi - poddały się, nie oznaczało to jednak, że gdzieś w środku nie było jednak rygla, ale to miało się wkrótce okazać.

Po drugiej stronie rzeki załomotał przelatujący śmigłowiec, a orkiestra pożyczyla mu miłego lotu jazzową muzyczką. Wskazując na górny zamek, Charlie wystawił kciuk do góry, całkiem sprawnie, co mnie pocieszyło. Następnie wskazał na dolny i pokazał kciukiem do dołu, po czym zabrał

się za narzędzia.

168

Zostawiłem go w spokoju i usiadłem z kolanami pod brodą, kontemplując klejące się do ciała dzinsy i chłód potu na plecach. Zawsze lepiej jest, aby ten, co rozpracowuje zamek, robił wszystko sam. Jakbym podświetlał Charliemu zamek latarką, rzucałaby cień w niewłaściwe miejsca, i tylko włazilibyśmy sobie w drogę.

Problem był jedynie w tym, że taka bezczynność dawała mi okazję do przemyśleń. Dlaczego Baz zamknął drzwi tylko na jeden zamek? Postanowił spędzić spokojny wieczór w domu? Wyskoczył do Primorskiego na malucha? A może był po prostu leniwy, albo się śpieszył? Nie pierwszy raz miałem z taką sytuacją do czynienia. Już nie raz dokonywałem inwigilacji domów mieszkalnych czy budynków przemysłowych opatrzonych w najbardziej finezyjne systemy alarmowe, których nikomu się nie chciało włączyć. Tak czy siak, krzywe płytki pod tyłkiem zaczynały dawać mi się we znaki; Charlie zbyt długo bawił się z zamkiem.

Wychyliłem się do przodu i nawet w tak kiepskim świetle mogłem zobaczyć, że tańczą mu palce. A niech to... Podsunąłem się bliżej i złapałem jego dłonie, aby powstrzymać go od dalszego działania.

Charlie złapał wytrychy jak chińskie pałeczki, aby przekonać mnie, że wszystko było w porządku. Wziąłem latarkę i poświeciłem na jego prawą rękę - drżała jak u alkoholika w delirium.

Charlie oparł się powoli o ścianę i wyciągnął swoje pięć palców w kierunku snopa światła, po czym zgął i wyprostował je dwukrotnie.

Skinąłem głową. Dam mu dziesięć minut, nawet kwadrans; chciał,

musiał robotę wykonać, nawet nie dlatego, że mu za to płacili, lecz dlatego, że obaj wiedzieliśmy, że na tym padoku jest naprawdę ostatni raz.

To wszystko rozumiałem, ale z drugiej strony czasu na pieprzenie się nie mieliśmy za dużo. Zaraz po 6:30 zacznie robić się jasno, a do tego czasu musimy zapęłnić czymś skrytkę na cmentarzu.

169

Postanowiłem patrzeć pozytywnie na całą tę sytuację. Przynajmniej dawała ona szansę na porządne wsłuchanie się, co dzieje się po drugiej stronie drzwi.

Dobrze wykorzystany czas - wmawiałem sobie kolejny raz, choć nie brzmiało mi to ani o krztynę lepiej niż za ostatnim razem.

**3**

Czekałem całe piętnaście minut, ale Charlie uporał się w końcu z dolnym zamkiem. Nadal na czworakach, zebrał do kupy wszystkie narzędzia, po czym odemknął na parę centymetrów drzwi, uważając, aby nie uderzyły o ewentualny łańcuch. Począł chwilę, sprawdzając, czy nie włączy się jakiś alarm, następnie wetknął głowę między drzwi, aby szybko rozejrzeć się i ponasłuchiwać.

Przyszła pora na zdjęcie butów i wykonanie mojej działki. Kominiarka kleiła mi się wokół ust, kark miałem mokry od potu, reszta ciała też nie czuła się świeżo, ale co tam, skończymy przed świtem i jeszcze przed południem rozpijemy sobie w samolocie kilka piw.

Wsunąłem buty pod kurtkę na brzuchu i zaciągnąłem suwak, następnie

wydobyłem latarkę i pojemnik z CO<sub>2</sub>.

Charlie odczołgał się od drzwi w moją stronę. Także zdjął buty, przygotował kamerę do pracy i jednym z podwędzonych w hotelu ręczników wytarł do sucha ganek. Wracający do domu Baz nie może znaleźć najmniejszych śladów naszej wizyty. Człowiek podświadomie rejestruje wszystko; wycieraczka nie leży dokładnie tak, jak leżała uprzednio, na zakurzonym stole widnieją jakieś dziwne ślady - i już odzywa się w głowie mały dzwonek ostrzegawczy. Większość z nas w ogóle nie go słyszy, ponieważ nie jest w stanie słuchać wszystkich ostrzeżeń, jakie przesyła nam mózg. Ale niektórzy ludzie to potrafią, i Baz może do takich należeć.

171

Zajrzałem do środka. Miejsce przypominało mi każdy jeden dom ciotek, które odwiedzałem będąc dzieckiem, pachniał przegotowaną herbatą, starymi gazetami oraz zjełczałą margaryną.

Z otwartymi ustami wstrzymałem oddech i nastawiłem uszu. Jedyнным dźwiękiem było dochodzące mnie z prawej strony ciche tykanie zegara. Otwarcie nocą drzwi zmienia nieznacznie ciśnienie powietrza wewnątrz, ale czasami na tyle dużo, aby śpiąca w domu osoba zmianę taką wyczuła.

Odchyliłem drzwi i przytrzymując je lewym barkiem, wszedłem do środka. Przysłoniłem palcami szkiełko latarki, ale tylko na tyle, aby przy szczytowej ścianie po mojej lewej ręce móc zobaczyć strome schody w górę, a przed sobą podłużny korytarz z parą drzwi po każdej stronie.

Przez środek podłogi, wyglądającej na parkiet, biegł pas dywanu w kwiatki. Obecność parkietu stanowiła pierwszą dobrą wiadomość od czasu, gdy przekroczyliśmy bramę - nie będzie skrzypiało pod nogami.

Ściany były nagie, z wyjątkiem paru oprawionych obrazków wiszących nad drewnianym krzesłem, przez które leżały przerzucone jakieś płaszcze.

Na pierwszy rzut oka Baz nie wyglądał więc na pasjonata urządzania domów, ale o ich bezpieczeństwo wyraźnie dbał. Poświeciłem latarką w prawo, od sufitu po podłogę, i w jej świetle błysnęła mi metalowa krata drzwiowa, która teraz otwarta była aż do samej ściany. Po obu stronach drzwi znajdowały się uchwyty, a na podłodze leżały płaskie sztaby oraz dwie kłódki.

Zerknąłem na Baby-G, wskazywała godzinę 2:28. Musieliśmy jeszcze pokonać sejf, nie mówiąc już o jego uprzednim zlokalizowaniu. W takim tempie utkniemy tu na godziny, a do świtu zostało ich jeszcze niewiele ponad cztery.

Charlie, niemal bezszelestnie założywszy sobie na ramię torbę, ustawił się za mną. To ja będę tu rządził w tej fazie pracy - przeszukiwaniu pomieszczeń, jego zadaniem było kontrolowanie źródła hałasu, jakim była jego torba.

172

Zasłoniłem palcem latarkę, zostawiając tylko tyle światła, abyśmy mogli się poruszać w mroku, i odchylając się w jego stronę, zaszepotałem mu do ucha:

- Poszukajmy jeszcze innego wyjścia z domu, potem musimy skoncentrować się na znalezieniu sejfu.

Charlie namyślał się sekundę, zerknął na zegarek i przytaknął. Odsunąłem się, trzymając się dwudziestocentymetrowego pasa parkietu po prawym brzegu dywanu, tak aby nie zostawiać na nim śladów i nie ocierać się jednocześnie o ściany.

Zrobiłem dwa kroki i poczekałem na Charliego, aż do mnie dołączy. Już filmował swoją kamerą na podczerwień, ale przechodząc, sprezentował mi dwa gumowe kliny do drzwi. Bogu dzięki, że gdy robił spis potrzebnych mu rzeczy, jego mózg nie był przestawiony na „o, cholerka, zapomniałem”.

Przymykając delikatnie za sobą drzwi, szybko wetknąłem kliny pod każdy z zamków. Gdyby nieoczekiwanie pojawił się Baz, zyskamy trochę czasu na poudawanie włamywaczy. A jeśli śpi sobie słodko na górze i odkrywszy nas, chciałby biec po pomoc, blokady utrudnią mu szybkie wydobycie się na zewnątrz.

Charlie zatrzymał kamerę. Chodziło nam o filmowanie pomieszczeń i porównanie potem z nagraniem, czy wszystko pozostawiliśmy po sobie jak nietknięte.

Wszystkie drzwi w korytarzu były otwarte, ruszyłem do pierwszych po prawej stronie. Była to bawialnia, nikt tu chyba dawno nie odkurzał, choć pamiętał o nakręceniu starego zegara. Meble z ciemnego drewna i wyblakłe tapety w pewien sposób pasowały do zapachu.

Czarno-białe zdjęcia jakiejś pary na półce, najpewniej jego rodziców. Zdjęcie Baza jako dziecka. Na podłodze rozrzucone czasopisma - niektóre całkiem świeże, jedno po rosyjsku, inne wypełnione spinaczami.

Pierwszy etap przeszukiwania domu jest z reguły krótki. Nie ma co dokładnie oglądać każdego z rzędu pokoju, skoro to, czego się szuka, znajdzie się - po trzech godzinach - na środku ostatnie-

go z nich. Dopiero na drugim etapie należy zabrać się za przesuwanie sprzętów, zagłębienie pod dywany i do komina.

W holu wisiały dwa duże, oprawione w ramy zdjęcia domu, w sepii, pochodzące z jego szczęśliwszych czasów. Okna bez krat, żadnych domów wokół, ani nawet muru, jedynie metrowy płot, chroniący trawiaste podwórze przed nieproszoną wizytą koni.

Dotarliśmy do ostatnich drzwi. Zawiasy miały po lewej stronie, otwierały się do środka i były teraz przymknięte na jakiś centymetr. Poświeciłem wzdłuż framugi w poszukiwaniu czujników. Nic nie zauważyłem. Dałem znak Charliemu, który sfilmował ustawienie drzwi.

Pchnąłem je końcówką pojemnika z CO<sub>2</sub>. Szybko zorientowałem się, że była to kuchnia. Zapach margaryny i starych gazet był tu tak intensywny, że aż zatykał, nawet przez kominiarkę. Kolejne stare meble, drewniany stół i parę krzeseł. Kuchenka wyglądała tak, jakby jeszcze sam Stalin smażył sobie na niej fasolkę. Czyżby Podgolony wskazał nam niewłaściwy dom?

Otworzyłem drzwi na oścież i znalazłem się na wprost szczytowej ściany. Dokładnie przed sobą miałem coś, co kiedyś musiało być wejściem kuchennym, teraz porządnie zabitym stalową płytą.

Odwróciłem się do Charliego i skinąłem głową. To był właściwy dom.

#### 4

Stojąc w progu, poświeciłem dookoła, wyłapując okiem w świetle latarki stare aluminiowe garnki i patelnie wiszące na hakach nad kuchnią oraz niedopitą butelkę czerwonego wina obok rozpostartej gazety na stole. W kącie, za ekranem przeciw insektom, musiała znajdować się spizarnia, przez zasłonę majaczyły kształty słoików i puszek.

Stałem, nasłuchując przez parę sekund, ale poza tykaniem zegara,

panowała cisza. Zawróciłem do holu, klepnałem Charliego w ramię i skierowałem latarkę na sąsiednie drzwi po naszej prawej stronie, o kilka kroków dalej. Ponownie zamigotało światelko wskazujące na pracę kamery.

Drzwi te były lekko uchylone; sprawdziłem, czy nie ma czujników, po czym delikatnie je pchnąłem. Naprzeciwko miałem okratowane od zewnątrz okno, choć i tak było całkowicie zasłonięte murem dzielącym posesje.

Pokój wyglądał na pomieszczenie do szycia. W dalszym kącie, obok drewnianej ławy, stała maszyna do szycia Singer, lecz żadnych nieskończonych ubrań ani ścinków materiału nie widziałem. Nie było tam też żadnej szafy. Dywan we wzorki pokrywał większą część drewnianej podłogi, zostawiając jedynie półmetrowy pas wolnego przy ścianie. Kominek wyglądał na nieużywany od lat, a obrazy po obu jego stronach tak samo długo nie widziały ścierki do kurzu.

175

Omijając dywan, podszedłem do obrazów, szukając ewentualnych czujników. Obraz po lewej przedstawiał wazon kwiatów, pod nim nie było nic poza jaśniejszą tapetą. Sejfu nie było również za tym z widokiem gór.

Przeszedłem do holu i wskazałem na drzwi naprzeciwko. Charlie siedł za mną, filmując. Ten pokój zapowiadał się już lepiej - był to wyraźnie gabinet Baza. Na biurku pod oknem stał, sądząc po wyglądzie, prototyp komputera Billa Gatesa. Wokół i na podłodze piętrzyły się stosy wycinków z gazet. Na prawo, wzdłuż ściany, stała uginająca się od książek półka. W przeciwległym kącie była szafa z lekkiej dębowej sklejki, pewnie składana, żaden tam porządny mebel, w którym wujaszek Stalin powiesiłby swoje

mundury.

Przepuściłem Charliego, który sfilmował wszystko od lewej do prawej, po czym zaczęliśmy przesuwac rzeczy. Świecąc sobie latarką, aby nie nastąpić na papiery na podłodze, podszedłem najpierw do biurka, mając nadzieję, że na aparacie telefonicznym umieszczony będzie numer.

Niestety.

Z szafą poszło jednak już lepiej.

Sprawdziwszy, czy nie ma czujników, otworzyłem drzwi -i proszę - znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Cofnąłem się, aby Charlie mógł zobaczyć nagrodę za wysiłek. Sfilmował każdy centymetr, każdy odprysk szarej farby, każde słowo cyrylicą, informujące zapewne, że producent był także dumnym dostawcą na dwór cara. Sejf był kwadratowy, mniej więcej 60x60 cm, solidny. Zawiasy drzwiczek znajdowały się z prawej strony, wyslizgana chromowana klamka z lewej, dalej dziurka na klucz, a na samym środku duży cylindryczny mechanizm szyfru. Po uwiecznieniu wszystkiego, Charlie przekazał mi kamerę, sprawdził klamkę, wzruszył ramionami, po czym zaczął grzebać w torbie.

Wsunąłem pojemnik z CO<sub>2</sub> z powrotem do rękawa i pozwoliłem mu pracować.

Wyciągnął z torby ręcznik i rozpostarł go pod sejfem - nie chciał, aby mokra torba zostawiła jakieś ślady.

**5**

Trzymając po prawej stronie torbę, Charlie ukląkł na ręczniku i

delikatnie odwinął z kawałka ręcznika swój przyrząd światłowodowy. Każdy bowiem przedmiot w torbie zawinięty był w podobny sposób, aby nie grzechotał ani się nie uszkodził.

Włączyłem kamerę i podszedłem do biurka, aby sfilmować wszystko, co się na nim znajdowało oraz ustawienie szuflad. Było ich około dziesięciu po każdej stronie, przeznaczone na niewielką ilość papierów albo na długopisy. Niektóre były lekko niedomknięte, inne wsunięte do końca, a nawet głębiej niż powinny.

Podniosłem telefon, ale do jego spodu nic nie było przyklejone. Obok stały małe drewniane pudełka z długopisami, ołówkami, taśmą klejącą i spinaczami. Wśród nich także nie znalazłem nic ciekawego.

Zbadałem, czy na szufladach nie ma czujników, po czym kolejno je przeszukałem. Były w nich jedynie zapisane bukwami albo spinaczami kartki papieru, niestety żadnego klucza do sejfów czy świstka, na którym zapisane byłoby coś, co przypominałoby kombinację szyfru.

Popatrzyłem, co robi Charlie. Z latarką między ubranymi w czerń kominiarki zębami, miał już rurkę iluminatora w dziurce od klucza i manipulował regulatorem jak istny chirurg wykonujący ar-troskopię - z tym wyjątkiem, że robił to na czworakach, z wypię-

177

tym tyłkiem. Zabrał się za zamek dzienny najpierw, na wypadek gdyby się okazało, że sejf tylko na ten został zamknięty.

Czas na jakąś decyzję. Tutaj nic nie znalazłem, a poświęcając resztę nocy na szukanie klucza czy kombinacji, mogę jedynie narobić większego bałaganu. Dałem sobie spokój i przysiadłem się do Charliego, czekając, aż będzie mógł mówić.

Cicho było jak w grobie Tenziga, a pewnie nawet i ciszej, jeśli kółko pań robiących na drutach nadal plotkowało sobie w jego sąsiedztwie. Słyszeć było jedynie sapanie dinozaura Charliego, stłumione tykanie zegara oraz czasami przejeżdżające ulicą samochody.

Charlie wyjął w końcu iluminator i wychylił się w moją stronę. Przytknąłem usta do jego ucha.

- Jak myślisz, ile ci to zajmie?

Zawinął instrument w ręcznik i schował do torby.

To był dobry znak; nie zostawia się na wierzchu rzeczy, które nie będą już potrzebne. Muszą być natychmiast pakowane, z uwagi na ewentualną nagłą ucieczkę.

- Małe piwo. Zamek jest zastawkowy, a szyfr - no wiesz, jak to szyfr. Góra cztery godziny. Nie martw się, w Bośni było tego na tony - zrobił efektowną przerwę, wiedziałem, że teraz szarpnie się na coś śmiesznego - a jak potrwa to dłużej, będziesz mógł sejf rozwalić.

Tym razem mogłem zobaczyć, mimo maski, jego szeroki uśmiech. Ponownie wsadził latarkę między zamaskowane zęby.

Miał rację, przynajmniej z zanikiem zastawkowym nie będzie problemu. Zastawka była w zasadzie karbowanym sworzniem na sprężynie, takie rzeczy były w użyciu już od czasów starożytnego Rzymu. Klucz wpasowuje się w karby i przesuwa sworzeń do przodu albo do tyłu. Wewnątrz mechanizmu i wokół dziurki na klucz znajdują się blokady, które nie pozwalają na użycie niewłaściwego klucza, stąd słowo zastawka.

Charlie, upchnąwszy wziernik głębiej w torbie, wyciągnął teraz z niej i odwinął z kawałka ręcznika zestaw małych i dużych

stalowych haczyków. Jak dobrze pójdzie, jeden z nich powinien ominąć zastawkę i przesunąć sworzeń do wymaganej pozycji.

Niemal natychmiast usłyszałem szczęknięcie otwieranego zamka, a Charlie, pakując przyrządy z powrotem do torby, pokręcił głową z podziwu nad samym sobą.

Przyszła kolej na cylinder szyfru. W tym przypadku zamek otworzy się, gdy po nastawieniu właściwej kombinacji numerów przesunie się na „otwórz” strzałkę po lewej stronie tarczy. Nasz kłopot polegał na tym, że nie będzie wiadomo, kiedy bęben zostanie ustawiony właściwie, słyszalny jest tylko dźwięk, gdy zamek zaskakuje, po podaniu właściwego szyfru.

Charlie począł kręcić cylindrem w lewo i prawo. Pewnie próbował zastosować numery rejestracyjne samochodu Baza, albo przelatywał przez cyfry ustawione fabrycznie.

Jak skończą mu się pomysły, będzie próbował wszelkich możliwych kombinacji tych numerów. Teoretycznie było tego cholerstwa około miliona, ale na szczęście w takich tanich sejfach numery nie musiały być ustawione precyzyjnie, mogło się zdarzyć, że wszystko zadziała, nawet jak się pomylić o dwa oczka. Zmniejszyło to prawdopodobieństwo do około 8000 kombinacji. Nie było to więc wcale takie znowu małe piwo, ale nawet jego rękami da się to zrobić przez parę godzin. Kiedyś powiedział mi, że w zasadzie nigdy nie myślał nad tym, co robi, po prostu włączał autopilota.

Pochylił się nade mną.

- Data urodzenia?

Nie pytał mnie o nią od czasu mojej wizyty w księgarni, bo nie musiał.

Jakbym jej nie znalazł, powiedziałbym mu o tym.

- Dwadzieścia dwa, dziesięć, pięćdziesiąt dziewięć.

Zaczął obracać pokrętko: 22 przeciwnie ze wskazówkami zegara... 10 zgodnie... 59 przeciwnie...

Z jakiegoś powodu, zawsze ruchy robi się w takiej kolejności.

Zorientowałem się, że wstrzymuję oddech.

179

Nic. Ani dźwięku. Żadna zastawka nie opadła, mowy nie ma o przekręceniu klamki i usłyszeniu, jak cofają się rygle.

Charlie pobawił się jeszcze tą samą kombinacją numerów, ale kręcąc w różnych kierunkach. Po tuzinie takich prób, spróbował 22 zgodnie ze wskazówkami zegara, 59 przeciwnie i 22 też przeciwnie.

Z wnętrza drzwi dało się słyszeć delikatne stuknięcie.

Charlie złapał za latarkę i poświecił wokół siebie, upewniając się, że niczego nie zostawił. W tym czasie mogłem otworzyć drzwi sejfów, ale należało trzymać się właściwego w takich sytuacjach protokołu. Honor otwarcia sejfów należał do Charliego. Uspokojony, że niczego nie zapomniał, odwrócił się i pociągnął w dół klamkę. Sworznie cofnęły się po obu stronach - zawiasów i zamka - i drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem.

Trzymając nadal w zębach latarkę, Charlie wsadził do wewnątrz głowę. Popatrzyłem i ja. Na środku była półka, a na niej dwa tylko przedmioty - otwarta szkatułka pełna starej biżuterii, należącej pewnie do matki Baza, i niebieska tekturowa teczka.

Charlie nie musiał uciekać się do pomocy kamery, aby zapamiętać, w jakiej pozycji leżała teczka; wziął ją i mi podał. W szybkim błysku latarki

zobaczyłem około dwudziestu kartek zapisanych ręcznie spinaczami.

Niby niewiele, a jednak warte 20 000 dolarów.

Charlie nie miał nawet czasu zareagować, gdy nagle drzwi otwarły się z hukiem i zapalono światło.

## 6

Było ich dwóch, wrzeszczących coś do nas po rosyjsku i gru-zińsku. Obaj uzbrojeni byli w pistolety z dużymi lufami; wolno podnieśliśmy ręce do góry, tak aby to widzieli, że - niestety - nie byliśmy uzbrojeni. Lewą rękę starałem się trzymać nieco niżej, tak aby utrzymać na miejscu pojemnik z CO<sub>r</sub>.

Mieli około trzydziestki, krótko ostrzyżone czarne włosy, dżinsy i skórzane kurtki, pełno złotej biżuterii, i obaj wyglądali na skonfundowanych całą sytuacją.

Nie mieli zamaskowanych twarzy, co dobrze nie wróżyło. Nie dbali o to, czy zostaną rozpoznani. Jeden miał ciemny zarost, drugi przekrwione oczy. Ciekawe, czy przypadkiem nie wstąpili po drodze do Primorskiego.

Ich krzyki wzmożyły się, odbijając się echem po pokoju. Widocznie trzymanie przez nas rąk w górze nie było rzeczą wystarczającą.

Wyglądało na to, że rządził tutaj ten z przekrwionymi oczami. Gapiąc się na mnie, kilkakrotnie odchylił wolną ręką połę swojej kurtki. Zrozumiałem. Trzymając prawą rękę w górze, lewą wolno rozpiąłem kurtkę - na dywan wypadły buty. Charlie zrobił podobnie.

Wiedzieli teraz, że byliśmy nieuzbrojeni, ale krzyczeć nie przestawali. Nie wiedziałem, czego jeszcze chcą, a pytać nie zamie-

rzałem. Nie chciałem, aby dowiedzieli się, że jesteśmy Anglikami.

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem dłońmi.

Zagadali coś do siebie, szybko i ze złością, następnie Czerwo-nooki podszedł do Charliego, mierząc do niego z pistoletu, Zarośnięty zaś go osłaniał. Machnął ponownie ręką, i krzyząc coś, wskazał na podłogę.

Charlie zrozumiał, facet chciał teczkę.

Podniósł ją z podłogi lewą ręką, prawą trzymając w powietrzu.

Czerwonooki zrobił krok, odebrał teczkę i wetknął Charlie-mu pistolet w kark. Mogłem zobaczyć chińskie litery wytłoczone wzdłuż lufy. Pistolet był stary i zużyty, ale nie grało to roli, gdyby facet pociągnął za spust, i tak zrobiłby z Charliego kaszanekę.

Trzymając lufę tam, gdzie była, Czerwonooki pochylił się i sięgnął do sejfu. Bizuteria wylądowała w kieszeni jego kurtki sprawnie i szybko jak u magika. Na koniec zerwał kominiarkę z twarzy Charliego, potem z mojej.

Cofnął się o kilka kroków, aby przyjrzeć się swemu dziełu. Obaj stali tak przez kilka sekund, po obu stronach drzwi. Czerwonooki zamruczał coś do swojego nieogolonego koleśka i rozłożywszy teczkę na stole, zaczął ją przeglądać. Nieogolony celował w tym czasie kolejno we mnie i w Charliego, przypominając nam w ten sposób, jak powinniśmy się zachowywać.

Burczeli coś do siebie przez cały czas przeglądania przez Czerwonookiego papierów. Nie miałem pojęcia, co teraz robić. Tyle już razy byłem w podobnej sytuacji, że wiedziałem, jak wygląda i brzmi wielka niewiadoma. W końcu Czerwonooki oderwał wzrok od papierów, przyjrzał nam się badawczo i wyjął komórkę.

Zerknąłem na Charliego, który nadal usilnie studiował wzór na dywanie, tak jakby chciał zapamiętać każdą w nim nitkę. Znałem ten wzrok; zastanawiał się, jak z tego wybrnąć. Miałem nadzieję, że ten pieprzony dziad wpadnie na coś, zanim tamci dostaną pozwolenie na rozwalenie nas.

Po szybkiej serii dźwięków wystukiwanego numeru na drugim końcu ktoś odebrał telefon prawie natychmiast. Czerwonooki

182

przyglądał nam się kolejno, prawdopodobnie opisując teraz nasz wygląd, następnie wziął do ręki papiery i zacytował z nich kilka kawałków. Spojrzał na nas ponownie. Nie rozumiałem, co mówi, ale zrozumiałem, o co chodziło. Jakichkolwiek oczekiwali problemów w tym domu, teraz doszły im dwa kolejne, i wcale nie byli z tego powodu szczęśliwi. A ja byłem?

Na razie nic nie mogliśmy zrobić, zająłem się więc studiowaniem broni Nieogolonego, tak abym wiedział, co robić, gdy się do niej dorwę. Wielka jest moc pozytywnego myślenia.

Palec miał na spuście, broń była odbezpieczona, bo rygiel po lewej stronie kolby był opuszczony. Zazwyczaj z tego rodzaju broni można oddawać pojedyncze strzały i półautomatyczne serie. Przy pojedynczych ładowanie jest ręczne; po oddaniu strzału odciąga się zamek do tyłu, pozwala mu się wrócić na miejsce, po drodze zbiera on do komory kolejny nabój. Strzelając serią, zamek nie jest zablokowany i można oddawać strzały aż do czasu wyczerpania się naboju w magazynku.

Nie wiedziałem, którą opcję wybrał Nieogolony, ale coś mi mówiło, że nie był to strzał pojedynczy.

Podczas gdy Czerwonooki nadał czekał coś do telefonu i wertował papiery, od strony ulicy dał się słyszeć dźwięk metalu. Czerwonooki urwał

w pół słowa. Brama otwarła się z głośnym zgrzytem.

Czerwonooki, kończąc rozmowę, wybiegł na korytarz. W przeciągu 10 sekund był z powrotem, i szczęśliwy wcale nie był. Zwinął teczkę i wsadził ją sobie za pazuchę, krzyknął parę poleceń Nieogolonemu, po czym ponownie znikł.

Nieogolony unosząc broń o kilka centymetrów, nie ruszył się z miejsca.

Nie było czasu na zastanawianie się.

Rzuciłem się na niego, celując ramieniem w jego brzuch. Zatoczył się do tyłu i uderzył o ścianę, zanim zdążył złapać równowagę, pociągnąłem go za sobą na ziemię, wymachując rękami. Nie-

183

ważne, czy go dorwę, grunt, aby stracił kontrolę nad pistoletem. Może uda mi się wytrącić mu go z ręki.

Poczułem, że Charlie pcha mnie nogami, następnie usłyszałem dźwięk, jaki wydaje rozbijający się o chodnik arbuz. Charlie uraczył Nieogolonego uderzeniem swojego pojemnika z CO<sub>2</sub>.

Puściłem faceta i odsunąłem się, sprawa należała do Charliego; jak zajdzie potrzeba, wdrapie się nawet na niego.

Rozejrzałem się szybko po podłodze w poszukiwaniu pistoletu, ale nie spostrzegłszy go od razu, nie miałem czasu na szukanie.

Wybiegłem z pokoju, sięgając po drodze do lewego rękawa kurtki. Przed sobą miałem Czerwonookiego, wyciągającego blokady z drzwi. Drzwi otwały się i korytarz wypełnił się światłem. Brama na ulicę stała otworem.

Na podwórze wjechało audi Baza.

Gnałem do przodu, Czerwonooki potykając się zbiegł ze schodów

ganku.

Opróżnił magazynek, strzelając w boczne okno przy kierowcy, poleciały odłamki szkła, a on wyginając się jak torreador, uniknął samochodu uderzającego w ścianę.

Z pojemnikiem w dłoni wykonałem skok. Zanim zdążył złapać równowagę, dopadłem go i zdzieliłem ciężką metalową tubą w czubek głowy. Ciężar mojego lecącego w dół ciała dodał uderzeniu siły, usłyszałem trzask rozbijanej czaszki.

Padł jak trafiona elektrycznym pistoletem krowa podczas uboju, ja też wylądowałem na ziemi. Jego broń poleciała poślizgiem po mokrym betonie. Złapałem ją, odwróciłem się i oddałem strzał w jego głowę. Gdy trzeci raz nacisnąłem na spust, broń nie wypaliła. Zamek był odciągnięty, gotów do przyjęcia nowego magazynku.

Pieprzę zamykanie bramy. Porzuciłem pustą broń i pognałem do środka, może mój staruszek potrzebuje pomocy.

Nieogolony miał rany postrzałowe w klatce piersiowej i w prawym policzku, ciemna plama żyłnej krwi rozlewała się po dywa-

184

nie. Charlie był zupełnie spokojny. Zaciągnął ponownie maskę na twarz, torbę miał na ramieniu.

- Daj mi pięć minut - powiedział - spróbuję znaleźć monitory telewizji przemysłowej, mogą być w nich taśmy.

Podniosłem z podłogi moją kominiarkę i zakładając ją sobie na głowę, pomaszerowałem do drzwi wejściowych.

7

Skierowałem się prosto ku bramie. Nie zawracając sobie głowy sprawdzeniem, co dzieje się poza nią, zamknąłem ją i zarygłowałem. Nie szło mi nakładanie na twarz maski, ciągle zasłaniała jedno oko - musiałem wyglądać jak jakiś duch w operze.

W Primorskim zagrała perkusja, a po uderzeniu w cymbały rozległy się stamtąd głośnie oklaski. Gdyby nie to, że byłem taki połamany, pięknie bym się teraz uklonił.

W podwórzowym oświetleniu migotały odłamki szkła, łuski po nabojach, mokry beton i dwie kałuże krwi. Łapiąc z trudem oddech, podbiegłem do samochodu.

Wnętrze wyglądało jakby ktoś chlusnął po nim kubłem czerwonej farby. Ciało kierowcy oparte było o tablicę rozdzielczą. Tak, to był Baz. Nie wyglądał za dobrze. Dostał w głowę, szyję i ramię, jego kiedyś siwe włosy były teraz szkarłatne.

Zbadałem przód samochodu, zderzak przejął na siebie większość siły uderzenia, jeden reflektor był rozbity, ale rozumiałem, że Technik nadal były Vorsprung. Otworzyłem drzwi i chwytając Baza za ramię, wyciągnąłem go ze środka.

Gdy znalazłem się ponownie w domu, gardło miałem jak papier ścierny.

-Charlie!

- Na górze - dobiegł mnie z piętra jego głos.

186

- Mamy trupa, przynieś jakieś narzuty, cokolwiek, czym da się przykryć fotele w samochodzie.

Poleciałem do gabinetu po moje buty. Na porządne ich zawiązanie nie było czasu, wetknąłem tylko sznurowadła pod język, abym się w nie nie

zapłatał. Najważniejsze było tempo - musimy stąd jak najszybciej się spławić.

Znalazłszy się ponownie na podwórzu, obróciłem Czerwono-okiego i wyjąłem mu z kieszeni teczkę. Charlie zeskakiwał już ze schodów, ciągnąc za sobą dwie pstrokate narzuty na łóżko.

- Udało ci się z monitorami?

Potrząsnął przecząco głową.

- Mogą być gdziekolwiek - pewnie w komputerze. Chodźmy stąd po prostu i łapmy samolot. Pasuje ci to? Czy chcesz zostać i szukać dalej? Ja się dostosuję.

Stałem przy samochodzie. Miał rację. Na cholerę tracić czas na tak zalany krwią obiekt, na dodatek z trzema trupami.

- Idziemy.

Zasłoniliśmy narzutami przednie siedzenia w samochodzie.

Charlie wrzucił do tyłu torbę z narzędziami, ja wskoczyłem za kierownicę. Podczas gdy Charlie sprawdzał drogę, ja zająłem się wybijaniem resztek szkła z ramy.

Jak tylko brama była otwarta, wrzuciłem tylny bieg, Charlie rozglądał się przy niej gorliwie, po czym wskoczywszy na fotel obok mnie, schował broń za pasek spodni. Ruszyliśmy w górę, kierując się na migające czerwone światło masztu telekomunikacyjnego.

Mijając skręt na lewo do Primorskiego, widzieliśmy, jak dwie limuzyny zabierały do środka grupę bardzo młodych kobiet i bardzo starych mężczyzn.

Nareszcie mogliśmy zdjąć kominiarki. Charlie zaczął chichotać.

•Ech, chłopcze, chyba dałeś plamę, co?

- Uwaga, policja.

Z naprzeciwka skręcił w naszą ulicę samochód niebiesko-białych. Jechał wolno, policjantom nigdzie się nie śpieszyło. Spraw-

187

dziłem, czy na twarzy Charliego nie ma śladów krwi, on przyjrzał się mojej twarzy; gdyby nawet były, i tak było już za późno. Minęliśmy ich, dwa czerwone punkty między ich wargami powiększyły się, gdy westchnęli na nasz widok.

- .. .ry wieczór - Charlie skinał głową.

Przejechali obok domu Baza, nie zatrzymując się.

- .. .ry wieczór? Jakby cię usłyszeli, zatrzymaliby nas, tylko po to, by zbadać, co to za akcent.

Też jednak nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, choć nie z powodu tego wyglądu, ale po prostu z ulgi.

Wiatr wpadał przez boczne okno od strony kierowcy. Jedną ręką wyjąłem z kieszeni teczkę. Nie wyglądała za dobrze, ale przynajmniej nie nosiła śladu po kulach.

Charlie przeszukiwał wzrokiem ulicę, czy nie pojawi się następny patrol policji.

- Oni musieli być już wtedy w środku i czekać na Baza, potem zmusiliby go do otwarcia sejfu, zabrali to, co nam się teraz dostało, po czym by go załatwili.
- Myślałem, że Podgolony powiedział, że Baz miał być w jakimś parku narodowym czy czymś podobnym, do następnego rana? A ponieważ zalewał, jak w takim razie mamy ustosunkować się do całej reszty jego opowieści?

Kręciłem kierownicą w lewo i prawo, starając się omijać kałuże.

- Może oni też mieli czekać do rana, aż się zjawi. Nie zauważyli nas przecież na podwórzu.

To ich musieliśmy wtedy usłyszeć, chowających się w pierwszym pokoju. Otwarcie przez nas sejfu musiało być dla nich niezłym prezentem gwiazdkowym.

Skręciłem w lewo, w górę w kierunku cmentarza.

- Wiem, powinienem był zajrzeć do spizami...
- Jakbyś to zrobił, mogli by nas po prostu wtedy rozwalić. - Znowu zaczął się śmiać. - Ale popatrz, nadal żyjemy, szybka wizytka na cmentarzu i - żegnaj, Gruzjo.

188

Wjechaliśmy w podskokach na otwarty teren pod cmentarzem. Nadal stało tu całkiem sporo samochodów, Charlie wskazał na miejsce pod drzewem, dokąd nie docierało już światło z pobliskiej stacji benzynowej.

Wyłączyłem silnik i światła. Siedziałem przez chwilę, słuchając i patrząc.

- Czujesz się w porządku?
- Tak, chociaż rączki trochę skaczą. Może to ty jednak powinieneś zająć się skrytką. Nie jestem pewien, czy nadaję się jeszcze do przewalania teraz marmurowych płyt.
- Załatwione - uśmiechnąłem się - potem do hotelu po rzeczy, prysznic i golenie. Dzięki Bogu jest pieprzona niedziela. Jak dobrze pójdzie, nikomu nie będzie brakowało Baza aż do jutra.

8

Charlie zapakował papiery w plastikową torebkę.

- Każda strona jest numerowana, na ostatniej jest podpis, a wszystkie skreślenia mają obok parafkę. Rozumiem, że jest to jakieś oświadczenie.

- Kim w takim razie byli Czerwonooki i Nieogolony?
- A chuj ich wie. Zdajmy po prostu towar i spadamy.
- Zostały ci jeszcze jakieś naboje?

Wyjął pistolet i naciskając lewy przycisk blokady, otworzył magazynek.

- Dwa tutaj, jeden w komorze - powiedział, zasuważąc ponownie zamek, zabezpieczył broń i wręczył mi ją.
- Gotowa do użycia, tylko odbezpieczyć.

Jeszcze raz sprawdziłem kurek, po czym wetknąłem sobie pistolet za dzinsy z przodu, papiery schowałem do kieszeni kurtki. Wsiadłszy z audi, przyjrzałem się sobie. Musimy jeszcze dziś w nocy wrócić do hotelu i pokazać się na oczy nocnemu personelowi. Nawet w Tbilisi nie lubi on, aby goście chodzili ubabrani w cudzej krwi.

Wyciągnąłem i włączyłem komórkę.

- Dam znać, jak skończę. Zadzwoń, jakby się coś działo, OK?

Charlie skinął głową i przesiadł się na fotel kierowcy. Jego zadaniem było pilnować wejścia na cmentarz.

190

- Potrzebuję także twoją latarkę.

Podał mi ją.

- Widzimy się wkrótce. - Skierowałem się w stronę bramy. Na skradanie się pod osłoną mroku nie było czasu, trzeba było po

prostu iść prosto, zrobić, co należy i przed świtem znaleźć się w hotelu.

Dotarwszy na otoczoną grobowcami główną alejkę, sprawdziłem, czy komórka ma zasięg. Poświata od strony stacji benzynowej docierała wszędzie, oświetlając na zielono grobowce, nagrobki i drzewa. Nie było co narzekać, przynajmniej widziałem, którędy idę.

Bramę minął samochód, który brzmiał, jakby włókł gdzieś za sobą rurę wydechową. Poza tym spokój. Nawet kółko robiących na drutach pań poszło sobie do domu.

Z mroku wyłonił się wiadomy kubeł na śmieci. Czterech facetów na grobowcu Tegizów nadał zerkąło w niebo - nie mogłem do końca zrozumieć, czy z czystą admiracją, czy w oczekiwaniu odpowiedzi, która jakoś nie nadchodziła. Poświeciłem wzdłuż kraty ogrodzenia i znalazłem ławkę. Minąwszy grób, zabrałem się za przesuwanie płyty z jej podstawy.

Wystarczyłaby mi dwucentymetrowa szpara, ale wyglądało na to, że ten kawał marmuru nie da się ruszyć, przynajmniej nie tej nocy.

Pochyliłem się i spróbowałem ponownie, tym razem używając ramienia.

Płyta drgnęła z piskiem, szybko poświeciłem latarką, aby upewnić się, że powstała szpara jest wystarczająco duża. Papiery powędrowały do dziury, latarka do kieszeni, i już zabierałem się za dosuwanie płyty na miejsce.

Za plecami usłyszałem zgrzyt butów o żwir.

Odwróciłem się na pięcie. Światło zasłaniała mi blisko stojąca postać z podniesionymi ramionami. Facet był naprawdę duży.

Odstąpiłem w lewo, a facet opuścił ramię, próbując trafić mnie w połowie kroku. Miałem szczęście. Coś bardzo mało bezpiecz-

nego wypadło mu z ręki i ze stalowym odgłosem uderzyło o kamień.

Lewą ręką podciągnąłem do góry kurtkę, próbując prawą złapać za broń. Był jednak szybszy. Zaszarżował z krzykiem, złapał mnie za ręce wielkimi jak widły łapami i próbował mi je wykręcić. Potknąłem się tyłem o niskie ogrodzenie i obaj poleciliśmy na ziemię.

Uderzyłem barkiem o krawężnik, mój napastnik wylądował na mnie, pozbawiając moje płuca powietrza. Wygiąłem się, wierzgając i szarpiąc się, próbowałem uwolnić ręce, aby móc go z siebie zrzucić i sięgnąć po broń. Wcisnął mi silnie czubek swojej głowy w policzek; nie miałem zaciśniętych zębów i ugryzłem się w język.

Ze sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi gmiotło mnie do ziemi, nie pozwalając zrobić czegokolwiek z rękami unieruchomionymi nad głową.

- Charlie!

Krzycząc, czułem, jak krew tryska mi z ust. Mimo kopania i szarpania się, jego ciało było jakby przyklejone do mojego, i blokowało dostęp do pistoletu.

- CHARLIE!

Puścił moje ręce i postanowił w zamian mnie poddusić. Olbrzymie palce zacisnęły mi się na gardle, na twarzy czułem, jak opryskuje mnie śliną z wysiłku, próbując przepchać moje jabłko Adama do tyłu. Poczulem, że zaraz w głowie nastąpi eksplozja.

Nie pozostawało mi nic innego, jak dalej wierzgać i wykręcać się jak szalony. W końcu udało mi się złapać go za kark, ale on tylko napiął tam mięśnie, i nic więcej nie mogłem wskórać.

Przesunąłem więc dłonie niżej, aby uchwycić klapy jego kurtki i użyć ich jako dźwigni, która pozwoli mi wdłubać się kciukami w miękkie miejsce

między obojczykami, zaraz u podstawy gardła. Wtedy będzie musiał użyć swoich dłoni, żeby coś z tym zrobić, inaczej udławi się na śmierć. Chyba, że ja uczynię to pierwszy.

192

Od jego uścisku twarz nabrzmiała mi do granic wytrzymałości; cisnął mnie policzkiem, napinając jeszcze bardziej mięśnie na karku. Duży był, cholerka. Starł mi swoim zarostem ze dwie warstwy skóry na rękach.

W głowie mi dudniło, w oczach miałem mgłę. Wbiłem się mocniej, a on odchylił głowę, jego włosy musnęły mi twarz. Czułem, jak szczecina orze mi policzek, z ust szedł kwaśny zapach alkoholu. Wiedziałem, że będzie teraz próbował załatwić sprawę zębami.

9

Potrząsałem głową gdy była w ruchu, miałem większą szansę na uprzedzenie go w tych zamiarach.

Przyszła, gdy nos jego znalazł się jedynie parę centymetrów od mojego. Szarpnąłem się do przodu i chwyciłem go zębami u nasady nosa. Wgryzłem się w twardą kość zaraz nad chrząstką i gryzłem dalej. Szarpał głową, próbując się uwolnić, ale byłem jak terier uwieszony patyka.

W końcu puścił moją szyję i sięgnął mi do twarzy. Udało mi się odkręcić oczy, zanim nie wsadził mi w nie kciuków. Wcisnął mi je w oczodoły, ale ja gryzłem jeszcze mocniej. Na twarz lała mi się krew.

Szalał z bólu, rzucając się jak przebita harpunem ryba.

Puściłem jego gardło i zarzuciłem mu ręce za głowę, ciągnąc ją do siebie, aby szło mi lepiej z gryzieniem. Następnie ugryzłem z całej siły,

poruszając głową na boki.

Szczęki złączyły się wreszcie i kość pękła jak orzeszek, a zatoki eksplodowały. Z dziury w jego twarzy trysnęła krew i śluz, wydał z siebie okrzyk wściekłości i bólu.

Odsunąłem się, próbując zepchnąć go z siebie uderzeniami rąk i nóg. On jednak trzymał mnie nadal.

Udało mi się przetoczyć nas na bok i wcisnąć dłoń między nasze ciała, aż poczułem w niej chłodny metal kolby pistoletu. Na-

194

kierowałem lufę pod jego pachę, odciągnąłem kurek i wypaliłem. Dostał w pierś.

Nacisnąłem ponownie na spust.

Nic.

Nie było między nami wystarczająco dużo miejsca, abym mógł zarepetować broń.

Odepchnąłem go od siebie, macając palcami wokół zamka, aż udało mi się złapać go dobrze, pociągnąć i puścić.

Przez moment leżałem na boku, a on skręcał się obok mnie. Następnie przytknąłem mu lufę do piersi i dwukrotnie wypaliłem.

Odczołgałem się i oparłem plecami o grobowiec Tengiza. Jedyнным jeszcze głośniejszym od mojego krztuszenia się w nadziei na nabranie w płuca powietrza dźwiękiem był warkot przejeżdżającego drogą samochodu. Ten rozstał się chyba ze swoją rurą wydechową na dobre.

Język spuchł mi tak, że sięgał podniebienia, miałem wrażenie, że grdyka naprawdę została wbita w tył gardła. Siedziałem tak, spluwając krwią za bluzę, aby zostawić po sobie jak najmniej DNA.

Wydobyłem telefon i łapałem oddech, aby Charlie mógł mnie zrozumieć. Odebrał po jednym sygnale.

- Podjedź tyłem pod bramę i otwórz bagażnik. Mamy problem.

Wyłączył się bez słowa. Wiedział, co powędruje do bagażnika.

Przekręciłem się na ziemię, próbując wymacać, czymże to ten Hulk chciał mnie pokroić na kawałki. Palce dotknęły zimnej stali długiego wojskowego noża. Nie na pół miary jak na tego osiłka; nóż można by nazwać maczetą albo jeszcze inaczej, grunt, że jego ostrze nie zagłębiło się w mojej głowie.

O kurcze, tym razem naprawdę miałem farta.

Podczołgałem się do ławki, nadal łapiąc powietrze, usta nadal wypełniały mi się krwią, spluwałem więc ciągle pomiędzy bluzę a podkoszulek. Udało mi się odsunąć płytę na tyle, abym mógł wsadzić palce w szparę. Macałem tak długo, aż natrafiłem na pla-

195

stik. Papiery powędrowały z powrotem do kieszeni kurtki. Zanim nie pojawił się Hulk, wobec Podgolonego i kogokolwiek, kto za nim stał, miałem jedynie podejrzenia, ale teraz to się skończyło. Zostaliśmy z Charliem dokładnie wydymani. Teraz nikt z nich nie dostanie tych papierów. Są nasze.

Poświeciwszy wokół latarką, odnalazłem pistolet i zatknąłem go sobie za spodnie, maczetę zaś za spodnie jej ostatniego właściciela.

Złapałem go za rękę i począłem wlec po alejce, zostawić go tu po prostu nie mogliśmy. Starzy ludzie wstają wcześniej i równy strumień wdów mógłby tu napływać już od brzasku.

Widziałem, jak audi przekracza chybotliwie drogę, zawraca i parkuje

tyłem do bramy.

Przystanąłem przy najbliższym kranie, aby się umyć.

Charlie wszedł przez bramę i zobaczył ciało.

- Niezła rozpierducha.

- Zrobiono cię w jajo, stary. Ten skurwiel Podgolony nasłał tam na ciebie tego dryblasa z maczetą. - Wskazałem na wystającą ze spodni rękojeść. -

Muszę się najpierw doprowadzić do porządku, potem ci pomogę.

Obmyłem się, jak tylko mogłem najlepiej i zaczesłem mokre włosy, aby jakoś wyglądać, pojawiając się w hotelu. Nappełniłem wodą kilka plastikowych butelek, porzuconych przy kranie i poszedłem pozmywać najbardziej rzucające się w oczy plamy krwi. Wolałem, aby panie na swoim niedzielnym zebraniu nie były narażone na zgubienie oczka w swych dzianinach i nie musiały wzywać niebiesko-białych.

Jakoś udało nam się podnieść Hulka do bagażnika, torsem na przód.

Przez chwilę reszta jego ciała zwisała nad zderzakiem i wyglądał, jakby pochylał się, aby puścić pawia.

Za naszymi plecami coś zaszczekało i zazgrzytał żwir. Ludzie na ścieżce.

Nie było czasu na wymianę zdań: złapałem maczetę i schowałem się w cieniu. Oczy miałem jak na szypułkach, gdy prze-

196

szukując wzrokiem obie strony alejki, biegłem w kierunku, skąd wydawało mi się, że doszedł dźwięk.

Zatrzymałem się zaraz za grobem Tengiza, schowałem się za jakimś grobowcem i nasłuchiwałem.

Znowu szcęk, na lewo od ścieżki. Ruszyłem tam, znajdując drogę

między dwoma grobowcami. Usłyszeli mnie i zaczęli uciekać. Gnałem, prowadzony wystraszonymi okrzykami po gruziń-sku.

Przeskakując przez niski murek, wylądowałem na wysypanym żwirem terenie jakiegoś grobowca. Ze dwa nagrobki dalej mogłem zobaczyć dwie sylwetki, pokonujące w ucieczce murki i płotki. Skoczyłem ponownie i wylądowałem na płachcie plastiku. Pod plastikiem ktoś leżał nieruchomo, jęcząc.

Wyciągając maczetę i uwalniając się od plastiku, odchyliłem płachtę do góry. Zobaczyłem gapiącego się na mnie znieruchomiłego faceta w kombinezonie Shella, na jego ramieniu tkwiła nadal opaska uciskowa. Plastik zaciągnięto między dwoma grobowcami, tak aby stanowił osłonę. Poświeciłem mu w oczy, źrenice miał rozszerzone. Jak chciałby spojrzeć nimi w przyszłość, nie była świetlana.

Tamci dawno już zniknęli. Nie pozostało mi nic innego, jak zawrócić do Charliego i mieć nadzieję, że byli tak naćpani, że nas nie zauważyli. Ale w głębi duszy wiedziałem, że gdyby byli, nie skakaliby po grobach jak kozice.

Każdy z nas złapał za jedną nogę i przechyliliśmy ciało do środka. Zamknąłem bagażnik, a Charlie zajął się ścieraniem swoją bluzą krwi z tyłu samochodu.

- Czekał na mnie - powiedziałem - Wiedział, że tam przyjdiesz. Założę się więc, że i tamtych dwóch w domu Baza również nie znalazło się w nim przypadkiem.

Charlie kontynuował porządki, ja sprawdziłem, czy nie ma w okolicy kolejnych kombinezonów albo innych wymachujących maczetami psychopatów.

- Mam nadzieję, że dostałeś całość szmalu z góry, stary, bo to jest totalna rozpierducha, choć dokumenty mogą nam pomóc. Ich zawartość musi być cholernie ważna, każdy jeden skurwiel się za nimi ugania.

Coś za długo trwało to sprzątanie.

- Spadajmy po prostu stąd, namyślimy się co dalej, jak znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

Wsiadliśmy do samochodu, ja za kierownicą.

- Mam problem, chłopcze. Charlie był blady jak ściana.

- Jaki?

- Dostałem tylko połowę.

- Co?! O czym ty, kurwa, myślałeś?

- Zaraz - Charlie zatrzymał mnie ruchem ręki - wszyscy tu coś mają do powiedzenia, poza mną. Miałem do wyboru: wziąć taką robotę, jaka była, albo nic.

Pojechałem w stronę najciemniejszego miejsca, na szczyt pod maszt telewizyjny. Nie mogłem uwierzyć, że był taki głupi. Zawsze żądał zapłaty z góry. Nigdy nie wiadomo, kto cię wyroluje. Gdy znaleźliśmy się w cieniu drzew, zacząłem na niego wrzeszczeć.

- Nie pomyślałeś, że cię mogą wykiwać? Co ty miałeś w tym swoim starczym łbie?!

Nie odpowiedział; jechaliśmy, podskakując na wybojach, w kierunku mroku.

Gdy parkowałem, chyba w jakiejś przecince wśród sosen, porastających

górze, zebrał się i mi odpowiedział. Teraz była jego kolej na wrzask. Na twarzy i na uchu czułem falę uderzeniową powietrza z jego płuc.

- Zapominasz, kurwa, że jestem umierający, potrzebuję gotówkę. A ty, co byś zrobił? Stuknięty Dave błaga cię o wzięcie roboty, a ty dajesz sobie spokój?! Pomyśl trochę.

Wiedziałem, że źle zrobiłem, otwierając w ogóle usta.

198

- Przepraszam, Charlie. A niech to, dajmy sobie spokój. Prze-handlujmy papiery i spadajmy. Dopóki jesteśmy w ich posiadaniu, wszystko będzie dobrze. Jestem pewien.
- No i - Charlie szarpnął się na żart - Jak już nic się nie uda, zawsze możemy dać je na eBay.

CZEŚĆ

SIÓDMA

1

Niedziela, 1 maja

Sala odlotów pękała w szwach od pasażerów czekających na międzynarodowe loty - wszystkie były opóźnione.

Była godzina 10:09. Niedziela, lada moment audi zostanie zauważone. Nawet w Gruzji samochód z zalanymi krwią fotelami i wybitym oknem musi wzbudzić ciekawość.

Nasz samolot do Wiednia powinien był odlecieć o 10:30, ale nawet nie

pozwolono nam się odprawić. Przy jedynym wyjściu było miejsce tylko na tyle ludzi, ile mieściło się w jednym samolocie.

Pozacieraliśmy za sobą ślady jak tylko potrafiliśmy najlepiej, ale nie poprawiło mi to nastroju. Czerwonooki i jego kumpel wcale nie zrobili nam przysługi, zdzierając nam kominiarki z twarzy, i nie trzeba tu było inspektora Morse'a, aby skojarzyć nas z audi Baza i trupami na jego podwórku. Chciałem tylko i wyłącznie splawić się stąd. Wolność była na wyciągnięcie ręki, ale niestety znajdowaliśmy się nadal po niewłaściwej stronie szklanej przegrody.

Siedziałem nieopodal bud handlarzy po przeciwnej stronie drogi. Jedno dobre, że ławki były tu suche, wyglądające teraz zza wolno sunących chmur słońce zrobiło swoje.

Wielu oczekujących wyniosło się na zewnątrz, aby uniknąć tłoku, i taksówkarze byli tym niezłe wkurzeni. Nie zamierzali

203

dzielić swego królestwa z bandą obcokrajowców. Szczęśliwi nie byli również właściciele bud. Każdy z nich siedział za identyczną ladą zasłaną czekoladkami i gumą do żucia i dawał wyraźnie do zrozumienia, że czarno-biały przenośny telewizor na półce w głębi był rzeczą o wiele bardziej dla nich interesującą niż jakiś potencjalny klient.

Na wszystkich trzech ekranach wyglądająca na znudzoną prezenterka o wielkiej czarnej fryzurze czytała wiadomości. Dla redakcji wiadomości musiał być to kolejny nudny dzień, ponieważ raczono nas bez końca widokiem wspaniałych budowli albo przewlekłymi sekwencjami, pokazującymi gruzińskich żołnierzy w amerykańskich moro, upstrzonych insygniami Ryszarda Lwie Serce, którzy albo siedzieli w pełnej gotowości

na platformach transporterów, albo dzielnie biegali pod górę i z powrotem po jakimś wzniesieniu.

Do hotelu dotarliśmy *zaraz przed czwartą, Narzędzia, tak jak* i ciało, pozostawiliśmy w bagażniku audi. Idąc przez miasto, musieliśmy być czysti, na wypadek gdyby jakiś ciekawski nie-biesko-biały chciałby się dowiedzieć, dlaczego włóczyliśmy się po mieście o tej porze. Bluza Charliego i broń powędrowały do kanału przez właz, do którego nie zbliżyłby się żaden zwierzak czy człowiek przy zdrowych zmysłach, a potem odgrywaliśmy dwóch kolesiów, wracających z całonocnej popijawy, odwrócone na lewą stronę kurtki zawiązaliśmy sobie wokół pasa, aby ukryć najgorsze plamy krwi i błota. Nikt, jak się okazało, nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Po prostu kolejna niedziela w centrum Tbilisi.

Wydobyłem kartę-klucz z za zbiornika, wysrałem się, wykapałem i ogoliłem, następnie z kłębem moich starych ubrań pod pachą poszedłem do pokoju Charliego, aby pozacierać kolejne ślady. Posługując się hotelowymi zapalnikami, spaliłem wydobytą z kamery taśmę, popiół splukałem w toalecie. Komórki, wytarte z odcisków palców, trafiły pod mój miłościwy obcas. Przybyliśmy czyściutcy do kraju, i równie czyściutcy go opuścimy.

204

Taśmę nagrań w Marnocie zachowaliśmy, była zbyt cenna. Między nami a Brisbane rozciągało się prawdopodobnie jeszcze morze gówna, toteż każda rzecz, która dawała nam siłę przetargową była na wagę złota.

Po śniadaniu zjedzonym w pokoju, które zadowoliloby kilka koni Charliego, wyrzuciliśmy ubrania oraz resztki kamery do śmietnika przy hotelowej kuchni na zapleczu. Taśmę z nagraniem miałem w moich

nowych, granatowych spodniach firmy Rohan, pierwsze dziesięć stron dokumentu Baza, wetknięte między strony z jakiegoś czasopisma, spoczywało w kieszeni mojej nowej kurtki khaki. Drugą połowę miał Charlie, czekający teraz w terminalu. Gdy przyjdzie czas odlotu, miał pojawić się na zewnątrz i kupić coś w sklepie. To będzie dla mnie znak, że mam wejść za nim do środka.

Szkoda mi było tego starego pierdoły. Kiedyś taki silny i pewny siebie, świetny fachowiec, człowiek, na którym można było polegać, a teraz tak załatwiony tą chorobą, że dłonie jego nie były w stanie mocno utrzymać czegokolwiek dłużej niż przez pięć minut. Mogłem sobie jedynie wyobrazić jego frustrację. Podobnie jak Muhamed Ali - w jednej chwili król świata, w następnej - jak szmata. Charlie jednak nie miał, w odróżnieniu od Alego, pełnego portfela, aby sobie dalej radzić.

O tym portfelu myślałem dużo już od samego rana. Może jednak trzeba było ubić interes na tych papierach, zamiast trzymać je jako ubezpieczenie?

Czułem, że zadzwonię z Wiednia do Stukniętego Dave'a. Namówię go, aby skontaktował nas z tymi, którzy tę robotę narai-li i dam im szansę odkupienia papierów za sumę brakującą do 200 000 zielonych.

W nagrodę powstrzymam się od chęci oberwania im łbów za to, że nie napomknęli o tym, że znajdziemy się pod jednym dachem z dwoma walniętymi złodziejami biżuterii, tudzież że na cmentarzu spotkamy wymachującego maczetą bliskiego kuzyna Hulka. Zatrzymamy sobie dwie taśmy z Podgolonym oraz kopię doku-

205

mentów jako pamiątkę z Gruzji, na wypadek gdyby tym panom się coś później odwiedziało i nagle zdecydowali się na przysporzenie nam bólu i

kłopotu, odpowiadającego wartości 200 tysięcy.

Co do Podgolonego nie miałem specjalnych złudzeń. Podobnie jak my, był spisany na straty; i załatwiliby go pewnie z taką łatwością, z jaką zamierzali załatwić Charliego. My przynajmniej mieliśmy w rękawie coś, czego z pewnością nie chciał zobaczyć w formie lektury dla całej rodziny w niedzielnej gazecie.

Zdałem sobie nagle sprawę, że po raz pierwszy w życiu nie zależy mi na forsie. Rzecz jasna, forsa była potrzebna dla Charliego i Hazel, nie podobało mi się również, że ktoś mnie rolował, ale to raczej wszystko. Tak naprawdę najbardziej chciałem teraz zadzwonić do Silky. Chciałem usłyszeć ponownie jej głos.

Niespecjalnie jednak miałem ochotę na wyjaśnianie obu paniom, że do domu wracamy przez Hereford - ponieważ musimy odwiedzić tam starego znajomego, i dlatego spóźnimy się o dzień lub dwa - toteż pozostawiłem tę rozmowę Charliemu.

## 2

Gdy po raz kolejny spojrzałem na zegarek, była 11:05. Siedziałem nad espresso gęstając smoła, patrząc, jak w telewizji gruziński kucharz wyczynia coś interesującego z cebulą i kawałkami wołowej połówki.

Opóźnienie zaczynało mnie niepokoić. Jak tylko znajdą audi Baza z prezentem w bagażniku, w jego domu zarozi się od policji, która będzie próbować dojść, w jaki to znów sposób Święty Mikołaj go dostarczył. Równie dobrze ktoś inny niż policja mógł znaleźć samochód, wszystko jedno, i tak będzie koszmar. Jeśli były jakieś nagrania telewizji

przemysłowej, prędko staliby skupieni wokół monitorów, obserwując zapierduchę na podwórzu.

Zostawiłem jakieś DNA na cmentarzu? Niby za późno się o to martwić, ale jednak się trochę martwiłem.

Adrenalina i kawa robiły swoje. W ciele czułem wzrastające napięcie. Ale przynajmniej ból grdyki łagodniał.

Pociągnąłem kolejnego łyka mojej smoły, starając się wyglądać na kompletnie znudzonego, ale co tu mówić - nie przychodziło mi to łatwo z napuchniętym językiem. Bolało, Cholerka. Wcale bym nie odmówił teraz okładów z octu i soli. Jak na razie, odwołano pięć lotów. Słyszałem od czasu do czasu jakieś rozmowy po angielsku i amerykańsku, rzadziej po francusku i niemiecku, większość jednak mówiła po rosyjsku i gruzińsku.

207

Terenowy wóz marki Land Rover 110 typu Defender nadal stał zaparkowany pod terminalem, albo miał kogoś odebrać, albo czekał, aż jego pasażer wsiądzie w końcu do samolotu; miałem szczerą nadzieję, że kierowca wzięł ze sobą termos i gazetę.

Z terminalu wyszło dwóch mężczyzn, ciągnąc za sobą walizki i ruszyło w stronę bud sprzedawców. Nosili ubiór pierwszej pięćdziesiątki (albo coś takiego) wyższych menedżerów USA: niebieski blezer, koszula, spodnie od Chinos, buty marki Loafer, całości dopełniała teczka z laptopem. Byli wyraźnie w dobrym humorze, którym chętnie by się dzielili. Wybór padł na paru im podobnych, którzy widząc ich, przeszli błyskawicznie z francuskiego na angielski. „Chłopaki, dobra nowina, lot do Wiednia jest o 12:25. Pora się odprawić”.

Odetchnęli głośno z ulgą i żartując sobie z gruzińskiej nieudolności,

zebrali swoje bagaże i tłumnie ruszyli do terminalu.

Wstałem w momencie, gdy na zewnątrz pojawił się Charlie, z laptopem w torbie na ramieniu. Zobaczył, że jestem gotowy i zawrócił.

Już chciałem iść, ale kątem oka zobaczyłem kawałek najnowszych wiadomości. Po tym, co zobaczyłem, ciało moje stało się nagle tak ciężkie, że musiałem ponownie usiąść.

Ekran wypełnił samochód Baza.

Potem pokazano kadr z kałużą krwi w błocie, zaraz przy bagażniku. Widocznie brakowało w nim kilku gumowych uszczelek.

Reporter o coś zapytał, policjant odpowiedział serią pytań. Dołem ekranu leciał tekst spinaczami, rozumiałem, że było to streszczenie porannych wiadomości z ostatniej chwili.

Kamera zajrzała do wnętrza bagażnika, w którym Hulk leżał skulony jak dziecko, torba z narzędziami leżała nadal wsunięta za jego plecy. Był naprawdę duży; i karnację miał o wiele ciemniejszą od większości autochtonów.

Kamera pokazała z bliska jego rany, załoga ambulansu czekała, aż faceci od patologii pobiorą próbki i poszukają odcisków palców.

208

Jak gdyby nigdy nic pociągnąłem łyk zimnej kawy - nie mogłem po sobie pokazać, jak bardzo zatkało mnie to, co zobaczyłem. Wokół nadal było pełno ludzi oczekujących na samolot, rozmawiali, palili papierosy, nie zwracając na telewizję uwagi.

Próbowałem się uspokoić. W końcu przecież nic się nie stało, za minutę zaczniemy się odprawiać, w ciągu godziny będziemy w powietrzu.

I wtedy serce moje ponownie zaczęło galopować, a powodem tego nie

była jedynie kawa. Pod cmentarzem, z audi za plecami, wypełniającym nadal pół ekranu, reporter podtykał teraz mikrofon pod nos trzem wyrostkom w kolorowych kombinezonach Shella. Wyglądało na to, że dwóch z nich opowiada, co widzieli. Trzeci wyglądał na tak odjechanego, że i tak nie byłby w stanie powiedzieć, czy ktoś rzeczywiście skoczył mu na klatę. Dłonie tych dwóch zataczały kręgi wokół krostowatych, zniszczonych heroiną twarzy; nie chciałem się przed sobą przyznać, ale cholera, wiedziałem przecież, że opisywali mój wygląd.

Ponownie w studio telewizyjnym, prezenterka mówiła teraz przez chwilę, pokazano zdjęcie domu Baza, z tłumem kręcących się wokół niebiesko-białych, oraz zbliżenie na kamery przemysłowe na ścianie.

Parę sekund później pokazano obraz, który zabił wszystkie moje nadzieje na załadowanie się na samolot o 12.25 do Wiednia.

### 3

Była to niewyraźna, biało-czarna, kilkusekundowa sekwencja pokazująca moment, w którym po załatwieniu Czerwonookiego, odwróciłem się w stronę domu.

Pokazano ją ponownie, zatrzymując obraz na mojej twarzy. Był zamazany, ale zrekompensowali to, pokazując teraz podobiznę wykonaną przez rysownika. Mój pierwszy tego typu portret w życiu, a wolałbym jednak, aby go nie zrobiono.

Następne ujęcie pokazywało nas zamaskowanych, gdy ja wsiadałem do samochodu, a Charlie otwierał bramę. Wszystko było więc już oficjalne.

Siedziałem po uszy w gównie. Nieważne, czy mnie, a może Czerwonookiego uznają za zabójcę Baza, może nawet wszystkich nas trzech. Znali oblicze i będą się za nim rozglądać.

Ze spuszczoną twarzą przekroczyłem ulicę i w niekończących się kolejkach wewnątrz terminala odszukałem Charliego. Dałem mu znak, że chcę z nim mówić na osobności. Odszedłem, on podążył za mną.

Ruszyłem w stronę toalet. Stałem przy pisuarze, Charlie zajął miejsce przy sąsiednim. Wszystkie kabiny były otwarte, byliśmy sami.

- Jest już w telewizji. Ty jesteś OK, ale moją twarz mają.

Charlie nie wyglądał na poruszonego.

210

• Co teraz robimy?

• My nie robimy nic, stary. Ty wsiadasz w samolot. Ja nie mogę ryzykować - co będzie, jak mnie namierzą po odprawie? Mają tam przecież telewizory. Lepiej, abym trzymał się ładu. Może spróbuję przedostać się do Turcji samochodem.

Charlie nie wahał się ani przez chwilę.

- Wynajmę samochód. Do granicy dotrzemy przed północą, porzucimy kółka i przejdziemy ją na piechotę. Pestka. Idziemy.

Już odchodził, ale złapałem go za ramię.

- Wcale nie potrzebuję, aby te twoje pierdolone rączki tańcowały teraz po całym kraju. Poza tym i tak wiedzą z nagrań, jak wyglądasz. Za chwilę sprawdzać będą wypożyczalnie samochodów, i już będziesz miał ich na sobie, zanim jeszcze zdążysz otworzyć drzwi. Za ryzykowne. Bierz papiery, wsiadaj w samolot, leć do Stukniętego Dave'a i czekaj. Dam ci znać, jak tylko prze

dostanę się do Turcji i spotkamy się w „H”. Nadal uważam, że jest szansa na wydobyć pozostałych pieniędzy.

Nie słuchał.

- Poczekaj tu - wetknął mi laptopa - włóż tu taśmy i dokument.

Jakby cię zgarnęli, ze mną zostanie przynajmniej coś, co będzie pomocne w wydostaniu cię z tego gówna. Za mną, chłopcze.

Odwrócił się i opuścił toaletę, kierując się do wyjścia z terminalu, a ja zgodnie z jego poleceniem załadowałem wszystko do torby, jak jakiś osobisty sekretarz wykonujący gorliwie polecenia swojego szefa.

Dlaczego choćby raz nie mógł zrobić tego, co mu się mówiło? Zawsze muszę się z nim siłować.

- Kurwa, Charlie, wsiadaj po prostu w samolot. Mam pomysł, jak odzyskać twój szmal, być może nawet pomoże mi to wydobyć się z całego gówna.

Nadal mnie nie słuchał. Wpatrywał się w szklane drzwi wyjściowe.

- Tracimy czas, chłopcze. Na myślenie o pieniądzach będzie pora, gdy się stąd wydostaniemy. Teraz zamknij się i idź za mną.

211

Wyszliśmy przed terminal.

- Poczekaj tutaj.

Charlie ruszył prosto w kierunku młodego faceta w niebieskiej bluzie, siedzącego za kierownicą land rovera 110.

Maszerując w stronę wozu, Charlie przybrał swój poważny, skupiony na zadaniu wyraz twarzy oficera. Kierowca, młody, biały, krótko ostrzyżony chłopak patrzył, jak Charlie podchodzi do jego okna. Na desce rozdzielczej leżał zielony futerał z grubego plastiku. Był to grafik, w

którym notowano godziny i przebyte mile, w poprzek biegł napis „WÓZ DYŻURNY”.

Charlie zastukał w szybę i ruchem ręki wezwał kierowcę do jej opuszczenia.

- Szofer na dyżurze? Odwozicie czy zabieracie?

Charlie mówił tonem, jakby szofer zrobił coś nie tak. Żołnierze lepiej reagują na taki ton głosu, ponieważ w 90 procentach przypadków rzeczywiście coś źle zrobili.

- Odwożę.
- Odwożę, sir!- ryknął Charlie. - Gdzie stacjonujesz, synu? Odwrócił się i skierował palec w moją stronę.

- Stój tam, gdzie stoisz! Nie powiedziałem ci, że masz się gdzieś ruszać. Przynieś mi tutaj torbę.

- Tak jest, sir - skinąłem karnie głową.

- No to jazda, człowieku. Przydajże się w końcu do czegoś. Nawet nie wiem, komu mam ją zdać. Co tu się, kurwa, dzieje w tej armii?!

Podszedłem do niego i podałem mu torbę. Charlie zaczął udawać, że szuka jakiś papierów w bocznej przegródce, po czym zwrócił się ponownie do szofera.

- Z jakiego obozu jesteś?

- Vasiani, sir.

- To jedyny obóz w okolicy? -Tak jest.

- Tam więc jedziemy.

Charlie napadł teraz ponownie na mnie.

- Dlaczego nie zostały mi przesłane instrukcje, gdzie mam się zgłosić?
- Nie wiem, sir - odpowiedziałem - wysłałem e-mail z proś-bą...
- To za mało. - Charlie był w swoim żywiole: - Dlaczego nikt po nas nie wyjechał?
- N... nie wiem, sir.
- Nie wiesz? Ach, doprawdy! - Otworzył tylne drzwi i wrzucił laptopa na siedzenie, po czym pokazał mi palcem.
- Do środka!

Załapałem. Charlie chciał, abym siedział z przodu, ponieważ zabawimy się w małe porwanie.

Gdy wsiadałem do samochodu, Charlie spojrzał krzywo na szofera.

- Daleko?

- Niecała godzina, sir. Ale muszę otrzymać pozwolenie...

Charlie kazał mu się zamknąć.

- Jedź i już. Wszystkie samoloty będą już odlatywać, nikogo nie zostawisz na lodzie. Załatwimy to po drodze. Czy wasi pieprzeni oficerowie nie potrafią nawet zorganizować głupiego odebrania z lotniska?

Charlie wskoczył na tylne siedzenie, szofer sięgał w tym czasie po swój radiotelefon, mały zielony instrument przymocowany na tablicy rozdzielczej.

- Jedź już, nie potrzebuję z nikim rozmawiać - zareagował szybko Charlie - i tak wyraźnie nikt tu nawet nie wie, który jest dziś dzień tygodnia.

Szofer z paniką odwrócił się do Charliego.

- Ale, sir, ja muszę zameldować, kiedy odjeżdżam, i muszę powiedzieć im, że odstawiłem pasażera jak trzeba. Taka jest rutyna.

Nie było siły, aby go powstrzymać, poza tym wszystko musiało wyglądać rutynowo. To w końcu Charlie narzekał na nieudolność. Nie był typem człowiekiem, który łamał stałe rozkazy.

213

- Dobrze więc, zrób to i jedziemy.

Szofer uruchomił sto dziesiątkę i wyjechaliśmy z terenu lotniska. Charlie, czekając aż szofer skończy rozmawiać, mrugnął do mnie porozumiewawczo.,

- Tak jest. Zamówiony był transport dla dwóch naszych. Żadnych papierów?

Wzruszył ramionami na cokolwiek teraz mu mówiono. Charlie klepnął go w ramię.

•Daj mi to.

•Z kim mówię? - zawarczał do mikrofonu. Nastąpiła mała przerwa. -A więc, sierzancie Jay DiRita, nie otrzymałem żadnych instrukcji, co do spotkania, nie mówiąc już o nazwisku osoby, z którą aż z samego Stambułu przyjechałem się spotkać! - Charlie słuchał, co ma mu do powiedzenia DiRita. - Ach, tak? Nie miał pan w grafiku żadnych spotkań na dzisiaj? No to teraz, sierzancie DiRita, pan ma. Zaraz tam będziemy i postaramy się zrobić porządek w tym burdelu.

Oddał zestaw kierowcy i wystawił głowę do okna, dysząc.

Patrzyłem na rzędy kolorowych jak papuga domów po obu stronach dwupasmówki, mając nadzieję, że wkrótce zaczną się jakieś chaszczce i

będziemy mogli, pozbywszy się szofera, ruszyć w stronę granicy.

Poszukałem wzrokiem wokół tablicy rozdzielczej.

- Masz jakąś mapę?

**4**

Jechaliśmy dalej w stronę miasta. Od czasu do czasu rzucałem okiem na pstrokate bloki, szofer całą swoją uwagę skoncentrował najeździe, mając nadzieję, że uniknie w ten sposób kontaktu wzrokowego z potworem na tylnym siedzeniu.

Mapa, którą mi wręczył, nie była niczym więcej jak komercyjną mapą dla turystów, na której zaznaczone były jedynie główne miasta i drogi, ale przynajmniej widać na niej było region Vasiani, jakieś 30 kilometrów na północnywschód od miasta. Wyglądało na to, że pojedziemy na prawo, ominiemy Tbilisi, a potem w górę mapy do obozu.

- Nie masz lepszej mapy? Lubię wiedzieć, gdzie jestem.

Szofer nie oderwał wzroku od drogi.

- Niestety, sir. Tym samochodem i tak jeździ się tylko na lot nisko i z powrotem, a znalazłszy się już na drodze, nie ma się specjalnego wyboru.

Skręcił w prawo w jednopasmówkę. Papuzi kraj został za nami. Po około trzech kilometrach dotarliśmy do podnóża gór i zaczęliśmy wspinać się pod czerniejące ponownie od deszczowych chmur niebo.

Zjeżdżając po drugiej stronie łańcucha gór, zobaczyłem przed sobą światła hamujących samochodów. Kilka samochodów przed nami zwalniało. Szofer zmienił biegi i już po chwili posuwaliśmy się w tempie

piechura.

215

Ze sto metrów przed nami po obu stronach drogi ustawiono stosy szarych worków z piaskiem, a między nimi duże bloki cementu, aby ograniczyć w celu kontroli ruch.

Usłyszałem jak Charlie przesuwają się na fotelu i wiedziałem, że zobaczył to również. Podobne myśli musiały przebiegać nam po głowie: czy będą sprawdzać paszporty i dowody tożsamości. A jeśli nawet nie, czy oglądali już wiadomości?

Wychylił się, aby dać szoferowi kolejny opieprz.

- Po co ta kontrola? Musimy się zatrzymywać?
- Tak jest, sir. Takie punkty kontrolne są na wszystkich drogach prowadzących do miasta.

Po drugiej stronie punktu kontrolnego stał zardzewiały autokar, uginający się pod stertą tobołów umocowanych na dachu, za nim stała niecierpliwa kolejka pojazdów, podczas gdy żołnierze, w kamizelkach kuloodpornych i z karabinami, sprawdzali pasażerów.

Charlie podał mi torbę z laptopem.

- Zajmij się tym, nie mogę tego włączyć.
- Tak jest, sir - wziąłem torbę i opuściłem głowę. Pobawiłem się w otwieranie i szarpanie się z przyciskiem zasilania, w końcu ekran zamigotał.

Nasz samochód był trzeci w kolejce. Gruziński żołnierz z przewieszonym przez ramię karabinem zmierzał ku nam od strony kierowcy. Po mojej stronie drogi zbierała się w *cieniu* bJokady grupka jego kolegów.

- Mogę prosić panów o dokumenty? Będą je chcieć razem z moimi papierami.
- Niesłychane - prychnął Charlie - jesteśmy tutaj, aby tym ludziom pomóc, a oni tylko wszystko utrudniają. Czy my naprawdę wyglądamy jak jacyś krwiożerczy bojowcy?

Żołnierz podszedł do samochodu przed nami. Nachylił się, rozmawiając z kierowcą, który już trzymał w rękach jakieś dokumenty. Porozmawiali chwilę, żołnierz wskazawszy na niebo

216

wzdrygnął się, narzekając zapewne na pogodę. Zrobił krok w tył i zamachał do kierowcy, aby jechał dalej, po czym ruszył ku nam.

Pochyliłem się jeszcze bardziej nad laptopem, udając całkowite zaabsorbowanie.

-Sir, poproszę...

- Kurwa - Charlie wyskoczył z wozu, wyprężony, z napiętymi barkami.
  - Ty, tutaj! - wysunął szczęki w stronę Gruzina - baczność, człowieku!
- Pewne rozkazy są rozumiane bez względu na język, w którym są wydane. Żołnierz stanął w pozycji baczność.

- Dlaczego nas tu przetrzymujecie? Myślicie, że mamy za dużo czasu? - Charlie najeżdżał na żołnierza porządnie, lustrował go wzrokiem od stóp do głów, a ten młody chłopak poczuł się pewnie jakby znowu znalazł się na przeglądzie wojska.
- Sir, *on* nie rozumie - szofer już wysiadał z wozu - *może ja...* - starając się uspokoić wściekłego oficera, wymieniał z żołnierzem porozumiewawcze spojrzenia.

- A co to jest? - Charlie szarpnął nie zapiętą klapę kieszeni na mapę w spodniach Gruzina - doprowadzić się do porządku! I to już, żołnierzu! Guziki są w jakimś celu, prawda? Nie dla dekoracji!

Gdy Charlie wsiadał ponownie do wozu, ja wstrzymywałem oddech, wydawało mi się, że nieco przesadził z odgrywaniem scenki z „Żołnierzy kosmosu”.

Wojak zawahał się na moment, pod jego słowiańską czaszką zakłębiło się od czarnych myśli. Następnie sięgnął i zapiął kieszeń spodni. Drugi żołnierz trzymał się od wszystkiego z daleka.

- Ruszajmy.

Szofer sięgnął po teczkę, leżącą na tablicy rozdzielczej. Ja zaś całkowicie pochłonięty byłem komputerem.

Szofer opuścił szybę w oknie i podał żołnierzowi dokumenty, a Charlie walnął mnie w plecy, abym sobie nie myślał, że opieprz jest tylko dla innych. Pokiwałem pokornie głową i uderzyłem

217

w kolejne klawisze, a potem wzniosłem oczy ku niebu, szukając tam zbawienia. Gruzin szybko otworzył teczkę i sprawdził jej zawartość.

Charlie był niemiłosierny.

- No co jest? Zabierajmy się!

Ten młody chłopak nie zamierzał za żadną cenę prowokować kolejnego wybuchu złości Charliego. Naskrobał coś w papierach, po czym wręczył szoferowi swoją tekturową podkładkę, aby ten złożył tam i swój podpis, i niemal tym samym ruchem zamachał, abyśmy jechali dalej.

Minęliśmy betonową blokadę i zrównaliśmy się z autobusem. Szofer wyglądał na zaniepokojonego moimi popisami na komputerze, wcale mu

się nie dziwiłem, szczególnie, gdy zapakowałem laptopa i oddałem go Charliemu.

- Myślę, że wszystko jest w porządku, sir. - Zerkając na szofera, wywróciłem oczami - „oficerowie, co?”

Szofer włączył krótkofalówkę.

- Halo, wóz dyżurny minął punkt kontrolny Alfa. Odbiór. - Zameldował.
- Wóz dyżurny, zrozumiano. Punkt Alfa. Koniec.

Charlie siedział i gotował się nadal ze złości. Czułem niemal na karku jej gorący powiew, szofer musiał czuć to samo. Postanowiłem zasięgnąć trochę języka.

- Co za upierdliwość... Przez ile takich kontroli musisz przebrnąć?
- Przez jedną, sir - w głosie brzmiała ulga.

Doprawdy nie marzyła mu się żadna powtórka występu Charliego. Wjechaliśmy w przestronną dolinę, poprzecinaną siecią rzek i potoków, z przynajmniej dziesięciokilometrowym pasem wzniesienia przed następnym pasmem gór. Wielka, pokryta lasami kraina, istna Szwajcaria, choć bez krów.

Mimo że wydostaliśmy się już z rejonu Tbilisi, nie będzie nam jednak łatwo uprowadzić ten wóz. Ruch kołowy nie był już tak liczny jak w mieście, ale drogi zalane były nieustannym strumie-

218

niem wojskowych ciężarówek, pełnych znudzonych gruzińskich żołnierzy, kiwających się w takt jazdy oraz przeładowanych autokarów z uginającymi się pod różnorodnym dobytkiem dachami, kursujących od miasta do miasta, które zwalniały jedynie, gdy musiały się wyminąć na

wąskich odcinkach popękanego asfaltu. Właśnie minęliśmy kolejny jadący do miasta, po czym zjechaliśmy w dwustumetrową nieckę. Nie byliśmy dla nikogo widoczni. Miejsce było więc odpowiednie.

- Muszę się odlać - uniosłem rękę.

Szofer zwolnił natychmiast i zatrzymał wóz na trawiastym poboczu.

Wysiadłem i obszedłem przód pojazdu, aby znaleźć się po stronie kierowcy, zanim pójdę na tył i zajmę się sprawą. Charlie także wysiadł, aby rozprostować kości. Podszedł do kratki chłodnicy i udał, że coś zauważył. Wskazał palcem w miejsce pod maską i spojrzał na kierowcę.

- Co to jest? Szofer, chodź no tu!

Żołnierz wyskoczył grzecznie z wozu i podszedł do Charliego. Wykonałem zwrot i poszedłem o dwa kroki za nim. Charlie wydał wargi.

- Kto jest odpowiedzialny za ten pojazd? Zobacz, w jakim jest stanie.

Szofer spojrzał, ale nic nieprawidłowego nie zauważył.

- Ale, sir, ja nie mogę...

Łapiąc go oburącz za usta i szczękę, wskoczyłem mu na plecy..

Pociągnąłem jego głowę ku swoim piersiom, zarzuciłem mu obie nogi wokół pasa i przewróciłem do tyłu.

**5**

Wylądowałem na trawie, z kierowcą na wierzchu, i wsadziłem swoje nogi między jego. Przez sekundę chłopak nie stawiał oporu, po czym zaczął wierzgać i machać rękami.

- W porządku, mały, wszystko jest w porządku - powiedział

Charlie.

Przycisnąłem go do siebie bardziej i mocniej zwarłem uścisk nogami.

- Nie zrobimy ci krzywdy. Uspokój się tylko, no już, spokój  
nie...

Charlie nachylił się nad nim i uniósł palec do góry, jakby karmił małe dziecko.

- Daj spokój, synu, nie bój się. Nie będzie boleć.

W odpowiedzi chłopak szarpnął się tylko i wykręcił bardziej, wzmocniłem więc uścisk.

Charlie przeszukał mu kieszenie, wyrzucając ich zawartość na trawę. Szukał komórki. Jeśli szofer miał takową, trzeba będzie ją porzucić, gdy tylko ruszymy ponownie. Nie było sensu ostrzegać telefonicznie Stukniętego Dave'a, że ma do wyjaśnienia parę spraw, nie było też sensu brać jej ze sobą, skoro mogła być namierzona.

Charlie cofnął się o krok.

- Nie, nie ma żadnej.

220

Chłopak oddychał teraz nieco spokojniej. Kierując ponownie ku niemu palec, Charlie uderzył teraz w niemal przepaszający ton.

- Słuchaj, synu, weźmiemy teraz wóz i zostawimy cię tutaj.

Wiem, że nie tak wyobrażałeś sobie spędzić ten dzień, ale musisz się z tym po prostu pogodzić. Jeśli zaczniesz próbować ja kiś wygłupów, będziemy zmuszeni ci lekko przyłożyć i wziąć ze sobą. Jak będziesz grzeczny, puścimy cię wolno. To chyba nie jest skomplikowane, prawda?

Skinął głową, ile mógł, głowę miał nadal ściśniętą moim ramieniem.

- Puszczę cię teraz - powiedziałem - chcę, abyś się odtoczył i zaczął iść. To wszystko. Kapujesz?

Zwalniając nieco oddech, wykonał coś na podobieństwo skinięcia głowy.

- OK, puszczam.

Zwolniłem uścisk, odplątałem nogi, a on zrobił dokładnie, co mu kazano.

Charlie śledził go wzrokiem, podczas gdy ja, stanąwszy na nogi, podszedłem do drzwi kierowcy.

- Tak, dobrze, synu, idź sobie po prostu.

Charlie wskoczył na tylny fotel, a jak włączyłem radio. Chcę wiedzieć, czy zaczną coś o nas gadać.

Paliwa było pod dostatkiem. Bak był wypełniony w trzech czwartych, nie było co spodziewać się niczego innego - dyżurne wozy były po każdym wyjeździe zawsze doprowadzane do porządku, tak aby były gotowe do następnego.

Zerknąłem za siebie. Charlie trzymał torbę z laptopem na kolanach.

- Po twardym czy na przełaj? - rzuciłem mu mapę.
- Wszystko na niej, kurwa, jest- studiował ją przez kilka chwil i potrząsnął głową - zdaje się, że jesteśmy skazani na tę drogę, chyba że pojawi się jakaś mniejsza, której nie chciało im się umieszczać na mapie.

221

- Ta prowadzi prosto przez Vasiani...

Charlie jeszcze raz przyjrzał się mapie.

- Być może, ale jeśli je minimy, możemy przebić się jakoś

wokół miasta i potem jechać na południe.

Przyjrzał się okolicy przed i za nami.

- Albo zawrócimy, i pojedziemy na przełaj, ominiemy punkt kontrolny i wskoczmy ponownie na drogę na południe. Przez miasto jechać nie możemy. Gdy tylko kierowcy uda się wszczać alarm, z łatwością nas tam namierzą. Będzie przecież próbował zatrzymać jakiś samochód.

Charlie zamilkł na chwilę.

- Co uważasz? Warto?

Jechaliśmy jeszcze przez pięć minut, tak aby upewnić się, że szofer nas nie zobaczy, po czym włączyłem napęd na cztery koła i skręciłem z drogi w lewo. Gdy nie byliśmy już z niej widoczni, zawróciłem i ruszyłem równoległe do drogi z punktem kontrolnym.

Wóz podskakiwał i ślizgał się po miękkim podłożu. Dni intensywnego deszczu nasączyły i rozluźniły glebę. Nie było to dla nas wcale idealne - czasu mieliśmy mało, za najwyżej dwie godziny szofer dotrze z powrotem do punktu kontrolnego i uderzy na alarm i wtedy wszyscy będą szukać tego dżipa - ale wyboru specjalnie nie mieliśmy.

Jak utkniemy w błocie, będziemy musieli po prostu cholernika odgrzebać. Dobrze, że przynajmniej nie wylądowaliśmy na bardziej stromym terenie. Kombinacja ulewnych deszczy, stromych zboczy oraz gleby luźnej na tyle, że może przewyciężyć grawitację, to cały przepis na osunięcie się ziemi.

Znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku i skręciliśmy w lewo, ale powodów do radości nie było. Po pierwsze, pogorszyły się warunki jazdy. Między koła wsysało się gęste błoto, grzęźliśmy prawie do osi. Zerknąłem na Baby-G, potem na tablicę rozdzielczą. Przez ponad trzydzieści minut

zrobiliśmy zaledwie parę kilometrów.

222

- Tak nie idzie, stary - odwróciłem się do Charliego - w takim tempie nie znajdziemy się nawet za punktem kontrolnym, gdy będą już zaalarmowani. Chłopak, jeśli złapał okazję, pewnie tam już dotarł.
- Nic się nie zmieniło, chłopcze. Jak zawrócimy na drogę, mamy przechlapane.

Złapałem za mapę i znalazłem na niej drogę omijającą miasto od północy, w razie gdyby dało się pojechać na zachód i odbić w lewo do Turcji. Szukałem również stacji benzynowych, ale chyba nie były zaznaczone.

- To lepsze niż utknięcie tutaj; przynajmniej się oddalimy. To jest to, czego nam trzeba, chłopie. Co więc powiesz na taki sposób redukcji strat?

6

Zatrzymałem się zaraz przed grzbietem wzgórza, Charlie wysiadł.

Wgramolił się na górę, aby sprawdzić teren przed nami, gdy zbliżał się do grzbietu, opadł na czworaki i ostatnie metry pokonał, czołgając się. Nie chcieliśmy ryzykować pojawienia się na szczycie i odkrycia, że dokładnie naprzeciwko czekają już nasi starzy kumple od zasieków na drodze.

Dał mi znak, bym jechał, wskoczył do samochodu, gdy się z nim zrównałem. Wychylił się przez przestrzeń między przednimi fotelami.

- Droga jest dwieście metrów od grzbietu, niemożliwe, żeby

śmy minęli kontrolę.

Windowałem wóz w górę.

- Tak czy owak, wkrótce się okaże. Pieprzyć to.

Przychodzi taki czas, gdy musisz po prostu zaakceptować fakt, że kończą ci się opcje i pozostaje jedynie działać.

Dotarliśmy do drogi i skręciliśmy w lewo, przestawiłem sto dziesiątkę na napęd na dwa koła, aby oszczędzać paliwo.

Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy dostrzeżliśmy przed sobą naszego szofera. Zobaczył wóz i zaczął machać ręką.

Charlie zaśmiał się.

224

- Założę się, że zmieni zamiar, gdy zobaczy, kogo chce zatrzymać.

Miał rację. Gdy zbliżyliśmy się, chłopak skulił się i czmychnął między drzewa.

Po kwadransie musieliśmy zwolnić, aby przepuścić nadjeżdżającą ciężarówkę, przeładowaną rzepą. Gdy mijaliśmy się, manewrując, kilka rzep spadło z niej i odbiło się o nasz samochód. Dotarliśmy na szczyt kolejnego wzniesienia i przed nami otwarła się ponownie przestrzeń, na której nie będzie nas widać. W oddali, około kilometra w bok od drogi i wzdłuż innej, wyglądającej na świeżo wyżwirowaną, widać było obóz. Był wielkości małego miasta.

Tuzin zielonych dwudziestoosobowych namiotów wojskowych stał przepisowo w równiutkich rzędach wzdłuż budynków wyglądających na odgrodzone łańcuchem. Na prawo od nich widniała gmatwanina mobilnych baraków z talerzami anten satelitarnych na dachach. Baraki

połączono ze sobą albo nad ziemią, albo za pomocą wybetonowanych ścieżek.

Nieopodal płyty do lądowania stało w równym rzędzie pięć albo sześć śmigłowców Huey.

Za rozjazdem, o może trzy kilometry dalej od głównej drogi, na wzniesieniu, widniał drugi obóz.

Charlie pochylił się ponownie w moją stronę.

- Przekleństwo, toż to cała armia! Nie mylił się.
- Masz jakiś pomysł? Potrząsnął przecząco głową.

- Musimy jechać dalej, innej drogi nie ma. W końcu jedziemy wojskowym pojazdem, prawda? Miejmy po prostu nadzieję, że szofer nie dotarł jeszcze do punktu kontrolnego i gdy będziemy ich mijać, kiwną nam tylko głową.

Mijając pierwszy skręt do pierwszego obozu, dodałem gazu. Droga tam była solidna, kilometr dalej widniała brama z powiewającymi ramię w ramię wielkimi flagami - gruzińską i amerykańską.

225

Na polu po jednej stronie naszej trasy działo się dużo. Program Partnerstwa dla Pokoju znajdował się w szczytowej fazie aktywności. Amerykańscy instruktorzy w zielonych podkoszulkach oraz spodniach moro, jakie nosi amerykański Korpus Piechoty Morskiej, przeganiali po nim oddziały gruzińskie. Wyglądali, jakby świetnie się bawili, dając wycisk radosnym rekrutom z telewizyjnej reklamy, inni zaś ustawiali piechotę w trójkątne formacje. Nikt nie zwrócił na nas specjalnej uwagi. Na razie.

Sto dziesiątka zaczęła podrygiwać z łomotem, gdy za rozjazdem

nawierzchnia drogi wyraźnie się pogorszyła. Przycisnąłem pedał do dechy i zaczęliśmy wspinać się pod górę. Wkrótce musiałem wrzucić trzeci bieg. Nastrój zaczął mi się polepszać.

„Halo, wóz dyżurny, wóz dyżurny. To wy tam na wzgórzu? Proszę o raport. Odbiór”.

Spojrzałem na radio, potem na Charliego. Wzruszył ramionami. Ktoś, kto nie miał nic lepszego do roboty, obserwował nas przez lornetkę. I co z tego?

Wrzuciłem drugi bieg, aby nabrać przyśpieszenia przy mijaniu drugiego obozu na wzgórzu, w razie gdyby otrzymano tam instrukcje, by nas zatrzymać.

„Wóz służbowy, nie jedź dalej, powtarzam, nie jechać dalej. Zawróć na miejsce. Odbiór”.

Może potrzebowali samochód, aby pojechać po kanapki dla dowódcy?

Ponownie zignorowaliśmy polecenie. Pedał gazu sięgał podłogi. Silnik wył, byliśmy w drodze na sam szczyt.

„Nie przekraczać linii demarkacyjnej, jej przekroczenie jest złamaniem stałego rozkazu, powtarzam, wracaj na miejsce. Odbiór”.

- Linia demarkacyjna? - Głowa Charliego zrównała się z moją, gdy ten również patrzył na wzgórze. - Czy znaleźliśmy się w miejscu, o które trwa jakaś unijna kłótnia?

- Na to wygląda. - Ruchem głowy wskazałem w lewo, w kierunku flag powiewających nad bramą obozu, odleciała teraz od nas o jakieś 150 metrów. Flagi te w żaden sposób nie były podobne ani do Gwiazdzistego Sztandaru ani do flagi Ryszarda Lwie Serce - równoległe pasy białego, niebieskiego i czerwonego to flaga Federacji Rosyjskiej.

Głowa Charliego opadła na poziom mojego prawego ramienia.

- Pieprzyć to, jedziemy dalej. Ryzyk-fizyk. Zdążymy przecież jeszcze narozrabiać bardziej.

Zrównywaliśmy się z poziomem bramy. Wzdłuż niekończących się rzędów namiotów i pojazdów kłębił się chaotycznie tłum mundurowych. Wyglądało, jakby gotowali się do akcji.

Przy bramie zrobił się niezły ruch. Zwolniłem w momencie, gdy uzbrojeni ludzie wylegli na drogę. Będą ją blokować? Radio zagadało do nas ponownie. „Wóz dyżurny, proszę o raport o sytuacji. Odbiór”. Nie spuszczałem wzroku z mundurowych przede mną. Wyraźnie musieli ubierać się w pośpiechu, niektórzy mieli niedopięte kurtki, inni byli bez hełmów. Wszyscy jednak mieli karabiny maszynowe. Przejechać jednego, a otworzą ogień.

- Nie zatrzymam się, będę jechał dalej, ale bardzo wolno.

Chcesz tak?

Spojrzałem w lusterku na Charliego. Machnął ręką.

- To kim chcesz być, Buchem czy Sundance'em?

**7**

Znajdowaliśmy się na wysokości bramy, prędkościomierz dochodził do dwudziestki. Nikt na drodze nie wiedział chyba, co ma robić. Pewnie wszyscy wykrzykiwali po rosyjsku „co, do cholery, robi tu angielska sto dziesiątka?”. Na szczęście nikt nie trzymał w pogotowiu karabinu.

Charlie zaczął do nich machać ręką.

- Jak idzie, chłopaki?

Wgapili się w nas, po czym kilku młodszych uśmiechnęło się i nam odmachowało. Ich dowódca krzyknął coś ze złością, próbując zaprowadzić jakiś porządek.

Przetoczyliśmy się wolno, Księżę Karol na tylnym siedzeniu nadal odstawał swoje pozdrawianie ludu. Nadal nikt nas nie zaatakował.

Zatrzeszczało radio: „Wóz dyżurny, zawracaj, zawracaj. Nie zatrzymuj się, nie rób nic, co by mogło być odebrane jako zachowanie agresywne. W wypadku zatrzymania, rób, co ci każą”.

- Zamknij się, cipo. - Rzekł Charlie, uśmiechając się szeroko do swoich nowych poddanych.

Wyłączyłem radio.

Chwilę potem było już po wszystkim. Oczekiwałem strzałów, ale nie nastąpiły. Zjeżdżaliśmy wolno w dół, już poza polem widzenia z obozu amerykańskiego.

228

Ogrodzenie się skończyło. Charlie odwrócił się i spojrzał do tyłu.

-Nadal nikt nas nie goni. Jedziemy dalej, dodaj gazu.

W tej kwestii absolutnie nie zamierzałem się z nim spierać. Przez następne pół godziny nie zobaczyliśmy ani jednego zjazdu w bok, nie było żadnych punktów kontrolnych, jedynie pagórkowata zieleń, po lewej las, po prawej dolina. Silnik terkotał, tam gdzie nawierzchnia na to pozwalała, osiągnęliśmy 90 km na godzinę.

Teraz szofer musiał już dotrzeć do punktu kontrolnego. I co z tego? Byliśmy już daleko. Gdzieś za horyzontem czekał na nas kolejny punkt kontrolny „Witamy w Tbilisi”, którego obsługę aż świerbiło, aby nas zatrzymać, ale to będzie nasz następny kłopot. Na razie byłem z siebie

całkiem zadowolony.

I wtedy usłyszałem coś tak znajomego, że siadło mi serce. Spojrzałem na Charliego i po jego minie zorientowałem się, że słuch mnie nie mylił.

Charlie opuścił szybę. Dźwięk stał się głośniejszy i nie było już wątpliwości. Równomierny łomot ciężkich śmigieł przecinających powietrze. Rurociąg musiał być w jakiś sposób ochraniający: jasne, że mieli w pogotowiu siły szybkiego reagowania. Życzyłem sobie tylko, aby nie brali sobie zbyt do serca owego „szybko”.

Charlie wychylał się na wszystkie strony, próbując zlokalizować, skąd dochodził dźwięk. I ja wychyliłem się nad kierownicą, wlepiając oczy w ciągle puste niebo.

Jednostajny łomot zrównał się z nami i Huey pojawił się jakby znikąd po prawej stronie, o kilka metrów dalej.

Dwie sekundy później był już nad nami, sto dziesiątka stanęła prawie w miejscu pod ciśnieniem opływu ze śmigieł. Pilota widziałem wyraźnie. Drzwi po obu stronach były odsunięte, widać w nich było pełno sylwetek w ciemnozielonych mundurach polowych oraz parę w mundurach moro piechoty morskiej. Ze skierowaną ku nam bronią, machali do nas zawzięcie, gestami nakazując nam zatrzymanie się.

229

A, takiego! Będą musieli chyba wylądować mi na dachu, wtedy może się zatrzymam. Cisnąłem nadal pedał gazu.

Huey uniósł się wyżej przed nami i zniknął nam z pola widzenia.

Chwilę później za nami załomotały inne śmigła. Charlie odchylił się do tyłu.

- Idzie na nas, cholera, i to nisko!

Drugi Huey przeleciał dosłownie o niecałe pół metra nad nami i poleciał dalej wzdłuż drogi. Widziałem buty żołnierzy oparte na płozach i wystające z otworu drzwi końcówki karabinów. Sto dziesiątka zadygotała gwałtownie. Może naprawdę próbowali usiąść nam na dachu.

Charlie przeszukiwał wzrokiem niebo.

- Gdzie podział się ten pierwszy? Chuj wie, ale teraz ten drugi ma na nas ochotę. Popatrz.

Śmigłowiec wychynął 200 metrów przed nami i wznosząc się, zawrócił, zwracając się w naszą stronę. Płozy odbiły się od ziemi i żołnierze zaczęli wskakiwać w chmurę wyrzucanych przezeń spalin.

Po prawej stronie usłyszałem zbliżający się drugi śmigłowiec. Pierwszy Huey zrównał się prawie z samochodem, po czym odleciał, aby zająć pozycję za nami. Wysadzi żołnierzy, którzy odetną nam odwrót.

Pieprzę to! Skręciłem ostro w lewo i ruszyłem po nierównym terenie w kierunku lasu. Tyłu ich nie było, aby nas tam znaleźli.

Pierwszy Huey natychmiast zawrócił ku nam i nurkując niczym sokół za pełną myszą, zawisł niespełna metr nad nami. Z jego wnętrza wychylił się żołnierz w moro i trzymając się jedną ręką obramowania drzwi, postawił stopy na płozie. Spojrzał na mnie, potrząsnął wolno głową i palcem wskazującym drugiej ręki przeciągnął powoli w poprzek gardła.

- Olej go, nie zatrzymuj się, już prawie jesteśmy.

Pozostało nam jeszcze około 300 metrów. Wóz trząsał się na wybojach tak, że raz po raz waliłem głową w sufit, podrygiwał i przechylał się niebezpiecznie.

Śmigłowiec wyprzedził nas i wylądował. Wskoczyli z niego kolejni żołnierze i zajęli pozycje strzeleckie między nami a lasem.

Wykręciłem koła do połowy w prawo. Jeszcze 200 metrów i będziemy bezpieczni.

Drugi Huey zebrał swoich ludzi z drogi i ponownie przyłączył się do zabawy, biorąc nas od prawej strony.

- Idzie całkiem nisko...

Charlie komentował na bieżąco, a ja skupiałem się najeździe. Napęd nadal był na dwa koła, nie zamierzałem jednak tracić tempa, aby przestawić go na cztery.

- Mają kolczatki!

Cisnąc mocno stopą pedał gazu, wychyliłem się ponad kierownicę i pogałem sto dziesiątkę ku osłonie z drzew. Tył wozu uniósł się momentalnie w górę, a tylne koła kręciły się z cienkim piskiem, jak łopaty silnika wyjętego z wody. Musimy przebrnąć przez kolczatkę.

Drugi Huey znalazł się teraz nad nami i siła opływu rzucała wozem na boki. Wysunął się nieco do przodu. Ponownie jakiś nakrapiany mundur zsunął się na płożę, z jego ręki kołysząc się zwisał ku ziemi dziesięciometrowy pas nadziany kolcami rozchodzącymi się w trzy strony.

Skręciłem ponownie w prawo, równając się z linią lasu. Jeszcze ponad sto.

Charlie wyciągnął taśmę oraz dokumenty z torby i gotował się do ucieczki.

- Drugi śmigłowiec jest już w górze, będzie tu lada moment.

Gazu!

Szpikulce były już jedynie o metry przed nami, dyndając od lewej do prawej.

- Czekał... czekaj... mają nas!

Gwoździe trafiły, opony strzeliły niemal w tym samym momencie.

8

Na parę sekund kierownica zawibrowała gwałtownie w moich rękach, następnie samochód po prostu stanął. Z pustymi oponami, koła wryły się w błoto, i już.

Mieliśmy teraz na karku oba śmigłowce. Żołnierze wyskakiwali z nich o jedyne parę metrów od nas, z bronią gotową do strzału. Jedni zachowywali się nieco niepewnie, inni chętnie by nas poćwiartowali.

Bardzo wolno podniosłem ręce do góry i położyłem je na tablicy rozdzielczej, aby były dobrze widoczne.

Murzyn w mundurze moro, z dwoma belkami na klapach, ustawił się na wprost i przekrzykując śmigłowce, rozkazał:

-Wysiadać! Wysiadać!

Nie okazaliśmy sprzeciwu.

Zaroilo się od małych Gruzinów, którzy rzucili nas na ziemię. Przeszukali nas, wywracając kieszenie na drugą stronę i zadzierając nam kurtki.

Podczas gdy zostałem przewrócony na plecy i przeszukiwanie trwało dalej, jeden ze śmigłowców wystartował ponownie i zawisł nad sto dziesiątką, spod jego brzucha wysunęła się lina, na jej końcu wisiał kłęb szerokich nylonowych pasów.

Strumień opływu był silny, nasycony odorem paliwa lotniczego.

232

Twarz miałem umorusaną ziemią, pyłem i deszczem, który zmoczył

trawę.

Przez te gwoździe sto dziesiątka nigdzie bez pomocy się nie ruszy, chyba że nasi dzielni wojacy chcieliby ryzykować kolejny incydent międzynarodowy z udziałem Rosjan. Gruzini uwijali się teraz wokół wozu, przymocowując doń pasy. To dopiero musiała być dla nich zabawa.

Karabiny skierowane były w nas, w moim polu widzenia pojawił się Murzyn. Przeszukał nas jeszcze raz, nie zważając na strumień opływu.

- Szofer jest w porządku! Zostawiliśmy go na drodze parę kilometrów od obozu. Nic mu się nie stało. - Musiałem nabierać porządnie powietrza w płuca, aby przekrzyczeć hałas dwóch par śmigieł. - Nic mu nie zrobiliśmy, jest OK!

Ludzie potrafią być niebezpieczni, jeśli dowiedzą się, że któremuś ze swoich stała się krzywda.

Złapano mnie za ręce - kajdanki połączone były stalowym prętem, nie łańcuchem. W takich nie można kręcić nadgarstkami. Zatrzaśnięto je zbyt ciasno, ale nie narzekałem. Patrząc w dół, zacisnąłem zęby i napiąłem mięśnie, gotów na twarde traktowanie.

Kapitan złapał za pręt kajdanków i szarpnął. Miał nade mną całkowitą kontrolę. Omijając w podskokach kolce, zaczął biec do drugiego Huey'a. Robienie czegoś innego niż podążanie za nim sprawiało zbyt dużo bólu.

Obejrzałem się i zobaczyłem, jak Charlie także grzecznie próbuje dotrzymać kroku swojej eskorcie.

Kapitan wskoczył na pokład pierwszy. Wciągnął mnie na górę i rzucił na jedno z siedzeń z parcianych pasów, które, zwrócone w stronę drzwi, biegły przez środek kabiny. Dokładnie tak samo zrobiono po drugiej stronie z Charliem.

Gruzini wskoczyli za nami i śmigłowiec wystartował. Widziałem, jak drugi Huey unosi się nad stodziesiątką, wóz był już umocowany, zaraz również odleci. Oddział, który nim przyleciał,

233

będzie musiał zostać i poczekać, aż śmigłowiec wróci po nich po wysadzeniu nas.

Gdy przelatywaliśmy nad drogą, rząddek podekscytowanych miejscowych przyglądał nam się z okien zardzewiałego autobusu z masą różnorodnych walizek, tobołków, toreb i klatek z drobiem na dachu. Będą to chyba ostatnie radosne twarze, jakie dane mi będzie w najbliższym czasie oglądać.

Przeleciawszy ponad autobusem, minęliśmy szerokim łukiem rosyjski obóz po lewej stronie. Kapitan nałożył słuchawki na uszy i szybko mówił do mikrofonu. Huk motoru oraz gwizd wiatru uniemożliwił zrozumienie, ale wiedziałem, że mówi o nas.

Wnętrze Huey'a nie było odnawiane od czasu opuszczenia przezeń fabryki pana Bella w latach osiemdziesiątych. Ściany nadal wyłożone były wyblakłym lekko watowanym srebrnym materiałem, a antypoślizgowa ziarnista farba na podłodze starła się na długo przedtem, zanim ci tutaj żołnierze dorwali się do swoich pierwszych pistoletów na wodę.

Ścieliśmy nad brzegiem doliny, co kryło nas przed Rosjanami, którzy gdzieś tam byli i przez radio raportowali Moskwie o rozwoju wydarzeń. Lecieliśmy nisko i szybko; przed oczami migały nam tylko rozmyte kształty drzew, zwierząt i zabudowań.

Przechylając się w lewo i w prawo, lecieliśmy wzdłuż konturów terenu. Gdy braliśmy wyjątkowo ostry skręt w prawo, wiatr wpadł z siłą do

środka, łapałem za pasy siedzenia między nogami, żeby nie być wywianym gdzieś w drzewa.

Podźwignęliśmy się, minęliśmy grzbiet wzgórza i przed nami roztoczył się widok obozu w Vasiani.

Nadal trwały ćwiczenia polowe, ale wiedziałem, że tylko dla picu. Prawdziwe działania w ramach programu Partnerstwa dla Pokoju miały miejsce w tym tutaj śmigłowcu. Będą tu nadal rządzić tacy chłopcy jak ci z korpusu piechoty, którzy siedzieli obok mnie, natomiast Gruzini zajmą się pracami domowymi i uśmiechaniem się do kamer.

Śmigłowiec zawisł nad betonowym lądowiskiem i zaczął lądować. Fala spalin i strumienia opływu uderzyła mnie w twarz.

234

Gdy tylko płozy dotknęły ziemi, już byliśmy prowadzeni w stronę czekającego dżipa.

W oddali pojawił się drugi Huey z dyndającym mu pod brzuchem land roverem.

W bazie panowało ogólne zamieszanie. Gruzini wpełchnęli nas na tylne siedzenia wozu. Jeden z nich siadł za kierownicą, inni ustawili się do zbrojnej obstawy. Czterech z eskorty siedziało okrakiem na pomalowanych na zielono motocyklach. Dowodzący marinę był ubrany w kamizelkę kuloodporną, miał hełm i pasy z amunicją, przez plecy zarzucony miał M16. Sądząc po liczbie belek na klapach i na hełmie, był podporucznikiem.

Kluczyliśmy po całym obozie, w końcu zajechaliśmy pod kompleks baraków. Nawet nie chciało mi się wyobrazać sobie, co teraz będzie. I tak nie miałem na nic wpływu, po prostu się zobaczy. Musiałem przyjąć do

wiadomości, że miałem porządnie przes-rane: nawet jeśli jeszcze nie wiedzieli, co się stało, nie zajmie im wiele czasu, aby zorientować się, że mają w rękach gwiazdy tutejszej telewizji i prasy. A jak już to będą wiedzieć, każda minuta spędzona nie w celi gruzińskiej policji - z ogoloną głową i z zaśrubowanymi kciukami - będzie dla mnie bonifikatą.

Skręciliśmy w otwarty z jednej strony kwadrat stworzony z pomalowanych na kremowo, aluminiowych baraków przenośnych. Dżip stanął, eskorta motocyklowa zatrzymała się po bokach.

Podporucznik wysiadł i głośno wydał serię rozkazów.

Trzech żołnierzy piechoty morskiej stanęło po naszej prawej stronie, w kamizelkach kuloodpornych, hełmach z kevlaru, z bronią przy ramieniu.

Wiadomo, czego chcieli.

- Ręce do góry! Pokażcie ręce! Ręce w powietrzu!

Zauważyłem skrzynie klimatyzacji na dachach baraków, coś mi się zdawało, że się tu komuś przyda.

CZEŚĆ

## ÓSMA

### 1

Ten z jedną belką na klapie, warcząc rozkazy, pobiegł w głąb otwartych drzwi baraków, marines zbliżyli się do nas. Robiliśmy grzecznie, co nam kazano, każdemu z nas przystawiono lufę do twarzy.

Czekaliśmy na instrukcje; chodziło o to, aby nie okazywać strachu albo

innych uczuć, które mogłyby prowokować. Należy zachowywać się neutralnie, robić to, co ci każą i jedynie wtedy, gdy ci każą.

- Ty! Ty ciemnowłosa - krzyknął najbliższy mnie stojący marine -  
Wysiadaj, ale bardzo wolno. Ty starszy, zostań na miejscu.

Skrzywiłem się w uśmiechu. Charliemu nie będzie to w smak.

Z baraków wybiegli kolejni marines, w kamizelkach kuloodpornych i w hełmach, ale bez karabinów. Zaraz nastąpi spotkanie z komitetem powitalnym.

Wysiadłem z wozu bardzo wolno, uważając, aby ręce moje były widoczne i unikając robienia gwałtownych ruchów.

Koleś, który mnie pilnował, zbliżył się do wozu od mojej strony i zatrzymał się o kilka metrów ode mnie, celując w sam środek mojej piersi. Pochylał się nieco, dociskając broń mocno do ramienia, kierując ją nieco w dół, tak że gdyby musiał oddać strzał, pocisk nie uderzy w nikogo innego stojącego za mną.

Teraz przyszła kolej na Charliego. Bardziej słyszałem go, niż widziałem, wychodzącego z samochodu. Nie zamierzałem się od-

238

wracać, chyba że ten facet z półautomatycznym karabinem mnie o to poprosi.

Kilku ciekawskich wystawiło głowy z okien na dalszym końcu placu. Cała masa innych wyszła na zewnątrz i zebrała się wokół.

- Co się stało? Ukradli stodzieсятkę? Pewnie Rosjanie.
  - Nie, handlarze narkotykami.
  - A gdzie tam, to przecież terroryści, człowieku. Pieprzeni bojownicy.
- Ci chłopcy wyraźnie spędzali za dużo czasu na śledzeniu powtórek z

„Fantasy Island”, a nie na oglądaniu miejscowych wiadomości, ale wiedziałem, że skojarzenie nas z Bazem będzie tylko kwestią czasu.

Eskortujący mnie żołnierz złapał za połączenie kajdanków i szarpnął mi rękę do przodu, dwóch innych szybko mnie przeszukało. Chyba nie spodobało im się, że podprowadziliśmy im ten wóz.

Złapano mnie z obu stron za ramiona i na w pół powleczono po ścieżce i po dwóch drewnianych stopniach do środka. Skręciliśmy w szeroki korytarz bez okien. Podłoga była z szarego linoleum, które biegło również 15 centymetrów po ścianach, zamiast listwy podłogowej. Jarzeniowe światło odbijało się od błyszczących białych ścian.

Żołnierz przed nami przeganiał z drogi ciekawskich:

- Dobra, chłopaki, spektakl skończony, wracajcie do swoich pokoi, proszę. Sytuacja jest pod kontrolą. Proszę się rozejść.

Dotarliśmy do pary drzwi bez okien, porządnie poobijanych u dołu, gdzie musiały być często otwierane kopniakiem. Przeszliśmy przez trzy czy cztery podobne, zanim w końcu nie zatrzymaliśmy się u wejścia do pomieszczenia, w którym stało jedynie aluminiowe krzesło i stół.

Charliego nie było już za mną. Wcale mi się to nie podobało.

Jeden z żołnierzy pchnął mnie do środka.

Na tym zadupiu linoleum i białe ściany były najwyraźniej ostatnim krzykiem mody.

239

Odwrócili mnie i posadzili na krzesło. Następnie, bez słowa uprzedzenia, jeden z nich złapał za kajdanki i szarpnięciem przełożył mi skute rękę za głowę. Ciężar moich ramion zmusił mnie do oparcia ich na karku, zgarbiłem się, aby zmniejszyć ucisk na przegubach.

Podciągnięto mnie do tyłu za włosy.

- Siedź prosto, bydlaku.

W pokoju razem ze mną pozostało czterech facetów i jedna kobieta, wszyscy w mundurach, ze słuchawkami dousznymi w uszach oraz z pistoletami w czarnych nylonowych kaburach. Jeden z nich trzymał nadal za kajdanki, jego knykcie wbijały mi się w kark.

Przewiercali mnie wzrokiem.

Kobieta stanęła przede mną.

- Rozbierać się.

Jeśli miała za zadanie mnie zawstydzić, spóźniła się porządnie. Już byłem tak kiedyś zmuszany jeść własne gówno, i zrobię to jeszcze raz, byleby się za mnie nie zabrali. Wszystko, tylko nie bicie.

Zdjęto mi kajdanki, gdy zacząłem ściągać z siebie ubranie, do dłoni ponownie napłynęła krew.

W pokoju, poza delikatnym szumem klimy, panowała cisza.

Baba sięgnęła do swojej magicznej skrzynki i wciągnęła na dłonie rękawiczki chirurgiczne. Zauważyłem wizerunek eskulapa w jej butonierce. Korpus medyczny.

Stałem ze stosem ubrania u stóp, czekając na następne polecenia, choć raczej wiedziałem, do czego to wszystko zmierzało.

- Siadaj - wskazała na krzesło.

Uczyniłem to, a czterech facetów ustawiło się przede mną w półkolu. Jeden trzymał w pogotowiu pojemnik z gazem obozwalniającym, drugi - paralizator. Wyglądało na to, jakby aż chcieli, żebym zaczął sprawiać kłopoty.

Czułem pod tyłkiem i na plecach zimny metal, ale rozczulać się nad tym

nie było kiedy. Kobieta pchnęła mi głowę do tyłu i zaczęła grzebać mi w ustach szpatułką.

240

Ubranie lekarki pachniało tytoniem. Miałem nadzieję, że nie była zbyt wściekła, że zciągnęli ją z przerwy na papierosa, ponieważ miałem wrażenie, że dojdzie między nami do pewnych intymności.

Zastanawiałem się, czego szukali. Narkotyków? Miniaturowej bomby pod językiem? Może po prostu chodziło o danie mi wycisku?

Najważniejsze jednak, gdzie podział się Charlie?

Odłożyła szpatułkę i przeszukała mi jamę ustną palcem. Co następne? Darmowe pomarańczowe ubranko i codzienne przejażdżki dwukołówką do pokoju przesłuchań? Do diabła, za kogo mnie brali?

Zajrzała mi do uszu, następnie zanurkowała do swojej skrzyneczki po dużą tubę wazeliny. Wyraźnie będę poddany pełnemu badaniu, jak Saddam.

Wycisnęła trochę wazeliny na dwa palce prawej ręki.

- Wstań, pochyl się i dotknij palców stóp.

Jedyna pociecha, że dla niej będzie to jeszcze mniej przyjemne niż dla mnie. Cały dzień zbierałem się do zwalenia kupy.

Poczułem, jak zagłębia palec, grzebie wokół porządnie i wyjmuje.

- Stań prosto.

Unikałem spojrzenia jej w oczy; nie chciałem, aby w moich przyuważyła nawet cień uśmiechu.

W plecy trafił mnie obcas buta i poleciałem w stronę ściany. To była tylko przygrywka. Rozgrzewali się we własnym gronie, zanim sprawy w swoje łapy nie weźmie reszta. W oczach naprawdę mieli nienawiść.

Upadłem, zwinąłem się w kłębek i czekałem. Buty ruszyły w moim kierunku. Zasłaniałem twarz, ale jedno oko miałem otwarte.

Zazgrzytało w jednej z krótkofalówek i jej właściciel szybko włożył słuchawkę do ucha, aby nikt inny nie słuchał. Przekazał następnie szeptem usłyszaną wiadomość pozostałym.

241

Spojrzeli na mnie z wyraźnym zawodem. To musiało być to - dowiedzieli się, że jestem telewizyjną gwiazdą. I teraz zabawa należy się gruzińskiej policji. Próbowałem wmówić sobie, że to nawet lepsze wyjście.

Lekarka zdjęła rękawiczkę i wrzuciła ją do plastikowej torebki, po czym zapakowała swoje zabawki z powrotem do skrzyneczki.

- Siadać - wskazała palcem krzesło.

Wstałem, ale widać za mało zwawo, jeden z facetów kolejnym kopniakiem pośpieszył mi z pomocą.

Aluminium nie stało się cieplejsze; zmieniając pozycję, usłyszałem jak mlasnęła pode mną wazelina, następnym dźwiękiem był dźwięk odrywanej z rolki lassotaśmy.

**2**

Złapali mnie za przeguby i siłą przycisnęli mi je do skroni, po czym taśma poszła w ruch. Okleili mi ręce i głowę jak bandażem, dokładając jeszcze pas pod brodą.

Zacisnąłem z całej siły pięści w celu *stworzenia* odrobiny luzu pod

taśmą. Nawet to stwarzało szansę, że przepływ krwi nie zostanie całkowicie zablokowany. Wiedziałem, że to niewiele da, ale sam fakt, że opierałem się nawet w tak minimalnym stopniu, poprawiał mi humor. Następnie zajęli się moimi ramionami, krępując je tuż nad łokciami i unieruchamiając skutecznie pod brodą.

Mimo że nie padł żaden rozkaz, nagle odstępili ode mnie jak jeden mąż i opuścili pokój. Rozejrzałem się. Ubranie zniknęło, drogi wyjścia nie było.

Ręce zasłaniały w zasadzie uszy, usłyszałem jednak, jak drzwi zamknięto na klucz; zaś cztery otwory wentylacyjne nie były większe od kłapek w skrzynce na listy. Poza tym najprawdopodobniej obserwowali mnie przez kamery wideo.

Pochyliłem się i oparłem łokcie na kolanach. Po brodą zbierał mi się pot. Musiałem siedzieć tak z godzinę, może dłużej.

Starłem się zachować optymizm.

Lądowałem w kupie gówna częściej niż mi się to w życiu należało, i choć nie zawsze wyłaziłem z niej pachnący różami, byłem

**243**

w stanie zachować pewien procent siebie w stanie nieutyłanym i wydostać się na czas z opresji.

Nieraz obrywałem porządnie, ale jakoś się to zawsze dobrze kończyło. Pewnie z tego między innymi powodu nadał bawiłem się w te niebezpieczne klocki.

Obecnie jednak nie mogłem za żadną siłę pozbyć się myśli, że tym razem sprawy potoczą się inaczej.

**3**

Usłyszałem przytłumione rozmowy na korytarzu. Odsunąłem, jak się tylko dało, taśmę z uszu. Zza drzwi doszły mnie podniecone albo tylko sfrustrowane - nie mogłem rozpoznać - słowa „A niech to szlag!” i „O nie, ci skurwiele należą do nas”. Brzmiało to tak, jakby sprawy nie szły po ich myśli, co niekoniecznie oznaczało, że pójdą po naszej.

Ta cela w Tbilisi znowu stała się bardziej realna.

Na żwirze zazgrzytały opony i buty.

Takich chwil, kiedy nie mam pojęcia, co się dzieje, doprawdy nie znoszę. Może policja już tutaj była i najpierw przesłuchiwała Charliego? Może nie jest on ostatnio w najlepszym stanie, ale wiele z niego nie wydobędą.

Prawdopodobnie powiedzieliby mi, że ten stary przyk wyznał wszystko, ale wiedziałem, że dać im coś w łapy byłoby ostatnią rzeczą, jaką zrobi. Owszem, może i trzęsą się mu ręce i zawodzi go pamięć, ale pewne rzeczy ma się zakodowane tak głęboko, że stają się drugą naturą.

Chwilę zastanawiałem się, gdzie ten stary głupol mógł się podziać. Mam go szukać, jeśli się stąd wydostanę? Bez dwóch zdań. Nawet goły i z przytwierdzonymi do głowy rękami, próbował będę wywalić każde drzwi w korytarzu, aż go znajdę. Potem potrzebne będą nam ubrania, paszporty oraz jakiś środek transportu, i sprawa załatwiona.

245

Powróciwszy do rzeczywistości, układając się na podłodze, robiłem, co się dało, aby rozprostować nogi i plecy, zmniejszyć ból w mięśniach oraz rozłożyć na różne części ciała ucisk twardego linoleum.

Zaczynało robić mi się zimno, skuliłem się więc ponownie. Pewnie ustawili tak wentylację, aby mnie trochę zmiękczyć, zanim przyjdą i

przeczytają mi mój horoskop.

Pół godziny później zmuszony byłem ponownie wyciągnąć się na podłodze, bolały mnie już wszystkie kości. Jakiemuż to bogowi tym razem tak się naraziłem? Co za czart zawiódł mnie tutaj - z tyłka ciekła mi wazelina, głowę miałem jak mumia owiniętą taśmą klejącą - i to wszystko w momencie, gdy sprawy zaczęły przybierać korzystny obrót?

W głębi duszy wiedziałem, że w końcu przyjdzie dzień, w którym dam porządnie ciała, ale jakoś się tym nie przejmowałem.

Aż pojawiła się Kelly.

Śmieszne, ile może uczynić zasmarkany dzieciak z zeżartym przez mole misiem. Nigdy nie byłem rycerzem w błyszczącej zbroi, na którego zasługiwała, i nigdy nie pozbędę się poczucia winy, że nie zdołałem jej uratować, ale teraz, gdy ponownie znalazłem się w moim normalnym świecie, zauważyłem, że nie do końca dobrze mi w nim idzie.

Wiedziałem, że przeznaczone mi było lądować na samym końcu łańcucha żywieniowego, i prawie to polubiłem. Ale dzięki Kelly przez chwilę odważyłem się pomyśleć, że za rogiem może mnie czekać coś lepszego.

A teraz podobną rzecz robiła mi Silky. Stała się moim strażnikiem i moim tłumaczem w świecie, którego język ledwie rozumiałem.

Co w tej chwili porabiała? Jakie ubranie miała na sobie? Co będziemy robić razem po moim powrocie? Pewnie, że poskaczemy sobie w tandemie ze spadochronu, może nawet nauczę ją skoków ze swobodnym spadaniem.

246

Niesłychane, jak za nią tęskniłem. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów suma wszystkich moich uczuć nie wynosiła „pal sześć”. Cieszyłem się na bycie z kimś, naprawdę chciałem tego.

Jeśli kiedykolwiek się stąd wydostanę, nie będę narzekał, że źle przytwierdza deskę surfingową na dachu minibusa. Nawet pozwolę jej, jeśli sobie tego zażyczy, na puszczenie The Libertines przez całą drogę z Cairns do Sydney i z powrotem.

Tymczasem po raz kolejny zwinąłem się w kłębek, na podobieństwo ciała w bagażniku audi, i zamknąwszy oczy starałem się myśleć o rzeczach przyjemnych.

To było na razie wszystko, co mogłem zrobić.

## 4

Leżałem na twardej podłodze, z dłońmi unieruchomionymi przy głowie, ciało przeszywały szpilki zdrętwienia, obojętnie jaką przybierałem pozycję, obojętnie ile razy się przeciągałem.

Na szczęście w pokoju robiło się cieplej; parę minut temu ktoś podkręcił klimatyzację i z wylotów płynęło teraz gorące powietrze. Usiadłem i podsunąłem się na tyłku po podłodze, aby znaleźć się bezpośrednio w jego strumieniu.

Gdzieś w górze przeleciał pojedynczy śmigłowiec, byłem w stanie wyłapać strzępy rozmów na korytarzu.

Chyba nadal nie wiedzieli, kim byliśmy. Popularną opcją byłby handlarz narkotyków, a ponieważ byliśmy białymi, mogliśmy być Rosjanami. Na przykład z mafii.

Ktoś z nich załapał, że jesteśmy Anglikami, bo tak powiedział szofer, ale dalej tym tropem nie szli. Wiadomo, że Angole są niesłychanie głupi, ale przecież nie aż tak.

Więcej już sobie nie kombinowałem, i dobrze.

Pod drzwiami rozległy się kroki, po czym głośno i wyraźnie ogłoszono dobrą nowinę.

„Wiesz co, właśnie się dowiedziałem, że tych dwóch skurwieli zabiło polityka, no wiesz, tego, o którym jest w wiadomościach. Strzelili mu w głowę dwadzieścia razy i porzucili w bagażniku jego własnego samochodu. Nasi złapali ich, gdy próbowali uciec”.

248

Leżałem sobie tutaj chyba całe godziny, a teraz, gdy wiedzą o co chodzi, niewiele mi to robi.

Podsunałem się bliżej drzwi, starając się usłyszeć więcej. Głównie chciałem dowiedzieć się, gdzie jest Charlie, ale nie miało to jeszcze nastąpić teraz. Usłyszałem jedynie pisk butów o linoleum, ktoś kazał komuś nie robić szumu.

Marzyłem o jakimś picciu, od czasu tej espresso na lotnisku minęły wieki.

Robiłem się śpiący, musiało chyba robić się późno. Próbowałem się zdrzemnąć, ale się nie dało; nie mogłem przyjąć żadnej wygodnej pozycji. Czas mijał więc i wtedy właśnie usłyszałem zbliżający się odgłos kroków w butach - ale nie wojskowych.

Drzwi otwarły się na oścież i pokój pogrążył się w ciemności. Złapało mnie dwóch facetów, każdy z jednej strony. Byli po cywilnemu, lewą stopą zaczepiłem o metalową sprzączkę na zabłoconych mokasynach, gdy podnoszono mnie z podłogi, z prawej strony dotarł do mnie zapach stęchłej nikotyny i skórzanej odzieży.

Założyłbym się o wszystkie trzy funty Charliego, że skóra była czarna.

Następnie jedynym zapachem, jaki mogłem już czuć, był zapach rzepy,

gdy na głowę nakładano mi szorstki nylonowy worek. Sięgnął mi aż do łokci.

Moi nowi kołesie wymienili między sobą parę słów po gru-zińsku; zaczynałem kapować, co jest grane. Wywlekli mnie na korytarz. Przez sploty nylonu błyskały światła jarzeniówek, w otworze worka na brzuchu widziałem szare linoleum podłogi.

Skęciliśmy w lewo, minęliśmy wahadłowe drzwi, potem następne.

Moją goliznę zaatakowała fala zimnego powietrza, powodując skurczenie się wszystkiego z wyjątkiem gęziej skórki. Gdy dotarliśmy do drewnianych schodków, dygotałem już z zimna. Ziarna żwiru zdążyły powbijać mi się w podeszwy i już pakowano mnie od tyłu do samochodu kombi. Tylne siedzenia były rozłożone

249

i wylądowałem na bezładnej kupie szorstkich wełnianych oraz nylonowych koców.

Wierciłem się jak tylko mogłem, w nadziei, że otrę się o Char-liego, ale w zamian walnąłem tylko głową w dodatkowy akumulator samochodowy, a moje nozdrza zaatakował dojmujący smród moczu i mokrego psa. Rzucono na mnie koc i zatrzaśnięto drzwi bagażnika. Niedobrze.

Coś mi się zdawało, że wiem, jakiego rodzaju są ci policjanci, takich raczej nie zaczepia się, aby zapytać o drogę.

Drzwi z przodu otwarły się i zamknęły, poczułem, jak usadzają się na fotelach. Silnik odpalił i wyjechaliśmy spomiędzy baraków. Zamknąłem oczy, starając się wyczuć i zapamiętać kierunek jazdy.

Usłyszałem jakąś rozmowę i trzask zapalanej zapałki, po chwili papierosowy dym zaczął mieszać się z psim zapachem.

Nie bałem się tego, co mnie teraz czekało. Czułem się po prostu zdeprimowany.

I głodny.

I - czego się nie spodziewałem - cholernie samotny.

5

Zatrzymaliśmy się i kierowca skręcił w dół szybę. Wyszczekał szybko serię krótkich komend po gruzińsku, następnie usłyszałem zgrzyt unoszonego szlabanu, po czym wóz ruszył ponownie.

Przejechaliśmy ten kilometr do głównej drogi i skręciliśmy w lewo. Żadnej niespodzianki: Gruzini wcale bardziej od Amerykanów nie kochali swoich dawnych towarzyszy z Federacji Rosyjskiej.

Jechaliśmy po gładkiej drodze, z rzadka jedynie podskakując na starych dobrych wybojach.

Popróbowałem przeliczyć przebyte kilometry, odliczając sekundy, doszedłem do dwudziestu minut bez zatrzymywania się.

Tych dwóch z przodu miało się całkiem dobrze. Włączyli sobie radio i słuchali jakiejś gruzińskiej piosenki, w której odchodziła masa zawodzenia. Może to ta sama stacja, której słuchano w budkach wartowniczych pod ambasadami?

Mną się zupełnie nie przejmowali. Może zapomnieli o mnie? Byłoby mi miło.

Nie nastąpiły żadne wjazdy czy zjazdy, jechaliśmy więc nadal doliną. Dlaczego nie jedziemy wyżej i zatrzymując się na punkcie kontrolnym, nie zawracamy do miasta? Jeśli tam nie jedziemy, czy to dobrze, czy źle?

Miałem nieprzyjemne uczucie, że na to pytanie znam odpowiedź.

251

Po kolejnych dziesięciu minutach wiedziałem już, że nie była to normalna policja. Do wyżyny nawet się nie zbliżyliśmy, a kierując się do Tbilisi, dawno byśmy już to zrobili.

Zacząłem się przewracać z boku na bok, próbując bardziej narzucić na siebie koc. Gęsia skórka powoli znikła i chciałem, aby tak zostało.

Ciepło i zakutanie skojarzyło mi się z Silky. Byłem pogubiony; z jednej strony wiedziałem, że dobrze zrobiłem, przyjeżdżając tu z Charliem, ale jednocześnie chciałem teraz być z nią, w Australii. Nie dlatego, że była to lepsza alternatywa wobec leżenia z tyłu jakiegoś samochodu, w drodze ku czemuś, co będzie chyba najgorszym wyciskiem, jaki w życiu dostałem, tylko dlatego, że chciałem być z nią. Już choćby dlatego, że pachniała o wiele lepiej niż te koce.

Wyobrażałem sobie, jak leży obok mnie na plaży albo siedzi na fotelu przy mnie w volkswagenie. Wysiłem umysł. Nie mogłem sobie przypomnieć ani jednego momentu, w którym byłoby mi z nią źle. Przypomniałem sobie, jak kiedyś powiedziała „Dobrze nam ze sobą, prawda?”. Miała rację, było nam ze sobą dobrze. Tęskniłem za nią.

Co będziemy więc robić, jak wrócę? Nadal czekała nas wyprawa do czerwonego interioru, do czegoś, co ja nazywałem Ayers Rock, natomiast Silky i wszyscy inni myśleli o tym jako o Uluru.

Zanim nie spotkałem Silky, nigdy nie pozwoliłbym sobie w sytuacji takiej jak teraz, by dopuścić do siebie strach, blokowałbym nawet i przyjemne myśli. Leżałbym sobie po prostu. Ale teraz, Cholerka, podobało mi się to. Pozostał nam jeszcze rejs do Whit-sundays, zwiedzenie Parku Narodowego

Kakadu i Nowa Zelandia. Wyprawa do wszystkich tych miejsc, o których rozmawialiśmy podczas naszej podróży. Chciałem je wszystkie zobaczyć, z nią.

Zazgrzytała skrzynia biegów i samochód zwolnił. Skręciliśmy na dużo gorszą drogę. Skuliłem się dobrze. Silnik ucichł, otwarły się drzwi po obu stronach i o kamieniste podłoże zazgrzytały kroki.

Otwarto drzwi bagażnika i ściągnięto ze mnie koc. Zimne powietrze było jak kopniak w jaja.

## 6

Powleczono mnie obok innego wozu, przez mokrą trawę usłaną drobnymi kamieniami.

Zimny nocny wiatr przenikał mnie do kości, skórę miałem jak świeżo oskubany kurczak.

Zatrzymaliśmy się i usłyszałem, jak ktoś mocno kopie w coś drewnianego. Otwarły się jakieś drzwi i wciągnięto mnie do czegoś, co dla mnie robiło wrażenie sauny. Powietrze było ciężkie od zapachu wilgoci i gazu z butli.

Zrobiłem, potykając się, kilka kroków i poczułem ucisk na ramionach. Mój tyłek został osadzony na plastikowym krześle. Gdzieś w górze czułem łagodny syk palącego się gazu. Pochyliłem się i zacisnąłem zęby, gotowy na to, co miało teraz nastąpić. Oczekiwałem, że zaraz szarpną mnie do góry, ale pozwolili mi zostać w takiej pozycji, w jakiej byłem.

Następnie, co było jeszcze większą niespodzianką, zdjęto mi z głowy worek.

Pochylałem nadal głowę, ale oczy zaczęły mi latać. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu o kamiennych ścianach i klepisku zamiast podłogi. Przede mną stał niebieski składany stolik kempingowy o metalowych nogach, wyglądał jak prosto z katalogu Argosa. Na obu jego końcach stały dwie lampy naftowe, cień ich płomienia tańczył po ścianach. Pomiędzy lampami leżał mój paszport i paszport Charliego.

253

Kierowca i jego kumpel stali za mną, dysząc ciężko z wysiłku, jakim było dla nich przywleczenie mnie tu z samochodu.

Po drugiej stronie stolika pojawiła się para wojskowych butów, jakie nosili Amerykanie na pustyni. Sukno wojskowe nad nimi wyglądało na owinięte ciasno pończochą. Półautomatyczny kaliber .22 o cienkiej lufie skierowany był prosto w moje czoło, trzymany był pewnie przez rękę odzianą w rękawicę z lateksu.

Gdy zobaczyłem, do kogo należała ta ręka, tajna policja gruzińska wydała mi się nagle fraszką.

Fart definitywnie mi się skończył.

Nade mną stała przynajmniej studziesięciokilowa góra tłuszczu, zakończona zbyt dobrze mi znanym wygolonym po bokach łbem.

Niespecjalnie podobał mi się sposób, w jaki kierował we mnie broń, ale broń ta nie wystraszała mnie tak jak on sam.

Jim D. - „mów do mnie Biesiu” - Bastendorf, człowiek, którego przemianowaliśmy na Skurwiela w Waco, nie zmienił się prawie wcale przez te dwanaście lat, od kiedy go ostatnio widziałem.

7

Spuściłem ponownie głowę, ale nadal łypałem okiem na broń.

Nagle moje dłonie poczuły się całkiem bezpiecznie i wygodnie przy głowie. Nic to, zacisnąłem zęby i zamknąłem oczy. Spieprzyłem sprawę i musiałem ponieść tego konsekwencje.

Jeśli chciałby, abym prosił o litość, to będzie musiał jeszcze raz to przemyśleć. Pieprzę go. I tak zrobi, co zechce, więc po co mam się wysilać?

Usłyszałem, że obchodzi stolik. Zaświstało mu w nosie, gdy się nade mną pochylił. Potem poczułem, jak przyciska mi mocno lufę spluwy do prawej dłoni.

Gdy kliknęła, zdrygnąłem się mimowolnie.

Otworzyłem oczy. Skurwiel stał nadal nade mną. Spodobała mu się moja reakcja, uśmiechał się.

- A teraz, synu, kto ty kurwa za jeden?
- Masz mój paszport, poczytaj sobie.

Spoglądał na mnie z góry. Sądząc po wyrazie twarzy, jeszcze sobie nie skojarzył ani mnie, ani tego jebanego angielskiego naukowca Anthoniego z ranczem pełnym nieżywych członków Bractwa Dawidowego, a ja mu w tym nie pomogę. Miałem za dużo innych kłopotów.

- Nie jesteś Amerykaninem. Skąd jesteś? - przyglądając się mojej twarzy, zmarszczył brwi, przerzucając do tyłu w myślach kilka kartek. - Znam cię skądś, prawda?

255

- Słuchaj, mamy cię na taśmie wideo, jak przekazujesz sprzęt w Marnocie w Stambule i...

Pierwszy cios dostałem w prawą skroń. Udało mi się utrzymać na

krześle, ale dopiero po dobrej chwili przestało mi dzwonić w głowie, a przed oczami przestały pląsać ogniki.

- Siedz cicho! Tkwisz w niezłym gównie, mój miły! Policja chce cię dorwać za wszelką cenę. Jesteś odpowiedzialny za bójstwo ichniego odpowiednika pieprzonego Boba Geldofa, i nie widzą w tym nic śmiesznego. I wiesz ty co? Dam tym skurwielom dokładnie to, czego chcą, jeśli nie wykażesz się odrobiną chęci do współpracy.

Uderzył mnie jeszcze dwukrotnie. Dłonie przejmowały na siebie trochę bólu, ale drugi cios był tak silny, że spadłem na twarde klepisko, o mało co nie wyłamując sobie barku.

- Tak, żądam kooperacji!

Z zamkniętymi oczami i kolanami pod brodą napiąłem się, gotów na więcej.

Nie patrzyłem do góry.

Niełatwo było po prostu olać takiego faceta jak Skurwiel, ale uważałem, że warto. Na plecy napływało mi gorące powietrze, korzystałem z tego, czekając, aż w mojej głowie wypalą się wszystkie gwiazdy.

Tych dwóch koleśiów pochyliło się nade mną i posadziło z powrotem na krześle. Pod prawym policzkiem poczułem zimne stalowe ostrze. Drgnąłem ponownie, ale zostałem łagodnie poklepany po głowie.

- Spokojnie, Nick. Chłopaki muszą się przecież trochę zabawić.

- Teraz przedzierzgnął się w Dobrego Glinę, i jakkolwiek nigdy mu to nie wyjdzie, różnica w traktowaniu nastąpi. - Odetną ci tylko z głowy tę taśmę, spokojnie, synu. Przecież nie możemy ryzykować, że naruszymy ci te piękne niebieskie oczka, prawda?

Wetknęli nożyczki pod taśmę i zaczęli ciąć, i ciągnąć. Razem z taśmą poszły niezłe kępki włosów i brwi. Była tego jednak i dobra strona - poczułem, że do rąk ponownie napływa mi krew.

256

- Usiądź ładnie, Nick, i odpręż się.

Odchyliłem trochę głowę i spojrzałem za siebie. Promiennik tarasowy, karmiony wielką butlą propanu, pracował pełną parą nad swoim wkładem w globalne ocieplenie, a kolesie byli tymi dwoma ogolonymi na łyso, których widziałem w wozie pajero pod Marriottem. Nadal ubrani byli na czarno, a ten po prawej stronie miętolił w rękę papierosa.

-1 jak się czujesz, Nick? W porządku?

Skurwiel przysunął sobie drugie krzesło po swojej stronie stolika, wszystko było pięknie. Broń zniknęła, ale dłonie miał nadal w rękawiczkach.

Między lampkami stał teraz aluminiowy termos, po paszportach nie było śladu.

- Proszę, kawa - powąchaj, jak pachnie. Mocna i dobra.

Rozprostowałem palce, pochyliłem się, wziąłem termos i zabrałem się za jego odkręcanie. W sytuacji takiej jak ta należy korzystać ze wszystkiego, co ci oferują. Nigdy nie wiadomo, kiedy sprawy ponownie przybiorą pomyślny dla ciebie obrót. Poza tym już od wielu godzin marzyłem o czymś do picia.

Kolesie za moimi plecami przestąpili z nogi na nogę.

Trudno mi było zdecydować, czy jedynie dobrze było im w ciepłe, czy może przygotowywali się do kolejnego numeru programu.

Tak czy inaczej, na razie oni wygrywali, ja zaś byłem nadal na

przegranej.

Miejszem rozrywki dzisiejszego wieczoru była, z tego co się zorientowałem, stara chałupa z odsłoniętym ożebrowaniem dachu i pokryta dachówką. Otwory w ścianie, które kiedyś musiały być oknami, zasłonięto szarymi workami, podobnymi do tego, w który mnie odziano. Nalałem gorącej czarnej kawy do dwóch plastikowych kubków, z których jeden pchnąłem z uśmiechem w stronę Skurwiela. Pachniała naprawdę dobrze.

- Gdzie jest Charlie?

Pociągnął łyk; wiedział, co robię. Jeśli kawa była czymś wzmocniona, też znajdzie się pod jej wpływem.

257

Kawa zaszczypała w język, ale co tam. Smak miała tak samo dobry jak zapach i rozgrzewała aż do samego żołądka.

- Może znajdzie się moje ubranie?

- Pewnie - wzruszył ramionami. Sięgnął za krzesło, podniósł kolejny szary worek z podłogi i wysypał przede mną jego zawartość.

Ubrałem się szybko, sprawdzając po drodze kieszenie. Żadnych pieniędzy, ani oczywiście paszportu. Nic, z wyjątkiem Baby-G. Czegóż ja znowu oczekiwałem?

- Charlie też otrzymał swoje? - Jedną z rzeczy podczas prześluchania jest zadbanie o kumpli. Charlie był i tak już w złym stanie, nie potrzebował jeszcze wpadać w hipotermię.

Skurwiel kiwnął głową i ponownie skosztował swojej kawy.

- Dbacie chłopcy o siebie, co? To mi się podoba. - Odstawił kubek na stolik. - Przykro mi z powodu tego, co stało się przed

chwilą. Ale wiesz - zrobił gest przyciskania spustu - gdy się do wiedziałem, że Chuck wziął sobie jeszcze jednego do wykonania roboty, trochę się zdenerwowałem.

Nadal miał wielki uśmiech przyklejony do gęby, co mnie wcale nie cieszyło. Poprzednim razem, jak go widziałem, też był trochę zdenerwowany i nic dobrego z tego nie wyszło.

**8**

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Lubię wiedzieć, co jest grane; lubię sprawy załatwiać po swojemu. Po prostu musiałem trochę odreagować. Tacy jak my muszą to od czasu do czasu robić, no nie? Nick, przecież to rozumiesz.

Rozumiałem aż za dobrze. Nie chodziło tu o puszczenie pary w gwizdek, ale o pokazanie w promieniu 500 kilometrów, kto tu rządzi.

Wolno i dokładnie upychałem bluzę w spodnie. I nie chodziło tu wcale o stodziesiątkę, Baza ani o policję. Gra szła o coś dla niego o wiele ważniejszego, mianowicie o samą robotę.

Usiadłem ponownie.

- Dobrze, pomóż mi zrozumieć... załatwić Charliego, gdy tylko da sobie radę z sejfem, tak? To jest to twoje załatwianie spraw? - Zaryzykowałem uśmiech. - Wygląda na to, że chyba dobrze, że się przyłączyłem.
- Z tym nie miałem nic wspólnego. Któryś z tych skurwieli na samej górze - skierował palec w niebo - podjął taką decyzję, mnie o zdanie nie pytał. Wiedziałem tylko, że Chuck ma wykonać robotę, a ja mam się zająć takimi sprawami jak narzędzia czy informacja. Co ty sobie

wyobrażasz? Że jestem jakimś potworem, czy co? Do diabła, przecież Chuck jest jednym z nas, jest po właściwej stronie.

259

- Kim są więc ci na samej górze? Wojskowymi? Facetami od ropy naftowej?

Potrząsnął wolno głową i popatrzył na mnie z politowaniem.

- Wiesz co, Nick, lubię cię, ale czy naprawdę myślisz, że jestem taki głupi? Człowieku, zastanów się... Jedyne, co powinieś wiedzieć, to to, że was dziś wyciągnąłem z opresji. Jesteście poszukiwani. Jeszcze chwila w obozie, a przyjechaliby po was i wrzucili na dołek jak jakieś gówno. - Oczy błysnęły nnu nie przyjemnie. - Oj, wiem ja, co robią z takimi jak ty w tym swoim szambie. I to nie jest nic dobrego, Nick, naprawdę. To pierdolnię ci psychopaci.

Z pewnością miał rację, ale myśli moje były gdzie indziej, zastanawiałem się, co teraz powiedzieć, jak od tego właśnie szamba trzymać się z daleka. To, w którym siedziałem, całkowicie mi wystarczało.

- No dobra, starczy tego gówna. Naprawdę wybac mi, że tak na ciebie napadłem. Ale kiedy dowiedziałem się, że obaj jesteście w obozie... - zaśmiał się odrobinę może za głośno i pociągnął łyk kawy. - Chyba nie jest przyjemnie mieć przystawioną spluwę do głowy. Ale powinieś mi dziękować, że nie pozwoliłem przekazać was Gruzinom. A ci w obozie? Nieźle się wkurwili, gdy okazało się, że nie jesteście żadnymi pieprzonymi terrorystami. - Policzki mu zadrżały, każda chwila była dla niego prawdziwą przyjemnością. - Masz pojęcie?

Miałem. Jeśli udałoby im się przykleić mi etykietkę terrorysty, byłbym już teraz w połowie drogi do Guantanamo Bay.

Zastanawiałem się, dlaczego dotąd nie wspomniał o teczce z laptopem. Albo o papierach i taśmie. Chyba zachował to sobie na później.

- Ale wiesz co, Nick? Odwaliłeś kawał niezłej roboty, ratując was tam z opresji, biorąc pod uwagę problemy, na jakie natrafiłeś.

Takiego Skurwiela nie znałem. Ale w końcu to nie był po prostu Skurwiel - to był stary wyga szarżujący zestawem technik przesłuchiwania, ja zaś powinienem zamknąć się, do czasu aż będę potrzebował coś powiedzieć.

260

Stosował coś, co w podręcznikach nazywane jest „Podsycanie dumy i samozadowolenia”. Myślał, że będąc zdruzgotanym byciem złapanym, dobrze zareaguję na pochwałę za dobrą robotę. Za chwilę powie mi, że rozumie moje uczucia i przy kolejnych kubkach kawy dojdzie między nami do wielkiego zbratania.

Nie wiedział jednak, że moja duma i samozadowolenie ulotniły się już tak dawno, że nie chciało mi się nawet sięgać pamięcią, kiedy to się stało.

Musiałby pogrzebać o wiele głębiej, aby poszukać ich śladów.

Skinąłem głową, aby mu pokazać, jak bardzo się cieszę, że mnie rozumie.

- Udało się, owszem. - Przełknąłem kawę - Kim byli ci w domu i ten na cmentarzu?

- Nie ma pojęcia. - Skurwiel potrząsnął wolno głową. Tak jakby Czerwonoooki, Nieogolony i ten dzikus z maczetą spadli po prostu z nieba.

- Wszystko jedno, spieprzyli nam całkiem przyzwoitą operację.

Pochylił się nad stołem, przytakując sobie samemu i wyjął dwa cygara ze swojej goreteksowej kurtki.

- Ludzie myślą, że to powinno iść jak w zegarku, ale zapominają o tym, nad czym nie ma się kontroli, a tym, czym jest sam cel, prawda? - zaproponował mi jedno, ja uprzejmym ruchem głowy odmówiłem. Nalałem sobie za to więcej kawy i wypilem, na wypadek, gdyby uznał, że już starczy tego dobrego i czas ponownie zamienić się w Złego Glinę.

Zapalił i zaciągnął się z zadowoleniem. Zdaje się, że porzucił swój stary zwyczaj żucia tytoniu. Może tak u niego wyglądało przejście na coś zdrowszego.

Czekał, aż zacznę mówić, chcąc wypełnić czymś przerwę w rozmowie? W takim razie go rozczaruję.

Mowy nie było o tym, abym teraz się otworzył i zaczął mówić rzeczy, które wciągnęłyby mnie i Charliego w jeszcze głębszy dół. Przedziwne, ale świadomość, że w tym gównie był dla odmiany

261

ktoś jeszcze poza mną, dodała mi otuchy; wiedziałem, że Charlie myślałby podobnie. Nie zawiedzie mnie, a ja jego też nie.

- Wiesz ty co? - z ust Skurwiela wydobył się kłęb dymu - twoje tu pojawienie się ot tak po prostu z Chuckiem, to była duża niespodzianka. Ajakże, tę kartę trzymał głęboko w zanadru. Jak to się u was, chłopcy, odbywa - planujecie podzielić się pieniędzmi?

Przytaknąłem.

•Na pół.

- Niezły grosz... - zaczął ssać końcówkę cygara, tak jakby nagle nie mógł się zdecydować, czy tytoń żuć, czy palić.

- Uważam, że powinieneś wziąć więcej, Nick. Zdaje się, że wyciągając was obu z gówna, odwaliłeś lwią część roboty. Tak jest sprawiedliwie, jak to wy, Angole, mówicie. - Strzepnął centymetrowy słupek popiołu.  
- Rozumiem, że pomysł zrobienia tego na dwie ręce wyszedł od Chucka?

- No tak, inaczej nie dowiedziałbym się o robocie, prawda?

Nie wyglądało, aby wiedział cokolwiek o tańczących rączkach Charliego. Skurwiel wyjął oślinione cygaro z ust.

Jak jesteś wystarczająco długo w jakimś miejscu, dostrajasz się do niego. Każdy dom wydaje się na początku dziwny i obcy, ale już po półgodzinie można się poczuć w nim swobodnie.

Tak teraz ze mną jednak nie było; przyzwyczailem się jedynie do syku gazu i zapachu cygara.

**9**

Przyglądał się mojej twarzy, czekając, abym powiedział coś jeszcze.

Ja jednak nie zamierzałem uzupełniać luk w jego wiedzy, nie teraz, gdy nadal próbował zostać moim najlepszym przyjacielem. Może później, kiedy dojdziemy do tej strony w podręczniku z ilustracjami przedstawiającymi żelazne narzędzia i połamane kości - wtedy będzie odpowiednia chwila na wybełkotanie wystarczającej ilości bzdur, aby tylko utrzymać jego i jego gruzińskich koleśków na bezpieczną odległość.

- Czy Chuck powiedział ci, o co chodzi w tej robocie?

Odsunąłem kubek od siebie i skinąłem głową.

- Za dużo ludzi próbuje storpedować bezpieczeństwo rurociągu?
- Tak, w samej rzeczy. Ci Gruzini to jedna wielka banda skorumpowanych skurwysynów.
- Wysłał wielki uśmiech za moje plecy. - No i jak tam, kutasy?

Nadal uśmiechał się i kiwał głową w kierunku odzianych w skóry chłoptasiów za moimi plecami.

- Nie przejmuj się tymi dupkami, Nick. Hari i Kunzru nie ka-  
pują ani słowa. Są tak głupi, że nie potrafią nawet zawiązać sobie  
sznurowadeł. Czyż nie tak, skurczysuki?

263

Za plecami usłyszałem pomruki. Tak oto wyglądała jego własna wersja  
Partnerstwa dla Pokoju, i to mu się podobało. Pochylił się do przodu,  
zaciągając się ponownie.

- Z ciebie jest całkiem łośbski facet, Nick. Jestem przekona-  
ny, że chciałbyś tę przykrą sprawę zakończyć i jak najszybciej  
wrócić do domu. - Ściskając zębami cygaro poczęstował mnie  
najszerszym dotąd uśmiechem. - I w tym, bracie, całkowicie cię  
popieram. To moja ostatnia robota. Czeka na mnie słońce, plaża  
i rolowanie sobie cygar na śniadych udach panienek - rozumiesz,  
dlaczego tu jestem?

Machnął zamaszycie cygarem w moją stronę.

- Wiesz co, Nick? Powinienem był być bardziej ostrożny,  
spotykając się z Chuckiem, może wtedy nie wylądowalibyśmy  
w tej... sytuacji. - Przerwał na chwilę i spojrzał na mnie z konspi-  
racyjnym wyrazem twarzy. - Założę się, że te taśmy to był twój

pomysł, co? Równie dobry jak pomysł Charliego wzięcia sobie do roboty kogoś zaufanego. Niezli jesteście, naprawdę. - Wstał i ze szczerym podziwem potrząsnął głową.

Hari i Kunzru zaszurali mi za plecami z niecierpliwością. Usłyszałem trzask zapalanej zapalki i iskra siarki spadła mi na kark.

Skurwiel pogrzebał w kieszeniach i wydobyl mój granatowy paszport. Był nowiutki, wytłoczony orzeł USA na okładce błysnął złotem w świetle lampy.

- Obywatelem nie jesteś od dawna, prawda? -Nie.
- W czymś robisz, po stronie rządowej?
- Pracowałem dla firmy marketingowej. Załatwili mi obywatelstwo. Ale jakiś czas temu stałem się już niepotrzebny, więc wylądowałem tu z Charliem. Czy mogę go zobaczyć?
- Wszystko w swoim czasie. Jak się załapałeś na tego typu pracę? Jesteś byłym wojskowym? Wdepnąłeś na tego agenta tam w Anglii?

Nie było sensu kłamać. To jasne, że byłem kiedyś w armii, inaczej Charlie by mnie nie wynajął.

264

- Charliego i agenta znam z wojska. Charlie zapytał, czy nie chciałbym zarobić. Chciałem. Za dolara w dzisiejszych czasach się nie przeżyje, szczególnie, jak się przez jakiś czas nie zarabiało.

Przytaknął, nie wierząc w ani jedno moje słowo, przynajmniej w tej kwestii byliśmy kwita.

-Nick, mam problem i myślę, że możesz mi pomóc. - Oderwał kawałek

tytoniowego liścia z wargi i zaczął nieco zbyt uważnie przyglądać się mokrej końcówce cygara. - Chyba rozumiesz, że jestem troszkę zdenerwowany; Chuck mówi, że ma dwie taśmy nagrane podczas spotkań w hotelu. Ty zdaje się chciałeś też mi to powiedzieć, prawda?

Nie dał mi czasu na odpowiedź, zresztą i tak bym nie zamierzał mu jej udzielić.

- Mówi też, że to ty masz tę właśnie rzecz, z powodu której my... zrobił gest, jakbyśmy wszyscy jechali na jednym wozie  
- wszyscy znaleźliśmy się w tym pieprzonym kraju...

Udawałem kompletnego idiotę.

-Te papiery...

Co on mówił? Nie miał papierów?

- Widzisz, te dokumenty... no więc, ludzie dla których pracuję, naprawdę muszają dostać, obojętnie, co one zawierają. A taśmy? Znalazłbym się w wielce kłopotliwej sytuacji, gdyby ich zawartość wyszła na jaw... Popieprzyłoby to moje plany emerytalne.

Nie mogłem uwierzyć, żeby jakieś wideo, na którym ktoś wręcza komuś narzędzia znalezione później w bagażniku Baza, a potem rozmawia o samej robocie, mogło spieprzyć komuś plany, nie mówiąc już o planach na starość.

Zajaśniał uśmiechem chyba z mocą całego megawata. Jeśli nie będzie uważał, jego twarz może eksplodować.

- Potrzebuję, chłopaki, waszej pomocy, OK? No cóż, po prostu jesteście dla mnie za sprytni.

Złożywszy dłonie, w których nadal trzymał cygaro, wyciągnął się przez całą długość stołu. Ten uśmiech musiał go zabijać.

- Czemu nie załatwić wszystkiego jeszcze dziś, jutro z rana możemy być już w samolocie, zostawiając za sobą ten cały gówniany kraj?

Hari i Kunzru ponownie przestąpili z nogi na nogę, a ja przygotowałem się na najgorsze, i musiało to być widać. Skurwiel rozprężył się.

- Jeszcze się tymi typami nie musisz przejmować, synu. Proponuję proste rozwiązanie. No więc, Nick, co ty na to?

Nie powiedziałem nic. Choć starał się to dobrze ukryć, widać było, że sprawiło mu to przykrość. Pieprzę, ode mnie pomocy nie uzyska.

- Nick, musimy wszyscy stąd się zmywać. Ale jeśli będziesz mnie olewał, nie uczynię nic, aby powstrzymać tych dwóch od robienia tego, w czym są najlepsi. Nie mogę pozwolić, aby te rzeczy zaczęły cyrkulować, chyba rozumiesz, co?

Rozumiałem, i to dobrze. Rozumiałem, że był zaburzony. Co Charlie zrobił z taśmami i dokumentami? Jedyne miejsce, jakie mi przychodziło do głowy, zostało już sprawdzone za pomocą palca w wazelinie.

- Pozwól mi przegadać to z Charliem i zobaczyć, co o tym myśli.
- Już mi powiedział, że zrobi tak, jak ty zadecydujesz. Ja tu staram się tobie przemówić do rozsądku. Człowieku, pieprz go
- powinieneś zacząć myśleć o sobie. To ciebie pokazali w telewizji, to ciebie rozpoznano na cmentarzu. A on może sobie bimbać.
- Gardło kurczyło się Skurwielowi z frustracji. - Jesteś poszukiwany, Nick. Szukają cię wszyscy, nawet tacy, co wyszli z psem na spacer. A on? Nikt go nie zna, może sobie chodzić...

Wzrok jego robił się coraz bardziej przenikliwy, ale już było widać, że za chwilę facet pęknie. Jakby patrzeć na wulkan, który zaraz wybuchnie.

-Jestem twoją ostatnią furtką. Co możesz zrobić, gdzie możesz pójść bez mojej pomocy? Nie masz paszportu, nie masz szmalu. Tylko ja jeden stoję między tobą a tymi gruzińskimi skurwielami,

266

którzy tylko czekają, aby dać ci wycisk. I na to też mogę pozwolić. Nick, albo - albo.

Niewiele mu zostało w zanadrzu. Próbował już chwytu z dumą i pochwałą, próbował być naprawdę miły, ale teraz przechodził bezpośrednio do rozdziału pod tytułem „Uświadomić znikomość swojej osoby i beznadziejność sytuacji”, abym zrozumiał, że nie ma już dla mnie nadziei. Na razie jednak rozumiałem dobrze jedno: że Skurwiel wkraczał na terytorium, na którym czuł się bardziej komfortowo - w krainę totalnego skurwysyństwa. Nadal nie odpowiadałem.

- Skończyły ci się opcje, chłopie. W każdej chwili mogę oddać cię w łapy tych goryli, którzy zawiozą cię do Tbilisi i przekażą tym bydlakom, którzy mają czelność nazywać się w tym smutnym mieście policjantami... Mogę zrobić tak, albo inaczej.

Poklepał paszporty w kieszeni.

-Tkwisz w naprawdę głębokim gównie, przyjacielu, ale ja rzucam ci linę ratunkową. Mogę cię z niego wyciągnąć i staniesz się znowu prawowitym obywatelem. Już za chwilę skończą mi się pomysły, jak ci to wytłumaczyć - że jestem jedyną osobą, która może to dla ciebie zrobić.

Teraz próbował zachęcania, a potem pozostało mu tylko jedno miejsce, w które mógł pójść. Sama droga już się nam kończyła.

Pochyliłem się i zawiązałem sznurowadła. Nie chciałem ich pogubić w trakcie tego, co teraz niechybnie miało nastąpić. Następnie popatrzyłem na niego i skinąłem głową.

- Muszę porozmawiać z Charliem.

Poderwał się i walnął pięścią w stół, z którego poleciały kubki i termos. Nawet faceci za mną cofnęli się o krok.

- Ty chuju jebany! Chcę te dokumenty i te taśmy! Dawaj je i już. Twoją twarz pokazują wszystkie stacje telewizji... Siedzisz po szyję w gównie... Policja gruzińska żadna jest twojej krwi... Albo powiesz mi, gdzie one dokładnie są, albo osobiście wywołę kę z ciebie bebechy - słyszysz, szczeniaku?

267

Spuściłem oczy, zacisnąłem szczęki i czekałem na ciosy. Przyszła pora na rozdział „Wzbudzić strach”, i tak się działo, bo facet był do tego stworzony.

- Siedź prosto, bo cię sam posadzę - oparł knykcie o stół jak goryl, nozdrza mu drgały i świstały, gdy jego tłuste cielsko próbowało wciągnąć w siebie tlen, który podsyci wybuch.

Nachylił się ku mnie, brzuch mu falował.

- Za chwilę sprawy przybiorą bardzo bolesny obrót, synu. Nie dajesz mi wyboru.

- Pozwól mi porozmawiać z Charliem, wyjaśnić sprawy.

Odpowiedź była na poły krzykiem, na poły piskiem.

-Nie masz a b s o l u t n i e o czym z nim rozmawiać!

Słowa odbiły się echem od ścian, uniósł pięść. Wycelował we mnie paluch grubości kielbasy.

- O, jak ty mnie wkurwiasz, człowieku.

Ominął stolik, ja zaś naprężyłem wszystkie mięśnie, gotów na cios. Walnął mnie otwartą dłonią w bok głowy. Siła uderzenia posłała mnie prosto na ziemię.

W głowie zawirowało, przed oczami stanęły mi gwiazdy. Odruchowo skuliłem się w kłębek. Poczułem, jak pochyla się nade mną. Potwierdził to oddech przesycony zapachem cygara.

- Oddaj taśmy, oddaj papiery. Jestem wysoko ustosunkowany, nam kontakty z ludźmi w rządzie - oni mogą coś dla ciebie zrobić. Pomyśl tylko, dupku. Myśl o tym, a ja pojedę z powrotem do Yasiani i załagodzę kłopot, który przysporzyłeś armii. I wiesz ty, co? I to są dokładnie te same kontakty, które teraz ratują cię z opresji, masz więc szansę zrobić coś dobrego.

Minął mnie i ruszył w stronę drzwi. Rozluźniłem się i w sekundę później poczułem jego śmierdzący tytoniem oddech niespełna kilka centymetrów od twarzy.

- A ja? Ja wracam jutro do normalnego świata, sprawę więc muszę załatwić tak czy siak.

Wciągnął powietrze, aby się uspokoić.

268

- Jak wrócę, mają być taśmy i papiery. Inaczej tych dwóch wydrze ci je z trzewi, a potem spędzisz resztę swojego zasranego żywota w jaikimś gruzińskim śmierdzącym pierdlu.

Zniknął za moimi plecami.

- Wziąć sobie pieprzony wojskowy wóz? - zaśmiał się basem  
-1 to miało być sprytne?

Drzwi zamknęły się za nim. Musiał wychodząc, dać sygnał Hariemu i Kunzru. Złapali mnie każdy za rękę i poderwali na nogi. Jeden z nich wziął lampę i zostałem wypchnięty przez drugie drzwi na zarośnięty, otoczony murem teren na tyłach budynku.

Szliśmy błotnistą ścieżką. Zobaczyłem parę gwiazd wyglądających zza chmur i kolejny budynek o jakieś 15 metrów dalej.

Hari - albo Kunzru - mocował się z zardzewiałym rygłem w drzwiach. Gdy odskoczyły ze zgrzytem, usłyszałem w oddali jak startuje i odjeżdża samochód.

Wepchnięto mnie w ciemność, drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem, rygiel zaskoczył na miejsce.

Nie byłem w stanie zobaczyć nawet własnych rąk przed nosem. Usiadłem na twardej ziemi i próbowałem zebrać się do kupy. Ani krztyny światła. Słuchałem, jak Hari i Kunzru wrócili do ogrzanego propanem pomieszczenia i zatrzasnęli za sobą drzwi, aby nie wpuszczać zimna, które mnie zdążyło już przeniknąć na wskroś.

Obok mnie coś się ruszyło. Mało co nie wyskoczyłem ze skóry. A potem usłyszałem głos:

- Długo cię nie było, kutasie. Mam nadzieję, że masz te trzy funciaki, które mi jesteś winien.

CZEŚĆ

Taką ulgą było usłyszenie tego głosu, że aż wybuchnąłem śmiechem. Na czworakach wymacałem sobie drogę w stronę, skąd dobiegł.

- Ten tłusty jebaniec próbował wszystkiego - zachichotał Charlie - było więc brane i „Podsycanie dumy i samozadowolenia”, i „Zastraszenie”, wszystko, od A do Z.

Wiedziałem, że Charlie, bez względu na to, jak głęboko w gównie nadal tkwiliśmy, jest- podobnie jak ja- szczęśliwy, że znowujesteśmy razem. Oczywiście żaden z nas by się do tego nie przyznał. Jeśli to on nie zaczęłby żartować, zrobiłbym to ja.

- Za „Zastraszenie” dałem mu 8,5 punktu. Uważam, że bardziej do tego pasuje. - Usadowiłem się obok Charliego i zniżyłem głos. - Co się z nimi stało, do cholery?

-HF 51 KN.

•Co? Co ci się pieprzy?

•Wóz dyżurny. Wepchnąłem papiery pod tylne siedzenie. Przecież lepiej było schować i mieć nadzieję, że tam nadal są, niż wręczyć je Podgolonemu na złotym półmisku. Teraz pozostaje nam tylko jakoś się stąd wydobyć, znaleźć wóz i spożytkować to cholerstwo tak, aby móc wrócić do domu. Robimy tak, chłopcze?

•Pewnie, najbardziej podoba mi się kawałek o wydobyciu się stąd.

273

Żartował, owszem, ale miał rację. Cholera wie, co zawierały te dokumenty, ale jedno było pewne - i Skurwiel to potwierdził - każdy uczestnik tej gonitwy bardzo chciał na nich położyć łapę. Ja byłem osobą poszukiwaną i wyglądało na to, że dzięki tym papierom nią być przestanę. Taśmy też nam nie zaszkodzą i jeśli Skurwiel rzeczywiście miał przyjaciół

wśród gruzińskiej wier-chuszki oraz coś do powiedzenia w obozie W Vasiani, wszystko razem może stanowić dla nas wyjście.

- Nazywa się Bastendorf, pamiętasz go i Waco? Przeżywaliśmy go Skurwielem. Dowodził komórką operacyjno-taktyczną Alfa.
- Ksywa mi się nawet podoba, ale ja nie miałem zbyt dużo z nimi do czynienia. Takiego to pewnie trudno nie zapamiętać, co? Rozpoznał cię?
- Nie, ale wolałbym być daleko stąd, gdy do tego dojdzie. Pojechał z powrotem, do obozu. Jeśli przeszukali samochód i znaleźli rzeczy, to po nas. Zresztą Skurwiel i jego kołesie chcieli cię widzieć martwego już od początku.

• Zauważyłeś, czy tych dwóch ma broń?

- Nie, ale raczej trzeba założyć, że są uzbrojeni. - Charlie zatarł ręce. - No, to co powiesz na zawołanie ich po prostu i spróbowanie, czy się uda? Wóz odjechał, przynajmniej jednego mniej.

Oparłem głowę o kamienną, chropowatą ścianę. Miał rację, im dłużej tu siedzieliśmy, tym mniejsze stawały się nasze szanse.

- Czyli tylko Hari i Kunzru, wpatrzeni w mydlaną operę, mówisz... jak się mają twoje ręce? Tańczą jak na balu, czy gotowe do akcji?
- Zdrowiutkie jak rydze - klasnął. Jak gdyby było to dowodem na cokolwiek.
- Wyprowadzamy się więc stąd, czy jak?

- Tak, ale nie tak jak sobie wyobrażasz. Cholera, przecież to istne „Mission: impossible”. Zacznijmy od rzeczy najprostszych.

Zaczęliśmy macać wzdłuż ścian w poszukiwaniu innych drzwi albo jakiegoś zablokowanego okna. Dotarliśmy do głównych

drzwi, nie znalazłszy niczego takiego. Pchnąłem drzwi od góry i od dołu, opór stawiały jedynie pośrodku, ale za to porządny. Trzeba tu było paru silnych ramion, aby je wyważyć.

Przyłożyłem ucho do drzwi, lecz nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Przejechałem dłonią po ścianie po obu stronach framugi i natknąłem się na jeden wystający kamień. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł.

Złapałem Charliego za ubranie.

- Pamiętasz tego Ćpuna w Kolumbii? To może być to.
- A niech cię, z ciebie nie tylko zgrabna dupka ...

Na czworakach poczęliśmy przeszukiwać ziemię w poszukiwaniu luźnych kamieni. Aby to zadziałało, każdy z nas potrzebował dwóch, na tyle dużych, aby wypełniały dłoń.

Najlepiej, aby były wielkości cegły.

## 2

W latach osiemdziesiątych w Kolumbii braliśmy z Charliem udział w działaniach „Pierwsze uderzenie”, na których pomysł wpadli Thatcher i Reagan. SAS wysłano tam w roli doradców, mających pomagać w odnajdywaniu w puszczy oraz niszczeniu plantacji roślin, z których tamtejsze kartele produkowały narkotyki.

Patrowaliśmy podejrzone okolice, organizując punkty obserwacyjne, planując akcje. Nie mieliśmy sami przeprowadzać ataków, politycy nie wiedzieliby potem, jak to ugryźć. Naszym zadaniem było jedynie pomagać i wspierać, zwykle przydzielano jednego z nas dziesięciu miejscowym

policjantom z wydziału antynarkotykowego .

Za każdym razem, gdy daliśmy lekko po łapach łotrom, od razu było o tym w mediach, politycy jublowali, my zaś wracaliśmy w cień i mieliśmy swoją przerwę na kawę. Te bubki nigdy nie były uprzednio informowane o akcji. Korupcja była tak wielka, że jeśli by się zameldowało o takiej plantacji, wszyscy wyparowaliby z niej w czasie krótszym, niż potrzebny jest na wciągnięcie do nosa dwóch porcji kokainy.

Tak czy inaczej, śmigłowce bojowe często przelatywały nad celem, aby nas zabrać. Nie potrzebowały więc już rozciągać chłopcom z Cali i Medellin transparentu, nawołującego do wzięcia nóg za pas.

276

W dniu, w którym spotkaliśmy faceta, którego nazwaliśmy Ćpunem, miała miejsce operacja, która przebiegła równie chaotycznie co zwykle. Większość policjantów żuła liście koki, owinięte wokół kostki cukru, w ciągłym strachu przed byciem ostrzelanym. W razie ataku tylko połowa z nich nadawałaby się do czegoś, reszta skamlałaby tylko jak psy do Księżyca. Zwykle po takich atakach nie zbieraliśmy zbyt wielu więźniów. Przeciwnicy odpowiadali ogniem, czasami ginęli, co nam zupełnie nie przeszkadzało. Ale tego razu jeden z nich wpadł nam dosłownie w ręce, ponieważ zbyt hojnie poczęstował się porcyjką produktu. Był na takim haju, że nie wiedział, czy jest w dżungli, czy na pierwszym załogowym statku kosmicznym na Marsa.

Oczekując na przybycie całego cyrku, wsadziliśmy go do jednej z „fabryk”, czyli podłużnej szopy z drewna i blachy falistej z długimi korytami, w których układało się kokę i przerabiało na masę. Na bezpieczne miejsce odosobnienia zbyt mało się nadawała; to w którym

my się teraz znajdowaliśmy, było lepsze.

Zaćpany do nieprzytomności, był na tyle sprytny, aby w każdą rękę złapać po kamieniu. Wymachując jak szalony rękami, wyrwał się z szopy i rzucił do ucieczki w las, zwalając z nóg każdego, kto mu się nawinął.

Nas czterech z Pułku siedziało sobie wkoło i gotowało herbatę, przyglądając się, jak policja przetrząsała pracujące na generator lodówki tudzież portfele zabitych.

Waląc po głowach, świrus zdążył położyć trzy osoby, zanim policja dała sobie spokój z aresztowaniem i zatrzymała go na zawsze kalibrem 7.62 milimetrów. Zastosowana przez niego mieszanka agresji i zaskoczenia zadziałała. Gdyby nie był tak odmóżdżony, pewnie udałoby mu się uciec.

Grzebaliśmy wokół siebie jeszcze chwilę, ale szukać nam nie trzeba było długo. Ściany były w fatalnym stanie, zaprawa murarska puściła w wielu miejscach. Wkrótce obaj dzierżyliśmy w każdej ręce po kanciastym kamieniu. Znalazłem po omacku drzwi i zbadałem je po stronie z zamkiem, wyobrażając sobie, jak

277

je atakuję. Mogłem uszkodzić sobie bark. Charlie ustawił się na lewo ode mnie.

- Spróbuję pierwszy, staruszk. - Wyciągnąłem w ciemności rękę i odsunąłem go na bok.
- Trzy, cztery razy, potem twoja kolej. Jak tylko się wydostaniemy na zewnątrz i nikt nas nie zatrzyma, trzeba nam będzie przesadzić mur, potem się zobaczy. Gdybyśmy się rozdzielili, czekajmy na siebie pod Marriottem każdego wieczoru, w okolicy tego przystanku autobusowego. Czekaj godzinę między dziewiątą a dziesiątą. Jak przez

trzy dni nie dojdzie do spotkania, wtedy każdy działa na własną rękę.

OK?

- Dobra - odparł - przestań teraz dziamgać i bierz się za robotę.
- Słuchaj... - wiedziałem, że w tej chwili nie było rzeczą bezpieczną rozczulać się, ale chciałem, żeby ten stary dziad był pewien jednej rzeczy- zanim to wszystko pierdyknie, muszę to powiedzieć... dzięki, że zostałeś ze mną. Byłeś kompletnym idiotą, że nie chciałeś łapać tego samolotu, niemniej - dzięki.
- Odplacasz się za to, co powiedziałem na cmentarzu? Ja wiem, że jestem dobrym człowiekiem, ale teraz się zamknij i rób to, co masz robić, bo jeszcze zaprosisz tu Hari i Kunzru, aby przyłączyli się do wspólnego uścisku pojednania.

Przyłożyłem pięść do prawej strony drzwi. Stałem od nich w odległości jednego kroku. Cofnąłem się o jeszcze dwa, starając się nie zboczyć. Wcale nie miałem ochoty atakować kamiennej ściany, albo uderzyć w drzwi po skosie. Charliego by to tylko rozbawiło, ale ja pewnie zniszczyłbym sobie bark.

Dwa, trzy głębokie oddechy, opuściłem prawe ramię i zaatakowałem. Łomot, jaki się rozległ, musiało być słychać w samym Tbilisi. Zachwiałem się. Czuję się, jakby uderzył we mnie samochód.

- Dawaj, kończ to, rusz się - krzyczał na mnie Charlie - wszystko słychać, przestań się babrać.

Zrobiłem trzy kroki do tyłu, zamknąłem oczy i ruszyłem ponownie.

Zabolało jak cholera, ale drzwi się ruszyły. Charlie był tuż przed moim nosem, obryzgując mnie śliną. -1 jeszcze raz, jeszcze raz! Dawaj, dawaj!

Trzy kroki wstecz i następne łubudu. Drzwi przesunęły się jeszcze odrobinę, a ja osunąłem się na ziemię z bólu. Przetoczyłem się na prawo, robiąc mu miejsce.

- Teraz ty!

Rąbnął w drzwi, a one natychmiast ustąpiły. Zanim poddał się rygiel, puściły zawiasy.

Wstałem, ból w barku i plecach tłumiła pompowana przez organizm adrenalina. Upadliśmy raczej, niż wyszliśmy na zarośnięte podwórze.

Światło dwóch lampek zatańczyło w ciemnościach, gdy Hari i Kunzru wyskoczyli jak oparzeni z domku. Zacząłem biec w ich kierunku, wymachując rękami jak opętany.

Zbliżyliśmy się do siebie i straciłem Charliego z oczu, gdy ten zabrał się za pierwszego z nich. Drugi oberwał zawartością mojej lewej dłoni w kark, a może w obojczyk, wszystko jedno, nie interesowało mnie, w które dokładnie miejsce. Krzyknął, gdy kamień w mojej prawej ręce trafił go w twarz. Wypuścił lampkę, a mi udało się walnąć go jeszcze w ramię od tyłu, zanim nie runął w błoto.

Machałem dalej. Musiałem być w ruchu, zadawać ciosy. Moje ramiona latały jak u boksera na amfetaminie.

Poczułem, że jakaś ręka łapie mnie za nogę i odkopałem ją. Obydwoma kamieniami uderzyłem leżącego w kark. Lampka od-toczyła się, rzucając widmowe cienie na mur.

- Cholera, Nick... - w głosie Charliego był ból.

Leżał obok nieruchomego ciała, próbując wstać, lecz lewa noga odmawiała mu posłuszeństwa. Krwi żadnej nie zauważyłem, ale to nic nie znaczyło. Facet u moich stóp skręcał się z bólu, zbyt zajęty swoją

kontuzją, aby interesować się nami.

- Zobacz, czy twój nie ma przy sobie kluczy! - zawołałem do Charliego. - Klucze! Klucze! Pieniądze, cokolwiek!

Zapуściłem rękę w kieszenie skórzanej kurtki mojego delikwenta i znalazłem portfel, legitymację ze zdjęciem, na biodrze pustą kaburę, jakieś drobne oraz klucze do jego domu.

Charlie miał więcej szczęścia.

279

-Mam je! Mam je!

Wziąłem lampę i gotówkę, i pomacałem wokół w poszukiwaniu broni. Był to rewolwer, nie pierwszej młodości, nadal jednak mógł wyrzucić krzywdę temu, w którego by się z niego wycelowało. Włożyłem go sobie do kurtki i pobiegłem do Charliego. Próbował podciągnąć się pod ścianę.

- Klucze, gdzie masz klucze?

Zabrałem je, zarzuciłem sobie jego lewą rękę na ramię i zaciągnąłem go do domku.

Wyraźnie przeszkodziliśmy w przytulnym wieczorze. W radio leciała gruzińska lista przebojów, na stoliku stały parujące kubki oraz akumulator samochodowy z zestawem kabli. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, aby zrozumieć, czym chłopcy zamierzali się potem rozerwać. Charlie sięgnął po picie.

- Stój, nie!

Przelał oba kubki do pustego termosu i ruszyliśmy prosto w stronę lady. Nie była zamknięta.

Pomogłem Charliemu zająć miejsce na fotelu z przodu, sam wskoczyłem za kierownicę. Już po chwili zdobywałem niezłe punkty, starając się

zawrócić na drogę.

Łapiąc oddech, Charlie otworzył schowek i sprawdził, czy nie ma w nim czegoś przydatnego.

Spojrzałem na niego.

- Co się stało?

Charlie zaśmiał się bez przekonania.

- Poślizgnąłem się na kamieniach, nie do uwierzenia. Skręciłem nogę w kostce.
- Jakoś to będzie. Masz jakieś pieniądze? Broń?
- I pieniądze, i broń - zmarszczył nos - o, kurwa, jak ja nie znoszę zapachu mokrego psa.

### 3

Gdy tylko dotarliśmy do asfaltu, dałem do dechy, silnik łady odpowiedział okropnym hałasem, zanim zdecydował się na reakcję. Po chwili strzałka na szybkościomierzu zatoczyła prawie koło. Nie uważałem, abyśmy jechali o wiele szybciej, ale dodało nam to otuchy.

Charlie włączył światło, aby przyjrzeć się nieźle poranionej lewej dłoni. Wbiły mu się w nią chyba odpryski kamienia; niewiele mógł teraz zrobić, przyłożył ją tylko do uda, aby był jakiś ucisk. Prawą ręką otworzył portfel, który mu rzuciłem, i wydobyl pieniądze oraz legitymację.

- Popatrz tu na tego basiora.

Legitymacja należała do Hari Tugushi. Spinaczami, bukwami i po angielsku stwierdzała, że był pracownikiem rządowym.

Charlie otworzył okno i wyrzucił portfel w ciemność nocy. Wkrótce

powędrował za nim portfel Kunzru, ale najpierw skosztowaliśmy kawy, uważając, żeby jej nie rozlać w rozdygotanej pędem ładzie.

- Widziałeś ten akumulator?
- Mm... - wolałem o tym za dużo nie myśleć.
- Nie chciałbyś mieć tych drutów przyczepionych do jaj, co? -Nie.

281

- Z moimi nie daliby rady, te klemy były o wiele za małe, aby je objęły.

Uśmiechnąłem się do niego.

-Ale to daje do myślenia, no nie? Ci faceci nie żartowali. Gdyby im się udało, nigdy byś już nie zobaczył Hazel ani wnuków.

- Idealne by to nie było, zgoda - wzdrygnął się - ale pamiętaj, że i tak jestem już martwy. Ale ty to co innego.

Przerwał na chwilę.

- Nie trać jednak czasu na marzenia o tej twojej małej głuptasce, powinieneś pomyśleć, jak się wydostać za granicę. Masz teraz świetną okazję, aby pokazać całemu światu, czego się nauczyłeś od mistrza.
- No właśnie... - zawahałem się - niepokoję się. Myślę o niej. Pierwszy raz w życiu coś takiego mnie męczy. A ty miałeś tak przez całe życie, prawda?

Zawiercił się na fotelu.

- Do wszystkich diabłów, nie mów mi, że zamierzasz przyłączyć się w końcu do reszty ludzkości!
- Jak ty sobie z tym radziłeś? No wiesz, z tym „co ja tu robię, do cholery? Wolałbym przecież siedzieć w domu i robić nie wiem co, kosić

trawę albo szukać kota lub coś w podobnym stylu"?

- Zawsze chodziło o zachowanie balansu. Czyli znalezienie kogoś takiego jak Hazel, kogoś, kto rozumiałby, co się kotłuje w tym moim głupim łbie i był skłonny żyć z tym. Ale to jest partnerstwo, chłopcze, i to jest jeden z powodów, dlaczego jest teraz na mnie nieźle wkurzona. Sądziła, że po tych wszystkich latach, tak jak i ja, odrobiła już swoje. Spojrzał ponownie na krwawiącą rękę.

-Ale ten pieprzony ogier na padoku, Nick, to mnie przywaliło. A gdy te cholerne łapska zaczęły się zachowywać, jakby miały własne życie... no cóż, tym razem musiałem zrobić to bez jej wiedzy. Jeśli wiesz, że takie kobiety rozumieją, co jest grane, nawet jeśli są temu przeciwne, to trafiając w gówno, o takie jak Hazel nie musisz się martwić. Wiesz, że liczą na to, że będziesz główko-

282

wał, aby się z gówna wydostać i wrócić do domu... - westchnął - coś z tego kapujesz? Przytaknąłem.

- Myślę, że tak.

-To dobrze. I zakonotuj to sobie, chłopcze. Jeszcze jedna rzecz, której dowiedziałeś się od mistrza.

Doliną musieliśmy jechać jakieś 20 minut, następnie silnik łady zarządził i poczęliśmy wspinać się pod górę. Gdy zbliżyliśmy się do szczytu, wyłączyłem światła, mając nadzieję, że po drugiej stronie nie zobaczą świateł punktu kontrolnego.

Gorzej. O niecały kilometr od nas jaśniało duże skupisko świateł - amerykańskich - oświetlające rzędy dwudziestoosobowych namiotów i

baraków. Kilka kilometrów dalej, na wzniesieniu, widniało mniejsze jasne skupisko. To należało do Rosjan.

- Vasiani - wymamrotałem. - Przynajmniej wiadomo, gdzie jesteśmy.

Charlie oderwał wzrok od swoich ran.

- Chyba na razie musimy zapomnieć o Turcji. Trzeba odzyskać te rzeczy - wskazał głową światła - próbować się tam dostać i poszukać wozu byłoby teraz samobójstwem. Zróbmy to jutro. Przynajmniej będzie widać, gdzie jest. Niech to cholerstwo samo do nas przyjdzie.
- Myślisz, że wóz będzie z powrotem na chodzie?
- Oczywiście, przecież takie coś spokojnie mnie przeżyje. Mechanicy dawno już wymienili opony i naprawili szkody. Nie zapominaj, że to wojsko. Przecież nie czekają na przybycie ekipy dochodzeniowej. Miał rację. To był samochód dyżurny i już. Każdy pojazd miał swoje konkretne przeznaczenie; to, że akurat ten pojeździł sobie trochę po terenie, nie powinno niczego zmienić. W końcu był wozem terenowym.

Charlie patrzył w dół.

- Powiedział ci, że jutro wyjeżdża?

283

- Tak, chyba z próżności.
- Może tak, może nie. Ja też bym na jego miejscu chciał szybko się zmyć, wiedząc, że nie panuję nad tym czymś, co o ile nam wiadomo, znajduje się teraz w stodziesiątce. A ty byś nie chciał?

Odwrócił się do mnie i mogłem zobaczyć fragment jego twarzy w poświacie doliny.

- Łatwo nam nie pójdzie, jeszcze jeden powód, aby jechać na lotnisko, no nie?

Na horyzoncie pojawiły się dwa albo trzy światła samochodów, poruszających się wewnątrz obozu. Jeden z nich odłączył się od reszty i jechał w kierunku głównej bramy.

- Trzeba założyć, że ci dwaj mieli telefony, Charlie. Musimy minąć albo Rosjan, albo punkt kontrolny. A może chcesz po prostu stąd spadać na przełaj? Nawet dla ciebie byłoby to korzystniejsze.

Charlie oparł ręce o tablicę rozdzielczą, rozmazując po niej krew, i zaczął kiwać się do przodu i do tyłu w tej niezbyt poważnej próbie dodania gazu ładzie. Zauważył mój wyraz twarzy.

- Rosjan. Musimy. Nie mam zamiaru przez całą noc telepać się po tych wertepach albo natknąć się na tego wojaka z punktu kontrolnego, którego tak zgnoilem.

Dodałem gazu. Wóz miał tak znikome przyśpieszenie, że kiwanie się Charliego naprawdę chyba mu pomagało.

- No to chyba wszystko wiadomo - nie ma co jechać tam, gdzie żadna łada nie dała rady.

Zmieniłem bieg na trzeci, mając nadzieję, że łada nie straci prędkości. Silnik zawył, ale to wszystko. Przesunąłem dźwignię biegów z powrotem na czwórkę.

Wyteżalem oczy, wypatrując dziur w nawierzchni. Reflektory łady wiele nie dawały - nawet długie światła oświetlały jedynie niecały metr drogi. Zjazd w prawo był tuż-tuż. Z góry szybko zbliżała się ku nam inna para światel. Jeśli nie miniemy skrzyżowania pierwsi, drugie auto odetnie nam drogę.

- Dawaj, jedź dalej! - Charlie huśtał się, jak gdyby dostał ja  
kiegoś napadu.

284

Poza trzymaniem prosto kierownicy i przyciskaniem pedału gazu do oporu niewiele więcej mogłem zrobić.

Gdy dotarliśmy do skrzyżowania, silnik znajdował się w stanie przedzawałowym. Światła drugiego wozu były o jakieś 400 metrów od nas, bezpośrednio po prawej stronie.

- Jedź dalej, chłopcze! Dawaj! - z ust Charliego aż tryskała ślina.

Gdy zaczęliśmy podjeżdżać pod górę, silnik zajęczał ponownie. Stromo wcale nie było, ale dla niego widocznie już tak.

Samochód dygocząc, wspinał się po nierównym asfalcie, a ja szarpałem kierownicą, próbując omijać co większe dziury w drodze.

- Właśnie, tylko tak dalej...

Drugi samochód dotarł do skrzyżowania i skręcił za nami. Już po chwili odległość między nami zaczęła się zmniejszać.

Światła obozu rosyjskiego były o niecały kilometr przed nami. Próbując coś jeszcze wycisnąć z tego grata, zmieniłem bieg na trójkę, twarz miałem prawie przyklejoną do szyby, aby widzieć, dokąd jadę.

Charlie sprawdził, co dzieje się za nami.

- Za chwilę siądą nam na ogonie, chłopcze, ciśnij ten gaz, ciśnij.

Tak jakby trzeba było mi to jeszcze mówić. Na czwórkę.

Silnik zaskowytał.

Światła Rosjan były coraz bliżej, ale i stromizna też rosła. Traciliśmy

prędkość. Trójka. Pyknięcie, zwalniamy nadal. Na dwójkę. Aż podskoczyliśmy obaj, gdy skrzynia biegów zajęczała, a silnik zawył.

- Nick, to jest pajero! To musi być Skurwiel!

Dokładnie w tej samej chwili światła 4x4 wtargnęły do wnętrza łady i poczuliśmy pierwsze popchnięcie. Szczerze mówiąc, dodało to nam nawet przyśpieszenia.

- Skurwiel? Na pewno?

285

-A czy to, kurwa, nie wszystko jedno? - Charlie nadal wykręcał się do tyłu. - Trzymaj po prostu nogę na gazie!

Kolejne uderzenie w tył. Następne popchnięcie do przodu. Jeśli to Skurwiel, może obejdzie się bez udziału śmigłowców. Wtedy szło o skradziony wóz, nie o jego szemrane interesy.

Obóz Rosjan już niedaleko, może o 400 metrów. Następne uderzenie przyszło w bok. Tył łady odskoczył w prawo. Mogłem jedynie trzymać przednie koła prosto i dociskać pedał gazu do podłogi.

Tył samochodu odbił w prawo, kręciłem kierownicą jak wariat.

- Wycofuje się, Nick, on się wycofuje. Dobra robota, chłopcze, trzymaj tylko równo te pieprzone koła.

Dojeżdżaliśmy do ogrodzenia rosyjskiego obozu. Spojrzałem we wsteczne lusterko. Charlie miał rację, światła wozu oddalały się. Ktokolwiek to by nie był, wysprzęglił teraz z całej tej zabawy. Charlie sprawdził po raz ostatni sytuację za nami, po czym rozluźnił się i usiadł wygodniej.

Flaga Federacji łopotała wysoko nad skąpaną w świetle główną bramą. Czterech młodych wartowników przyjrzało nam się ze swoich stanowisk i

poczęło zabierać się za tradycyjne rosyjskie powitanie. Byli w mundurach maskujących i w hełmach, karabiny automatyczne zawieszono im na piersiach. Gdy pomachaliśmy do nich radośnie, wgapili się w nas z pewną dozą zmieszania.

- Może powinniśmy się zatrzymać - powiedział ze śmiechem Charlie - któryś z nich może chciałby od nas kupić tę ładę.
- Możesz mu ją, stary idioto, zapisać w spadku. - Światła obu obozów zniknęły i zaczęliśmy zjeżdżać w dół. - Chyba muszę cię jak najszybciej odstawić do domu.

4 Poniedziałek, 2 maja

W ciągu godziny od pierwszego lotu kolejka taksówek przed terminalem niewiele się ruszyła. Jeśli jakaś z przodu odjeżdżała, kierowcy ustawieni za nią nie włączali silników, aby podjechać do przodu, tylko wysiadali i przytrzymując kierownicę, przetaczali wóz.

Obserwowałem wejście do terminalu z drugiej strony ulicy. Siedziałem na betonie za trzema budami sprzedawców, między przepelnionymi kontenerami na śmieci a czterema porzuconymi autobusami, na niewielkim, pełnym dziur parkingu. Zamaskowałem się porządnie: na głowie miałem czarną wełnianą czap-kę-uszatkę, znalezioną w bagażniku w ładzie, pachniała, jakby nosił ją jakiś mokry bloodhund. Opuszczone klapki na uszy do takowego mnie zresztą upodabniały, ale przynajmniej pozwalały ukryć twarz.

Niebiesko-biali patrolowali okolicę co parę minut, jeden z ich samochodów stał teraz przy budach. Gliniarze w środku raczyli się kawą i palili papierosy.

Władowaliśmy się z Charliem w istną paszczę lwa, ale innej drogi nie było. Jediną szansą na odzyskanie taśm i dokumentów było dostanie się do tego dyżurnego wozu. Wiedzieliśmy, że są jedynie dwa stałe miejsca, w których może się znajdować: obóz i lotnisko.

287

Oczywiście moglibyśmy próbować zamachać nań na drodze, ale regulamin zwykle zabrania takiego zatrzymywania się, a po numerze, jaki wycięliśmy wczoraj, każdy szofer będzie wyjątkowo czujny. Porwanie nie wchodziło w rachubę; trzeba dobrze widzieć niezły odcinek drogi, tak aby na czas zidentyfikować pojazd, a to z kolei wyklucza wybór ustronnego miejsca na sam atak. Obecny plan nie był idealny, ale tylko taki mieliśmy.

Spojrzałem na Baby-G. Minęła ósma. Charlie zadekował się w terminalu już jakieś dziesięć minut temu. Musiał trzymać przody, ja nie mogłem ryzykować bycia rozpoznanym.

Pomysł był prosty: wóz pojawia się, aby kogoś odebrać albo przywieźć, Charlie widzi go przez szybę, wychodzi, porywa go i wjeżdża na parking za moimi plecami. Wskakuję i gnamy w stronę granicy. Tym razem Charlie nie zamierzał bawić się w rozkazywanie, tylko polegać na broni. Miał przy sobie niewielkiego makarowa kalibru 9 mm, podobnego do tego, który James Bond miał zwyczaj zabierać ze sobą na proszoną kolację.

Zakładając, że nie będzie żadnych opóźnień, wszystkie samoloty za granicę powinny odlecieć do południa. Gdyby w jeden z nich wsiadł Skurwiel, sprawiłoby to nam niemałą radość, nawet gdyby stodziesiątka się nie pojawiła.

Przerobiliśmy mnóstwo „co będzie, gdy”. Co się stanie, gdy pojawi się, zanim przyjedzie stodziesiątka? Bylibyśmy zmuszeni przytrzymać go do

czasu pojawienia się wozu i użyć go w celu wydobywania rzeczy. A co będzie, gdy Skurwiel pojawi się po sto -dziesiątce? No cóż, tego się nigdy nie dowiemy, ponieważ nas tu już nie będzie, chyba że Charliemu uda się dowiedzieć, którym samolotem będzie leciał.

Stanęło na tym, że będzie jak będzie, inaczej siedzielibyśmy tak i rozpatrywali tysiące innych opcji jeszcze do następnej środy. Co tam, trzeba po prostu zrobić to, co się da i zmykać stąd.

Mój rewolwer również był rosyjski i wyglądał, jakby był w użyciu jeszcze w czasie wojen krymskich. Wielką dla mnie radością był fakt, że w magazynku nadal tkwiło siedem wielkich

288

naboi kalibru 7.62. A ponieważ nasz plan śmierdział gorzej niż te psie koce, była to jedyna rzecz, która mnie na razie cieszyła.

Oparłem się o kontener i rozprostowałem nogi, wsuwając je pod kontener stojący naprzeciw. Faceci w niebiesko-białych wozach skończyli pić kawkę i odjechali. Wyciągnąłem szyję, aby zobaczyć, co dzieje się pod terminalem. Właśnie ustawiono tam dwóch kolejnych policjantów. Po wczorajszych wydarzeniach wyraźnie się zaktywizowali.

Porzuciwszy ładę w mieście około piątej rano, schowaliśmy się i poczekaliśmy, aż miasto ożywi się trochę, zanim wzięliśmy taksówkę. Okazało się, że Hari i Kunzru mieli w portfelach razem licząc 127 lari - około 70 dolarów. Taksówka kosztowała około 10 lari, resztę zatrzymał Charlie. Będzie potrzebował posmarować komuś łapę, aby dowiedzieć się, czy nasz najlepszy przyjaciel Jimmy Bastendorf jest na liście pasażerów, odlatujących dzisiaj. Charlie chce mu bowiem urządzić urodzinową niespodziankę, jak wróci do domu, ale nie wie, czy on odlatuje dziś, czy

jutro. W tak biednym kraju jak ten możesz wiele załatwić nawet przy pomocy drobniaków.

Przed terminalem zatrzymał się pokryty rdzą i brudem żółty autobus, wyrzucający z siebie ciężką chmurę spalin. Większość wysiadających wyglądała na robotników, pracujących na lotnisku, ale było wśród nich paru z aktówkami. Lotnisko budziło się do życia.

Z dymu wyłonił się Charlie - biegł przez ulicę jak jakiś Długi John Silver. Gdy się rozstawaliśmy, ręce miał w porządku, choć obolałe i poranione, ale kostka spuchła mu jak balon, mimo że próbowałem owinąć ją pasami urwanymi z koca.

Charlie miał ze sobą gazetę.

- Mamy go! Skurwiel odlatuje do Wiednia - cisnął w moją stronę gazetę, która wylądowała między kontenerami i pokuśtykał dalej, rzucając na odchodnym: - A oto złe wieści.

Charlie musiał teraz zatoczyć koło, udawać, że szuka czegoś na parking. Nikt przecież nie wychodzi z lotniska, przechodzi przez jezdnię, po czym po paru sekundach po prostu wraca.

289

Podczołgałem się po gazetę i wróciłem na swoje miejsce, skąd -jeśli miałyby się coś dziać - miałem dobry widok. Chciałbym na przykład wiedzieć, czy przypadkiem pod terminal nie podjeżdża dziesięć policyjnych wozów i nie zwija Charliego.

Podrzucił mi egzemplarz angielskojęzycznej „Georgian Times”. W środku była duża tabliczka czekolady. Rozerwałem opakowanie i wsadziłem kawałek czekolady do ust, ale stanęła mi ona w gardle, gdy zobaczyłem, co jest na pierwszej stronie.

Większą jej część zajmowało niewyraźne zdjęcie podwórka domu Baza. „Morderstwo Nieskazitelnego!” krzyczał wielki nagłówek.

Reszta traktowała o okrutnym mordzie dokonanym na naj-uczciwszym, nieskorumpowanym urzędniku państwowym, jakiego ten kraj kiedykolwiek widział. To nie był ten sam obraz, który roztoczył przed nami Skurwiel, ale nie ma się co dziwić.

Siła niosąca dobro oraz sprawiedliwość została z zimną krwią zniszczona - biadoliła gazeta. Któż targnął się na tak nikczemny czyn? Można by podejrzenie kierować w wiele miejsc, wszystkich tych nasz kraj powinien pozbyć się jak raka.

Dalej w gazecie pisano, że już od tygodni na murze otaczającym dom Nieskazitelnego Zuraba Bazgadze pojawiały się napisy ostrzegające go przed dalszą walką z korupcją na wszystkich szczeblach rządowych. W naszym drańskim kraju wiele słów źle się kojarzy - są to słowa takie jak „minister”, „bojownik”, „biznes”, „prywatyzacja”, „rurociąg” i „ropa naftowa” .

Zdaje się, że dla nich wszystkich Baz był jak bolesna zadra.

Charlie nie wracał ze swojej rundki. Czytałem dalej i czułem w szyi pulsującą krew.

Dwa pozostałe ciała w domu Baza zidentyfikowano jako członków bojówki, która odpowiedzialna była za ostatnie oblężenie w Kazbegi. Ale kim byli dwaj pozostali, z których jeden był zamaskowany, i których zarejestrowały kamery przemysłowe? Czy znajdowali się teraz w posiadaniu oświadczenia, które Nieskazitelnny miał złożyć pod przysięgą przed kamerami „60 Minu-

tes", odsłaniając szerzącą się w zastraszającym stopniu korupcję w gruzińskich władzach i w biznesie?

Według źródeł policyjnych, w domu Bazgadze znaleziono otwarty sejf, kamera uchwyciła także moment, w którym zamaskowany mężczyzna zabiera z kieszeni nieżywego bojownika teczkę z dokumentami. Jeśli teczka rzeczywiście zawierała owo oświadczenie, na które czekano w „60 Minutes”, jego zawartość musiała być wysoce niewygodna dla rządu, szczególnie że program miał pojawić się na antenie w przeddzień oczekiwanej wizyty prezydenta George'a W. Busha.

Siedziałem, pojadałem czekoladę i w głowie kłębiło mi się od myśli. Dobrzy ludzie przegrywają - żadna to nowość - ale co robili ci bojownicy w domu Baza?

I zrobiło się jeszcze gorzej. Wewnątrz gazeta była pełna mapek i zdjęć.

**PO TROPIE MORDERCY: SAMOCHÓD NIESKAZITELNEGO  
ODNALEZIONY W BOCZNEJ ULICZCE TBILISI - ZE  
WSTRZĄSAJĄCĄ ZAWARTOŚCIĄ**

Gdyby nie fakt, że wizerunek mojej twarzy poniżej był istnym dziełem artysty, chyba bym się roześmiał.

Po nim następowało zdjęcie audi z otwartym bagażnikiem. Świadkowie widzieli dwóch mężczyzn wjeżdżających nim na cmentarz i wkładających ciało do środka. Wszystko inne było już tylko „ponurą spekulacją”.

Starczy. Złożyłem na powrót gazetę i przełknąłem ostatnie cztery kawałki czekolady.

Już naprawdę chciałem, aby pojawiła się tu teraz stodziesiąt-ka.

Gdy Charlie zniknął ponownie w terminalu, obok drzwi wejściowych przejechało dwutonowe pajero ze srebrnym dołem i granatową górą. Było za daleko, abym mógł rozpoznać, kto je prowadzi, ale sam widok sylwetki kierowcy nakazał mi śledzić je nadal, gdy jadąc dalej minęło kupieckie budy. Podsunąłem się między kontenerami i obserwowałem, jak skręca na parking. Podskakując na wybojach, jechało w stronę porzuconych autobusów, bliżej terminalu. Było po jednej stronie uszkodzone, i chyba wiedziałem dlaczego.

Straciłem je z oczu między autobusami, zawróciłem więc, aby mieć widok na terminal. Nadal ani śladu po stodziesiątce. Za autobusami usłyszałem, jak zatrząskują się drzwi.

Aby dotrzeć do terminalu, facet będzie musiał przebyć około 100 metrów otwartej przestrzeni. Gdyby szedł prosto, znajdzie się blisko kontenerów. Wylądowalibyśmy w niezłym gównie, gdyby land rover pojawił się właśnie teraz i Charlie zaczęłyby wprowadzać w życie plan podstawowy. Kierowca musiałby pójść z nami, już nie można byłoby mu pozwolić na latanie sobie wolno po okolicy.

Nie było czasu do namysłu. Skurwiel, ubrany w garnitur w stylu typowym dla starszych amerykańskich biznesmenów, walił w stronę terminalu. Ciągnął za sobą aluminiową walizecz-

292

kę na kółkach. Cokolwiek było w tych naszych papierach, nieźle go one zdenerwowały. Źle się stało, że utracił nad nimi kontrolę w tę sobotnią noc, ale teraz było jeszcze gorzej. Nie mając również taśm ze Stambułu i Marriotta, absolutnie powinien robić to co my - po prostu stąd spieprzać. Raczej nie chciał stać się gwiazdą „60 Minutes”.

Pozwoliłem mu minąć od tyłu budy, po czym wyczołgałem się spomiędzy kontenerów i znalazłem się za nim.

Przez kant kołnierza koszuli przelewał się zwał tłuszczu. Naciągając głębiej czapkę na oczy, szedłem jego śladem.

-Oj, Bastendorf!

Zbliżywszy się, ale na wciąż bezpieczną odległość, szeroko się do niego uśmiechnąłem.

Zachmurzył się.

-A skąd ty, kurwa, wiesz jak ja...

- Mam spluwę Kunzru, oddawaj nasze paszporty.

Odchylił głowę i zaśmiał się. Może ubawił go mój ubiór głowy.

•Paszporty, i to już.

•Pierdol się! Zaraz zacznę krzyczeć, i już będzie po tobie, frajerze. Idę teraz dalej. I co mi zrobisz, wyciągniesz żelazo i zastrzelisz mnie pod samiutkim terminalem?

-Tak.

Nigdy nie groź, jeśli nie możesz groźby spełnić, i Skurwiel to wiedział.

Widział moją rękę spoczywającą na przodzie kurtki. Nozdrza mu zadrgały.

Oddychał teraz bardzo wolno i głęboko.

- Spaliłem je.

Powiedzenie mi tego sprawiło mu wyraźną przyjemność.

Ponad jego ramieniem zobaczyłem stodziesiątkę podjeżdżającą pod terminal, już otwierały się tylne drzwi. Lada moment pojawi się Charlie.

Nie wiedział, że teraz mieliśmy pajero i nie było już potrzeby sięgać po nadzwyczajne środki. Wystarczyło, by sprytnie dostał się do środka i odzyskał nasze rzeczy.

Może Skurwiel miał ze sobą paszporty, może nie. Wkrótce się przekonamy. Pokazałem mu głową, co dzieje się za jego plecami.

293

- Skręcisz teraz i pójdziesz w stronę stodziesiątki.
- W stronę czego?
- Land rovera. Ruszaj.

Zrównałem się z nim od lewej strony, szukając wzrokiem Chair-liego. Co chwilę autobusy i samochody przysłaniały nami widok. Jak na osobę siedzącą tak głęboko w gównie, Skurwiel zagadał z o wiele za dużą pewnością siebie.

- Wracamy do miasta? Chcesz się oddać w ręce policji, czy po prostu lubisz kraść wojskowe samochody?

Kółeczka jego walizki łomotały za nami, gdy szliśmy w stronę drogi. Ze stodziesiątki wysiadło dwóch facetów z bagażami w rękach. Charlie wyjdzie, jak tylko zobaczy, że idą do odprawy.

- Rusz się. Idź i powiedz szoferowi, że jechałeś tym samo chodem parę dni temu. Sięgnij pod tylne siedzenia, mówiąc, że coś zgubiłeś. Mów co chcesz, mnie obchodzi jedynie, abyś wziął stamtąd to, co tam będzie.

Zatrzymał się nagle. -O, ty skurwielu!

Pchnąłem go do przodu i szedłem dalej, szukając wzrokiem Charliego wychodzącego z terminalu.

- Jeśli powiesz szoferowi, co jest grane albo zaczniesz wyczy niać inne numery, załatwię cię na miejscu, zrozumiano? Nie mam nic do stracenia.

-A niech cię...

Rozumiem, że się zgadzasz.

Charlie wyłonił się z terminalu. Skupiony był na stodzieście znajdującej się o parę metrów od niego.

Zaczęliśmy przekraczać jezdnię i teraz mogłem zobaczyć przednie numery rejestracyjne, HF 512 KN. Kierowca inny, ale wóz ten sam, wyjąwszy nowiutkie opony.

Charlie już podchodził do wozu od strony kierowcy, gdy w końcu nas zobaczył. Potrząsnąłem głową, a on pokuśtykał dalej.

Z terminalu wyszło dwóch policjantów, jeden z nich wystukiwał dwa papierosy z paczki. Gdy szli w naszym kierunku, częstu-

294

jąc się ogniem, zauważyłem, że Skurwiel rozpatruje swoje szanse, oczy latały mu od nich do mnie.

Nie mogłem teraz odejść i próbować ukryć twarz, zwróciłbym tylko na siebie ich uwagę.

A niech to wszystko szlag trafi, jeśli mnie rozpoznali, nic już nie mogłem z tym zrobić.

Włączyłem autopilota, to jedno, co jeszcze mogłem.

Minęli nas. Następnie my minęliśmy Charliego, czekającego, aż przejedzie autobus, by przejść na drugą stronę ulicy w stronę bud.

Skurwiel spojrzał na mnie.

- Teraz sięgnę po portfel, dobrze?

Cofnąłem się o metr, a on podszedł do okna od strony kierowcy. Zaczął mówić, zanim jeszcze kierowca opuścił do końca szybę.

Policjanci zatrzymali się pod terminalem i opierając się o ścianę, palili spokojnie papierosy. Skurwiel podsunął szoferowi pod nos swoją

legitymację, widziałem, że mówi dalej, bo wałek tłuszczu na kołnierzu poruszał się w takt.

Skupiłem się na twarzy szofera. Młody, Latynos. Grunt, że jego twarz nie wyrażała niczego, co wskazywałoby na to, że Skurwiel powiedział mu prawdę.

Skurwiel podszedł do tylnych drzwi sto dziesiątki. Latynos wychyliwszy się, pomógł mu podnieść fotele.

Skurwiel wyłonił się z pismem w ręku i klepnął na odchodnym w szybę. Zawróciliśmy.

Policjanci nie ruszyli się z miejsca, ale przestali rozmawiać między sobą i wyglądało na to, że obserwują teraz uważnie Skurwiela.

Wyciągnąłem rękę po pismo. Skurwiel zawahał się.

- Mogę teraz wziąć już mój samolot? Przecież zamierzałem was puścić wolno, jeśli dostanę moje rzeczy.

- Idź dalej. Mamy w stosunku do ciebie jeszcze pewne plany. Usłyszałem śmiech, kątem oka zobaczyłem, jak jeden z policjantów potrząsa kołnierzem kurtki. W sekundę później zaczęło padać.

295

6

Nikt nic nie mówił, gdy wyprowadzałem pajero z terenu lotniska. Atmosfera była tak ciężka, że można było siekierę powiesić. Skurwiel siedział obok. Wiedział, że mam pistolet wetknięty między udami, poza jego zasięgiem, siedzący za nim Charlie miał drugi, ale nie było wiadomo,

co zrobi, widząc szansę na ucieczkę. Ja na jego miejscu próbowałbym skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji.

Włączyłem na maksimum ogrzewanie, aby odparowały się szyby. Podczas tej krótkiej drogi z powrotem do 4x4 deszcz zdążył przemoczyć nas dokumentnie.

Gdy wsiedliśmy, przeszukałem dokładnie Skurwiela, ale paszportów przy nim nie znalazłem. Z tyłu Charlie opróżnił właśnie jego walizkę.

Włączyłem wycieraczki na intensywne wycieranie i rzuciłem Charliemu mapę.

- Którędy?

Otworzył ją.

- Ta jest o wiele lepsza od tamtej w stodzieście. Wygląda na to, że do granicy tureckiej będzie niewiele ponad 200 kilometrów.
- Pewnie ze cztery albo pięć godzin, pod warunkiem, że nie będziemy musieli nigdzie zbaczać?

296

Potrząsnął głową.

- W to ostatnie akurat nie wierzę. Myślę jednak, że najlepiej je chać na południe aż; do rurociągu, a potem na południowy zachód.

Pomysł był dobry. Cóż bardziej normalnego na tej trasie jak widok trzech facetów z Zachodu, szczególnie, że Skurwiel miał w portfelu oficjalną akredytację rządu? Roilo się na niej od pieczętek, widniała na niej również adnotacja spinaczami i po angielsku, że był mile widzianym gościem w tym kraju i powinien otrzymać każdą pomoc wymaganą do przeprowadzenia swojej ważnej misji rządowej. Do tego doszła miła niespodzianka w postaci 450 dolarów, które Skurwiel pewnie zamelinował

sobie z myślą o poszaleniu sobie na wiedeńskim lotnisku.

Podejrzywałem, że Skurwiel nie był już w FBI - albo wyżej, nie miał przynajmniej żadnej legitymacji stwierdzającej taką przynależność.

Charlie skończył przeszukiwanie jego rzeczy.

- Komórki też nie ma.

Skurwiel patrzył prosto przed siebie.

- Powiedziałem, że nie mam. Po co byłaby mi ona teraz? Te lokalne komórki i tak chyba nie działają w Stanach.
- To co, wracało się do domku? A co się stało z tym marzeniem o smagłych panienkach?
- Pierdol się.

Nawet jadąc naokoło, pewnie dotrzemy do granicy grubo przed zmrokiem, co pozwoli nam poszukać spokojnie przyzwoitego miejsca na jej przekroczenie. Jeszcze mu tego teraz nie powiem, ale Skurwiel pojedzie z nami. Gruzja była ostatnio na dobrej stopie z USA i prawdopodobnie siły policyjne obu krajów miały popodpi-sywanych pełno układów o współpracy. Zgodnie z doktryną Busha „kto nie z nami, ten przeciwko nam”, każdy wróg Gruzji będzie też wrogiem Ameryki, a ja właśnie znajdowałem się na pierwszym miejscu tbiliskiej listy najbardziej poszukiwanych przestępców.

Objechaliśmy miasto od zachodu i wkrótce zamieniliśmy błyszczącą świeżością dwupasmówkę na bardziej nam swojską popękaną i pełną wyboi szosę. Wzdłuż niej, osłaniając się od deszczu

297

kawałkami plastiku lub chowając się pod drzewami, siedzieli starzy ludzie za swoimi stolikami i próbowali sprzedać kanistry i butelki ze starym olejem silnikowym.

- Każdy pieprzony wóz w okolicy musiał używać tego oleju już jakieś szesnaście razy - zakpił Skurwiel.

Nic na to nie powiedzieliśmy. Skurwiel próbował wciągnąć nas w rozmowę. Agresji już spróbował, teraz chciał złagodzić nastrój i zrobić z nas swoich przyjaciół.

Po obu stronach drogi przed nami stały wielkie, szare betonowe bloki z wystającymi ze ścian pordzewiałymi prętami zbrojeniowymi. Tutaj nikt nie sięgnął po różową ani pomarańczową farbę, aby je trochę odnowić. Z okien zwisało pranie, teraz wystawione na kolejne płukanie.

Skurwiel spróbował znowu.

- Zdaje się, że ten bulwar nie znalazł się na trasie przejazdu prezydenta.

Nadal go ignorowaliśmy. Jeśli myślał, że pod koniec tej podróży będziemy używać sobie wzajemnie szczoteczki do zębów, to się mylił.

Przejechałem, omijając zygzakiem doły, jeszcze jakieś dwa kilometry, gdy zobaczyliśmy drogowskaz na Borjomi - 151 km.

To polepszyło mi nastrój - przez Borjomi przebiegał rurociąg naftowy.

Czarne chmury zasłały wyżynę, włączyłem światła. Nie byliśmy jedyni na drodze, wszyscy walczyli o pierwsze miejsce w slalomie między dziurami w nawierzchni. Jeszcze chwila, a w tej ciemności zrobi się karambol.

Kałuże wielkie jak kratery bombowe zdążyły już zebrać żniwo w postaci kilku ład. Łady miały nadal nieosłonięte świece, które, jak mi to wyjaśnił wszytkowiedzący Charlie, przy byle odrobinie wilgoci zdychały jak muchy.

Zerknąłem do tyłu na Charliego. Chyba był w porządku, nie rzucało nim, siedział sobie po prostu i gapił się w okno. Jeszcze tylko cztery lub

pięć godzin jazdy, a wsadzę go z tymi jego tańczącymi rękami w samolot do domu.

## 7

Wentylacja w samochodzie nadal pracowała nad utrzymywaniem przedniej szyby wolnej od pary. Byliśmy już dobry kawałek za przedmieściami, na spowitej we mgle wyżynie, gdy nagle asfalt się skończył i wjechaliśmy na *szerołą drogę* pokrytą żwirem.

- Jak się ma Hari z Kunzru? - Charlie wychylił się ze swojego fotela.

Skurwiel wzruszył ramionami.

-A skąd mam wiedzieć? Dostałem telefon, przynajmniej jeden więc jeszcze dychał. Właśnie jechałem do nich, gdy zobaczyłem was na szosie. A zresztą, pieprzyć ich. Opieka nad nimi to nie moja sprawa.

Mgła zniknęła, gdy serpentyną zjeżdżaliśmy po stoku góry. Pod nami zamigotała w słońcu szeroka górská rzeka. Wyłączając wyraźną, brązową krechę, przecinającą zieloną dolinę, znaleźliśmy się ponownie w krainie „Sound of Music”.

Skurwiel wskazał kciukiem w kierunku, gdzie z zieleni wyłaniała się linia świeżo przekopanej ziemi i biegła dalej wzdłuż drogi.

- Masz swój rurociąg.

- A gdzie rusztowania? Spodziewałem się, że coś będzie szło nad ziemią, tak jak na Bliskim Wschodzie.

- Zagrzebali rurociąg w ziemi. Trudniej wysadzić w powietrze. Charlie pochylił się ku nam: - Przez naszych starych znajomych bojowników?
- Przez bojowników, separatystów kurdyjskich, muzułmańskich ekstremistów, pieprzonych Rosjan, kogo tylko chcesz. Wszyscy oni albo rwą się do bitki, albo chcą użyć groźby zaatakowania rurociągu jako siły przetargowej. Kurdowie chcą odłączyć się od Turcji: dacie nam własny kraj, to zostawimy rurociąg w spokoju. A Rosjanie? No cóż, oni po prostu nie chcą tego rurociągu i już. Pierestrojka pierestrojką, ale dla tych koleśków zimna wojna nigdy się nie skończyła. A jak spojrzeć bliżej, w Gruzji są politycy, którzy wchodzą we własne układy z kim popadnie, nie mówiąc już o tym, że zażądali bajonkich sum od kompanii naftowych za prawo przeprowadzenia tędy rurociągu.

Charlie pokiwał głową:

- A my mamy przy sobie pewne papiery, z których można się dowiedzieć, gdzie w tym wszystkim należy umieścić naszego oplakiwanego właśnie pana Bazgadze.

Skurwiel spojrzał na niego groźnie.

- Nie licz na to, chuju.

Ponownie zaczęło padać. Przełączyłem wycieraczki na szybszy bieg, ale i tak musiałem przyklejać niemal nos do szyby, aby zobaczyć, dokąd jadę.

Skurwiel zerkał na ścianę deszczu przed nami.

- Zresztą, co to kogo obchodzi? Ja miałem jedynie przypilnować, aby sprawy poszły gładko.
- No i spieprzyłeś robotę, co? - Charlie poklepał kieszeń kurtki. Zapakował taśmy i dokumenty z sejfu Baza w plastikową torebkę

znalezioną w bagażu Skurwiela. - Może się nie znam, ale miejscowe media malują zupełnie inny obraz tego faceta, niż ten, który nam przedstawiłeś...

- Chwileczkę, przekazałem jedynie to, co mi powiedziano

- Skurwiel nie mógł się powstrzymać; wydał z siebie głębokie stęknienie -ja tu nie decyduję. Jestem jak wy, chłopaki, pszczołą robotnicą - i to taką, która chce teraz szybko stąd się ulotnić.

300

Obiecałem sobie, że nie będę się mieszał, ale teraz krew zaczęła się we mnie gotować.

- Pszczołą robotnicą? Dobre sobie. Jesteś skończoną gnidą.

Tuczysz się na takich sytuacjach, a prawdziwe pszczoły robotnice za to płacą - zwolniłem, biorąc zakręt - pamiętasz Anthoniego, tego Anglika, któremu dałeś w twarz w Waco?

Zamilkł na chwilę. Deszcz walił teraz w dach pajero tak mocno, że wydawało się, że siedzimy wewnątrz werbla, ale niemal słyszałem, jak kotłuje się w jego łbie.

- Anthony, jaki Anthony? Nie przypominam sobie, żebym dawał w twarz jakiemuś Angolowi w Waco.

- Oj, przypominasz sobie - wpatrywałem się w pokryty błotem żwir drogi przede mną. Smochód zaczął tańczyć i ślizgać się po nim, musiałem walczyć z kierownicą, aby utrzymać go prosto.

- Zaprojektował gaz, którego użyliście, a którego użyć nie powinniście, nie pamiętasz? W jakiś rok później popełnił samobójstwo. Nie był w stanie żyć z poczuciem winy.

-Ach, ten Anthony... - Skurwiel przeciągnął palcem wskazującym po

wąsach. - Jasne, że go pamiętam... pierdolona angielska ciota. Nie powinien się tam być znaleźć. Takich ciot nie posyła się do męskiej roboty...

Skręciłem w boczną drogę, która pojawiła się nagle po lewej stronie. Przejechaliśmy linię rurociągu w kierunku pasa drzew.

-No to zobaczmy, czy ten sukinsyn rzeczywiście jest taki mocny, jak mocny jest w gębie - krzyknąłem do Charliego.

Zahamowałem ostro pod drzewami, wyłączyłem silnik i pchnąłem Skurwiela w stronę drzwi.

- Wysiadać, już!

Wykręciłem się na fotelu, oparłem plecami o drzwi i pchnąłem go obiema nogami w chwili, gdy szukał ręką klamki.

- Byłem tam, byłem z Anthonyem. Wszystko widziałem... - kopnąłem go ponownie, drzwi po jego stronie otwarły się gwałtownie, a on wyleciał na błoto.

Pozbierał się z ziemi, na twarzy malował się strach pomieszany ze zdziwieniem.

301

- Przecież to nie ja wydałem rozkaz. Decyzja zapadła o wiele wyżej.

Wysiadłem za nim, Charlie szukał czegoś z tyłu.

- Chyba wiesz, o co mi chodziło z tymi pszczołami. Żadne z tych dzieci nie miało najmniejszej szansy, a ty, chuju, bawiłeś się tym w najlepsze - przekrzykiwałem deszcz.
- Bingo! - Charlie zasygnalizował kciukiem, zatrzasnął tylne drzwi i ruszył w stronę maski samochodu. - Poczekaj, niech się do niego

dopnę.

Uniosłem pistolet.

- Załatwię skurwysyna.

Skurwiel cofnął się, aż oparł się o maskę z przodu.

• Hej, wiedziałem, że tak się nie robi, wiedziałem, że zabicie tych ludzi nie było rzeczą dobrą. - Wyciągnął ręce, na poły błagalnie, na poły próbując utrzymać mnie na odległość. - To byli obywatele amerykańscy... moi ludzie... - wycelował we mnie palcem - nasi ludzie.

• Na ziemię, w błoto, już!

Obsunął się wzdłuż maski i opadł na ziemię, opierając się o koło. Deszcz rozchłapywał wokół niego wodę w kałużach. Obaj przemoczeni byliśmy do suchej nitki. Rękaw ciążył, gdy przykładałem mu broń do głowy.

- Dla kogo pracujesz? - Mój pierwszy kopniak trafił go w żebrę. - Kto dał rozkaz pozbycia się Charliego?

Przy drugim kopniaku stopa moja zniknęła w zwale tłuszczu wokół brzucha.

- Co jest w tych dokumentach? I co, do kurwy nędzy, stało się tam w tym domu?

Charlie otworzył maskę i ustawił się po drugiej stronie Skurwiela.

Skurwiel, dysząc ciężko, podniósł ku mnie twarz, mrużąc oczy przed deszczem.

- I co teraz zrobisz, synu? Pociągniesz za spust? Bardzo proszę. Rób to.

302

Charlie potrząsnął głową, pochylił się i wetknął jeden kłem w zwal tłuszczu na karku Skurwiela, drugi przyłożył mu do ucha.

Skurwiel wrzasnął, całe jego ciało zadygotało. Obsunął się miękko jak szmaciana lalka, z szeroko rozrzuconymi w błocie nogami.

Kłębem nadal tkwił w jego karku, Charlie przekazał mi drugi, i wskoczył za kierownicę.

Dałem Skurwielowi jeszcze jednego kopniaka; taką miałem potrzebę. Charlie przekręcił klucz w stacyjce i nacisnął na pedał gazu.

Skurwiel nie mówił nic, leżał, skomląc, ze wzrokiem wbitym w błoto i słuchał z napięciem regularnego terkotu silnika. Zaczynał kapować.

**8**

- Spójrz na mnie.

Nie otworzył oczu.

Zacisnąłem kłębem na końcówce jego ucha. Zakwiczał, wygiął się do tyłu i opadł bezwładnie. Pochyliłem się nad nim. - P o p a t r z na mnie.

Nie ruszył się, ale tym razem podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Deszcz spływał mi z brody na jego twarz.

- To bardzo proste - pomachałem mu kablem przed nosem  
- będziesz mówił, to będę to trzymał od ciebie z daleka.

Szarpnął głową, aby zrzucić kłębem z karku, ale ten trzymał jak krokodyl. Spróbował sięgnąć do karku, ale odkopałem mu rękę. Zaczął mówić, choć z trudem słyszałem go przez szum deszczu.

- To była prosta operacja, która się popieprzyła. Po prostu potrzebowaliśmy tych papierów, miało być to zrobione czysto, bez wygłupów. - Podparł się o ziemię i podciągnął się, aby ponownie

znaleźć oparcie dla pleców. - Nie mam już nad tym kontroli, dla tego chciałem się stąd zmyć - wgapił się w ciemność drzew.

Podsunałem mu kłem pod sam prawie nos.

- Nie odpowiadasz na pytania. Dla kogo pracujesz? Kim są ci twoi wpływowi przyjaciele, o których twierdziłeś, że są w mocy powodować pewne zdarzenia?

304

- Gracze polityczni, człowieku. Zawsze ta sama historia. Ci, za których zabrał się Bazgadze. Dlatego chcieli to, co było w sejfie. To wszystko, co wiem - spojrzał na mnie - i to wszystko, co chcę wiedzieć.

-Nadal jesteś w Firmie? Czy to jakaś kolejna tajna śmierdząca operacja FBI, w którą zostaliśmy zamieszani? Potrząsnął wolno głową i opuścił wzrok.

- Ci skurwiele wywalili mnie cztery lata temu. Przechuli do końca i wypluli, z dożywotnią rentą, która starcza tylko na to, abym w każde święto narodowe kupił sobie cygaro. A dlaczego, myślisz, wylądowałem tutaj w tym przeklętym gównie?

Nie zamierzałem się wzruszać, czemu dałem wyraz, przysuwając bliżej kłem.

- Trzydzieści lat pracowałem, i po co? Po nic, człowieku. Więc gdy pojawili się ci faceci z propozycją, dzięki której mogę mieć porządną emeryturkę...
- Co stało się w domu Baza?
- Tych facetów, dla których pracuję, no więc jest ich sześciu, Partnerstwo dla Pokoju mało obchodzi, owszem, są za partnerstwem, ale pokój mają

głęboko gdzieś. Chcą, aby sprawy toczyły się dokładnie tak jak do tej pory. Dolary amerykańskie napływają ławicą, a oni dużą ich część odprowadzają dla siebie. Płacą bojownikom, aby stwarzali zagrożenie dla rurociągu, tylko na tyle, aby nadal było gorąco. Nic złego, żadnych ofiar czy szkód - mają jedynie puszczać od czasu do czasu fajerwerki. Nikogo nie krzywdzą. Po prostu stary dobry biznes. A ja jestem tylko po to...

- Tak, wiem - odezwał się Charlie - ty jesteś po to, aby sprawy szły gładko...

Skurwiel popatrzył na niego i odważył się na uśmiech. Dałem mu kopniaka.

- Streszczaj się.

Podciągnął nogi pod brodę na tyle, na ile pozwalał mu na to brzuch.

305

- Ten cały Bazgadze zaczął się robić coraz większym problemem. Ta cała jego nieskazitelność źle wpływała na interesy. Tak jak wyjście wszystkiego na jaw właśnie w chwili, gdy Bush przyjeżdża, aby poprzeć wojnę z terroryzmem. Plan był więc taki, aby wykraść papiery i dowiedzieć się, co dokładnie Bazgadze wie.

Mieć coś na faceta, odstraszyć go...

Podniósł rękę do klemu nadal tkwiącego mu w karku.

- Czy mogę to zdjąć, przecież wam, kurwa, pomagam.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

- Sobie pomagasz. Nadal nie wyjaśnia to, co stało się w jego domu i na cmentarzu. Kim, do jasnej cholery, byli ci faceci?
- Bazgadze wcale nie był też zbyt popularny wśród bojowników. Jest taki

skurwiel Akaki, ich przywódca, on po prostu nie mógł się doczekać. Jeśli Bazgadze miał dowody na to, że był przekupiony, chciał go widzieć martwym. To pierdolony oszołom, zupełnie bez kontroli. Z takimi ludźmi jak Bazgadze tak się spraw nie załatwia - Bazgadze jest tu jak jakieś bożyszczko. To musi być robione bardziej subtelnie.

- Tak jak ty to zrobiłeś?

Deszcz był tak ulewny, że miało się wrażenie, jakby jakiś szaleniec traktował cię zszywaczem tapicerskim po karku.

Charlie nie był szczęśliwy - i to nie tylko z powodu wyjaśnień Skurwiela.

- Może jednak pojedziemy dalej - zrobił ruch głową w stronę drzew, za nami ze zbocza zaczynało odrywać się błoto i luźne kamienie, siła ciężenia robiła resztę - zaraz zawali drogę.

Kopniakiem zmusiłem Skurwiela, aby stanął na nogi. -1 co teraz? - zapytał.

- Teraz ty się zamkniesz, inaczej podłączymy ci klemy do jaj. Jedziesz z nami, a potem, gdy będziemy w Turcji, z daleka od tego gówna, wykonasz telefon do kilku swoich wysoko postawionych koleśków. Będziemy robić mały biznes, ty tym razem będziesz maklerem.

**9**

Ściana deszczu była teraz tak równa, że musiałem jechać w żółtym tempie.

Łomot był niesamowity. Otworzyliśmy okna, aby szyby wewnątrz nie

zaparowały dokumentnie od naszych przemoczonych ubrań. Nadmuch włączony było na maksa, ale niewiele to dawało.

Skurwiel bez specjalnego sukcesu próbował usunąć z siebie błoto. Wyglądał, jakby właśnie wygrzebał się z Czarnej Laguny. Zatrzymał się w pół gestu i wykonał próbę powrotu do klubu dżentelmenów.

- Hej, Nick, wierz mi, naprawdę przykro mi z powodu tego Anthoniego. Przykro mi z powodu całej tej przeklętej sprawy. To był naprawdę ciężki moment.

- Ale taki wcale być nie musiał, prawda?

Skurwiel próbował jeszcze.

- To wcale nie było tak. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby Koreshowi i jego ludziom uszło na sucho olanie ATF. Prawo i po rząddek straciłyby poważanie. Takich rzeczy nie puszcza się pła zem. Anarchia, bezprawie - trzeba to zdusić w zarodku, inaczej będzie tak, jak w tym tutaj zasranym kraju.

Deszcz roztrzaskiwał się o samochód jak fale morskie. Wycieraczki pracowały zawzięcie, a i tak przez szybę nic nie byłem w stanie zobaczyć.

307

Charlie ułożył się w poprzek tylnych foteli, z bronią p<od tyłkiem, nogami na walizce. Była z rodzaju tych leciutkich, ognioodpornych aluminiowych zabawek, odpornych także na ws;zystko inne, na którą dawano dożywotnią gwarancję, i która kosztowała około tysiąca dolarów.

Pomyślałem o tym, co mówił Skurwiel, gdy był podłączony do prądu, i coś mi się tu nie zgadzało. W kwestii bycia wyrolowanym to ja tu byłem światowym ekspertem, i z tym jego zagarnięciem szybko kasy wcale nie było tak, jak on to przedstawiał. Chodziło o coś bardziej poważnego, niż

jakieś szybkie wiosenne porządki przed wizytą prezydenta USA.

Rzucałem teraz częściej okiem na szramę po rurociągu, biegnącą po lewej stronie, co pozwalało uznać, że nadal trzymamy się szosy. Woda z rzeki wystąpiła już ze dwie godziny temu i wypełniała obniżenie terenu po prawej.

*Skurwiei zerknął óo tyki i pochylił się ku mnie, jak gdyby chciał się z czegoś zwierzyć najlepszemu przyjacielowi.*

- Słuchaj, Nick. A co powiesz na mały układ między nami?

W Borjomi poszedłbym z papierami i taśmami, zadzwonił do moich ludzi, zadbał, abyś znikł z listy poszukiwanych, a całą sprawę uciszył, gdy obaj będziecie już w Turcji. Przecież dość już najedliśmy się tego gówna, no nie?

Wskazał głową w kierunku Charliego, którego głowa kiwała się na boki w takt mojej jazdy.

- Powiedz mu po prostu, że poszedłem na stronę i wam zwiadam. Skąd on ma wiedzieć, że...

Na drodze zaczynało robić się niedobrze. Z lewej strony z góry spadały kaskady brunatnej mazi, nanosząc nam pod koła kamienie i połamane gałęzie.

Skurwieł nie poddawał się.

- Nick, przecież i ja, i ty tkwimy obaj w głębokim gównie. Do grania mamy te same nuty.
- To może zaczniemy od Jeziora łabędziego, kochasiu -prych-nął z tyłu Charlie - my zanucimy, a ty zatańczysz.

308

Zerknąłem w lusterko. Charlie położył się na boku z podkurczonymi

nogami i chichotał cicho do siebie.

- Twój plan ma dwie wady, grubasie. Jedna to... - tu poklepał kieszeń kurtki - jest tutaj. Druga: ucieczka nie jest specjalnie twoją mocną stroną. Przecież nie jesteś w stanie nawet pochylić się, aby odkręcić kurek przy wannie, do jasnej cholery.

Nie był to dobry moment na żarty.

Lawina błota, szeroka na dziesięć metrów, oderwała się od zbocza i uderzyła z boku w samochód, spychając nas w miejsce, gdzie droga ustępowała rzece pod nią.

Wykręciłem kierownicę, aby wprowadzić nas w poślizg, ale nie odniosło to skutku.

- Charlie, wysiadaj!

Błoto z całą swoją prędkością i ciężarem zaczęło wlewać się przez otwarte okna. Łapiąc za krawędź dachu, wyciągnąłem się na zewnątrz przez okno.

Skurwiel tłustym tyłkiem zsuwał się w stronę drzwi po swojej stronie. Poradzi sobie.

Pajero zaczął się przewracać. Szarpnięciem otworzyłem tylne drzwi, złapałem Charliego pod pachy i wyciągnąłem z wozu. Upadliśmy jeden na drugiego, a samochód ślizgał się jeszcze parę metrów, po czym uległ masie błota i koziołkując, stoczył się w dół do rzeki.

Z dwanaście metrów od nas Skurwiel wstawał z trudem na nogi. Charlie mrugał oczami w smagającym jego zabłoconą twarz deszczu.

- Papiery i taśmy?

Poklepał kieszeń i przytaknął.

Usłyszeliśmy dźwięk podobny do zbliżającego się pociągu.

Spojrzałem, ale zanim zdążyłem krzyknąć słowo ostrzeżenia, wysoka do kolan rzeka błota i kamieni zgarnęła Skurwiela i zmiotła go z krawędzi drogi.

CZEŚĆ

DZIESIĄTA

1

Samochód wylądował kołami do góry na skraju rzeki, z pięć albo sześć metrów pod nami. Wrakiem - z otwartymi drzwiami i rozbitą przednią szybą- miotaly wody rzeki o kolorze czekolady. Jeszcze chwila, a poniosą go ze sobą.

Skurwielowi też się nie poszczęściło. W tym miejscu rzeka miała szerokość około 30 metrów, patrzyłem, jak wypływa na powierzchnię, idzie w dół, potem ponownie się wyłania na środku rzeki, prawie nierozpoznawalny między mnóstwem kawałków drewna i innych szczątków kłębiących się z prądem po rzece.

Zacząłem rozpinać kurtkę.

Charlie wywrócił oczami.

- Nie możemy tu nic zrobić. Pieprz go. I tak mamy przecież Stukniętego Dave'a.

Potrząsałem głową. Później Skurwiela może sobie umierać nawet okropną śmiercią, nie mam nic przeciwko temu, ale on był tutaj i teraz, a

Stuknięty Dave o miliony kilometrów dalej.

- Jest naszą furką stąd! Ma kontakty, może nas przerzucić przez granicę.

Charlie nie mógł mi w niczym pomóc. Miał spieprzoną nogę w kostce, cały się rozsypywał. Wszystko zależało ode mnie. Wyciągnąłem bluzę ze spodni i na wpół skoczyłem, na wpół stoczyłem się po pochyłości w kierunku kipieli.

313

Woda płynęła z przerażającą szybkością, tocząc wszystko przed sobą. Wielkie konary roztrzaskiwały się o skały przede mną.

Ze zgrzytem metalu pajero opuścił w końcu swoje miejsce i z hukiem wpadł do wody. Śledziłem go przez jakieś sto metrów, do miejsca, w którym rzeka skręcała raptownie w lewo.

Zniknął mi z oczu.

Tam też wypatrzyłem Skurwiela. Prąd wyrwał z przeciwległego brzegu dziesięciometrowy pas ziemi, odsłaniając kłębowisko korzeni, jaśniejących na tle błota jak zebra rozkładającego się trupa. Skurwieli zahaczył ramię o jeden z nich. Nie miał najmniejszej szansy na wciągnięcie się wyżej z błota, nie mówiąc już o osiągnięciu brzegu. Ja także nie miałbym szans, a przecież nie spędziłem całego życia, posilając się Big Makami.

Przyjrzałem się szerokości rzeki między nami. Skurwieli znalazł się tam, jak wyrzuciło go z głównego nurtu. Musiałem wejść do wody o wiele dalej w górę rzeki, jeśli chciałem mieć jakąkolwiek szansę dotarcia do brzegu, zanim prąd nie porwie mnie tropem pajero i nie wyniesie poza zakręt.

Przedarłem się przez błoto około czterdziestu metrów w górę rzeki,

minąłem połamany szkielet małej drewnianej kładki, która nie była w stanie oprzeć się nurtowi. Wszedłem po łydki w wodę i walczyłem z zimnym prądem, aż woda dosięgła mi pasa i podcięła mi nogi. Machałem nimi jak mogłem, ale równie dobrze mogłem dać sobie spokój. Nic nie mogło powstrzymać mojego zagłębiania się w nurt.

Płynąłem z prądem, dopóki płuca nie zagroziły eksplozją i nie zacząłem nabierać wody ustami i nosem, potem jakimś cudem udało mi się wydostać na powierzchnię. W głowie mi wirowało, w uszach dzwoniło, ale walcząc o oddech, udało mi się zauważyć znowu Skurwiela. Podobnie jak ja, walczył o utrzymanie głowy na powierzchni, wczepiony zawzięcie w korzeń drzewa.

Woda znowu porwała mnie w głąb i nagle zajęty byłem bardziej wciągnięciem powietrza w płuca niż dotarciem na drugi brzeg.

314

Gdy ponownie wydobyłem się na powierzchnię, zobaczyłem, że jestem już po dobrej stronie. Mogłem teraz pozwolić nieść się z prądem.

Sekundy później moje palce zacisnęły się na korzeniu obok Skurwiela.

Skurwiel był zmarznięty, zdezorientowany i przerażony. Złapał mnie, w desperackiej próbie utrzymania się na powierzchni, ale udało mu się jedynie ściągnąć i mnie w dół. Machając nogami, wydobyłem się na wierzch i walczyłem o zachowanie uchwytu, podczas gdy nurt porywał mnie za nogi.

- Nie! - odkopałem go - zbierz się w garść, do cholery! Stop!

- Huk wody był ogłuszający.

Odsunąłem się od niego, starając trzymać go od siebie na długość ramienia. Wiedziałem, że wpadł w panikę, i nie życzyłem sobie, abyśmy

obaj wpadli w wir. Brzeg był bardziej stromy, niż sądziłem. Ja sam miałem szansę na podciągnięcie się do góry, ale dla niego potrzebny był dźwig.

- Musimy przepłynąć z powrotem! Pomogę ci, ale mnie nie łap... Utoniemy obaj, jeśli się nie opanujesz, rozumiesz?

Szczękając zębami, popatrzył na mnie szklanymi oczami.

- Nie umiem pływać.

Kurwa mać.

Rozejrzałem się po powierzchni kipieli po obu stronach. Na skalnym usypisku, niedaleko zakrętu, utknął pień sosny. Korzenie skierowane były lekko w górę rzeki, tworząc coś w rodzaju ostrogi. W środku, pomiędzy nimi, wśród wirujących nieco wolniej różnych innych resztek, lśnił prostokąt aluminiowej walizki Skurwiela.

Skurwiel gapił się na mnie z dzikim wyrazem oczu. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

Puściłem korzeń i uderzyłem ciężko o zwaloną sosnę. Chwyciłem walizkę i wolnym ramieniem objąłem pień. Zrzuciłem nań jedną nogę, ale resztę ciała miałem nadal w wodzie. Pozwoliłem wodzie walić od spodu we mnie, aż udało mi się wziąć oddech

315

i podciągnąć się do końca. Leżałem tak przez chwilę, knykcie białały mi od wysiłku, jakim było utrzymanie uchwytu walizki. Następnie zacząłem wolniutko czołgać się w stronę brzegu.

Stałem prosto i przedarłem się z powrotem do Skurwiela. Zobaczył mnie.

- Zabierz mnie stąd!

Tak jakby poprosił cię o to 115-kilowy mors, który utknął na brzegu.

- Hej! Tu jestem... t u t a j! Na co czekasz, do cholery?

Przez chwilę bawiłem się myślą dzielenia go przez łeb walizką i obserwowania, jak porywa go prąd. Potem wróciłem do rzeczywistości. W jego osobie stracimy pośrednika. Począłem spuszczać się z brzegu do wody.

- To nasza tratwa - krzyknąłem - złap się tego najmocniej, jak potrafisz i nie puszczaj. Ja doczepię się do ciebie. Odepchnij się... Skacz, do cholery!

Pokiwał grzecznie głową, ale się nie ruszył. Walizka podskakiwała między nami na falach.

Skurwieli doświadczał teraz osobiście etapu z rozdziału „Wzbudzić strach”. Nie był w stanie puścić swojej kotwicy. Uderzyłem go mocno w dłoń, puścił i już byliśmy w drodze.

Uchwyciłem mocno kołnierz kurtki Skurwiela i wymachiwałem nogami, aby uniknąć zwałonego drzewa i skierować nas w kierunku głównego nurtu.

Skurwieli całe swoje siły skupiał na trzymaniu głowy nad powierzchnią wody.

- Machaj nogami, pomagaj, do cholery!

W końcu sygnał dotarł jednak z jego ucha do mózgu i Skurwieli zaczął przebierać nogami. Porwał nas prąd i ominęliśmy sosnę. Im dalej tak podróżowaliśmy, tym bardziej zbliżaliśmy się do przeciwległego brzegu. Jeszcze chwila, a pod nogami poczuję grunt.

Wygramoliłem się na brzeg i po części wyciągnąłem, po części wywlokłem Skurwiela na płyciznę. Po paru chwilach leżał

już obok mnie na twardym gruncie. Zdjąłem z siebie koszulę i podkoszulek i wyjąłem je. Aby utrzymać tę resztkę ciepła, którą jeszcze w sobie miałem, musiałem doprowadzić w materiał trochę powietrza, tak sobie tylko mówiłem, bo deszcz natychmiast moczył ubranie ponownie, jednak sama czynność poprawiała mi nastrój.

Nałożyłem z powrotem na siebie górne ubranie i przyklęknąłem, aby zdjąć buty. Rozwiązywanie sznurowadeł zdrętwiałymi palcami szło mi niezdarnie. W końcu jednak mogłem też wyjąć dzinsy.

Ponownie w ubraniu, upchałem je na sobie porządnie, aby nie dostawał się pod nie wiatr.

Z góry, z tego co pozostało z drogi, dotarł do mnie znajomy głos.

- To był wielki gest z twojej strony, doprawdy nie musiałeś...

Spojrzałem na Charliego i wzruszyłem ramionami.

Strzelił oczami.

- Też bym sobie poradził przy pomocy walizki.

Skurwiel leżał obok mnie jak wyrzucony na plażę wieloryb. Kopnąłem go.

- Zbieraj się. Sprawdź, czy nadal masz dowód osobisty.

Skurwiel pogrzebał w kieszeni i wy dobył z niej portfel. Wycisnął go z wody i wyjął plastikową legitymację.

- Naprawdę jestem wam potrzebny, co? - na twarzy zarysował mu się cień uśmiechu.

- Tak, kurwa.

Błotna lawina zniszczyła szosę, pozostawiając za sobą rumowisko i powywracane drzewa. Nawet jakbyśmy utrzymali pajero, daleko byśmy nim nie zajechali.

Osunąłem się na ziemię obok Charliego i z trudem wcisnąłem na siebie kurtkę. Po mojej przygodzie jak ze „Słonecznego patrolu” wysiłek wepchnięcia Skurwiela po stoku mało co mnie nie wykończył. Skurwiel siedział trochę dalej od nas. Miałem nadzieję, że przynajmniej odczuwał coś w rodzaju zranionej dumy, ale nic takiego nie było po nim widać.

W kompletnie żalösnej próbie przeciwstawienia się ulewie, po-zapinał wszystkie guziki kurtki i postawił kołnierz. O dziwo, nie zgubił butów i nie licząc paru siniaków, nie wyglądał na specjalnie zniszczonego.

- Ja nie mam broni - wymamrotał Charlie - a ty?

Potrząsałem głową.

- Miałem prosty wybór albo 7.62. albo ty. Diabli wiedzą dla czego, ale padło na ciebie.

Charlie uśmiechnął się przelotnie.

- Lepiej tu nie siedzmy, chłopcze, trzeba się ruszyć. Wątpię, byśmy dotarli dziś do granicy. Droga również po drugiej stronie miasta nie będzie przedstawiała sobą pięknego widoku. Najpierw więc Borjomi, pozałatwiać sprawy, zgłosić się do lokalnego biura Hertza i w drogę, nie?

318

- Myślę, że zrobiliśmy jakieś sto trzydzieści kilometrów, zo stało nam pewnie jeszcze ponad dwadzieścia. Cztery albo pięć godzin, nawet jak będziesz galopował.

Wstałem i złapałem Skurwiela za kark.

- Ja go będę trzymał, ty skup się na swojej nodze.

Charlie ruszył w drogę, a ja poderwałem Skurwiela na nogi. Znowu był sobą, znowu narzekał na cały świat. Nie zazdrościłem mu tych kilku godzin, które mieliśmy przed sobą. Obaj z Char-liem byliśmy przemoczeni, ale przynajmniej mieliśmy na taką marszrutę odpowiednie ubranie, i co najważniejsze - dobre buty. Skurwiel będzie musiał zapieprzać w mokrych laczkach, a one nie były do tego stworzone, podobnie zresztą jak i on sam. Nie przejdziemy nawet kilometra, a porobią mu się pęcherze.

- Czas się zbierać, jeśli sobie przypominasz, mamy parę spraw do załatwienia.

Nie odpowiedział, więc dałem mu kuksańca. Jakbym chciał zmusić hipopotama do biegu, nawet nie drgnął.

- Czas iść, gruby.

- Pierdol się! - Najwyraźniej lubił to wyrażenie. Jego stała odzywką.

- Chłopie, ja ci tu robię uprzejmość, w tym rynsztunku nawet pięciu minut tu nie przetrwasz samemu.

Trzymaliśmy się drogi, a raczej tego, co nam się wydawało, że nią kiedyś było. Porobiły się w niej wielkie rozpadliny, przez które przelewała się woda, jak ze studzienek burzowych.

Musieliśmy iść jak najszybciej, nie tylko dlatego, aby dotrzeć jak najprędzej do Borjomi, ale także po to, aby utrzymać ciepło.

Spojrzałem przed siebie, Charlie może i był teraz jak kaleka, ale radził sobie o wiele lepiej od Skurwiela. Kiwał się na boki, próbując zrekompensować opór spuchniętej kostki, ale przecież w podobnej sytuacji znajdował się już niezliczoną ilość razy. Na szkoleniowych marszrutach

masz się dostać z punktu A do B, i już. Nie ma się co przejmować pogodą, kondycją fizyczną albo tym, jak cię to wszystko wkurwia. Szybciej przez to drogi nie przebędziesz.

319

Skurwiel takich rzeczy nie kapował. Chyba więc nie powinienem mieć do niego pretensji, że się nad sobą rozczula, ale na to nie był to akurat ani czas, ani miejsce. Położyłem mu dłonie na ramionach i pchnąłem.

Narzekał jak cholera, co zresztą mu nie pomagało. Mielenie ozorem nie pomaga w szybszym dostaniu się do miejsca, w którym musisz się znaleźć. Jedynym sposobem jest stawianie szybko kroków, a jak nie robisz tego wystarczająco szybko, ktoś musi stać nad tobą z batem.

Jakbym ponownie znalazł się w wojsku. Od szesnastego roku życia bowiem, od czasu jak byłem młodocianym żołnierzem, ciągnąłem albo pchałem puchnące cielska, próbując pomóc maruderom w dotrzymaniu kroku reszcie oddziału. Taka była umowa. Idziesz tak szybko jak ten, który porusza się najwolniej, ale musisz zmusić go, aby szedł najszybciej, jak potrafi. Niesiesz mu więc broń i jego manele, zachęcasz go, grozisz - nawet zarzucasz go sobie na plecy i niesiesz, jak potrzeba, oczywiście niespieszno mi było tak uczynić teraz ze Skurwielem.

Szliśmy już godzinę i przebyliśmy cztery albo pięć kilometrów, gdy Charlie zboczył, kuśtykając, z drogi pod jakąś jodłę i siadł. Rozciągnął się na trawie i rozprostował nogi.

Zbliżyliśmy się do niego.

- Pomyślałem, że muszę chyba na was maruderów poczekać - oddychał płytko, z bólem.

Skurwielowi zabrakło nawet siły, aby zejść na pobocze, opadł po prostu

na kolana i podsunął się po błocie w stronę Charliego. Szybciej niż teraz chyba nigdy w życiu nie szedł, przynajmniej nie w ulewę i nie ubrany w półbuty i marynareczkę. Gdy pochylił głowę, na jego karku ukazał się elegancki ślad po klemie.

Charlie oparł but o drzewo, aby przynieść ulgę spuchniętej nodze.

Zwaliłem się obok niego. Nie zamierzałem go pytać, jak się czuje. Jeśli przyszedłby czas, że już dalej nie da rady, dałby mi to do zrozumienia.

320

Charlie zaczął narzekać.

- Trzeba przyspieszyć, inaczej będziemy szli całą noc. Jeśli ten tutaj potrafiłby maszerować tak sprawnie, jak potrafi dziamgać, już byśmy dawno byli na miejscu. - I znowu twarz rozjaśniał mu jeden z tych jego głupich uśmiechów. - On jest, chłopcze, trochę jak ty, w gębie mocny, za to w nogach słaby.

Spodobało mu się to tak bardzo, że powtórzył to jeszcze raz, aby i Skurwiel usłyszał.

Skurwiel poniósł głowę, lecz albo nie usłyszał, albo nie chciał usłyszeć.

Utrzymywanie Skurwiela w ruchu przez całą noc wcale nie było tym, o czym marzyłem. Jeśli z trudem dyrdał w świetle dziennym, po zmroku będzie z tym dziesięć razy gorzej. Tacy jak on stają się wtedy nieskoordynowani, potykają się, robią sobie krzywdę.

Skurwiel pasował do wnętrza namiotu dowodzenia Alfa z automatem do kawy pod ręką i porcją tytoniu w kieszeni, ale to wszystko. Być może mógłby się i pochwalić jakąś całonocną balangą, ale nie chciałbym być tym, który musiał go po niej niańczyć. Nie podejrzewam też, żeby kiedykolwiek jadł swoje ciastka z mniejszą częstotliwością niż co dwie

godziny.

Sprawdziłem Baby-G, który wciąż dochodził do siebie po kąpieli w rzece. Była 15:27, co oznaczało, że mieliśmy jeszcze ze cztery godziny, zanim zrobi się ciemno. Przy naszym tempie było to za mało.

Charlie przełożył nogę z pnia na moje ramię. Skurwiel to zobaczył i musiał poczuć się jeszcze bardziej jak odszczepieniec. Brzmiał żałośnie.

- Człowieku, jak długo jeszcze mamy tak iść po tym zasranym kraju? Ile czasu mamy tu jeszcze zostać?
- Co ci, gruby? - Charlie patrzył, jak ten poprawia swoje przemoczone półbuty. - Nigdy nie było się zmarzniętym, mokrym i głodnym?

321

- Zmarzniętym i mokrym - być może - uśmiechnąłem się - **ale** głodnym? Nie sądzę!

Charlie mało co nie zakrztusił się ze śmiechu.

- I wy, chuję, myślicie, że dotrzemy tam przed zmrokiem? - Skurwiel rzucił nam złe spojrzenie i starł deszcz z twarzy. - Nie chcę tu być całą noc, to wiem na pewno. I nawet niech wam się nie śni zostawić mnie tu samego. Nic się nie zmieniło. Nie zapominajcie, że beze mnie się stąd nie wydostaniecie.

Charlie skrzywił się, stawiając ponownie stopę na ziemi.

- Nie martw się, gruby. Jak będzie trzeba, przepchamy twoją tłustą dupę nawet do samej Turcji.

Pokuśtykał na drogę. Twarzy jego nie widziałem, ale wiedziałem, że przy każdym kroku wykrzywiać ją będzie ból.

Zaoferowałbym mu pomoc jako podpora, ale tylko by mnie ofuknął. Obaj wiedzieliśmy, że nie on był tu najważniejszy, obojętnie jak odmienne

zdanie miałyby o tym Hazel.

### 3

Kolejna godzina minęła mi na pchaniu i podganianiu Skurwiela. Zwalniał, to było oczywiste. Nie mogło być łatwo utrzymać w ruchu taką masę; przy każdym jego kroku, jakbym słyszał klaskanie zwałów tłuszczu.

Szliśmy w szarej zasłonie deszczu, nadal wzdłuż rurociągu, biegnącego po lewej stronie szosy.

Gdy wspięliśmy się zakolem trochę wyżej, o jakieś 150 metrów przed nami, zobaczyłem jakąś białą plamę. Otarłem oczy z deszczu i spojrzałem ponownie. Był to tył jakiegoś samochodu dostawczego, stojącego przy drodze. Zrównałem się z Charliem.

Charlie oparł rękę o moje ramię, aby odciążyć kontuzjowaną nogę.

- Chyba powraca do nas szczęście, chłopcze.

Skurwiel zabrzmiał, jakbyśmy przepuszczali wolną taksówkę w tłumie, wylewającym się z teatru po skończonym spektaklu: - Hej, na co wy, kurwa, czekacie!?

Pobudzony instynkt samozachowawczy nakazał mu desperacko drapać się pod górę.

Gdy podeszliśmy bliżej, biała plama przeistoczyła się w tkwiący po osie w błocie bus marki Mercedes. Oba tylne koła się kręciły, ale chyba tylko po to, aby zakopywać samochód jeszcze głębiej.

### 323

Ominąłem rozpryskujące się spod kół błoto i zbliżyłem się do wozu od

strony pasażera. Z przodu widziałem dwie sylwetki, ale ludzie ci byli zbyt zajęci swoimi staraniami, aby mnie zauważyć. Zastukałem w szybę.

Pasażer odwrócił się, wyraźnie zaskoczony. Zobaczyłem szeroko otwarte, czarne kobiece oczy, wpatrzone we mnie przez zalaną deszczem szybę.

Kobieta patrzyła tak chwilę, po czym spojrzała na Charliego i Skurwiela, następnie ponownie na mnie. Rozumiałem jej niepokój. Znajdowaliśmy się na zadupiu, w ulewnym deszczu, i pewnie musieliśmy wyglądać, jak gdybyśmy właśnie wyczołgali się z jakiegoś dziewiczego bagna.

Rozsunąwszy suwak, uniosłem poły kurtki i wykonałem obrót.

- Żadnej broni - powiedziałem bezgłośnie - jesteśmy nieuzbrojeni.

Pozostali wykonali podobny gest, opuściłem kurtkę, ale nadal *trzymałem* ręce uniesione.

Opuściła szybę o jakieś 15 centymetrów, ale sądząc po wyrazie jej twarzy, nie była zachwycona naszym widokiem.

- OK, OK - uśmiechnąłem się - mówisz po angielsku?

Odwróciła się do kierowcy i powiedziała coś szybko po gruzińsku. Zdjął nogę z pedału i wychylił się w naszą stronę. Był krótko ostrzyżony i nie golił się ze dwa dni. Uśmiechałem się tak szeroko, że aż mnie bolała twarz.

- Angielski? Mówisz-po-angielsku?

Kobieta spojrzała znowu na mnie, nadal marszcząc brwi.

- Kim wy jesteście? Akcent miała wschodnioeuropejski, z nałotem amerykańskiego, zasłyszanego w telewizji.

Mówiłem bardzo wolno.

- Nasz samochód... - został uderzony - pokazałem rękami

-błoto...

Kierowca wychylił się ponownie.

- Rozumiemy.

Skurwiel odepchnął mnie. Z ociekającego wodą portfela wyciągnął swoją kartę akredytacyjną i wetknął ją przez szparę.

324

- Borjomi - szczechnął - zabierzcie nas do Borjomi.

Jeśli tak według niego wyglądała ofensywa uprzejmości, czekał nas jeszcze długi marsz. Kobieta wzięła do ręki dowód. Skurwiel nie tracił czasu.

- Chcemy dostać się do Borjomi. Zobacz, tam jest napisane, że masz nam pomóc.

Zerkając co chwila na nas, dwójka w mercedesie wymieniła między sobą parę słów. Nigdy nie lubiłem nie wiedzieć, co się mówi w takiej sytuacji jak ta, szczególnie że mogło chodzić o moją osobę, a wynik rozmowy nie okazałby się dla mnie korzystny.

W końcu wzruszyła ramionami.

- Oczywiście... to niedaleko. Nie więcej niż pół godziny. Też tam jedziemy, jeśli pomożecie nam wykaraskać się stąd.

Oddała legitymację, Skurwiel schował ją sobie do portfela. Chyba nie można go było teraz łatwo rozpoznać po zdjęciu. Miałem nadzieję, że nie rozpoznała też mnie.

Skurwiel już sięgał do klamki odsuwanych drzwi, jakby samochód już należał do niego, ale odgoniła go gestem.

- Najpierw musicie nas odkopać.

Przesiadła się na miejsce kierowcy, który wysiadł. Był wysoki i

szczupły, w wieku koło dwudziestu pięciu lat, miał na sobie czarną kurtkę z goreteksu. Podszedł do maski samochodu i wyciągnął rękę.

- Jestem Paata. Ona nazywa się Nana - wskazał głową na towarzyszkę.

Przedstawiliśmy się z Charliem. Mieliśmy nadzieję, że nasze zachowanie zdystansuje nas od tego chamskiego gbura, szarpiącego się z drzwiami.

Skurwiel spojrzał w naszą stronę.

- Hej, to cholerstwo się zacięło.

Paata potrząsnął głową.

325

- Nie, drzwi są zamknięte od środka. Dla bezpieczeństwa. Za raz je otworzymy.

Skurwiel postawił kołnierz i poszedł oprzeć się o jedno z nielicznych drzew, które stały przy drodze. Pochyliwszy się, z dłońmi na kolanach, oparł swoje wielkie pośladki o pień. Powstrzymałem się od śmiechu; wyglądał jak niedźwiedź, próbujący podrapać się w tyłek.

Złapaliśmy z Charliem za tylny zderzak i poczęliśmy pchać i szarpać wóz, próbując wyrwać koła z kolein, które wyżłobiły w błocie. Paata krzyknął do Nany, aby nadal nimi kręciła i przyłączył się do nas. Rozpiął kurtkę, aby się nie przegrzać. Ja dla odmiany liczyłem na rozgrzewkę. Nana docisnęła pedał gazu i błoto prysnęło spod kół jak z roztrzásacza. Paata krzyknął do niej kolejne polecenie, znowu dodała gazu. Tym razem koła zakręciły się już łagodniej.

Oparliśmy się z Charliem o tylne drzwi, próbując unieść wóz, puściliśmy, opadł ponownie w błoto. Nie byłem pewien, czy nasze wysiłki

na coś się zdadzą. Ręce Charliego zaczęły trząść się jak u zdemenciałego perkusisty.

- Paata - krzyknął - czy kiedyś już coś takiego robiłeś?

• Pewnie, jestem w tym mistrzem - uśmiechnął się szeroko - za każdym razem dzwonię po pomoc drogową.

• Słusznie - zaśmiałem się - a dlaczego nie teraz?

- Nie ma zasięgu w komórce. Dopiero w Borjomi.

Charlie klepnął go po ramieniu:

- A ja wykopałem już w życiu kilka samochodów z zasp, to nie takie trudne jak z błota, ale zasada ta sama.

Charlie pochylił się, aby przyjrzeć się osi.

- Błoto przykleja się do podwozia i blokuje napęd, a obraca nie kołami powoduje, że tylko wbijają się głębiej. My trzej silni młokosi powinniśmy zostać tu z tyłu, ale w tym wypychaniu wozu potrzebna jest nam pomoc Nany. Musi trzymać koła prosto, zmieniać szybko pierwszy bieg na wsteczny, wtedy złapiemy przyzwoity rytm. Gdy uda nam się uwolnić samochód z błota,

326

powinna wtedy dalej jechać, aż wyjedzie na twardy grunt. Jeśli może, niech unika kręcenia kołami w miejscu. Paata poszedł przekazać jej instrukcje.

- Te, kierowca - krzyknął Skurwiel spod swojego drzewa - nie dałoby się załatwić mi czegoś ciepłego do picia?

Jego stare obrzydliwe ego powróciło do niego na dobre. Paata był uprzejmy go zignorować.

Silnik zawył, a my trzej zaczęliśmy pchać. Zastanawiałem się, ile jeszcze

tego Charlie może znieść. Nana wrzuciła wsteczny, i Paata stał z twarzy garść błota.

- Otwórzcie tam z tyłu - krzyknął Skurwiel - sam sobie zrobię kawę.

Paata zamamrotał coś po nosem. Chyba właśnie dowiedziałem się, jak brzmi po gruzińsku „odpierdol się”.

- Charlie cofnął się o krok, wydawało się, że stopa w kostce za chwilę się pod nim załamie.
- Słuchaj, Paata, tak nie da rady. Masz łopate?
- Chciałbym - odrzekł - sądząc po wyrazie twarzy, użyłby jej do dzielenia Skurwiela przez łeb.

Charlie otworzył drzwi po stronie pasażera i zajrzał do środka. Wyprostował się z gumową matą z podłogi w rękę i podał mi ją.

- Może uda ci się odsunąć tym trochę błota spod kół, chłopcze.

Zwrócił się ponownie do Paaty.

- Łańcuchów też nie masz?

Paata zagadał coś do Nany, usłyszałem odsuwanie i zasuwanie bocznych drzwi. Paata pojawił się z parą łańcuchów śniegowych.

Charlie włożył je w odgarnięte przeze mnie z błota miejsca za oponami i dorzucił tam jeszcze gumową matę.

Na jego sygnał Nana jeszcze raz wprowadziła silnik w ruch, zwolniła sprzęgło. Przez sekundę koła zakreśliły się w miejscu, po czym mercedes wyjechał z błota i zatrzymał się na twardym gruncie.

327

Skurwiel już odklejał dupę od drzewa.

Nana wysiadła. Ubrana była w buty turystyczne, nieprzemakalne spodnie i, podobnie jak Paata, w kosztowną czarną kurtkę z goreteksu. Nie mogła mieć więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, ciało miała niemal drobne, ale w zachowaniu nie było śladu pieszczotki. Idąc wzdłuż wozu, wyglądała tak zdecydowanie, jakby była pociskiem sterującym.

Zastukała dwukrotnie w boczne drzwi, zamek szczęknął i drzwi odsunęły się szeroko, ukazując szereg monitorów telewizyjnych przytwierdzonych w metalowych ramach tworzących ściankę działową między przednimi fotelami a tyłem wozu, stos aluminiowych pudeł oraz jeszcze bardziej zdecydowanie wyglądającego faceta z wielką brodą oraz bicepsami grubości skurwie-łowych ud.

- To jest Koba - powiedziała Nana. - Przykro mi, ale żyjemy w niebezpiecznych czasach. Koba dba o to, aby nic nam się nie stało złego.

Nie żartowała. Koba pasowałaby dobrze wśród wymachujących maczetą typów na tbiliskim cmentarzu. Przyglądał nam się w milczeniu spode łba, jakby się zastanawiał, któremu z nas pierwszemu przyłożyć z byka.

- Tu jest tylko miejsce dla jeszcze trzech - rzekła Nana i wskazała na Charliego - niech pan siada z przodu i wyciągnie trochę nogę, wygląda na to, że nieźle boli.

Skurwiela nie trzeba było drugi raz zapraszać. Wsiadł, ja za nim. Wóz był wyraźnie wozem transmisyjnym. Złożyłem dwa i dwa do kupy i nagle pożałowałem, że nie przypilnowałem tej swojej głupiej czapki. Już wcześniej twarz Nany wydawała mi się znajoma. To ona stała przed kamerą podczas oblężenia Kazbegi.

Odsunąłem kilka kabli z podłogi, aby zrobić miejsce na stopy. Ruszyliśmy, Paatę i Charliego mogłem widzieć przez okienko między monitorami. Obok monitorów ktoś przykleił serię zdjęć Nany oraz świeżych wycinków z gazet.

Na jednym z nich pozowała przy biurku sprawozdawczym, niczym prezenterka gwiazda Fiona Bruce, umalowana, z ujmującym uśmiechem. Na dole biegł tekst w spinaczach, bukwami i po angielsku, który informował o nominowaniu jej do jakiejś nagrody. Nana najwyraźniej nie próżnowała. Ujawniała korupcję na wszystkich szczeblach władzy, „odsłaniając sieć powiązań i protekcji na wszystkich poziomach”.

Inna fotografia ukazywała Nanę obok gruzińskich żołnierzy, relacjonującą okupację budynku Kazbegi przez muzułmańskich bojowników na granicy z Rosją, niespełna dwa tygodnie temu. Według tekstu poniżej, była pierwszym dziennikarzem na miejscu i nadawała na żywo dla CNN.

Nikt nic nie mówił. Nana była bardzo napięta i rozdrażniona, co wpływało na ogólną atmosferę. Dźwiękoszczelne wnętrza świetnie wyciszało deszcz, co dodatkowo potęgowało nieprzyjemną ciszę.

Skurwiel, który wracał do formy, nie zwracał na to uwagi.

- No to gdzie jest do cholery ta kawa?

329

Nana sięgnęła do jednej z dużych nylonowych toreb na suwak, stojącej na podłodze i podała mu metalowy termos. Koba obserwował każdy ruch Skurwiela, gdy ten odkręcał korek.

- Pracujecie dla rurociągu? - zapytała Nana - Kim jesteście, kontrolerami, inżynierami?

Skurwiel nalał sobie pełen kubek i zapach kawy wypełnił wnętrze.

- Ochroną.

Nana zwróciła się do mnie. - Ty też jesteś od bezpieczeństwa? Masz jakąś legitymację? Koba lubi wiedzieć, z kim ma do czynienia.

- Była w mojej torbie, w naszym pajero - Zrobiłem przeproszący gest - straciliśmy wszystko.

Teraz skupiła uwagę na Skurwielu.

- Planujemy reportaż o rurociągu, może kiedyś moglibyśmy zrobić jakiś interes.

Skurwiel przetykał kawę. Nie przyszło mu do głowy zaoferować ją jeszcze komuś innemu.

- Zdaje się, że jesteście przeciw.

- Słucham? Ach, rozumiem. - Nana rozprostowała palce. - No dobrze, czy nie uważa pan w takim razie, że szaleństwem jest prowadzenie rurociągu prosto przez park narodowy?

Skurwiel wziął głęboki oddech. Zaraz wygłosi jedną z swoich mów o stanie państwa.

- Proszę pani, pani nie widzi tego w szerszej perspektywie.

Musiał być poprowadzony tędy, aby ominąć Rosjan na południu.

To miejsce nie bez powodu nazywa się u nich Miasteczkiem Wojskowym Numer Jeden. Poza tym to wy nazywacie ich agresywnymi sąsiadami, nie my...

Jasne było, że Kobie nie podoba się ton głosu Skurwiela, a ten to wiedział.

-1 co się tak gapisz, dryblasie?

Głęboko osadzone oczy Koby nawet nie drgnęły. Skurwiel odstawił

wypitą kawę, a ja wtrąciłem się, aby zapobiec dalszemu pogorszeniu się sytuacji.

330

-A ty, Nana? Czemu jedziesz do Borjomi? Zwężyły się jej oczy.

Wiedziałem, że jej się nie podobam, wolałem jedynie nie poznać powodów.

- Pewnie nic o tym nie słyszeliście, bo to sprawa lokalna, żadna tam ważna część całościowego obrazu... - zerknęła na Skurwiela, ale jej ironia w ogóle do niego nie dotarła.

- Ponad tydzień temu, w wiosce o nazwie Kazbegi, uzbrojeni bojownicy dokonali masakry na ponad sześćdziesięciu kobietach i dzieciach.

Ten wyraz twarzy widziałem już u niej wcześniej. Również u Hazel i Julie. Próbowwała się powstrzymać.

- Rodzina rolników w Borjomi straciła w masakrze swoje jedyne dziecko. Małą dziewczynkę. Siedmioletnią...

Przerwała na chwilę.

- Byliśmy u nich w sobotę. Jedziemy znowu, bo zdecydowali się wystąpić publicznie i opowiedzieć, jak wygląda życie pod tyrańskimi rządami Akaki, przywódcy bojowników. On nie walczy o wolność, to bandyta z zapędem dyktatorskim. Ci wszyscy biedni ludzie żyją w ustawicznym strachu. Ale ta para powiedziała temu dość.

Skurwiel zaczął się śmiać.

- I co uda się teraz zdziałać mamusi i tatusiowi? Myślą, że zmienią cały świat? Co, myślą, że teraz Akaki pogubi portki ze strachu? Cholera, oni po prostu podpisali na siebie wyrok śmierci

ci. Głęboko pierdolone - pokiwał głową, patrząc na Kobe - czyż nie tak, dryblasie?

Koba poruszył się niespokojnie na swym fotelu. Wyraźnie wiedział, kim był Akaki, i wcale go nie lubił. Teraz Skurwiel nie mógł się już powstrzymać. Był jak na fali.

- Ten Akaki... rany, ile on razy przez te lata przysparzał nam bólu głowy.
- Ból głowy? O ból głowy?- Nana potrząsnęła z niedowierzaniem głową.  
- No tak, można ich i tak nazwać... Słyszał pan o zamordowaniu Zuraba Bazgadze?

331

Zwróciła się do niego, ale miałem nieprzyjemne uczucie, że mówi do mnie.

- Tego nieskazitelnego, tak? Tego, który próbował przeszkodzić w budowie rurociągu?
- Miał ku temu bardzo poważne powody. - Nana zerknęła też na Kobe. Próbowała jakby dać mu wyrazem twarzy do zrozumienia, że nie ma potrzeby urwania Skurwielowi głowy, jeszcze chwila, a zrobi to sama. - Jak może pan zauważył, struktura podłoża jest tutaj niezwykle mało stabilna. To rejon skomplikowany pod względem geologicznym, szczególnie podatny na obsuwy i trzęsienia ziemi. Gdyby rurociąg pękł, oznaczałoby to katastrofę ekologiczną. Zurab wiedział, że to zniszczyłoby naturalne źródła wody. Butelkowana woda jest głównym towarem eksportowym Gruzji. Od tej wody zależy życie okolicznej ludności. Nikt nie walczył w ich obronie tak wytrwale jak on.
- Zurab, tak? Jakiś znajomek, paniusiu?

- Tak się złożyło. Przeprowadziłam z nim wiele wywiadów, ostatni tuż przed jego śmiercią. Był tu w niedzielę, odwiedzał poszkodowaną rodzinę. Taki był. Człowiek ludu. Mielśmy filmować go w niedzielę rano, ale musiał nagle wracać do Tbilisi, udało nam się tylko nagrać kilka minut...

Miała wyzywający wyraz twarzy, ale w jej oczach zobaczyłem chyba łzy.

- Teraz żałuję oczywiście, że nie namówiliśmy go, aby został dłużej.

Pochyliłem się ku niej z łokciami opartymi na kolanach.

- Ty jesteś to „60 Minutes”, prawda?

Przytaknęła.

Wszystko jasne. „Georgian Times” podał, że po odczytaniu przez Baza oświadczenia, Baz miał wystąpić w „60 Minutes”.

- Rurociąg ma czujniki, które pokazują każde uszkodzenie

- powiedział Skurwiel. Chyba nie dotarło do niego ani jedno słowo. - W ciągu paru dni zostałyby uszczelniony.

Nanie udało się zachować zimną krew.

332

- Do tego czasu cały rejon zostały już zanieczyszczony ropą.

Właśnie dlatego Zurab dostał dyrektywę, aby nie dopuścić do tego, żeby rurociąg przebiegał właśnie tędy. Ale wasi... przyjaciele. .. jązniesli. Zurab powiedział, że decyzja zapadła w samym Waszyngtonie, że wydał ją wasz kochający pokój prezydent.

Skurwiel chyba nie słuchał. Kipiał cały, jak gdyby właśnie przyłapał tę kobietę na paleniu flagi amerykańskiej.

- Zaraz zaraz, paniusiu, ten wasz nieskazitelny wiedział, że wy

z tego czerpicie niezłe zyski. Gdyby nie my, nadal byście żyli jak w średniowieczu. Finansujemy was, dajemy wam niezawisłość, wolność i stabilizację - i co mamy w zamian? Parę kilometrów stalowej rury.

Mój prezydent znalazł nawet czas, aby tu przyjechać i pokazać wam, jak poważnie wszystko traktuje. Czego ten wasz pieprzony nieskazitelny jeszcze od nas chciał?

Koba wkurzał się coraz bardziej. Nana wymamrotała do niego kilka słów uspokojenia i potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Zurab nie potrafił po prostu zrozumieć dlaczego, skoro tyle sił poświęcacie sprawom demokracji i stabilizacji, popieracie rząd, w którym korupcja nie ma granic. Ludzie widzą bardzo mało korzyści płynących z tego waszego tak zwanego altruizmu, więc myślą, że chodzi wam jedynie o ropę naftową.

Twarz Skurwiela przybrała odcień purpury.

- Wiesz co, kochana? Gównu mnie to obchodzi. Rzygać mi się chce, jak pomyślę o ludziach typu Bazgadze - narzekających a to na to, a to na owo. Jezu, zanim się tu nie pojawiliśmy, ludzie tutaj stali całymi dniami w kolejce po chleb, mimo to wszystko, co robił Bazgadze, to było tylko narzekanie - na wasz rząd, na nasz, na Rosjan, na korytarz energetyczny. Zresztą, wiesz, co ci powiem, moja droga - przyłożył sobie palec do skroni, cisnąc wyłazące mu na wierzch żyły - gównu mnie obchodzi, czy gruziński rząd jeździ sobie cadillacami. Dla Bazgadze był to problem, dla mnie nie.
- Zgoda, to był jego problem. Ale to jest też i mój problem, problem całej Gruzji i - proszę spojrzeć na to właściwie - to jest

również wasz problem. Zurab miał rację. Wiedział, że wasz kraj bardziej jest zainteresowany ropą niż demokracją. Demokracja to tylko wymówka, wygodny sztandar, którym można pomachać. Zachowujecie się tutaj wcale nie inaczej niż w Południowej Ameryce, Afryce czy na Bliskim Wschodzie. Inwestujecie w zbrojenia, utrzymujecie skorumpowane rządy w zadowoleniu i budujecie bazy wojskowe dla własnych ludzi w celu obrony waszych interesów naftowych. W tym czasie nasi ludzie, ich ludzie, ludzie, którzy coś znaczą, nie dostają nic.

Oparłem się o aluminiowe pudła. Teza Charliego „zwykłego człowieka i tak wyrolują” znajdowała w tej opowieści swoje najbardziej dotąd wyraźne potwierdzenie.

- Zurab wiedział bardzo dobrze, że wy, Ameryka, posługujecie się wojną z terroryzmem i paranoją w kwestii bezpieczeństwa narodowego do podtrzymania waszego rozmieszczenia się za granicą, podczas gdy wasze wojska stają na straży każdego pola naftowego, każdego naftociągu, rafinerii i każdej trasy tankowców na całym globie. A my zapłacimy za to niewyobrażalnie wysoką cenę. Myślicie, że mierzona jest w dolarach, ale tak nie jest. Mierzona jest krwią.

Nawet Skurwiel niewiele mógłby na to powiedzieć, ale nawet nie musiał. Paata odwrócił się i wychylił przez okienko.

- Jesteśmy na miejscu.

W sekundę później w okienku pojawiła się głowa Charliego.

- Nie wygląda mi specjalnie na centrum, w którym powstaje główny produkt eksportowy kraju, ale cóż.

Zerknąłem przez przednią szybę. Tu i ówdzie, po obu stronach doliny, widniało parę domów. Zabudowa gęstniała w miarę, jak droga wspinała się w górę, ku skupisku dachów o jakieś 500 metrów dalej.

Cała okolica była spokojna, zielona i bardzo mokra. Błotniste drogi i proste drewniane płoty miały w sobie coś południowego. Wyjąwszy kilka kur drepczących wokół oraz krów snujących się po okolicznych polach po lewej stronie, miejscowość robiła wrażenie wyludnionej. Z powodu ulewy ludzie siedzieli w domach, i nie było co im się dziwić.

Droga przed nami wzmocniona była ceglami i kawałkami drewna. To, że nie zobaczyłem ani jednego wozu z napędem na cztery koła, źle wróżyło. Ciekawe, ile czasu zabrałoby nam przedostanie się do Turcji wozem konnym.

-1 co dalej? - Charlie zwrócił się z pytaniem do Paaty.

- Jedziemy z powrotem tam, gdzie Nana przeprowadzała wywiad o Kazbegi. Nie możemy w okolicy pokazywać się tym mercedesem. Nana nie jest tutaj zbyt popularna. Choć powinna. Lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. - Zacisnął szczęki. - Chłop po-

335

zwolił nam przespać się u siebie, to dobry człowiek. To z powodu jego i jego żony przyjechaliliśmy tu ponownie.

Gdy minęliśmy podniszczone gospodarstwo, droga skręciła w prawo. Zatrzymaliśmy się przed wielką drewnianą stodołą z prześwitami między deskami i z połatanym dachem z pordzewiałej blachy. Paata wyskoczył,

aby otworzyć wrota.

Skurwiel odebrał to jako sygnał do otwarcia japy.

- Ta legitymacja obliguje was do pomocy. Potrzebny mi wóz.

- Zapytam Eduarda - powiedziała słodko Nana - czeka

w środku.

Paata wsunął się ponownie do samochodu i podjechaliśmy jakieś dwanaście metrów do środka stodoły. Była ze trzy razy większa od naszego busa, obok nas spokojnie pomieściłoby się jeszcze ze sześć takich pojazdów.

Miejsce pachniało rozpadem i starym obornikiem, ale przynajmniej było suche. Nie było widać żadnych maszyn ani narzędzi, nawet siana.

Zobaczyłem jedynie grubo ciosaną starą ławę w odległym rogu, obok resztek niewielkiego paleniska. To tutaj ekipa ta musiała wcześniej nocować.

Nana powiedziała coś po gruzińsku do Koby. Skinął głową i ustawił się z boku, kilka kroków od nas. Rozpiął kurtkę, Skurwiel gramolił się w tym czasie z samochodu.

- Gdzie jest ten Eduard? Ja tu mam sprawy do załatwienia.

Nana starała się mówić z lekkością ale widziałem, że coś ją trapi.

- Zaraz tu będzie, on nie jest z tych, co nie dotrzymują słowa

- zerknęła dziwnie na Paatę, potem na mnie i Charliego.

Cholera, za dużo tego kontaktu wzrokowego. Coś tu nie gra.

- My też będziemy sobie iść - odezwałem się energicznie - dziękujemy za podwiezienie.

- Eduard będzie wiedział, czy znajdzie się jakiś transport. Zawołam go.

Pobiegłem wzrokiem za jej spojrzeniem na Paatę i Kobe i poczułem między nim napięcie.

336

Byli jakby w blokach startowych, gotowali się na coś.

Spojrzałem ponownie na Nanę, włączyła komórkę.

Przez moment miałem wizję biednego chłopą podskakującego na wybojach w swojej przechodzonej ładzie i grzebiącego w kieszeni w poszukiwaniu swojej nokii.

Gruziński chłop z komórką. A do kogóż on do cholery może dzwonić?!

Ponownie spojrzałem szybko na Nanę. Ona zaś wpatrywała się w Kobe - i ten wzrok mówił mi wszystko.

Wiedziała. I to od samego początku. Całe to poruszające serce gadanie było po to, aby odwrócić naszą uwagę.

Podszedłem do Charliego. Nie spuszczałem wzroku ze stóp Koby, między nami a drzwiami. Nie zamierzałem wcale dołączać się do tej ucztę porozumiewawczych spojrzeń i pogorszyć sprawę.

- Chodź, chłopie - wymamrotałem - spadamy stąd.

6

Charlie osłaniał mnie, gdy zrobiłem krok w stronę drzwi, gotów wziąć na siebie Kobe, gdyby postanowił nam przeszkodzić. Radości by mi to nie sprawiło, ale po raz kolejny nie mieliśmy wyboru. Koba zrobił krok w naszą stronę. Porobiło się.

Pochylając głowę, ruszyłem w jego stronę; Nana krzyknęła, ale ręce Koby były szybsze. W sekundę później patrzyłem w otwór błyszczącej

chromowanej lufy, wycelowanej we mnie z odległości trzech albo czterech metrów. Koba miał nas wszystkich w zasięgu Magnum „Desert Eagle” kalibru .357, ruchem lufy dał nam do zrozumienia, że następną najrozsądniejszą z naszego punktu widzenia czynnością jest położyć się na ziemię.

Spojrzałem na Nanę. Przy uchu miała telefon.

- Nana, o co chodzi? Coś nie tak?

Dostałem od Koby kopniaka w bok. Zamknąłem się i zniosłem ból, to było o wiele przyjemniejsze niż kula z „Desert Eagle”. Nie bez przyczyny ten masywny półautomatyczny pistolet izraelski był ulubioną bronią każdego szanującego się gangstera w Stanach.

Błyskając ku mnie nienawistnie oczami, Nana mówiła coś szybko po gruzińsku do telefonu - kolejna rzecz, która nie była dla mnie przyjemna. Paata wyjął dwie aluminiowe skrzynie z samochodu i począł wlec je w naszą stronę. Zanim skończyła rozmowę, usłyszałem, jak wymieniła kilkakrotnie imię Baza.

338

- Dobrze wiesz, co jest nie tak. Policja jest już w drodze. Pieprzyć Koba z tym jego buciorem, czas na gadkę i odgrywa nie głupiego.

-Aleja nie rozumiem... dlaczego z bronią do nas? Przecież nic nie zrobiliśmy.

Przygotowałem się na następny cios.

W zamian podeszła do mnie i uklękła przy mojej głowie.

- Myślisz, że cię nie rozpoznaję? To ty zabiłeś Zuraba. Ja **nie** tylko pracuję dla wiadomości, ja też je śledzę.

Robienie z siebie głupa nie podziałało.

- Czekaj, Nana... owszem, byłem tam. Charlie też. Ale go **nie** zabiliśmy. To był Akaki, jego ludzie.

Spojrzała na mnie chłodno i przerwała mi gestem ręki.

- A nawet gdyby? Jediną różnicą między wami jest to, że Akaki był szybszy. I dla was Zurab za dużo robił szumu? Nieważne, wszyscy chcieliście go zabić. Bo po cóż innego mielibyście tam być? A ten - machnęła stopą w kierunku głowy Skurwiela - ten nawet ma legitymację rządową. Jak mam inaczej to rozumieć?

Parę metrów od nas Paata rozstawiał kamerę i światła. Skurwiel był dziwnie cicho, fakt, że leżał twarzą przy ziemi, nie oznaczał wcale, że za chwilę nie stanie się ponownie sobą.

- Z tymi dwoma typami proszę mnie nie łączyć, rozumiano? Jestem od bezpieczeństwa rurociągu, koniec kropka. Nie mam nic wspólnego z tym, co ci skurwiele zrobili, cokolwiek by to było. Ta legitymacja stwierdza, że macie mi być pomocni, więc bądźcie.
- Brzydzisz mnie - Nana rzuciła mu długie spojrzenie -jesteś tak samo winny, jakbyś osobiście pociągnął za spust.

Paata zamocował światła, przed nami i z boku, i zaczął przeciągać kable do samochodu.

A więc tak, będzie piękny moment: sfilmowani przez Nanę Onani. Ciekawe, jak przyjmie to Hazel i Silky.

Charlie miał wyraźnie podobne myśli.

339

- Nie patrz teraz - wymamrotał - zaraz będziemy głównymi bohaterami serialu „Jestem gwiazdą. Wyciągnijcie mnie stąd" w wersji Nany!...

- Serial zasłuży chyba na Emmy, nie myślisz? - odrzekła, po czym po gruzińsku rzuciła parę słów do Koby.

Przytaknął posłusznie. Lufa „Desert Eagle” nie drgnęła nawet o milimetr, gdy Nana wstała i ponownie włączyła komórkę.

- Nana, myśmy go nie zabili. Musiałaś przecież widzieć nagrania. Przecież na nich nie widziałaś mnie zabijającego, prawda?

- Zachowaj to dla kamery. Każdemu damy się wypowiedzieć.

Zagadała coś do telefonu, poczekała chwilę, po czym mówiła dalej.

Paata zapalił generator w mercedesie i reflektory rozbłysły. Czułem ich ciepło na twarzy i plecach. Zaczęło parować na mnie ubranie.

Nana mówiła teraz bardzo szybko, sprawdziła na zegarku godzinę i machnęła wolną ręką w stronę Paata i sprzętu, tak jakby ktokolwiek, kto był na drugim końcu linii, mógł to zobaczyć. Znowu mogłem wyłapać w potoku słów imię Baza, w końcu ostatnio dość często je słyszałem.

Paata przykląkł przy samochodzie, aby z czegoś, co wyglądało na czarny wózek golfowy rozpakować antenę satelitarną. Nana będzie swój specjalny program nadawać na żywo, my będziemy przed kamerami zapewniać o swojej niewinności, potem zaś pojawi się policja. Czas na decyzję.

Mamy pokazać papiery teraz? A może jednak uda nam się jakoś z tego wybrnąć w inny sposób i użyć ich później?

Ten cholerny Skurwiel wyzna jej wszystko. Dlaczegoż miałby się inkryminować? Charlie zaś...

Postanowiłem poczekać jeszcze chwilę, do czasu gdy kamery będą gotowe. Może oni pozwolą nam usiąść, każda szansa na zmianę pozycji

była też szansą na podjęcie akcji.

Nana skończyła rozmowę i jej wzrok spoczął na moment gdzieś za nami.

340

- Na tej ławie? - w głosie jej był smutek - w sobotę siedział na niej Zurab, gdy odebrał telefon, po którym zmuszony był wracać do Tbilisi. Gdyby... gdyby nie pojechał... Gdybym zadała mu jeszcze ze dwa albo trzy pytania, kto wie, jak potoczyłyby się sprawy? Zwróciła na mnie wzrok i jej oczy ponownie wypełniły się pogardą i nienawiścią.

Ciszę, która zapanowała, przerwał Charlie.

-Nana, my tego nie zrobiliśmy. Możemy to udowodnić. Mamy te dokumenty. To oświadczenie, którego wszyscy szukają? Mam je tutaj, i taśmę z nagraniem, na którym widać, jak ten tłusty skurwiel wszystko organizuje. - Zwrócił się do Skurwiela, ich głowy były o pół metra od siebie. - Jakie tam znów bezpieczeństwo rurociągu, co za pieprzenie!

7

W kasecie zaczęła kręcić się taśma.

Koba kazał nam trzem położyć się obok drzwi wozu, ale mogliśmy widzieć wszystko, co trzeba. Jeden monitor widzieliśmy dobrze, nas widział równie dobrze Koba ze swoim „Desert Ea-glem”.

Przede wszystkim Nana i Paata byli teraz bardziej zainteresowani tym, co się stało z Eduardem. Już zaczynałem rozumieć gruziński. Gdzie ten facet się podział? Zamilkli - Paata skoncentrował się na ekranie, Nana na przeglądaniu dokumentów Baza.

Nie było co wstydzić się za jakość nagrania, biorąc pod uwagę, po jakich przejściach była kasetka. Była nieco zapiaszczona i zabłocona, ale na zdjęciach widać było wyraźnie Jima Bastendorfa wchodzącego do pokoju Charliego w Marnocie.

Mały ekran nie oddawał wystarczająco dobrze przebrania Charliego, ale i tak wywołało na mojej twarzy uśmiech. Charlie pamiętał o staniu plecami do obiektywu, co było rozsądne, właśnie ze względu na to przebranie. Na głowę i ramiona zarzucił sobie ręcznik jak bokser, ale chyba nikt nie pomyliłby go z Mu-hammadem Ali. Całość przybrał zasłoną od prysznicza.

Ktoś coś powiedział, ale jakość dźwięku była słaba. Paata przewinął taśmę do tyłu i zrobił głośniejsze.

342

Słuchaliśmy wszyscy, jak Skurwiel tłumaczy Charliemu, dlaczego miał się dostać do domu Baza w sobotę w nocy. „Tego chuja nie będzie w domu do niedzieli” - skierował palec w stronę konstrukcji z ręcznika i zasłony - „więc to musi być w sobotę wieczór, kapujesz?”.

Odwróciłem wzrok i spojrzałem w stronę drzwi stodoły. Na zewnątrz deszcz tworzył z drogi coś na kształt sadzawki. Ile czasu może zająć policjantom przedarcie się przez taką drogę? I skąd będą jechali? Jeśli w Borjomi jest posterunek, mogli być tu lada moment.

Koba tkwił dalej nieruchomo jak skała, bardzo profesjonalnie trzymając się z dala od nas na odległość trzech metrów. Jaką miałem szansę złapać go i ten jego kaliber .357, zanim usłyszymy syreny? Nas było trzech, wliczałem tu Skurwiela, bo chyba chętnie by się przyłączył. Nadal był jak na moje oko za spokojny, ale wiedziałem, że również i on nie życzyłby

sobie być zgarnięty. Nana spojrzała na mnie.

- Czy wiesz, co tu jest?

Potrząsnąłem przecząco głową.

Już chciałem wyjaśnić jej kolejny powód, dla którego znaleźliśmy się w domu Baza, ale ona kontynuowała czytanie. Żałowałem teraz, że nie zrobiłem nic, gdy Koba kopniakiem kazał nam wstać i doprowadził te dziesięć kroków do mercedesa. Nana i tak będzie czekała na policję.

Ale w końcu wyznałem jej, do cholery, wszystko co wiedziałem; skąd w tym wszystkim wziął się Skurwiel, dlaczego znaleźliśmy się w tym domu - a nagranie było dowodem, że Skurwiel nie tylko był w to zamieszany, ale również to, że nawet nie wiedzieliśmy, że Baz będzie w domu...

- Proszę pani - odezwał się Skurwiel - ja tylko robię, co mi każą. O tym zabijaniu nic nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że wróci do domu...

Na nic jego wysiłki. Moje też. Nana, z pochyloną głową, będąc w połowie drugiej strony, gestem nakazała nam ciszę.

**343**

Teczka z dokumentami leżała na jej kolanach. Patrzyłem, jak po jej policzku stoczyła się łza i upadła na kartkę.

- O, mój Boże - chlipnęła. - O Boże jedyny...-wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła pleców Paata. - Musimy to nadać, natychmiast.

**8**

Ocierając wierzchem dłoni co jakiś czas łzy, aby skapując, nie rozmazały atramentu, Nana pochłonęła wzrokiem resztę dokumentu.

Na wszystkich trzech monitorach zamigotały barwne pasy i Pa-ata umocował antenę zaraz za drzwiami stodoły. Koba zaszurał za naszymi plecami; tak jak i my wszyscy chciał pewnie wiedzieć, co się stało, co było w tych papierach.

Ekran zamigotał ponownie; pojawiła się na nich kobieta w niebieskiej marynarce, siedząca przy pulpicie w pustym studio. Założyła słuchawki i zatrzeszczało w głośnikach. Tak, będzie nadawane na żywo.

„Nana? Nana?”

Nana wyłączyła dźwięk i też założyła na głowę zestaw słuchawkowo-mikrofonowy. Chwilę zbierała się w sobie, po czym zaczęła mówić niskim, nagłym tonem. Kilkakrotnie wymieniając nazwisko Baza, cytowała obszernie fragmenty dokumentu. Kobieta w studio wyglądała na przerażoną. Za nami czuć było, jak w Kobie rośnie wściekłość. Nie wyglądało to wszystko za dobrze; tekst Baza miał nam przecież pomóc.

Dotarłszy do ostatniej strony, Nana zatrzasnęła teczkę i wsadziła ją sobie do bocznej kieszeni kurtki.

Wymieniła ze dwa kończące nagranie słowa z koleżanką w studio, tamta zaś wstała i zniknęła nam z pola widzenia.

345

Oczy zdejmującej z głowy słuchawki Nany nadał były pełne łez.

- Chcieliśmy jutro z Zurabem przemówić w parlamencie - na prawdę bardzo walczyła ze sobą, aby się nie rozpaść - mieliśmy sfilmować go, kiedy będzie czytał to oświadczenie w obecności swoich kolegów parlamentarzystów, tych samych, których postępowanie miał ujawnić. - Wolno pokręciła głową - Ale nikt z nas nie miał pojęcia... bladego pojęcia, że odsłoni taką... taką...

- szukała właściwego słowa - ohydę.

Takie słowo znalazła, ale sądząc po wyrazie jej twarzy, było za łagodne.

Słowo to zawisło jakby w powietrzu, po czym Nana ponownie zasłoniła ręką usta. Nie wiedziałem, co powiedzieć - bo i skąd miałbym wiedzieć? Nie miałem zielonego pojęcia, o czym właśnie przeczytała. Wiedziałem tylko, że Nana jest twardzielem, a ta historia z Bazem kompletnie ją rozwalila. Wiedziałem również, że nie zanosilo się na to, aby ten dokument pomógł nam w jakikolwiek sposób pozbić się z tej ziemi i zabrać się jak najdalej od tych tutaj.

- Nana, czy wierzysz nam teraz? Musisz nas puścić wolno, za nim nie przyjedzie tu policja. Nana?

Nadal nie słuchała.

- Nie chciał mi powiedzieć... uważał, że było to dla mnie zbyt niebezpieczne. -Wreszcie zwróciła się twarzą do nas, oczy miała czerwone i pełne nienawiści - Wierzyć ci? Dlaczego? Niby dlaczego miałabym wam wszystkim wierzyć? Tłumacz to sobie policji. Zobaczymy, czy ich przekonasz.
- Kochana, mnie tam nie było. Miałem jedynie przekazać torbę z przyrządami. Nie pakuj mnie do jednego wora z tymi mordercami - Skurwiel był w swoim wytrwały. Byłem bliski podziwu.
- Ty! Ty się zamknij! - Charlie najwyraźniej nie miał podobnych uczuć.

Musieliśmy ją przekonać, zanim nie zjawią się tu mundurowi. Z nimi się raczej nie dogadamy.

346

- Nana, niby dlaczego mielibyśmy ci w ogóle dać te dokumen

ty? Powiedzieliśmy ci, co się wydarzyło. Widziałaś, żebym go zabijał? Nie. Byliśmy tam tylko po te papiery. Skoro maczaliśmy w tym palce, czemu więc sfilmowaliśmy tę grubą świnię?

To nie działało. Odwróciła się z powrotem w stronę monitorów. Pokazywali ponownie wiadomości. Kobiety w studio mówiły coś, ale dźwięku nie było. Przynajmniej nie z ekranu.

Wszyscy natomiast usłyszeliśmy to, co działo się na zewnątrz.

- Policja - Nana jakby odetchnęła z ulgą.

Paata wbiegł do stodoły, krzycząc coś po gruzińsku. Zdołałem uchwycić jedno tylko słowo, nie brzmiało za wesoło. Odwróciłem głowę - Koba stał nadal za nami. Słowo Akaki również i jego chyba nie ucieszyło.

Warkot silników przybliżył się. Koba denerwował się coraz bardziej. Sądząc po odgłosach, jechały ku nam trzy albo cztery samochody pełne bojowników, on zaś był jeden. Niezły dylemat.

Nana próbowała go uspokoić, ale bez skutku. Nadal wycelowany był w nas odbezpieczony „Desert Eagle”, Koba nerwowo machał lufą na boki. Jego oczy nabrzmiwały łzami wściekłości.

Skurwiel leżał sobie spokojnie, jakby zadowolony z sytuacji. Wariat, do cholery? Charlie obrócił się na plecy.

- Koba, uspokój się, człowieku. Albo celuj sobie w coś inne go...

Spojrzałem na tylną ścianę, widoczną pod samochodem - ani śladu bocznych drzwi. Pojazdy były tuż-tuż; Charlie zobaczył je pierwszy.

- Wozy talibów!

Zerknąłem na drzwi.

Faceci w czarnych kominiarkach i zielonych wojskowych kurtkach,

niektórzy w pelerynach, uzbrojeni w kałasznikowy, lekkie karabiny maszynowe oraz z pasami amunicji kalibru 7.62 wysypywali się z pick-upów marki Toyota.

Koba poleciał w ich stronę, krzycząc i płacząc z wściekłości.

Wstałem i złapałem Charliego.

347

- Idziemy! Szybko, szybko!

Kobie aż podrzuciło rękę od strzału z ciężkiego kalibru .357. Z obu stron wejścia usłyszałem krzyki.

Przycupnęliśmy z Charliem za samochodem. Nie wiedziałem, gdzie podziła się pozostała trójka, specjalnie zresztą się nią nie przejmowałem.

Skurwiel zmaterializował się za nami; dwa wystrzały z karabinku położyły kres działalności właściciela „Desert Eagle'a”. Stodoła rozbrzmiewała wściekłymi okrzykami.

Spojrzałem przez prześwit pod podwoziem. Koba skręcał się na ziemi obok jednego z przybyłych wozów. Z przebitych piersi tryskała krew.

Potężny mężczyzna z rozwianym włosiem i brodą w stylu Osa-my bin Ladena podszedł do niego, z kolbą karabinka przystawioną do obciążonego peleryną ramienia. Pochylił się i nacisnął spust. Broń odskoczyła, a głowa Koby eksplodowała jak arbuz.

CZEŚĆ

**JEDENASTA**

**1**

Jedno było pewne: Nana była kobietą z jajami.

Podbiegła stawić czoło Akakiemu i pierwszym spośród jego ludzi, wbiegających już do środka. Udawała, że cieszy się z wielkiego zwycięstwa nad tym tchórzliwym pieskiem pokojowym kapitalistów Kobą, następnie zamachała i zagadała do nich, wskazując na antenę satelitarną na bus, na światła i na kamerę.

Nie udało mi się jednak zobaczyć do końca całego przedstawienia. Załoga kolejnego wozu pojawiła się po naszej stronie mercedesa i posługując się kolbami oraz butami zagnała nas w róg stodoły, w pobliże pamiętnej ławki Baza. Zdążyłem już zobaczyć na tyle dużo, że zrozumiałem, że ludzie Akakiego nie będą najlepszymi słuchaczami, obojętnie co jeszcze wyłoży im Nana.

Spróbowałem spojrzeć na wszystko pozytywnie: przynajmniej było na czym usiąść. Starłem się również sprawiać wrażenie odprężonego i nie wchodzić w kontakt wzrokowy z zaganiającymi nas ludźmi. Jeden z nich wetknął sobie ubłocony „Desert Eagle” za pas.

Skurwiel przeszukiwał oczami tłumek mężczyzn.

Niektórzy z ludzi Akakiego zaczęli zdejmować z głów kominiarki, odsłaniając zarośnięte twarze i szerniałe zęby. Między nimi było kilku gołowąsów, ale większość miała koło trzydziestki albo nawet więcej. Tak czy inaczej, wszyscy pysznili się byciem

351

postrachem okolicy. Wyglądali jak zaprawieni w bojach afgańscy mudzahedini, którzy swoją drogę w życiu już dawno wybrali. Od dawna nie znałem nikogo, kto by nie mówił na pick-upy Toyoty inaczej niż talibki.

Niektórzy wparowali do mercedesa i myszkowali w nim, inni - niestety - gapili się na nas szklanymi, dziwnymi oczami, podobnymi w wyrazie do oczu tych ćpunów na cmentarzu.

Nana nadal próbowała rozmawiać z grupą przy wejściu, ale jej członkowie tracili jakby tym zainteresowanie. Większość z nich raczyła ją sprośnymi spojrzeniami, wymieniając między sobą uwagi, treść których łatwo było sobie wyobrazić.

Paata nie spuścił z niej wzroku ani na chwilę. Miałem nadzieję, że nie zamierzał odgrywać tu bohatera. Jeden trup już wystarczył.

Charlie jakby nadal rozglądał się za nieistniejącym bocznym wyjściem prosto na las.

Ludzie Akakiego cofnęli się o krok, gdy ten odtrącając Nanę na bok, wkroczył do stodoły. Zatrzymał się i zlustrował całą scenę dzikim, szalonym wzrokiem. Z jego czarnych kręconych włosów skapywał deszcz. Złapał się za długą brodę i wyżał z niej z pół litra wody.

Nana już zabierała się za konfrontację, gdy na środek stodoły wciągnięto dwa zakrwawione ciała, jak gdyby były psim ścierwem. Oba otrzymały serię pocisków w pierś, ale precyzyjnie przestrelone dłonie i stopy mówiły dużo.

Eduard i jego żona już zdążyli udzielić wywiadu. Nana rzuciła się w ich stronę, ale Skurwiel był szybszy. Zerwał się na nogi i odepchnął kilku bojowników, którzy nie zdążyli usunąć mu się z drogi.

- Akaki, ty pieprzony skurwielu!

Akaki zdjął przez głowę przesiąkniętą deszczem pelerynę, odsłaniając dzinsy marki Levi z serii 501, amerykańską kurtkę wojskową i wełniany sweter, który musiał pochodzić z tego samego sklepu, w którym z

Charliem kupiliśmy nasze. Coś, co wyglądało

352

na półautomatyczną broń, wetknął sobie do kabury pod pachą, zaś cztery dodatkowe magazynki do kałasznikowa w pasy na amunicję na piersiach.

Nawet nie mrugnął, patrząc na zbliżającego się doń Skurwiela, gestem ręki uspokoił jedynie tych, którzy już szykowali się do podziurawienia Skurwiela na sito.

- Ty! - Skurwiel wycelował palcem w Nanę. - Ważna paniu siu z telewizji! Oddaj mu papiery i powiedz mu, że chcę się stąd wydostać.

Mercedes aż ugiął się pod nim, gdy zniknął w jego wnętrzu.

Akaki wyszarpnął Nanie z wyciągniętej dłoni dokument Baza. Nadal coś mówiła, cholera wie co, ale on, podobnie jak Nana dziesięć minut temu, wcale nie miał ochoty na słuchanie. Zamachnął się pięścią, dostała w policzek i upadła skulona na ziemię.

Paata ruszył ku niej, ale zaliczył w ramach zapłaty za wysiłek cios karabinem w pierś. Nana krzyknęła do niego, aby się nie ruszał. Akaki nachylił się nad nią, aby uraczyć ją kolejnym ciosem.

Skurwiel był na pełnych obrotach.

- Zadowolony teraz, popieprzony skurwielu? Masz, co chciałeś? - Wycelował grubym paluchem w Akakiego, aby dodać temu, co mówił wyrazu. - Mało przez ciebie nie straciłem życia. Masz mnie teraz stąd wyciągnąć! - wymierzył kopniaka Nanie. -Tłumacz! Powiedz mu, do cholery! Powiedz mu, że policja jest w drodze.

Nana zrobiła, co jej kazał, przynajmniej tak sądziłem. Słowo „policja”

jest jakby uniwersalne.

Akaki zaśmiał się tylko, dołączyli do niego po kolei inni. W samej rzeczy, srali ze strachu na wieść, że może tu się zjawić paru niebiesko-białych.

Skurwiel wcale się nie spieszył. W kieszeni jego mokrej kurtki zauważyłem kształt kasety z nagraniem z Marriotta.

Skupił się teraz na mnie i Charliem, jak gdybyśmy to my byli tu dowcipni.

353

-1 wy, chuję, naprawdę myśleliście, że będę z wami do końca iść? Zbliżył się na kilka centymetrów od mojej twarzy.

- A wiesz ty co? Powinienem być pójść na cmentarz i wykonać tę robotę osobiście, zamiast wynajmować jakiegoś idiotę z maczetą, który tylko wszystko dokumentnie spieprzył.

Zauważył broń Koby i wyszarpnął ją z za pasa jej dumnego nowego właściciela.

Nie, pieprzę, tym razem nie drgnę nawet, gdy pociągnie za spust.

Patrzyłem mu prosto w oczy, gdy poprawiał chwyt na kolbie, drugą ręką podtrzymując broń w celu pewniejszego strzału.

Nana wykrzyknęła imię Paaty, nie musiała się jednak tak trudzić. Akaki ryknął jakiś rozkaz i zanim Skurwiel zdążył się zorientować, miał już przy skroni kałasznikowa.

Charlie odkopał „Desert Eagle'a" w momencie, gdy broń uderzyła o ziemię u naszych stóp.

Przywódca bojowników dopadł Skurwiela i zaczął na niego krzyczeć, akcentując każde słowo porządnym kopniakiem w zwinięte wkrótce na

ziemi cielsko Amerykanina. Zmęczył się szybko i grubas zdążył się odczołgać trochę na bok.

Nana przetłumaczyła:

- Mówi, że możesz wziąć samochód Eduarda i Nato. Jeśli tego nie zrobisz teraz, zabije cię. Mówi, że nie jest w tym zamiarze osamotniony - przerwała na chwilę - i przynajmniej w tym ma rację.

Skurwiel dotarł na czworakach do ciała Eduarda i zaczął przetrząsać poplamione krwią kieszenie jak głodny w poszukiwaniu jedzenia. W świetle reflektorów Paaty zabłyśły kluczyki i Skurwiel podniósł się z trudem na nogi. Brzuch mu ciążył, spojrzał na mnie, z drgających nozdrzy wydobywał się świst, to otłuszczone cielsko łaknęło tlenu. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie miał już okazji. Akaki złapał go za wał tłuszczu na karku i poprowadził ku wyjściu.

354

Skurwiel zniknął mi z pola widzenia, nadal chciał jednak powiedzieć swoje ostatnie słowo.

Gdy ludzie Akakiego kończyli nagradzać okrzykami kolejny popis siły swojego ukochanego przywódcy, po rozmięklej drodze rozległ się jego głos:

- Tych kutasów to ja chcę widzieć martwych. Zabij ich!

**2**

Zaczynałem rozumieć, w jaki sposób działał Akaki: wielkim

zwolennikiem przedłużania gry to on nie był.

Stanął nad Naną i okładając ją pięściami, wyłożył jej, co miał na sercu.

Paata nie spuszczać oczu z wycelowanego w nich z bliska kałasznikowa, tłumaczył dla nas.

- Chce udzielić wywiadu, tu i teraz. Ma ważne przesłanie dla swoich braci Gruzinów, chce, aby jego słowa utrwalone zostały dla potomności.

W jakiś niepojęty sposób udało mu się mówić spokojnie, jak gdyby negocjował stawkę za nadgodziny.

Wszyscy trzej chłonęliśmy wzrokiem gesty Nany, podkreślające jej odpowiedź. Nie zamierzała ustąpić.

Nieźle widowisko. Nawet pilnujący nas skupili się wokół nich, zaciekawieni.

- On się upiera - powiedział Paata, gdy Akaki podniósł głos o parę kolejnych tonów.
- Mówi, że chce całemu światu powiedzieć o swojej walce o wolność i przeciwko korupcji. Mówi, że walkę swą będzie prowadził aż do zwycięstwa, albo do swojego spotkania z Bogiem. - W ton jego głosu zakradł się niepokój.

Charlie pokiwał głową.

356

- Wie, że mając teraz papiery w ręku, może sobie pieprzyć, ile wlezie. Baz mu już w niczym nie zaprzeczy.

Niepokoilem się o Nanę.

- Dajcie mu to, co chce. Czemu ona się tak stawia?
- Mówi mu, że wywiad to świetny pomysł, ale powinniśmy sfilmować go

w wiosce. Należy pokazać go na otwartej przestrzeni, między ludźmi, a nie kryjącego się w jakiejś oborze... Mówi, że film musi być na epicką skalę, inaczej jego przesłanie nie będzie wiarygodne. Zmontuje film po powrocie do Tbilisi.

- Jasne, założę się, że facet jest tym pomysłem zachwycony.
- Ona musi próbować - westchnął - on jest w stanie tolerować takich jak my jedynie, gdy jesteśmy mu do czegoś potrzebni. A jak już nie będziemy albo go czymś obrazimy...

- To po nas?

Paata przytaknął.

- Nie tak dawno zamordował całą ekipę Francuzów... - pode rwał nagle głowę. Usłyszał coś niedobrego. - O, kurczę... mówi coś o antenie, wie, że możemy nadawać na żywo.

Patrzył z niepokojem to na nas, to na Nanę.

- Ona upiera się, żeby nagrać go we wsi, nie tutaj... wiem, że chce nam w ten sposób dać szansę na ucieczkę.

Zerknąłem na Akakiego. Z podniesioną ręką gotował się do następnego ciosu.

- A on, co mówi?
  - Przykro mi, ale nie jest dobrze - zbladł - w zeszłym tygodniu nazwała go przed kamerami krwawym zbrojcem i barbarzyńcą... - zamilkł.
- Nie owijała w bawełnę, co?

Paata skinął ponuro głową.

Nana cofała się, wiedziała, kiedy dać za wygraną. Akaki walnął ją w krzyż, aby jej w tym jeszcze dopomóc. Ból musiał to być dla niej okropny, ale zrobiła wszystko, aby tego po sobie nie pokazać.

Dowlokła się te ostatnie pięć czy sześć kroków do ławki.

357

- Sprawa wygląda tak... - lewa część jej twarzy była czerwona i puchła - albo nagrywamy teraz na żywo, albo nas wszystkich zabije. Chce siedząc na tej ławce przemówić nie tylko do wszystkich Gruzinów, ale również do Amerykanów. Na żywo. - Wbiła wzrok w Paatę - Idź, przygotuj połączenie.

Paata zawahał się. Wiedział, że ominęła w tej instrukcji jedną rzecz. Gdy wstawał, złapałem go za rękę.

- Nie śpiesz się, chłopie.

- Nie - powiedziała stanowczo Nana. - Ustaw wszystko i połącz się.

Powiedz im, kogo tu mamy - spojrzała mu w oczy - po-trze-bna-nam-kawaleria... rozumiesz?

Wszyscy teraz zrozumieliśmy.

Akaki czegoś jeszcze chciał. Ruszył ku nam jak ranny byk, dwaj jego lizodupcy tuż za nim. Wcale nie wyglądał z bliska przyjemniej niż z odległości. Jeszcze pewnie nie osiągnął czterdziestki, ale wyglądał starzej, może dlatego, że każdy niepokryty zarostem centymetr jego twarzy, był w paskudnych bliznach po ospie.

Wielką, chłopską pięścią odepchnął innych, aby zrobić sobie wokół mnie miejsce. Wbił we mnie palące spojrzenie.

Popisując się siłą, lizodupcy złapali Nanę i przyciągnęli ją, aby tłumaczyła, podczas gdy Akaki zaczął wygłaszać swoją kolejną wielką tyradę.

- To krwawe ścierwo mówi ci, że w krucjacie przeciwko nie wiernym będzie zabijał nawet służących, skoro my zabijamy mu

królów... Mówi, że mści w ten sposób zabite dzieci boże.

Akaki walnął mnie tak mocno w ramię, że aż odleciałem do tyłu.

- Mówi, że Amerykanie o wiele go oskarżają, powiedzieli, że on i jego ludzie mają gdzieś ukrytą fortunę... To kłamstwa niewiernych... Mówi, że to właśnie chce obwieścić wszystkim w Ameryce.

Gdy odzyskałem równowagę, zobaczyłem, że w mercedesie ponownie ożyły monitory.

358

Lizodupcy za plecami Akakiego także to zauważyli i podzielili się tym ze swoim szefem.

- Świetnie - Nana starała się wyglądać na zadowoloną- Char-lie i Nick, pomóżcie mi z kamerą i światłami.

Odpowiedziałem jej uśmiechem. Nie wszystko jednak stracone. Zaczęła nam mówić po imieniu.

**3**

Akaki usiadł i palił, myśląc nad czymś, my zaś pomogliśmy Nanie ustawić kamerę i reflektory przed ławką. Kilka łuf kałasznikowów śledziło każdy nasz ruch.

Deszcz przestał siekać dach stodoły, wielka czerwona kałuża wokół głowy Koby zdążyła prawie zastygnąć. Wydawało się, że w nagłej ciszy, jaka zapanowała we wnętrzu, Nanie było teraz trudniej nie zwracać uwagi na ciała Eduarda i Naty. Wiedziałem, że czuła się odpowiedzialna za ich śmierć.

Sam rzuciłem na nich okiem. Wyglądali, jakby zostali ukrzyżowani. Jeśli „Georgian Times” uważał, że ciało Baza wyglądało makabrycznie, ciekawe, co by redaktor napisał o tych tutaj.

Z rezygnacją przyjąłem już raczej fakt, że zanosilo się na to -jak na razie - że obok ich opublikują i nasze zdjęcia, dyndających za jaja na drzwiach stodoły. Choć jakaś szansa nadal istniała. Szansa jest zawsze. Gdy nadejdzie kawaleria Nany, nadejdzie również moment wielkiej rozpierduchy.

Już niedługo wszystko będzie gotowe do nagrania, nawet przy naszej pomocy, kompletnych laików w tej dziedzinie. Nic się na to nie poradzi. Istnieje limit tego, jak długo można udawać, że się coś robi, a tak naprawdę wszystko dokumentnie olewać i spieprzać. Co jak co, ale przynajmniej w tej kwestii byłem ekspertem. W końcu dziesięć lat służyłem w piechocie.

360

Akaki połamanym plastikowym grzebieniem przyczesywał sobie brodę, sposobiąc się do zostania gwiazdą telewizji. Po obu stronach miał reflektory, przed sobą kamerę - podobało mu się.

Nana pokręciła obiektywem, poprawiła statyw, ale również i ona miała świadomość, że dłużej grać na zwłokę się nie da. Włożyła słuchawkę do ucha i podłączyła ją do kamery.

Akaki wręczył grzebień jednemu ze swoich poddanych. Grzebień wyglądał, jakby go ktoś właśnie umoczył w gęsim sadle. Na twarzy Akakiego malowała się gotowość, czekać dłużej nie będzie. Nana jednak nie była jeszcze gotowa. Podeszła do niego i ze spokojem zaszepotała mu coś w ucho. Spojrzał na nią i z namysłem zaczął żuć kawał swojej brody. Po kilku chwilach ryknął ponownie, tym razem nie na nią. Jego ludzie

zaczęli zakładać peleryny i zarzucać na ramię karabiny.

Ja z Charliem udawaliśmy, że jesteśmy zajęci końcowymi poprawkami przy sprzęcie. Nana podeszła do nas i wskazując podniesioną ręką na reflektory, wyrzuciła z siebie serię wysoce technicznych poleceń.

- Powiedziałam mu, że jeśli to ma iść i do Stanów, muszę w kamerze stworzyć szereg dodatkowych połączeń, aby poszło też po angielsku. Zagwarantuje mu to szeroką publiczność... Za sugerowałam również, aby kilku z jego ludzi poszło i pozbierało z okolicy trochę ludzi, aby porobili za tłum. Rozumie, że to musi być właściwie pokazane. Sfilmujemy ich w sali rady wiejskiej, gdy tylko będziemy mieć połączenie.

Już startowały trzy talibki, pełne ludzi.

Akaki miał teraz ze sobą jedynie dwóch swoich lizodupców. Stali kilka metrów za nim z wycelowanymi we mnie i Charliego karabinami.

Patrzyłem, jak talibki startują po błocie drogą ku domostwom ukrytym wśród drzew.

- Świetnie, dziewczyno - Charlie po ojcowsku klepnął Nanę po ramieniu.

361

Uśmiechnęła się na moment, po czym ponownie zaczęła szefować. Odgoniła nas od sprzętu, aby Akaki mógł widzieć, co się dzieje.

- Nick, Charlie, wsiadajcie do wozu. Nie chcę, aby was widział, gdy wejdziemy na antenę. Idźcie, proszę.

Zagadała coś do Akakiego, on to grzecznie kupił; sądząc po jego minie, był pewnie bliski zaproponowania jej, aby może wspólnie stworzyli jakiś talk-show.

Gdy szliśmy do samochodu, rozbłyśły reflektory i dla Akakiego ów kąstodoły przeistoczył się w mały kawałek Hollywoodu.

#### 4

Paata, przykucnięty, z jedną słuchawką na uchu, drugą nad czubku głowy, całą swoją uwagę koncentrował na twarzy Nany na monitorach. My po prostu patrzyliśmy i słuchaliśmy.

- Dobrze, Paata, tak będzie OK. Jak z poziomem głośności, słyszeć mnie dobrze? Czy oni przybędą? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Nana wzięła głęboki oddech i skupiła się.

- Pięć sekund - Paata mówił spokojnie. - Tak, już są w powie trzu. Przeciągaj, ile możesz.

Po wyrazie oczu Charliego poznałem, że również i on widzi jakąś szansę, aby nie zawisnąć za jaja na drzwiach stodoły.

Nana patrzyła prosto w kamerę, kiwała głową przy odliczaniu, które słyszała w swojej słuchawce dousznej.

- Dwa... jeden... na antenie...Obok mnie stoi... - odwróciła się do Akakiego i pokłoniła mu się nisko z głębokim poważaniem - hańba dla rodzaju ludzkiego, najnikczemniejszy gangster, jakiego widziała nasza umiłowana Gruzja.

Kiwnęła głową z uznaniem i odwróciła się do kamery.

- Przed chwilą miałam okazję zobaczyć dowody na jego do tej pory najohydniejszy zradziecki czyn...

Głos jej zadrżał, a Akaki zmarszczył brwi.

- .. .wstrętny czyn... popełniony przez siedzącego przed wami mordercę...

Akaki pokiwał z aprobatą głową, nie rozumiał z tego ani słowa. Miałem nadzieję, że również żaden z tych jego dwóch lizodup-ców nie pobierał nauk w Princeton.

Nana z uśmiechem odwzajemniła kiwnięcie.

- Dowody mają taką wagę, że muszę je bezzwłocznie przedstawić całemu naszemu ukochanemu narodowi, na wypadek gdybym nie dożyła i nie mogła dostarczyć ich odpowiednim władzom...

Nana zatoczyła ręką po całej dolinie, jak gdyby opisując ją jako domenę Akakiego.

- Dziś w parlamencie przez jednego z jego członków, którego nazwiska nie mogę wypowiedzieć, bo ten potwór tutaj je rozpoznaje, miało być odczytane oświadczenie...

Ścisnęła mikrofon tak mocno, że bieleły jej knykcie.

- Niestety, nie może on tego zrobić. Nie żyje, zamordowany przez ludzi Akakiego i innych, którzy również nie chcieli, aby dowody te zobaczyły światło dzienne. Dokument ten znajduje się obecnie w rękach Akakiego, ale ja przeczytałam go od deski do deski...i nawet jakbym bardzo chciała, nie będę w stanie zapamiętać, jakie okropne rzeczy zawiera...

Paata odpowiedział komuś do swojego mikrofonu i nacisnął guzik.

- Pięć minut, Nana, mów dalej.

Nana przyłożyła palec do ucha i przytaknęła.

- Ów parlamentarzysta, osobisty przyjaciel wielu z nas, po

wszechnie znany ze swej pełnej poświęcenia walki z korupcją, zalewającą nasz kraj, został zamordowany, ponieważ posiadał dowody na to, że sześciu członków naszego rządu zamieszanych jest w działalność terrorystyczną, wspólnie z osobą, którą teraz widzicie...

Paata zasygnalizował znowu.

- Poprawka, Nana, to dziesięć, powtarzam, dziesięć minut.

Mów dalej, idzie ci świetnie. Jeśli nabierze podejrzeń, porzuć angielski i zacznij wywiad, OK?

364

Ponownie dotknęła słuchawki w uchu.

- Tak, tych sześciu, stanowiących filary naszej społeczności, powita prezydenta Busha, który w tym miesiącu przyjedzie z wizytą do naszego kraju... i ręce, które wyciągną ku niemu na przyjacielskie powitanie, splamione są krwią tak, jak ręce tego wielokrotnego mordercy, porywacza, wymuszacza i handlarza narkotyków, z którym paktują...

Charlie dotknął ramienia Paaty:

- To naprawdę idzie na żywo do Stanów, prawda?

Nie patrząc, potrząsnął głową. Zrozumieliśmy: mamy się zamknąć.

- Trudno nawet uwierzyć, że celem tej barbarzyńskiej akcji jest podtrzymanie zagrożenia terroryzmem, tak aby Stany Zjednoczone nadal przysyłały nam swoją pomoc; pomoc, która nie karmi głodujących ani nie jest na potrzeby szpitali, ale trafia do kieszeni drogich, szytych na zachodzie garniturów...

Głos Nany załamał się ponownie. Akaki znowu wyglądał na zaniepokój

onego.

- Dobre wieści, Nana. Cztery minuty, powtarzam, cztery, może nawet mniej.
- Niewyobrażalne - przytaknęła - ale musicie to wiedzieć... - zwróciła głowę ku Akakiemu i udało jej się nawet wydobyć na usta uśmiech. - Temu... potworowi.. .ci politycy zapłacili milion dolarów amerykańskich, aby zaplanował i dokonał masakry na sześćdziesięciu kobietach i dzieciach, w zeszłym miesiącu, w wiosce Kazbegi...

Natychmiast zorientowała się, że zaważyła sprawę. Akaki rozejrzał się niespokojnie.

- „60 Minutes”... - Nana wysiliła się na uśmiech - jest w posiadaniu nazwisk wszystkich sześciu polityków oraz byłego agenta FBI, którzy są w to zamieszani...

Akaki poczuł pismo nosem. Wymamrotał coś do swoich li-zodupców.

- Trzy minuty, Nana, wytrzymaj.

365

Oczy jej pobiegły ku niebu.

Wewnątrz samochodu nie było jeszcze nic słychać, ale lizodupcy już usłyszeli; wybiegli na zewnątrz i popatrzyli w niebo. Nana poszła na całość:

- Gogi Szengelia... Mamuka Asli...

Akaki z groźnym wyrazem twarzy zerwał się na nogi. Odsunął na bok kamerę i ruszył do drzwi stodoły. Nana mówiła dalej.

- Georgij Szenoj... Roman Czereteli...

Jak tylko wyskoczyłem z wozu, usłyszałem łomot śmigieł. Śmigłowce musiały pozostawać w ukryciu aż do ostatniej chwili.

Akaki machając rękami, wyszczekał kilka rozkazów. Lizodupcy rzucili się do swoich talibek. Akaki uniósł do góry swojego kałasznikowa.

Nana była jak nakręcona.

- Kote Zwania... Irakli Zemularia...

Huey'e były dosłownie nad naszymi głowami. Akaki próbował przyłożyć kałasznikowa do ramienia, ale uniemożliwiła mu to siła opływu.

Czwarta talibka zatrzymała się z piskiem opon tuż przy Akakim i lizodupcy wciągnęli go do środka. Śmigłowiec ruszył z opuszczonym nosem w kierunku pola zaraz za stodołą.

Nana dygotała.

- Wkrótce „60 Minutes” w specjalnym wydaniu pokaże całość zarzutów Zuraba Bazgadze. Teraz proszę z powrotem studio.

Upuściła mikrofon. Paata już zdążył dobiec do niej i wziąć ją w ramiona. Jej ciałem wstrząsały spazmy płaczu.

- Nana, musimy iść.

Nana spojrzała znad jego ramienia na mnie.

- Pomogę ci, Nick. Pomogę ci z policją.

Potrząsnąłem głową.

- Nie ma na to czasu. Zabieram Charliego do domu; on ma coś jeszcze do zrobienia.

Wykonała ruch głową w geście niezrozumienia.

366

- Co może być ważniejsze od możliwości udowodnienia swojej niewinności?

- Możliwość umierania w otoczeniu rodziny.

Charlie podszedł do mnie.

- Widzisz, chłopcze, ten las? - wskazał na pochyłość za stodołą- ostatni stawia kebaba.

## 5

Spojrzałem przez szpary w deskach. Cztery Huey'e lądowały na polu sto metrów dalej. Wyskakujące z nich sylwetki w bojowych mundurach przyjmowały pozycje do strzału.

Paata, wyskoczywszy z wozu, ściągnął kamerę ze statywu, wrywając wszystkie kable. Podłączył małą antenę, która miała utrzymać łącze z talerzem anteny satelitarnej,

Z prawej strony, od wzgórza, dobiegł nas terkot broni automatycznej. To ludzie Akakiego strzelali od strony wioski.

Silniki śmigłowców zawyły i maszyny uniosły się ostro w powietrze. Faceci na ziemi kręcili się jak kurczaki bez głów. Jakby się znowu patrzyło na Kazbegi.

Od strony pola padły ze dwa wystrzały, mundurowi włączyli się do strzelaniny. Miałem nadzieję, że ich celem byli ci w wiosce, nie my.

Paata wybiegł na zewnątrz z kamerą na ramieniu, Nana u jego boku. Złapałem Charliego.

-No, więc?

Spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział.

Podbiegłem do drzwi stodoły.

- Nana! Nana!

Pokazywała Paacie, co ma filmować.

- Nana!

Odwróciła się, a ja na migi, przeciągając palcem po gardle, dałem jej znać, by przerwała to, co robi.

Śmigłowce huczały nam nad głowami, chętnie wycofałyby się ze strefy zagrożenia.

- Idź! - krzyknęła - idźcie stąd!

Odwróciwszy się, powróciła do swojego zadania.

Pobiegłem za stodołę, Charlie za mną, kuśtykając.

Pod osłoną zabudowań wdrapaliśmy się pod las, po czym idąc równoległe do drogi, zawróciliśmy w stronę wioski. Z góry mieliśmy dobry widok na chaos poniżej. Żołnierze kręcili się po polu, próbując znaleźć jakąś osłonę, nie wiedząc jednak jak - jeszcze nie dobrnęli pewnie do właściwej strony w podręczniku.

Gdy pocisk smugowy wystrzelony z jednego z lekkich karabinów maszynowych bojowników wpadł między ich uczniów, amerykańscy dowódcy na próżno próbowali wydawać komendy. Jedynym wyjściem było teraz zmykać z otwartej przestrzeni.

Nana przycupnęła przy stosie drewna przy stodole i mówiła do kamery. Paata filmował niebo, od strony wzgórza za stodołą dochodził łomot śmigieł.

Huey'e były tuż-tuż, schodziły nisko nad nasze głowy, po czym wzbijały się ostro nad polem i odbijały następnie na prawo w stronę wioski. Ich załoga próbowała znaleźć jakąś dobrą pozycję do ostrzału atakujących.

Kolejny wybuch pocisku smugowego zmusił śmigłowce do ostrego odbicia w lewo - zniknęły nam z oczu.

Charlie zwolnił. Zarzuciłem sobie jego rękę na ramię i pociągnąłem go

ze sobą. Poślizgnąłem się na błocie i obaj runęliśmy na ziemię. Charlie wylądował na mnie.

- Mały odpoczynek?

Leżeliśmy tam, gdzie upadliśmy, próbując złapać oddech.

Nad nami rozległa się kolejna seria strzałów i rozeszła się echem po dolinie. Tym razem byli to nasi, chłopcy na polu zebrali się w końcu do kupy.

369

Charlie potrząsnął głową.

- Dlaczego ci popieprzeńcy tam we wsi po prostu nie uciekają?

Naprawdę chcą się zmierzyć z całą armią? Czy oni wszyscy wyrwali się z tego samego domu wariatów co Koba?

Podciągnąłem go na nogi. Przy drodze biegnącej poniżej zaczynał się szereg długich, drewnianych domów. Charlie stanął.

- Posłuchaj... nie ma śmigłowców. Musiały polecieć po kolejnych żołnierzach. Mamy teraz szansę.

6

Na poboczu stał traktor oraz stara, porzucona łada, nie było jednak żadnego pojazdu, który by we właściwym tempie wywiózł stąd nasze przemoczone tyłki, nawet gdybyśmy ominęli bojowników po prawej stronie i połowę gruzińskiej armii pod nami po lewej.

Cała okolica wyglądała dziwnie spokojnie.

- A co z talibkami?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, po wsi rozległ się jazgot broni

maszynowej.

- Pieprzyć to, idiemy.

Charlie zsunął się po zboczu i wychynął spomiędzy drzew. Poszedłem w jego ślady. Kierował się ku skupisku małych drewnianych chałupek przycupniętych przy głównej drodze.

Od tyłu dotarliśmy do nieogrodzonego podwórza i przywarliśmy ciasno do ściany domu. Wszystkie okiennice były zamknięte. Doszło mnie zza nich łkanie przerażonego dziecka.

Żołnierze na końcu drogi zawzięcie strzelali ze swoich kałasznikowów. Wyżej, z prawej strony, odpowiadali ogniem ludzie Akakiego. Lufy ich lekkich karabinów maszynowych musiały być rozgrzane do czerwoności.

Obok nas o ścianę domu odbił się rykoszetem pocisk i z gwizdem zniknął w górze. Szarpnąłem Charliego za rękaw.

371

- Poczekaj tu, staruszk.

Schylony, przesunąłem się do narożnika domu. W środku zaczął szczekać pies.

Włosy płasko przylegały mi do głowy, spodnie były całe w błocie, a reszta ubrania przykleiła mi się do ciała jak na amen. Dopiero zaczęło do mnie docierać, jak bardzo chciało mi się jeść i pić.

Spojrzałem na Baby-G. Do zmroku, biorąc pod uwagę zachmurzenie, pozostała może godzina.

Położyłem się na brzuchu i centymetr po centymetrze doczoł-gałem się do miejsca, skąd miałem już widok na drogę w obu kierunkach. Była pusta. Miejscowi trzymali się od niej z daleka, i wcale im się nie dziwiłem.

Droga biegła przez jakieś sto metrów w górę wzniesienia, potem znikła. Zaraz na zakrętem musiały znajdować się pozycje bojowników. Dobrze je sobie wybrali. Mogli prowadzić swobodny ostrzał całej doliny, aż do miejsca, gdzie wylądowały śmigłowce.

Około 200 metrów ode mnie, po lewej stronie, jakiś głos po amerykańsku wyszczał instrukcje i żołnierze rozbiegli się we wszystkie strony. Pewnie byli z nimi też Nana i Paata, ale sprawdzać tego z Charliem nie będziemy.

Zawróciłem do Charliego. Oparł nogę wyżej o ścianę, na twarz lał mu się deszcz.

- Żołnierze są coraz bliżej - wyciągnąłem rękę, złapał ją i pomogłem mu wstać - ludzi Akakiego nie widziałem, ale muszą być za zakrętem, 100 metrów w górę drogi. Musimy się tam dostać, poza ich pozycje.

Będziemy się trzymać tyłów domów.

- Świetnie, chłopcze, na co więc czekamy?

Zarzuciłem sobie jego rękę na ramię i ruszyliśmy, klucząc po nieogrodzonych podwórzach na zapleczach chałup.

Po ośmiuset albo dziewięciuset metrach szereg domów skręcał razem z drogą. Jeszcze trzydzieści metrów i będziemy za linią ognia.

372

Dotarliśmy do zagrody pełnej świń. Nie było co tracić sił na windowanie Charliego przez płot. Cofnęliśmy się i idąc po zboczu, ominęliśmy przeszkodę. Zabrało to czas, nie wiedziałem, ile go jeszcze mieliśmy. Droga nie musiała być osią ataku jedynie żołnierzy. Za chwilę możemy wpaść w ogień krzyżowy.

Gdy schodziliśmy w dół, bojownicy ponownie otwarli ogień z lekkiej

broni maszynowej.

- Biedacy - wymamrotał Charlie - taki chrzest bojowy...
- Zamknij się i idź. Zatrzymałem się z zadartą głową.
- Słuchaj.

Strzały dochodziły z tyłu. Byliśmy już poza. Teraz wystarczyło zejść do wsi i poszukać sobie jakiegoś pojazdu, który wywiózłby nas na wolność.

**7**

Wyłoniliśmy się przy budynku wyglądającym na siedzibę rady wiejskiej. W ostatnim roku musiały być tu wybory, ściany po-zaklejane były wyblakłymi plakatami wyborczymi, wśród nich widniał szereg uśmiechniętych twarzy Zuraba Bazgadze.

- Powóz czeka, chłopcze.

Na środku drogi, o trzydzieści metrów od nas, stała jedna z talibek. Pordzewiała i poobijana, ale miała cztery koła, i - jak szczęście nam dopisze - pewnie nawet i silnik.

Najważniejsze, że wokół niej nie było nikogo.

- Gotowy?

Charlie przytaknął.

Zacząłem biec, nie patrząc, czy on robi to samo.

Wieś, choć nie było widać żadnego ruchu, wcale nie była wyludniona. Zza budynków po lewej stronie, od strony drogi, dobiegały krzyki i serie strzałów.

Otwarłem drzwi od strony kierowcy.

Kluczyków nie było.

Przeszukałem schowek na rękawiczki, podłokietnik, kieszenie w drzwiach. Były pod siedzeniem.

Wskoczyłem i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Rozgrzany silnik zapalił od razu.

Po prawej stronie usłyszałem krzyk, ale nie był to Charlie.

374

W drzwiach, nie dalej jak trzy metry ode mnie, stał jakiś wykapany Akaki w błyszczącej od deszczu pelerynie. Patrzył zdumiony szeroko otwartymi oczami. Ręce miał pełne środków medycznych. Otrząsnął się z szoku, wypuścił wszystko i sięgnął po swój RPK.

Jak gdyby w zwolnionym tempie karabin podskoczył do góry.

Facet krzyknął coś ponad moją głowę, ale ja krzyknąłem głośniejsze.

- Charlie!

Skuliłem się, modląc się, aby Charlie skoczył mu na plecy, zanim zostanę podziurawiony na sito.

Mignęły mi sylwetki, błysnęło z wylotu lufy. Poderwany do góry, ten lekki karabin maszynowy oddał krótką serię w niebo, po czym i broń, i jej właściciel zniknęli pod padającym ciałem Charliego.

Wyskoczyłem i w biegu wymierzyłem kopniaka w głowę bojownika. Trafiłem, kumpel Akakiego wrzasnął.

Charlie przetoczył się na bok i złapał za broń, ja kopnąłem znowu. Charlie podniósł się na nogi i pochylił się nad nim, wtykając mu lufę w pierś.

- Zabierz magazynki, Nick! Magazynki!

Uniosłem pelerynę. RPK to w zasadzie kałasznikow AK-47 z nieco dłuższą i grubszą lufą oraz składanym, przymocowanym na stałe dwójnogiem na końcu lufy. Ma dwa magazynki - bębnowy i łukowy,

pasują do niego także standardowe magazynki łukowe do kałasznikowów na trzydzieści naboí. Nasz bojowiec miał na sobie dwa takie. Zabrałem je i pognaliśmy z Charliem do samochodu.

Odkręciłem kierownicę, aby skierować talibkę na wzgórze, z dala od placu. Licznik paliwa wskazywał, że zbiornik wypełniony był w ponad połowie.

Charlie sprawdził, czy w komorze znajduje się pocisk, następnie otworzył magazynek i przyciskając palcem nabój na samej górze, zbadał, ile jeszcze ich pozostało.

375

- Co teraz robisz?

- Kieruję się na Turcję.
- Nie - położył rękę na kierownicy - najpierw Akaki.
- Nie ma na to czasu.
- Akaki - trzymał nadal kierownicę. Niech to szlag trafi.
- Tylko jedno podejście. Nie więcej.

Przeszedłem na napęd na cztery koła i obróciłem wóz. I dałem do dechy.

Nasz facet w pelerynce zdążył już wstać, ale teraz musiał dać nura w drzwi, aby nie zostać przez nas przejechany.

Przemierzyłem plac i skręciłem w prawo w dół wzgórza. Przeciskając się między domami, dodałem kilka następnych wgnieceń do pokaźnej już ich kolekcji na karoserii.

Wylecieliśmy na drogę jak korek z butelki. Pozostałe talibki stały zaraz przed zakrętem, około 200 metrów przed nami. Bojownicy ostrzeliwali równo wojaków poniżej. Na polu, gdzie lądowały śmigłowce, leżały

nieruchomo trzy ciała. Strzelając, żołnierze nadal próbowali dostać się jakoś na wzgórze, szukając osłony między domami. Będąc bliżej, stanowili lepszy cel dla Akakiego. Na drodze, między obiema pozycjami, leżało jeszcze jedno ciało, zobaczyłem też dwóch żołnierzy odciągających z niej w bezpieczne miejsce rannego towarzysza. Zatrzymałem samochód. No to jesteśmy; wiedziałem, że Charlie miał rację. Tego mu jednak nie powiem.

Wrzuciłem jedynekę.

- Tylko jedno podejście. Staraj się więc dobrze.

Odwróciwszy się do mnie tyłem, wysunął karabin przez okno i opierając drewnianą część o drzwi, przycisnął kolbę do ramienia.

Gdy zjeżdżaliśmy drogą, paru odwróciło ku nam twarze, ale szybko powróciło do swojej wojenki. Przyśpieszyłem.

Chwilę później zrównaliśmy się z ekipą Akakiego i Charlie zaczął krótkimi seriami strzelać do wszystkiego, co się ruszało.

376

Huk w wozie był ogłuszający, nie pomagały otwarte okna, dusiliśmy się od kordytu. Starłem się jechać równo, kule musiały trafiać w cel, inaczej w rewanżu dostaniemy całą masę im podobnych.

Zanim tamci się zorientowali, Charlie zdążył położyć trupem kilku z nich.

Odbezpieczył znowu broń i oddał dwie krótkie serie.

- Stop! Stop! Sto-o-op!

Przycisnąłem pedał hamulca, Charlie wycelował w trzech stojących obok siebie mężczyzn, jednym z nich bez wątpienia był Akaki. Akaki rzucił się do ucieczki, dwaj pozostali próbowali go osłonić.

Karabin Charliego milczał.

-Zaciął się!

Charlie zmienił magazynki, nie spuszczając z oka swojej ofiary, która wskakiwała na tył jednej z talibek.

- Czeka! Czeka!

Odbezpieczył i oddał krótką, ostrą serię. Wóz Akakiego ruszył **do** przodu i pognał w stronę, z której przybyliśmy.

Zahamowałem i zawróciłem.

Gdy się zbliżaliśmy, tylna szyba ich wozu rozpadła się na kawałki, nasza przednia dostała dwa pociski. Kuloodporne szkło popękało, ale szyba nie wyleciała.

- Jedź dalej! Dawaj, dawaj!

Charlie obcasem wybił z ramy część potrząskanej szyby po swojej stronie. Odłamki wpadły z wiatrem do wnętrza i uderzyły mnie w twarz. W samochód trafiały kolejne pociski. A ja, kurwa, nie mogłem z tym zrobić nic, tylko prowadzić.

Charlie zmienił pozycję i wytknął teraz karabin przez dziurę w przedniej szybie. Lufa zasyczała z gorąca na deszczu. Charlie walczył, aby utrzymać broń stabilnie na dwójnogu, celował najdokładniej jak tylko mógł, wystrzeliwując po dwa pociski w serii, aby oszczędzać amunicję.

377

Wóz Akakiego znikł nam z oczu o jakieś pięćdziesiąt metrów przed nami.

- W prawo!... w prawo! Odetnij mu drogę!

Skierowałem toyotę tam, gdzie chciał i znalazłem się na równoległej, wąskiej błotnistej drodze między dwoma stodołami. Charlie ścisnął w

pogotowiu broń.

- Do dechy! Musisz tam się dostać przed nim!

Walczyłem z kierownicą, wóz podskakiwał teraz jak gdyby był koniem na rodeo.

Z rykiem silnika wjechaliśmy na wzgórze i z lewej strony minęliśmy główny plac wioski. Skręciłem ostro, gdy po drugiej stronie placu wyłonił się wóz Akakiego. Charlie zaczął strzelać, zanim jeszcze zdążyłem zahamować.

- Muszę mieć jak! Stwórz mi pozycję!

Zatrzymałem wóz, Charlie strzelał krótkimi seriami.

Wokół samochodu Akakiego rozbryzgiwało się błoto. Dostawał, ale jechał dalej. Kolejny strzał.

- Zacięcie!

Samochód Akakiego uderzył prosto w boczną ścianę budynku rady, zdzierając błotnik. Z tylnych drzwi wyskoczył jeden, jeden wypadł.

Kierowca pozostał na swoim miejscu, przewieszony przez kierownicę.

- Czekaaj!

Wrzuciłem pierwszy bieg i nakierowałem wóz na biegnącego brzegiem placu.

Podczas gdy podskakując na nierównościach terenu zbliżaliśmy się ku uciekającemu, Charlie zmieniał szybko magazynki. Nie ulegało wątpliwości, kim był uciekający.

Odwrócił się, uniósł broń i wypalił.

Nie wiedziałem, czy trafiał, czy nie, było mi wszystko jedno. Jechałem prosto na niego.

- Załaduj to, do cholery!

Wiatr z gwizdem wpadał do środka, Akaki odwrócił się i znowu zaczął biec.

Za późno. Uderzenie w krzyż błotnikiem posłało go na przeciwną stronę drogi.

Minąłem go i zatrzymałem wóz.

Charlie próbował wysiąść.

- Czeka!

Wrzuciłem wsteczny. Tylne koło najechało na leżące ciało, opadło na jezdnię, w ślad poszło przednie.

Cofałem się nadal, aż Charlie mógł wziąć go na cel. Oddał dwa krótkie strzały.

Podczas gdy omijając wzgórze, oddalaliśmy się od wioski, cały czas trzymałem pedał gazu przy samej podłodze.

## 8

- Jeden zaliczony, jeden do zaliczenia - Charlie musiał aż krzyczeć, aby dało się go usłyszeć w huku wiatru.
- Co, wkurzyłeś się? - patrzyłem cały czas na szosę.

Byliśmy jedynie dziesięć minut od wioski, i jakkolwiek bardzo były mi potrzebne, nie mogłem sobie pozwolić na zapalenie świateł. Pozostała część szyby po mojej stronie była spękana. Potrząskane szkło trzymające się na zabezpieczającej warstwie plastiku dawało mi jakąś ochronę przed wiatrem, ale utrudniało zobaczenie wyboi albo innych głębszych dziur, które mogły nas po prostu pochłoniąć.

Drzewa iglaste pokrywające wzgórze po prawej stronie czyniły nasz świat jeszcze ciemniejszym. Dobrą nowiną było to, że ponownie znaleźliśmy się przy rurociągu i zmierzaliśmy do Turcji i do Stukniętego Dave'a. Po lewej stronie biegła bowiem w ziemi szeroka na pięć metrów bruzda, wytyczając nam drogę.

Zerknąłem w lusterko. Nadal ani śladu pościgu. Nie będę się pieprzył, włączyłem reflektory i docisnąłem pedał gazu.

Właśnie zmieniłem napęd na dwa koła, aby oszczędzić paliwo, gdy w światłach reflektorów wyłonił się stojący na poboczu samochód.

Pordzewiała, zielona łada. Maską była podniesiona.

- Dzięki Ci, Boże - Charlie sięgnął po RPK.

Chwyciłem mocno kierownicę.

380

- Daj sobie spokój, stary. Muszę cię dowieźć do domu.
- A ja to pieprzę, chłopcze. Jednego skurwiela już załatwiliśmy, trzeba robotę dokończyć.
- Bez sensu. Miał przynajmniej godzinę wyprzedzenia. Może być już w innym samochodzie, w połowie drogi do Turcji.
- A nawet gdyby, teraz ten sprawdzimy, potem go najwyżej dogonimy. Ja tak robię, a ty?

No tak, jak gdybym miał go tu zostawić i pojechać sobie dalej.

Zatrzymałem toyotę i wrzuciłem pierwszy bieg, gotów go osłaniać.

Wysiadając, przesunął bezpiecznik broni w lewo, ustawiając ją na pojedyncze strzały.

Podszedł do tyłu talibki, z wielkim RPK na ramieniu, dwójnog złożony

był wzdłuż lufy.

Gdy zrównał się ze mną, byliśmy gotowi.

- Dobra, idziemy.

Zaciągnąłem sprzęgło i powolutku ruszyłem do przodu, Char-lie kuśtykał obok, wóz służył mu za osłonę. Nie pojmowałem, dlaczego wysiadł. I nagle do mnie dotarło. On miał z tego przyjemność. Nie chciał jedynie dopaść Skurwiela, chciał to zrobić, bo potrzebował. To była ostatnia jego szansa na trochę wojaczki, na coś, do czego był stworzony.

Zatrzymał się niedaleko łady, więc i ja zatrzymałem samochód.

Pochyliłem się na fotelu; Skurwiel nadal miał tego „Desert Eagle'a”.

Charlie uważnie penetrował wzrokiem linię lasu.

- Poczekaj tutaj, pójdę na zwiady.

Pokuśtykał z bronią gotową do strzału. Do samego samochodu nie podszedł od razu, okrążył go najpierw w poszukiwaniu śladów w błocie.

Sprawdził drzwi od strony kierowcy. Łada nie była zamknięta.

Zajrzał szybko do środka i poszedł wolno drogą, nadal rozglądając się po ziemi.

Jakieś pięć metrów za ładą odwrócił się i dał mi znać, że w porządku.

381

Dojechałem do niego i zatrzymałem się.

Wetknął głowę przez okno od drugiej strony.

- Buty na płaskim obcasie, w stronę lasu - mówił cicho, tak jakby

Skurwiel był w zasięgu głosu - daleko zajść nie mógł; widziałeś, do czego się nadaje. Mamy go.

Pokuśtykał do przodu, nawet się na mnie nie oglądając.

Wyłączyłem silnik, zabrałem kluczyki i wysiadłem.

Weszliśmy w las i zaczęliśmy wspinać się pod górę.

Charlie szybko zaczął mieć z tym kłopoty. Słyszałem jego ciężki oddech. Stawiał kontuzjowaną stopę pod bardzo niewłaściwym kątem.

Zrównałem się z nim i zaszeptałem mu w ucho: - Idźmy tylko dopóki coś będziemy widzieć, dobra? On może być przecież gdziekolwiek.

Nie było żadnego tropu, po którym moglibyśmy iść. Ziemia pokryta była igliwiami.

Zatrzymał się, nasłuchując z otwartymi ustami. Odchylił głowę w lewo, aby prawym uchem łowić dźwięki.

Drogę powrotną łatwo będzie znaleźć, nawet w ciemności. Wystarczy iść po prostu w dół, aż dotrzemy do szosy. Deszcz torował sobie drogę przez gałęzie drzew, wył wiatr.

Charlie ruszył ponownie.

Ja zostałem na miejscu. Będę za niego nasłuchiwał te pięć kroków z tyłu.

Dołączyłem doń, a on ruszył dalej. Przed niego się nie wysforuję. Nie miałem broni. To on będzie pierwszy. Tak chciał.

Nie śpieszył się, z bronią przy ramieniu, w dół pod kątem 45 stopni, ale gotową do poderwania, nadal odbezpieczoną na jeden strzał.

383

Stanął już po jednym kroku. Wyglądało na to, że noga w końcu odmówiła mu posłuszeństwa. Oparł się o drzewo i spojrzał pod górę.

- Też zaczynam pękać, stary - wyszeptałem mu w ucho - nie ma siły, aby ten tłusty kutas dotarł wyżej.

Charlie wskazał w lewo, wzdłuż drogi. Ręka mu drżała. Dał mi kciukiem znak, że OK i poprawił sobie broń, gotów iść dalej. Złapałem go za ramię.

- Chcesz, abym ja to zrobił?

Wyciągnął rękę i obaj patrzyliśmy, jak dygocze.

- Nie, chłopcze - odrzekł po prostu - jest mi winien. A nie jest to jakaś pieprzona kanapka z bekonem.

Pokuśtykał cztery kroki na lewo, z bronią przy ramieniu, idąc brzegiem skarpy.

Poszedłem za nim, zachowując odstęp, tak aby nasze połączone sylwetki nie stanowiły zbyt łatwego celu.

Był cicho przez parę sekund, po czym skoczył w głęboki do pasa jar, wyżłobiony przez wodę rok za rokiem spływającą z góry.

Znieruchomiał momentalnie, gdzieś poza naszym zasięgiem wzroku słychać było szelest.

- Pierdol się! - rozległ się nagle głośny okrzyk.

Strzał z broni ciężkiego kalibru i padające ciało.

Ciało Charliego.

**10**

Dopadłem zagłębienia.

Charlie nie ruszał się, w ruchu był za to Skurwiel. Nie **było go** widać, ale słyszałem, jak brnie głębiej między choinki.

Złapałem RPK i uwolniłem dwójnog. Rozstawiłem go w biegu na szczycie skarpy. Mając teraz jak podeprzeć lufę, padłem na ziemię, przesunąłem bezpiecznik do dołu i wystrzeliłem krótką serię w kierunku

odgłosów. Gdy skończyłem, w uszach mi dzwoniło. Z lufy wydobywał się dym.

Żadnego krzyku, żadnego błagania. A niech go szlag trafi. Zawróciłem w miejsce, w którym Charlie leżał - na plecach, w błocie i wśród sosnowego igliwia, tak spokojnie, jak gdyby spał. Przyklęknąłem i podłożyłem mu dłonie pod głowę, od razu poczułem na nich ciepłą ciecz. Przy każdym oddechu wydawał niepokojący, podobny do siorbania dźwięk.

Rozpiąłem mu kurtkę i rozerwałem szerzej dziurę w bluzie. Krew pociekła mi po rękach. Rana była paskudna. Kula kalibru .357 wywierciła mu w piersi dziurę zaraz pod prawym sutkiem. Gdy brał oddech, tlen wypełniał próżnię w jamie opłucnej, a ciśnienie powodowało odmę płuca. Przy wydechu powietrze i krew wypychane były z dziury, tak jak wieloryb wypycha z nozdrzy fontannę powietrza i wody.

385

- Nieomal na tego skurwysyna nie nadepnałem... - Charlie wykaszlał krew - nie byłem w stanie nacisnąć na spust, Nick...

- próbował się zaśmiać - te pieprzone tańczące rączki...

Ciałem wstrząsnął spazm. Nadchodziła agonia, a on uśmiechał się.

Chwyciłem jego dłoń i położyłem na ranie.

- Zatkaj to, chłopie.

Kiwnął głową. Jeszcze całkiem nie odleciał, rozumiał, co trzeba robić. Przy szczelnej teraz klatce piersiowej jego płuca będą mogły napęcznieć się powietrzem i będzie mógł normalnie oddychać.

- Muszę zbadać ranę wylotową, chłopie. Będzie boleć.

Przewróciłem go na bok, ale na plecach było tylko jakieś zadrapanie. Kula musiała tkwić wewnątrz. Taki ciężki kaliber mogła powstrzymać

jedynie kość - może łopatką - ale jej pęknięcie stanowiło najmniejszy problem. Wiedzieliśmy obaj, że stan jest poważny. Charlie zaczął jęczeć.

- Jak to wygląda? Jak to wygląda?

I tak w kółko.

Za chwilę pojawi się szok. Musiałem działać szybko, ale co ja mogłem? Potrzebowałem płynów, należało odessać płuca, zamknąć ranę; tu był potrzebny cały zespół oddziału intensywnej terapii.

Znowu zajęczał.

Jeszcze nie musiałem martwić się o drożność dróg oddechowych.

Dłoń zsunęła mu się z otworu po pocisku. Położyłem tam swoją.

Zakaszlał ponownie, skręcając się z bólu przy tym wysiłku.

-1 jak to wygląda? Jak to wygląda?

Na twarzy pojawił się grymas - kolejny dobry znak. Jeszcze czuł, zmysły go jeszcze nie opuściły.

Trzeba go przetransportować do samochodu, rana w tym czasie musi być zatkana. Przyjdzie mi zawrócić do wsi. Facet, któremu odebraliśmy broń, stał w drzwiach czegoś, co wyglądało na punkt

386

medyczny - także żołnierze powinni mieć ze sobą swoje apteczki podręczne.

Zaarestuj nas, i co z tego? Powiedziałem, że dostarczę tego starego kutasa do domu, i tak zrobię.

- Jak to wygląda?
- Zamknij się i myśl o życiu.

Nie było tu nic, czym mógłbym zastąpić moją dłoń w roli korka. Jak więc do cholery uda mi się zatykać ranę i jednocześnie zabrać go z tego

wzgórza?

Skurwiel też będzie szedł w dół. Wiedział, że nie przyjechaliśmy tu autobusem. Szybko jednak nie chodzi. Zajmę się nim, jak Charlie będzie już bezpieczny.

Spojrzałem na jego twarz. Puchła jak balon.

Kurwa, o kurwa!

Uniosłem dłoń.

Świst rozległ się taki, jakby ktoś spuszczał powietrze z opony, z rany trysnął gejzer krwi.

Kula musiała przebić płuco, może nawet oba.

Tlen przedostawał się do jamy opłucnej przez którąś z ran. Gdy przyciskałem dłonią tę jedną, nie miał dokąd uchodzić. Ciśnienie w klatce piersiowej wzrosło tak, że gdy chciał wziąć wdech, płuca i serce nie miały miejsca, by się rozszerzyć.

Odwróciłem go na prawą stronę, krew, która zebrała się w płucach, wylała się z niego jak mleko z przewróconej butelki.

Położyłem go z powrotem na plecach i zatkałem ranę.

Tracił przytomność.

Musiałem próbować.

- W porządku, chłopie, możesz znowu mówić.

Nie było reakcji.

**11**

- Och, nie wygłupiaj się, odezwij się, ty stara cipo! - potarłem jego bokobrody. Nadal bez reakcji.

Uniosłem mu powiekę.

Źrenica rozszerzyła się tak minimalnie, że niemal nie widziałem różnicy.

Oddech stał się bardzo szybki i płytki. Jego serce pracowało ciężko, aby rozprowadzić po ciele tę resztkę krwi, która w nim była. Zbierająca się nadal krew w jamie opłucnej będzie go zabijać.

Słuchałem, jak oddycha.

- Daj znać, że mnie słyszysz, chłopie... daj znać...

Odpowiedzi nie było.

- Teraz cię ruszę.. • zaraz nas tu nie będzie. Niedługo będziemy w samolocie, z powrotem w Brisbane... OK? OK? Chłopie, daj mi jakiś znak, pokaż mi, że żyjesz.

Nic.

Uniosłem powiekę, zbadłem puls. Też nic.

Dotknąłem jego twarzy; nadal malował się na niej uśmiech. To mi wystarczyło.

- To nie potrwa długo, stary pierdoło, zaraz wracam.

Podniosłem RPK i pogałem w dół zbocza. W biegu wyciągnąłem magazynek i otworzyłem.

388

Zostało z dziesięć naboí. Przesunąłem bezpiecznik do pierwszej pozycji. Liczył się każdy pocisk.

Zbadałem, co się dzieje po lewo pod lasem, przy samochodach.

Jakieś sto metrów dalej, zataczając się i machając rękami dla utrzymania równowagi, szedł skrajem drogi Skurwiel.

Kryjąc się za drzewami, podążyłem za nim.

Upadł i zamachał przez moment nogami jak odwrócony na plecy indyk.

Zwolniłem prawie do normalnego kroku, szukając przed sobą dogodnej pozycji do strzału.

Dotarł wreszcie do talibki. Obserwowałem go, jak dochodzi do drzwi kierowcy i zagląda do środka.

Rozstawiłem karabin na ziemi i przyjąłem pozycję.

Celownik nastawiony był na odległość 300 metrów.

Gdy przyłożyłem kolbę do ramienia, opanował mnie dziwny spokój. Przymknąłem lewe oko i wycelowałem.

Jak dobrze założyłem, nie znał się za dobrze na uruchamianiu na kable samochodu. Wysunął się z kabiny wozu i kopnąwszy jeszcze ze złością w karoserię, ruszył do łady. W chwilę później wykonał jeden obrót i umilkł.

Przemoknięte kable. To musiało być wcześniej przyczyną, że stanął, i w tej kwestii nic się nie zmieniło. Próbował uparcie, ale akumulator był na wykończeniu i silnik obracał się coraz wolniej.

Wiatr niósł głos w stronę drzew, ale mogłem jeszcze patrzeć, jak krzyczy, waląc ze złością w kierownicę.

Wysiadł i zaczął iść w stronę rurociągu.

Wszystko jedno jakie miał plany, i tak ich nie zrealizuje.

Skupiłem się na jego cielsku. Ze zmrużonym jednym okiem, wycelowałem nisko, w brzuch.

Przycisnąłem lekko spust, zaczerpnąłem w płuca powietrze i wstrzymałem oddech.

Pierwszy plan był ostry, Skurwiel zamazany.

389

Świetnie.

Docisnąłem spust, poczułem odrzut broni w ramię i Skurwiel padł.

Początkowo nie ruszał się, następnie zaczął przebierać nogami w błocie. Wstałem. Złożywszy dwójnog i z bronią przy ramieniu ruszyłem ku niemu.

Wczołgiwał się właśnie na pas zaoranej ziemi nad rurociągiem, instynktownie próbując oddalić się ze strefy zagrożenia. Podejrzewam, że nawet nie był tego świadom.

Zobaczył mnie nadchodzącego.

Zatrzymał się i skulił na boku na środku pasa gołej ziemi.

Ciemna, odtleniona krew buchała mu z brzucha i spływała na połyskujący, chromowany „Desert Eagle” za pasem.

Z karabinem w pogotowiu, miałem ów .357 na oku.

Byłem już tylko o parę metrów od niego, gdy podniósł rękę. Oszczędzał oddech, aż do chwili, gdy już musiał coś powiedzieć.

- Nick, podzielę się z tobą tym moim pół milionem... Chuck dostał swoje pół...

Pozwalałem mu, aby wypełniał mi luki w wiedzy.

- Przepraszam za ten cmentarz, ale wziąłem, człowieku, połowę jego doli... musiałem zatrzeć ślady...

Nadal trzymał rękę w górze, teraz bardziej w proszącym geście niż w odruchu obronnym.

- Przecież już dostałeś ćwiartkę, prawda? Powiedziałeś, że dzielicie się po połowie. To dam ci teraz drugie dwieście pięćdziesiąt. .. będziesz do przodu, dostaniesz najwięcej...

W oddali usłyszałem śmigłowce, Skurwiel też je usłyszał.

- Słuchaj. Nick, wiesz co, oddam ci to wszystko... zabierz mnie z powrotem do Stambułu, załatwię transfer. Słyszysz, czło

wieku? - Z ręką nadal w powietrzu wskazał na kieszeń kurtki.

- Oddam ci nawet taśmę. Nick, przecież głupi nie jesteś, wiesz,

390

że to przyzwoity układ. Pomyśl. Chucka już nie ma. Teraz musisz zacząć myśleć o sobie.

Ten facet nigdy się nie poddawał.

Uniosłem RPK.

- Nie nazywaj go Chuckiem. Mięśnie na jego twarzy rozluźniły się.
- Pierdol się - opuścił rękę i sięgnął po broń Koby. Nacisnąłem spust.

Pulsu nie trzeba było badać.

Upuściłem karabin, odwróciłem się i pobiegłem między drzewa. Musiałem odnaleźć Charliego, zanim zapadnie ciemność. Taka była moja potrzeba.

Obiecałem Hazel, że zabiorę go do domu.

EPILOG

Ferma Trzy tygodnie później

Pogrzeb był skromny.

Hazel i Julie zajęły się sprawami organizacyjnymi, łącznie z wynajęciem małej koparki, tak aby Alan mógł wykopać grób Charliego. Pozwoliło im to chyba na utrzymanie w szachu wszystkich strasznych uczuć, trochę dłużej wszystko było jak pod kloszem.

Księża ani zwyczajowej modlitwy nie było. Stanęliśmy wczoraj po prostu wokół trumny przy wykopanym dole, każdy powiedział swoje,

następnie opuściliśmy go do grobu, jedne sznury trzymała Hazel i Julie, drugie ja z Alanem.

Wszystko odbyło się oszczędnie, tak jak życzyłyby sobie tego każde skąpiradło z Yorkshire. Silky zajęła się muzyką. Z zaparkowanego w pobliżu busika popłynęły ze dwie ulubione przez Charliego piosenki ABBY; zastanawiałem się, czy jego tańczące rączki zachowywały się przyzwoicie, gdy wkrótce potem rozległa się „Brown Girl In The Ring” Boney M. To właśnie przy tej piosence Hazel się rozpadła. Wnuki nie były w stanie nic pojąć. Myślały, że to jej ulubiona.

Alan zajął się jedzeniem. Było całkiem w porządku, ale dzieciaki powiedziały, że jego barbecue nie umywa się do tego, które robił dziadek.

Wieczorem Alan włączył im jakieś DVD i oglądaliśmy je wszyscy. Nic innego nie byliśmy w stanie robić, i na to, aby nie

395

myśleć o nieobecnych bliskich, te 90 minut „Shreka” było równie surrealistycznym sposobem jak każdy inny.

Gdy Alan i Hazel kładli dzieci do łóżek, byłem już wykończony. Siedziałem z Silky, a w telewizorze przewijały się jakieś sceny, czasami łapałem jakieś zdanie. Głównym wydarzeniem była wizyta prezydenta Busha w Gruzji, w drodze powrotnej z obchodów Dnia Zwycięstwa. Sprawozdawczynią była miejscowa reporterka CNN, „nominowana do nagrody Emmy Nana Onani”.

Zanim poszliśmy spać, na starzejącym się komputerze Char-liego sprawdziłem na Google, co o niej pisano. Specjalna edycja „60 Minutes” została nadana, nazwiska zostały podane do publicznej wiadomości. Obiecano gruntowne zmiany, które oczywiście jeszcze nie nastąpiły.

Dwóch facetów przesunięto na inne stanowiska, pozostałych czterech odeszło od polityki i osiadło na swoich daczach, aby spędzić więcej czasu z rodziną.

Znalazłem przez Google parę wzmianek o Akakim, lecz nie tak dużo jak o Zurabie Bazgadze. Jego państwowy pogrzeb był cokolwiek bogatszy od pogrzebu Charliego. Szukałem wszędzie, ale hasło Jim D. „Mów mi Biesiu” Bastendorf nie dało żadnego rezultatu.

Byłem teraz z Hazel pożegnać się ostatecznie z Charliem. Otoczone kilkoma drzewkami gumowymi miejsce pochówku ogrodzone było pomalowanym na biało niskim płotkiem. O wszystkim pomyślała, zadbała, aby było miejsce i dla niej, jak nadejdzie czas oczywiście.

To były ostatnie chwile jasności, słońce stało już bardzo nisko. W oddali unosiła się czerwona smuga pyłu, wznieconego przez końskie kopyta.

Zacząłem od tego, że powiedziałem jej, jak bardzo myślał o powrocie do domu, gdy do niego dołączyłem.

- Coś go jednak powstrzymało, Hazel. Sądzę, że to rozumiem. Sam też trochę tęskniłem. Jak się coś robiło przez tak długi czas,

396

staje się to jakby... wygodne. Dawno nie czułem się jak ryba w wodzie, jak wtedy z nim. Przykro mi, że nie starałem się wyperswadować mu ostrzej, aby dał sobie z tym spokój. Byłem egoistą. Miałem ochotę z nim pójść jako zbrojna obstawa. Uśmiechnęła się do mnie i potrząsnęła głową.

- Wiedziała, że ten cholernik będzie chciał umrzeć w butach. Byliśmy ze sobą od czasów szkolnych. Znałam go lepiej niż on siebie. Sądził, że to dobrze ukrywa...

Przystanąła i spojrzała na ciemne sylwetki koni na padoku.

- Nick, ja zawsze wiedziałam, co mu się w tym łbie dzieje, i byłam gotowa z tym żyć... Skoro nie potrafiłam go powstrzymać, chciałam, aby koncentrował się na tym, w co był zaangażowany i nie rozpraszał się martwieniem się o mnie. W ten sposób miał szansę bezpiecznego powrotu do domu. - Uśmiechnęła się ponownie i zawróciła w stronę domu. - Przez te trzydzieści lat nieźle się z tym napracowałam.

Wzięła mnie pod ramię.

- Wiem, że chciał postąpić właściwie, no wiesz, zapewnić byt mnie i rodzinie. Ale wiesz co, Nick? Wszystko to oddałabym za jeszcze kilka chwil z nim.

Zatrzymałem się i patrzyłem na jej pokrzykujące i chichoczące wnuki, które wybiegały z domu o dwieście metrów dalej i kierowały się w naszą stronę.

- Wiesz co, Hazel, myślę, że wszyscy chcielibyśmy pobyc jeszcze z Charliem... z wyjątkiem Charliego.

Dzieci przyłgnęły do Hazel, nadal nie miały pojęcia, jak to wszystko traktować. Julie powiedziała im, że dziadek poszedł uczyć anioły skoków spadochronowych ze swobodnym spadaniem, i uznały to za świetny pomysł. Potem zapytały jednak, kiedy wróci.

Doszliśmy do domu. Przed domem stał volkswagen, zapakowany i gotowy do drogi. Powiedzmy, że gotowy. Deska surfingowa umocowana była jedynie dwiema linkami.

schodów i uścisnęła pożegnalnie Hazel, następnie wskoczyła do wozu. Przy odrobinie szczęścia dojedziemy do Whitsundays w sam raz na śniadanie.

Hazel trzymając mnie nadal pod ramię, odsunęła się, aby na mnie po raz ostatni spojrzeć. Oczy zaszły jej łzami.

- Nick, jeśli będziesz się widział ze Stukniętym Dave'em, nie zapomnij podziękować mu za to, co dla nas zrobił. Pieniądze, wy obaj z powrotem - był absolutnie wspaniały.

Pocałowałem ją w policzek.

- Prawda?

Wsiadłem do wozu. Gdy skręciliśmy na drogę, matka i córka stały na werandzie i machały nam na pożegnanie.

Pochyliłem się nad kierownicą, gotując się do całonocnej jazdy, myśląc o moim najlepszym kumplu Stukniętym Davie.

Wsadziłem Charliego do talibki i pojechałem wzdłuż rurociągu, tak jak planowaliśmy. Jechałem bez świateł całą noc, tak aby nie wypatrzone mnie ze śmigłowców. Później już sprawy w swoje ręce wziął Stuknięty Dave. Załatwił, że odebrano nas po gruzińskiej stronie i zawieziono do Turcji. Załatwił paszporty i wszystko inne.

Zorganizował nasz przelot do Australii, ja w Club Class, Char-lie w ładowni, potem zadbał o to, aby Hazel miała za co żyć do końca swoich dni. W końcu wielkiego wyboru nie miał...

Tamtego wieczoru, wdrapując się pod górę obok tego rurociągu, myślałem nad tym, co powiedział ten tłuścioch. Kolesie politycy dali Skurwielowi milion za tę robotę, ale on, zamiast równo pieniądze rozdzielić, zabrał sobie pięćset baniek do własnej kieszeni w ramach

planów emerytalnych.

Stuknięty Dave prawie mu dorównał.

Charlie potrzebował jedynie dwustu tysięcy, i głupi, pewnie powiedział, że weźmie jakąkolwiek robotę za taką sumę.

398

No to ja, siedząc w poczekalni na lotnisku w Stambule, ubiłem z Panem Dobroczyńcą z Bobblestock interes. Da Hazel całe pięćset tysięcy i powie, że na tyle opiewała umowa. W zamian powstrzymam się od opowiedzenia pukającym do jego drzwi chłopakom, jaką lubi brać prowizję i nie powiem firmom, które korzystają z jego usług, że ma problemy z kontrolą jakości - skoro nawet nie sprawdził, że jego „bagnetowi” latają rączki.

Najlepiej poczułem się, mówiąc mu, że jak się nie uwinie, tak aby działka Charliego trafiła na konto Hazel przed naszym przybyciem do Brisbane, wsiądę natychmiast w samolot do Bobblestock i osobiście podniosę jego kościsty tyłek z wózka.

Silky dotknęła mojego ramienia.

- Czemu się uśmiechasz, Nicku Stein?

Oderwałem na moment wzrok od drogi, uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem:

- Tak sobie tylko myślę...

Myślałem o niej dużo - przez całe 20 000 kilometrów i mnóstwo stref czasowych - i w normalnym przypadku skończyłoby się to dla niej wypowiedzeniem znajomości.

Zostawiłbym ją w Brisbane. Oddałbym jej wóz. Odciałbym się.

Ale tym razem, nad Oceanem Spokojnym, na wysokości ponad 36 000

stóp wspomniałem, co ktoś powiedział mi w wozie cuchnącym mokrymi psami.

„Tu chodzi o zachowanie balansu, chłopcze... kapujesz coś z tego?”

Wówczas, siedząc w tym samolocie, pokiwałem głową do samego siebie, teraz pokiwałem sobie jeszcze raz.

- O czym?

- O tym, jak bardzo miałaś rację. Pasujemy do siebie, prawda?

Roześmiała się i oparła mi głowę na ramieniu; jeśli o to chodzi ło w tym przyłączeniu się do reszty ludzkości, to byłem gotów.

399

Jeszcze jednej rzeczy nauczyłem się od mistrza.

Minęliśmy padok, na którym miał zwyczaj stać w przygnębieniu stary ogier. Już tam nie stał. Wjechałem tam koparką i w rogu wykopałem duży dół, następnie przyłożyłem mu do łba dubeltówkę Charliego i wypaliłem z obu rur. Wyobrażałem sobie, że ten gniady uśmiecha się teraz tak samo, jak uśmiecha się Charlie.